



Mieczysław Śmiałek

Śmiałkowie
Od Wojciecha do
Wojciecha

Dziękuję moim krewnym Pawłowi Stefanowi Gruszczyńskiemu i wnukowi mojej siostry Leokadii Adrianowi Albertowi Jarzębowskiemu oraz wszystkim tym, którzy przyczynili się do uzyskania danych osobowych i zdjęć do wydania tej książki. Mój syn Michał Jan Śmiałek wykonał wykresy drzewa genealogicznego oraz opracował zdjęcia. Edycję tę traktuję jako materiał do dalszego uzupełniania faktów oraz wpisu członków naszej rodziny. Książka ta stanowi przesłanie, jak ważne są rodzina, tradycja i własność oraz pamięć o naszych przodkach.

Mieczysław Śmiałek

Śmiałkowie

**Od Wojciecha do
Wojciecha**

Warszawa, 2013

Wydawca: Mieczysław Śmiałek

Warszawa, 2013

Skład dtp: Michał Jan Śmiałek

Genealogia: Michał Jan Śmiałek

Okładka:

Na okładce wykorzystano obraz autorstwa Joanny Ostrowskiej (z domu Śmiałek)

ISBN 83-924068-0-3

Wydanie 1

Mieczysław Śmiałek
04 – 143 Warszawa,
ul. A. Kordeckiego 4
tel.(22) 610 79 95

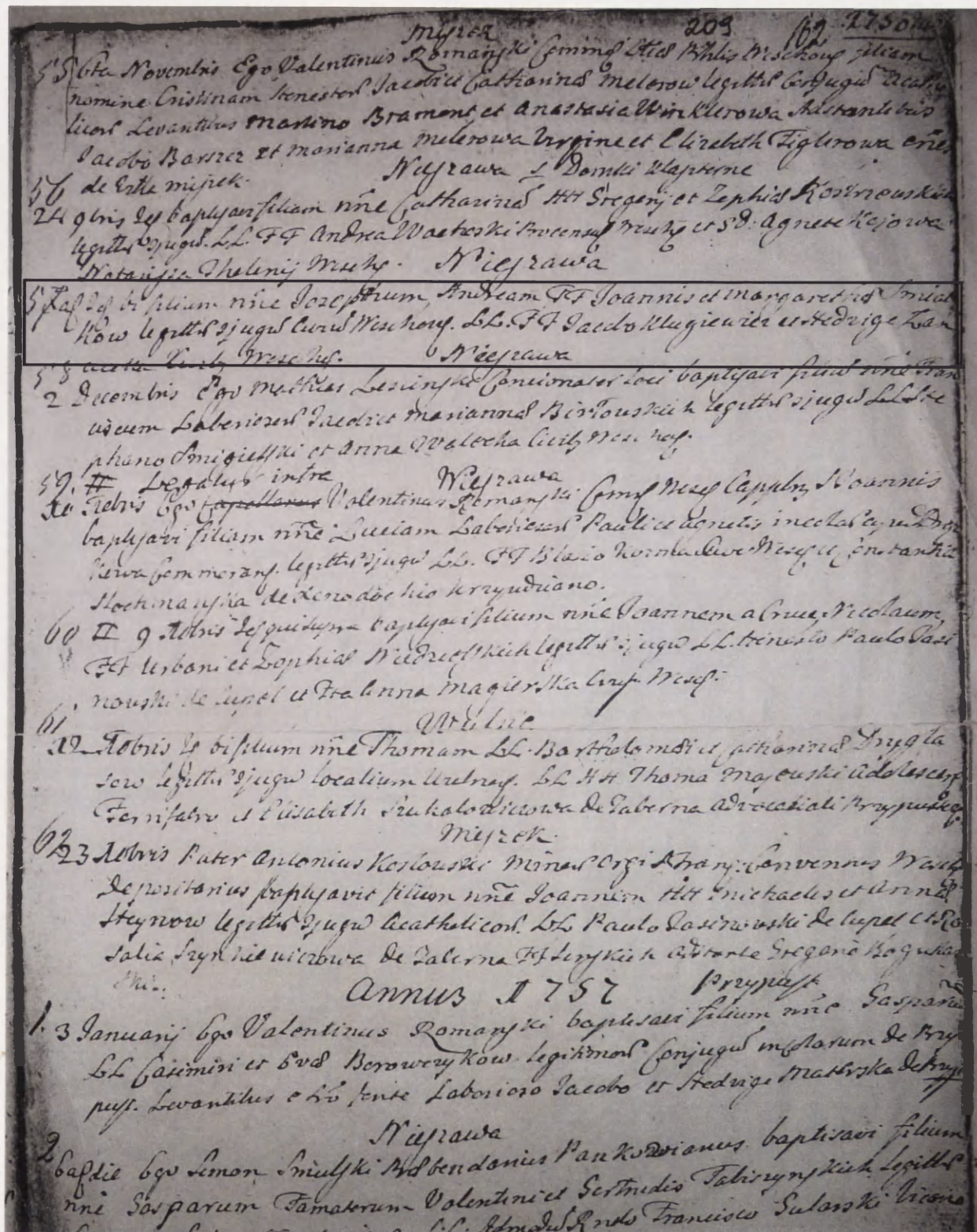
Spis Treści

Część 1. Moja rodzina	6
1.1 Prolog	6
1.2 Nieszawa.....	8
1.3 Retki	13
1.4 Sopel.....	39
1.5 Bielice.....	48
Część 2. Jedynak	60
2.1 Retki (listopad 1929 rok).....	60
2.2 Kiernozia i Retki do 1939 roku	67
2.3 Druga Wojna Światowa, lata 1939 – 1945	75
2.4 Łowicz	78
2.5 Łódź.....	99
2.6 Zabrze-Makoszowy	104
2.7 Bydgoszcz – Ciechocinek – Starogard Gdański.....	106
2.8 Warszawa	111
2.9 Goeteborg	139
2.10 Bethesda	148
2.11 Warszawa	155
2.12 Epilog	179

Część 1. Moja rodzina

1.1 Prolog

Nazwisko Śmiałek znane jest w Polsce od 1400 roku. W zapisach ksiąg parafii Złaków Kościelny rodzina Śmiałków zamieszkuje we wsi Retki od 1618 roku. Ta gałąź rodu nie uważana jest za krewnych potomków Wojciecha Śmiałka, który przybył z bratem na ziemię łowicką w drugiej połowie osiemnastego wieku. Przekazy rodzinne Jana Śmiałka s. Mikołaja i jego dziadka Antoniego s. Jana podają, że Wojciech pochodził z Kujaw z miasta Nieszawy. Śmiałkowie przystąpili do konfederacji barskiej i w kościele występowali w obronie religii katolickiej i wolności ojczyzny. Na skutek prześladowań konfederatów przez ówczesną targowicę wiele rodzin z Wielkopolski i Kujaw przemieszczało się do centrum kraju. Zabierano na wozy konne dobytek i żywność i z rodziną osiedlano się w miejscach bardziej bezpiecznych. Dotąd znajduje się w Retkach osiemnastowieczny kufer, nie przypominający charakterystycznej skrzyni łowickiej. Panująca epidemia dżumy i wojna północna w pierwszej połowie osiemnastego wieku spowodowały wyludnienie wsi. Pozostawały tak zwane puste włóki. We wsi Retki w tym czasie liczba gospodarstw z 23 zmniejszyła się do 12 osiadłych dymów i 2 komorników. Śmiałkowie początkowo zamieszkali w złakowskiej parafii we wsi Mastki na szlaku Łowicz – Płock. Posiadali tam kuźnię, która pełniła usługi dla rolników oraz podróżnych na ruchliwym trakcie. Przypuszczano, że w kuźni wyrabiano broń dla konfederatów. W drugiej połowie XVIII wieku stoczono wiele walk w okolicy Łowicza pomiędzy konfederatami barskimi a targowiczaniem i wojskami rosyjskimi. W zamku łowickim istniał obóz dla schwytanych konfederatów. Wojciech przeniósł się do Retek, natomiast o losie jego brata i kuźni brak jest danych. Wiadomo z zapisów wójtostwa rodziny Rudzkich herbu Prawdzic, Ignacego i jego żony Franciszki de Wildy oraz ich następcy syna Bartłomieja, że w roku 1785 zbudowano w Retkach wiatrak. Wojciech Śmiałek ożenił się w roku 1787 z panną Magdaleną Stańczyk z Retek. Rodzina Stańczyków osiadła w Retkach w pierwszej połowie osiemnastego wieku, lecz nie ma danych skąd przybyła. Niestety trudno ustalić związki rodzinne Wojciecha Śmiałka z powodu braku ciągłości zapisów aktów chrztu, ślubów i pochówków w księgach kościelnych Nieszawy i Włocławka w latach 1616 – 1808. Na podstawie zachowanych dokumentów istnieją dane, że Wojciech Śmiałek mógł być dzieckiem Jana i Małgorzaty Śmiałków z Nieszawy jako czwarty syn. W połowie XVIII wieku tylko w rodzinie Jana i Małgorzaty Śmiałków w Nieszawie według zapisów kościelnych urodziły się dzieci o nazwisku Śmiałek. Byli to trzej synowie. Rodzicami chrzestnymi najstarszego Ignacego Piotra zostali Andrzej Koźmiński i Rozalia Breztowiczowa. Drugi syn Leon Tadeusz miał dwie pary rodziców chrzestnych, Mateusza Lesieńskiego i Irenę Gertrudę Fabiszewską oraz Łukasza Kamińskiego i Irenę Barbarę Gniską. W listopadzie 1756 roku ochrzczony został trzeci syn małż. Śmiałków, Józef Andrzej. Został przyniesiony do kościoła przez Jakuba Klugiewicza i Jadwigę Łańcucką. Nie jest znana dokładna data urodzenia Wojciecha Śmiałka. Istnieją zapisy, że urodził się w końcu roku 1759 lub na początku roku 1760. Nie znaleziono zapisów urodzin w Nieszawie oraz w archiwum diecezji włocławskiej po roku 1757.



1. Zapis chrztów w farze nieszawskiej od listopada 1756 r. do początku stycznia 1757 r. – poz. 57

W wieku XX źródłem informacji rodzinnych, jak już wspomniano był stryj Jaś z Sopla. Mój ojciec odkupił dla swojej najstarszej córki Leokadii od swojego brata stryjecznego Jana, tak zwaną osadę przemysłową Sopol z dożywociem. Stryj Jaś, który był nauczycielem, przekazywał Łodzi historię rodu Śmiałków. Kiedy w październiku roku 1948 rozpocząłem studia na Wydziale Farmaceutycznym Uniwersytetu w Łodzi, często stęskniony za rodziną wsiadałem w pociąg do pobliskiego Głowna. Przechodziłem pieszo pięć kilometrów przez sosnowy las i wieś Ziewa-

nice. Rzucałem się w ramiona mojej ukochanej siostry. Opowiadałem jej o swoich przeżyciach na uczelni, o ulubionej przeze mnie chemii, a ona obdarowywała mnie wiedzą o dziejach naszej rodziny, jaką przekazywał jej stryj.

Stryj Jaś z Sopla często siadał z nami przy stole i opowiadał o korzeniach naszej rodziny. Mówił, że w kruchcie fary nieszawskiej po prawej stronie głównych drzwi znajduje się epitafium Andrzeja Śmiałka z początku drugiej połowy wieku XIX. Członkowie naszej rodziny odwiedzając Nieszawę, modlili się w farze nieszawskiej. Klękali również przy ołtarzu świętego Krzyża, ufundowanego w początku XVII wieku przez Wawrzyńca Śmiałka. Zawsze odwiedzali kościół pod wezwaniem Znalezienia Krzyża Świętego, zbudowany i wyposażony przez Agnieszkę i Wawrzyńca Śmiałków w roku 1611 dla zakonu ojców franciszkanów. Niestety podczas remontów kościołów w latach 1980 – 1988 tablica fundatorów tego kościoła i epitafium w farze nieszawskiej zaginęły. Ksiądz proboszcz fary nieszawskiej Wojciech Sowa ubolewał, że w tym czasie doszło także do świętokradztwa dwóch złotych kielichów mszalnych z XV i XVI wieku.

Kujawy kryją dla mnie interesującą tajemnicę. Ciągłe są mi bliskie i kochane. Po ukończeniu studiów poprosiłem o nakaz pracy w Bydgoszczy. W roku 1953 miałem możliwość pracy w Ciechocinku, odległym zaledwie o dziewięć kilometrów od Nieszawy. Skorzystałem z tej okazji. Odwiedzałem często miasto moich przodków, aby odetchnąć pełną spokoju atmosferą tego miejsca, popatrzeć z wysokiego brzegu na wolny nurt Wisły i zieleń lasów. Niezwykły klimat tego miejsca przynosił wytchnienie od kolorowego i pełnego gwaru życia w słynnym uzdrowisku. Kiedy proboszczem w farze nieszawskiej p.w. Świętej Jadwigi Śląskiej został ksiądz Wojciech Sowa, dowiedziałem się od niego ciekawych rzeczy o rodzinie Śmiałków z zapisów w księgach kościelnych.

Jednak dopiero niespodziewane odwiedziny naszego kuzyna Pawła Gruszczyńskiego z Poznania stały się dla mnie niezwykłym przeżyciem. Paweł opracował spis potomków Władysława Śmiałka syna Jana i gałęzi rodu z Bielic, dawniej z Rybusowa oraz części rodziny jego brata Antoniego z Retek. Zachęcony do badań dziejów naszej rodziny odwiedziłem w Nieszawie kancelarię fary nieszawskiej, Urząd Miasta Nieszawy i Archiwum Diecezjalne w katedrze wrocławskiej, gdzie przechowywane są zbiory akt urodzeń, ślubów i zgonów w latach 1616 - 1803.

1.2 Nieszawa

Według ustnych przekazów rodzinnych Wojciech Śmiałek herbu Doliwa osiedlił się na ziemiach arcybiskupów gnieźnieńskich po przybyciu z Kujaw, z miasta Nieszawy, położonego na wysokim lewym brzegu rzeki Wisły. Pierwotnie Nieszawa została założona w wieku XIV jako osada kupiecka przy zamku Dybów na tym samym, lewym brzegu Wisły na przeciwko pomorskiego miasta Torunia. Historycznym wydarzeniem świadczącym o znaczeniu grodu było wydanie przez króla Kazimierza Jagiellończyka statutów nieszawskich w roku 1454. Mieszczanie toruńscy przy wsparciu krzyżackiego zakonu rycerskiego wyprosili u króla przeniesienie Nieszawy w roku 1460 o około 30 km w górę rzeki Wisły. Bliskość Nieszawy stanowiła konkurencję w handlu zbożem z urodzajnych Kujaw. Ten fakt stał się przyczyną okresowego zubożenia mieszkańców Nieszawy, ale i ich dynamicznego działania przy budowie nowego grodu. Nieszawa uzyskała wkrótce prawa miejskie. Już w roku 1468 mieszczanie nieszawscy założyli fundację budowy nowego kościoła, późniejszej fary, pod wezwaniem św. Jadwigi Śląskiej. W tym czasie powstało już gotyckie prezbiterium.



2. Fara p.w. Św. Jadwigi Śląskiej w Nieszawie.

Miasto nie osiągnęło takiego bogactwa jak Toruń. Ale na prowadzonym dalej eksporcie zboża mieszcianie nieszawscy na tyle się wzbogacili, że fundowali indywidualnie budowę kościołów, bądź kaplic przy istniejącej farze. Okazali się szczodrymi legatorami na potrzeby rozwijającego się miasta Nieszawy. Krzywdowie dobudowali przy farze w latach 1620 – 1625 kaplicę św. Jana Chrzciciela z renesansowym ołtarzem z pierwszej ćwierci XVII wieku. Elżbieta Bieńkowa ofiarowała dla przytułku dla starców przy klasztorze oo. Franciszkanów ogród w pobliżu kościółka św. Wojciecha w Nieszawie. Andrzej Kolasa ufundował główny ołtarz w farze nieszawskiej. Ołtarz wykonany w szkole gdańskiej prezentuje rodzaj łuku triumfalnego. W centralnej części ołtarza około roku 1632 umieszczono obraz olejny z pokłonem pasterzy w Betlejem.

Wiadomo ze źródeł kościelnych i miejskich, że w r.1611 rozpoczęto odbudowę z cegły palonej kościoła p.w. Znalezienia Krzyża Świętego dla klasztoru oo. Franciszkanów. Budowla ta przez wieki niszczona przez najazdy Litwinów i Krzyżaków znajdowała się w opłakanym stanie. Radny miasta Wawrzyniec Śmiałek wraz z małżonką Agnieszką, wielcy miłośnicy św. Franciszka z Asyżu nie tylko zbudowali kościół, lecz również z własnych funduszy go przyozdobili i wyposażyli. Klasztor z wdzięczności dla dobrodziejów odprawiał w ich intencji Mszę świętą w każdą środę.



3. Kościół p.w. Znalezienia Krzyża Świętego w Nieszawie (fundatorzy radny miasta Wawrzyniec Śmiałek z żoną Agnieszką.)

Wprawdzie rodzina Śmiałków należała w tym czasie do stanu mieszczańskiego, lecz posiadała korzenie rycerskie. Hełm turniejowy z zasłoną prętową herbu z godłem trzech czerwonych róż na ukośnym białym pasie błękitnej tarczy wskazuje na pochodzenie rycerskie. Korona na hełmie z pięcioma pałkami oznacza szlachectwo. Na szczycie w koronie umieszczony jest klejnot w kształcie godła, trzech róż.



4. Herb rodu Śmiałków – Doliwa

Herb Doliwa jak wiadomo z kronik powstał w wyniku przemian herbu Róża lub Różyc, nazywanego później Poraj. Podobno wraz z świętym Wojciechem z rodu Sławnikowiców po opuszczeniu Pragi z powodu bezbożnych praktyk pogańskich ludu czeskiego przybył do Polski jego brat Poraj. Dał on początek rodu Różyców, którym to herbem z jedną różą pieczętuje się około 200 rodzin. Potomkowi rodu Różyców dołożono jeszcze dwie róże, gdy rycerz schwytyany przez wrogów zamiast do Liwa nad Liwcem wprowadził ich w zasadzkę. Śmiałkowie pieczętowali się herbem Doliwa.

Wawrzyniec Śmiałek ofiarował również dla fary nieszawskiej p.w. Świętej Jadwigi Śląskiej boczny ołtarz św. Krzyża. Ołtarz ten z gotyckim założeniem kompozycyjnym i bogactwem ornamentyki oraz rzeźby w stylu gdańsko-niderlandzkiego manieryzmu powstał w warsztacie

snyckim w Gdańsku, w tej samej pracowni co ołtarz główny z pokłonem pasterzy ufundowany przez mieszczanina Andrzeja Kolasę. Centralne miejsce zajmowała scena ukrzyżowania Pana Jezusa z klęczącą Marią Magdaleną. Po zniszczeniu rzeźby w to miejsce wstawiono siedemnastowieczny obraz olejny z postaciami świętych Fabiana i Sebastiana. Na tym poziomie poza kolumnami znajdują się plastyczne rzeźby św. Stanisława biskupa i św. Wawrzyńca podobno z głową fundatora Wawrzyńca Śmiałka. W drugiej kondygnacji tego ołtarza przedstawiona jest postać św. Marcina na koniu oddającego swój płaszcz biednemu. Zwieńczenie ołtarza z krzyżem na szczycie jest bogato rzeźbione. Podobnie predella, czyli jego podstawa ze sceną drogi krzyżowej i postacią św. Weroniki, świadczy o niezwykłym kunszcie snyckim. Wiadomo tylko, że ołtarz ten został konsekrowany przez biskupa sufragana włocławskiego, Franciszka Łackiego, pasterzującego w latach 1597 – 1617.



5. Boczny ołtarz Św. Krzyża w farze nieszawskiej pochodzący z XVII wieku. Fundator: Wawrzyńiec Śmiałek

W zapisach kościelnych wpłat we florenach na rzecz kościoła parafialnego w Nieszawie przed rokiem 1639 istnieją jako legatorzy Anna Śmiałkowa i Wojciech Śmiałek, oraz jako dobrodziej Wawrzyniec Śmiałek pośród innych licznych ofiarodawców.

W okresie między pierwszym a drugim rozbiorem Polski w czasach panowania króla Stanisława Augusta Poniatowskiego (1764 – 1795) z powodu prześladowań konfederatów barskich nastąpiła z Wielkopolski i Kujaw migracja Polaków do centralnych ziem kraju. Handel zbożem w Nieszawie przejęty został przez ludność pochodzenia żydowskiego. Miasto ubożało z powodu wybudowania w XIX wieku linii kolejowej i stacji odległej o 3 km od miasta. Wisła przestała stanowić główną i poważną drogę transportu płodów rolnych. Natomiast Aleksandrów Kujawski z graniczną stacją kolejową między zaborami, rosyjskim i pruskim rozwijał się i zyskiwał na znaczeniu. Ale ze szczodropliwości parafian odnowiono w roku 1868/69 wnętrze fary i cenne freski na ścianach i sklepieniu. Tutaj notariusz p. Noakowski po okresie wynajmu mieszkania na plebanii farnej zbudował dom w rynku nieszawskim. W domu tym obecnie znajduje się Muzeum Imienia Stanisława Noakowskiego, profesora Politechniki Warszawskiej, syna rejenta nieszawskiego.

Po przeciwnej stronie Rynku usytuowany jest ratusz miejski. Mieszczanin nieszawski, przedsiębiorca budowlany Władysław Sobieraj stał się sławny nie tylko dzięki budowie dworca kolejowego w Aleksandrowie Kujawskim, Szpitala im. Dzieciątka Jezus w Warszawie przy ul. Wojciecha Oczki i szpitala w Skierniewicach, lecz także z powodu napisania w czasie zaboru rosyjskiego do urzędu podania po polsku. Biorąc pod uwagę taką zuchwałość, gubernator w roku 1901 nie zaakceptował jego wybrania do zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej w Nieszawie. W roku 1900 Władysław Sobieraj wybudował dla swojej licznej rodziny najpiękniejszą, zachowaną dotychczas w mieście kamienicę w stylu secesyjnym z popiersiem Adama Mickiewicza przy ulicy Mickiewicza 18. Władysław Sobieraj, halerczyk, uczestnik wojny bolszewicko – polskiej w r. 1920 przez całe swoje życie był wielkim patriotą. Na cmentarzu farnym, usytuowanym na szczycie wzgórza nad miastem, stoi wielki krzyż grobowca Sobierajów, który patrzy z miłością na zubożałe miasto, spokojnie płynącą szeroką wstęgę Wisły i zalesiony malowniczy prawy brzeg. Nie mieszka tutaj już żaden Sobieraj. Ostatni zmarł przed kilkunastoma laty. W Warszawie mieszka jedyna wnuczka Władysława mgr farmacji Alina Sobieraj – Pietrow, moja bliska koleżanka. Miłość do tego zaczarowanego miasta pozostała. Rodzina Sobierajów 24 września 2011 roku w setną rocznicę śmierci Władysława, który miał czternaścioro dzieci, przybyła z całego świata do ukochanego rodzinnego gniazda. Uczciła pamięć nestora rodu, rozpoczynając zjazd Mszą świętą w starej farze nieszawskiej, do której uczęszczali na nabożeństwa pokolenia Sobierajów z Nieszawy.

Tutaj jakby czas się zatrzymał. Nad miastem pyszni się swoją dawną świetnością ogromna fara a mała wieżyczka kościoła przy dawnym klasztorze oo. Franciszkanów skromnie wygląda spoza drzew. Można tutaj przepłynąć na drugi brzeg promem razem z końmi, ciężarówkami, rowerami i pieszymi pasażerami. Z bulwaru nad Wisłą spoglądają na piękno krajobrazu puste oczodoły okien zniszczonego niegdyś solidnego budynku portu rzecznego. Siedząc tutaj na skwerze bulwaru zapomina każdy o rozpędzonym wieku XXI, a nawet o urokach pobliskiego Ciechocinka. Nieszawa wydaje się być prześliczną, ubogą panną w porównaniu z upiękuszonym Ciechocinkiem - kuracjuszka z kolorowym makijażem dywanów kwiatowych. Mieszkańcy ciągle oczekują na zaporę wodną i most na Wiśle. Na cud i prawdziwy rozwój miasta. Może znajdują tutaj jakieś gorące źródła czy solanki i Nieszawa stanie się ze względu na swoją urodę Kazimierzem dolnej Wisły. Tymczasem tylko istnieje źródło Maksymiliana wody oligocieńskiej (dla pamięci przebywania w ówczesnym klasztorze ojców Franciszkanów Św. Maksymiliana Kolbe w latach 1919 – 1921). Obecnie w Nieszawie nie zamieszkuje nikt z rodziny Śmiałków. Mijający czas wykreślił to nazwisko ze spisu mieszkańców Nieszawy. Kiedy mieszkałem w pobliskim Ciechocinku, główna księgowa Wydziału Zdrowia w Aleksandrowie Kujawskim, p. Raciborska poinformowała mnie, że wychowuje chłopca o nazwisku Śmiałek. Dopiero w roku 2010 przy-

padkowo spotkałem p. Andrzeja Śmiałka w Ciechocinku. Często wracam tam aby odwiedzić moich przyjaciół. Zaprzyjaźnieni państwo Teresa i Kazimierz Dzieniowie pozwolili nam skorzystać z ich luksusowego mieszkania na osiedlu Słonecznym. Obiady jadaliliśmy w pobliskim zakonie żeńskim przy wspólnym stole z dwoma nieznanymi panami. Podczas ostatniego posiłku okazało się w rozmowie, że jeden z nich to właśnie p. Andrzej Śmiałek, wychowanek pani Raciborskiej. W tym ostatnim dniu pobytu zaprosił żonę i mnie do siebie. Niestety nie znał osób swojej rodziny. W wieku XX podupadająca Nieszawa przestała być miastem powiatowym. Starosta przeniósł urząd do Aleksandrowa Kujawskiego.

1.3 Retki



6. 660-lecie wsi Retki

Można sądzić z przekazów rodzinnych, że osiedlenie się Wojciecha Śmiałka (1759 lub 1760, Nieszawa ? – 06.05.1817 Retki) na Mazowszu związane jest z represjonowaniem członków rodziny Śmiałków przez ówczesnych targowiczian. Dane statystyczne wykazały, że w latach (1785 – 1789) zwiększyła się znacznie populacja mieszkańców Ziemi Łowickiej. W tym czasie w Retkach liczba ludności wzrosła z 98 do 165 osób, a w tym dorosłych mężczyzn z 22 do 30. Można przypuszczać, że Wojciech Śmiałek posiadał na Ziemi Łowickiej krewnych. Nazwisko Śmiałek według zapisów w Parafii Złaków Kościelny istnieje od 1618 roku. Rodzina ta mieszkająca w Retkach od wieku XIX nazywana jest Walosiokami. Ten przydomek pochodzi od imienia Walentego Śmiałka (12.02.1827 - ?), który ożenił się z Józefą Czaja. Jego potomek Piotr Śmiałek posiadał trzydziestomorgowe gospodarstwo rolne. Miał sześciu synów i dwie córki – Małgorzatę i Elżbietę. Roman i Leon Śmiałkowie otrzymali po połowie majątku w Retkach, Władysław, Stanisław i Tadeusz zamieszkali w Łodzi. Józef Śmiałek s. Piotra założył rodzinę w Złakowie Borowym. Ta rodzina Śmiałków nie uważana jest za rodzinę, pochodzącą od protoplasty naszego rodu Wojciecha Śmiałka.

Istnieje jeszcze małopolska gałąź rodziny Śmiałków z okolicy miasta Bochni. Wiadomo, że Stefan Śmiałek ożenił się z panną Katarzyną NN z Cikowic i tam osiadł. Tam też urodził się ich syn Ferdynand Śmiałek (1926 – 2011). Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości został przyjęty na Wydział Lekarski Uniwersytetu Łódzkiego. W tym samym czasie na Wydziale Farmaceutycznym tego Uniwersytetu w latach 1948 – 1952 studiował Mieczysław Śmiałek syn Stanisława z Retek powiatu łowickiego. Obaj Śmiałkowie dowiedzieli się o sobie w związku z pomyłką przy

wypłacie pieniędzy za obowiązkową praktykę wakacyjną w roku 1951. O Śmiałkach zamieszkujących Małopolskę dowiedziałem się podczas stypendium naukowego w USA w Narodowym Instytucie Zdrowia (NIH) w Betheździe w stanie Maryland. W książce telefonicznej znajdował się abonent Joseph Śmiałek, który mieszkał w stanie Virginia w pobliżu stolicy kraju , Washington DC. Zadzwoiłem do p. Józefa, który serdecznie rozmawiał ze mną na tematy rodzinne. Powiedział mi, że rodzina wyemigrowała z Małopolski. Z siedmiorga jego dzieci jeden syn jest lekarzem i pracuje w Nowym Jorku. Żałowałem bardzo, że nie jest moim krewniakiem z Kujaw.

Po powrocie do kraju dowiedziałem się, że doktor Ferdynand Śmiałek, mój kolega z Uniwersytetu Łódzkiego mieszka w Skarżysku – Kamiennej. Kiedy zdecydowałem się napisać o losach rodziny Śmiałków, postarałem się o telefon jego syna, neurologa dr med. Tadeusza Śmiałka w Skarżysku – Kamiennej. Dowiedziałem się, że jego zmarły ojciec Ferdynand był specjalistą w zakresie medycyny pracy i interny. Jego trzech synowie są lekarzami. Tadeusz i Marek pracują w Skarżysku Kamiennej, a Jerzy w Krośnie. Dr Tadeusz Śmiałek poinformował mnie, że w Bochni pracuje lekarz o nazwisku Śmiałek, który nie uważany był przez ojca za jego rodzinę. Ten fakt może świadczyć, że ta gałąź rodziny Śmiałków mogła osiedlić się w Małopolsce przed kilku wiekami. We wsi Łapczyca, sąsiadującej z Bochnią kuzyn po kądzieli ze strony ojca, p. Marzec trudni się rehabilitacją chorych metodą terapii manualnej.

Podczas studiów na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Warszawie poznałem Wincentego Śmiałka, studenta Wydziału Farmaceutycznego AM. Pochodził on z powiatu grójeckiego. Twierdził, że w okresie międzywojennym jego ojciec tam przybył i się osiedlił. Niestety Wincenty nie wiedział nic o swoich przodkach.

Według przekazów rodzinnych i organisty kościoła pod wezwaniem Wszystkich Świętych, p. Kuczyńskiego, który prowadził akta urodzeń i zgonów, Wojciech Śmiałek i jego brat po przybyciu na Mazowsze posiadali kuźnię w Mastkach, wsi w parafii Żłaków Kościelny na szlaku z Łowicza do Płocka. Gniazdo rodzinne Śmiałków na Ziemi Łowickiej powstało w Retkach odległych o około 5 km od Mastek. Po epidemii dżumy i zniszczeniach wojny północnej w pierwszej połowie wieku XVIII w Retkach pozostało wiele pustych włók. Wojciech Śmiałek, herbu Doliwa przeniósł się do Retek.



7. Łowicki wiatrak (foto: łowicki kalendarz 2012)

Poznał pannę z Retek Magdalenę Stańczyk (1768 - ?). W roku 1787 ożenił się z nią. Nie ma danych o jej pochodzeniu. Wiadomo tylko, że Stańczykowie osiedli w Retkach w pierwszej połowie wieku XVIII. Jeśli Magdalena nie była szlachcianką, nie było wówczas wbrew obyczajowi pojąć szlachcicowi żonę z niższego stanu zgodnie z konstytucją radomską z roku 1505. Wiadomo natomiast, że w początku XVIII wieku Retki należały do szlacheckiej rodziny Jarzębskich. Małżonkowie Wojciech i Magdalena Śmiałkowie posiadali gospodarstwo rolne oraz wiatrak, który jak podają kroniki wsi Retki istniał podczas wójtostwa Ignacego i Franciszki z de Wildy małżonków Rudzkich herbu Prawdzic i ich syna Bartłomieja, zbudowany w roku 1785.

Od tego czasu wieś Retki stała się gniazdem rodzinnym Śmiałków a wielu członków rodziny posiadało w tej okolicy wiatraki i młyny. Zubożała szlachta często trudniła się młynarstwem, stając się najbogatszymi mieszkańcami wsi.

Retki znalazły się w zaborze pruskim po drugim rozbiórce Polski w roku 1793. Rząd pruski włączył ziemie Księstwa Łowickiego w roku 1796 do Departamentu Warszawskiego Prus Południowo Wschodnich. W czasie Księstwa Warszawskiego 30 czerwca 1807 roku dobra prymasowskie zostały darowane przez Napoleona marszałkowi Ludwikowi Davout. Niedługo to trwało. Po Kongresie Wiedeńskim i restytuowaniu Księstwa Łowickiego w Królestwie Polskim car Mikołaj I nadał Ziemię Łowicką swojemu bratu Wielkiemu Księżu Konstantemu i jego żonie księżnej łowickiej Joannie z Grudzińskich w roku 1820. Po ich śmierci dobra łowickie przeszły na własność cara Rosji.

Przez kolejne wieki zamieszkiwało wieś Retki kilka rodzin Stańczyków, które nie uznawane były za kuzynów. Powstawały nawet małżeństwa między członkami tych rodzin. Tak na przykład moja krewna ciocia Zosia z domu Stańczyk z Retek (23.12. 1886 - ?) wyszła za mąż za Konstantego Stańczyka (? - ?) z Retek. Obecnie mieszka tam tylko jedna rodzina Stańczyków, Grzegorza Stańczyka, wnuka Franciszka Stańczyka, brata cioci Zosi. Można przypuszczać, że w tej połączonej rodzinie Stańczyków płynie krew Magdaleny Śmiałek ze Stańczyków. Z tej samej rodziny, spokrewnionej z rodziną Śmiałków po kądzieli, mieszka w Retkach Grzegorz Śmiałek (18.05.1955) syn Romana i Marianny ze Stańczyków. Posiada własne gospodarstwo po swoim ojcu Romanie Śmiałku, który należy do rodziny osiadłej w Retkach w wieku XVII. Marianna Śmiałek ze Stańczyków (09. 10.1918 – 2012) jest córką Franciszka Stańczyka (20.09.1891 - ?) syna Wojciecha i Jadwigi z d. Piekacz córki Jakuba i Marianny z domu Pękala ze wsi Mastki. Moja babcia Marcjanna Śmiałek z domu Piekacz, urodzona w Mastkach, była siostrą stryjeczną Jadwigi Stańczykowej. Babcia Marcjanna była jedynaczką, toteż jej stryjeczne i cioteczne rodzeństwo stanowiło najbliższą rodzinę. W ten sposób odnowiło się także dawne pokrewieństwo między rodzinami Stańczyków i Śmiałków. Małżeństwo Jadwiga i Wojciech Stańczykowie mieli cztery córki i jednego syna Franciszka Stańczyka (20.09.1891 - ?), który ożenił się w roku 1917 z Elżbietą z d. Koza z Jackowic.

Najstarsza ich córka Marianna Śmiałek z d. Stańczyk wyszła za mąż za Romana Śmiałka (1913 - 30.04.1994), syna Piotra Śmiałka i Anastazji z d. Grzegory ze Złakowa Borowego we wrześniu roku 1954. Mają bliźnięta, wspomnianego wyżej syna Grzegorza i córkę Barbarę (18.05.1955). Grzegorz jest kawalerem. Barbara pojęła za męża Stefana Żaczka z Wyborowa. Mieszkają w Sochaczewie. Dzieci Barbary, Piotr Żaczek (05.07.1982) i córka Elżbieta (18.11.1983) mieszkają i pracują w Warszawie po ukończeniu studiów na Politechnice Warszawskiej i Uniwersytecie Łódzkim.

Druga córka Franciszka Stańczyka, Lucyna (28.10.1920 – 2001) wydana została za mąż za Piotra Tarkowskiego z Wyborowa (?-?). Mieli troje dzieci. Wanda (1943) z d. Tarkowska jest wdową i mieszka w Warszawie z dwojgiem dzieci. Syn Lucyny Tarkowskiej ze Stańczyków Józef Tarkowski jest żonaty. Mieszka w Warszawie – Wesolej i ma dwóch synów. Kazimierz Tarkowski mieszka w Wyborowie, jest żonaty i ma troje dzieci.

Trzecia córka Franciszka Stańczyka, Franciszka (1923 – 2006) żona Jana Gajdy ze Złakowa Kościelnego urodziła troje dzieci. Stanisław Gajda syn Jana pozostał na gospodarstwie rolnym w Złakowie Kościelnym, jest żonaty i ma troje dzieci. Córka Jadwiga mieszka z mężem i dwoma córkami w Klotyldowie, a trzeci syn Tadeusz Gajda mieszka w Łowiczu z żoną i dwójką dzieci.

Najmłodszy syn Franciszka Stańczyka Jan ożenił się z Marianną Fijałkowską z Przemysłowa i osiadł w gospodarstwie rodzinnym w Retkach. Mają córkę Elżbietę (1954) i syna Grzegorza (1956). Dzieci Jana i Marianny Stańczyków założyły rodziny.

Z czterech siostr Franciszka Stańczyka tylko Zofia Stańczyk z d. Stańczyk pozostała w Retkach. Ciocia Zosia urodziła mężowi Konstantemu Stańczykowi pięć córek: Anastazję, Marian-

nę, Stanisławę, Rozalię i Zofię oraz trzech synów, Franciszka, Jana, i Piotra. Najstarszy syn Zofii Stańczykowej Franciszek po ślubie zamieszkał z żoną i dziećmi w Karsznicach Dużych.

Syn Jan Stańczyk (?-?) ożenił się z Urszulą Kacprzyk (?-?) panną z Maurzyc i pozostał na gospodarstwie rodziców. Jego córka Teodozja wyszła za mąż za Eugeniusza Sieczkowskiego z Retek i przejęła ojcowiznę. Rodzina Sieczkowskich podobnie jak rodzina Stańczyków dotąd uważana jest za krewnych Śmiałków. Elżbieta Śmiałek z d. Sieczkowska była żoną Jana syna Wojciecha Śmiałka. Anna Barlak z d. Stańczyk młodsza córka Jana technik rolnik założyła rodzinę i pracowała jako agronom.

Piotr Stańczyk syn cioci Zosi pracował i mieszkał w Warszawie. Często odwiedzał nas w Retkach. Kładliśmy się na dywanie w pokoju i opowiadał nam przeczytane książki, między innymi popularną *Kariere Nikodema Dyzmy Dołęgi - Mostowicza*. Podczas okupacji działał w strukturach Armii Krajowej. Zginął we wrześniu roku 1944 podczas powstania warszawskiego na ulicy Puławskiej przywalony spadającą ścianą domu. Walczył w batalionie Baszta.

Córki cioci Zosi Stańczykowej Rozalia (?) i Zofia (1924 – 1943) zmarły jako dorosłe panny podczas drugiej wojny światowej. W tym czasie podczas wojny ciocia straciła jeszcze dwie córki zamężne Mariannę Muras z d. Stańczyk (26.05.1910, Retki – 10.07.1944, Przemysłów) – mąż Andrzej i Stanisławę Klimkowską z d. Stańczyk (1917, Retki – 1941 Złaków Borowy) – mąż Stanisław. Obie te córki osierociły dzieci, Marysia czworo, Stasia syna Henryka zamieszkałego w Kutnie.

Dzieci najstarszej córki cioci Zosi Stańczykowej, Anastazji Anyszka z d. Stańczyk: Marianna Muras z d. Anyszka, (15.08.1925, Retki – 18.09.2010, Łódź) - mąż jej Stanisław syn Jana, Józef Anyszka (27.07.1928, Retki – 23.04.2004, Łódź), Helena Miziołek z d. Anyszka, jubiler (23.02.1931, Retki – 11.09.1994, Łódź) – mąż Władysław Miziołek ze Złakowa Kościelnego, Mieczysław Anyszka (13.06. 1933, Retki - 1974, Retki), sołtys wsi Retki, Władysław Anyszka (07.09.1935, Retki – 04.01.1990, Łódź). Żyją dwie córki Anastazji : Janina Machlewska z d. Anyszka (13.09.1938, Retki) z mężem Janem nauczycielem pracuje jako pedagog w Łowiczu i najmłodsza z rodzeństwa Stanisława Borkowska (26.12.1939, Retki) z d. Anyszka, żona Mariana prawnika, profesor ekonomii i minister, obecnie mieszka i pracuje w Warszawie.

Siostra wujka Franciszka Stańczyka Józefa Wojda z d. Stańczyk (12.03.1885) zamieszkała początkowo w Przemysławowie a następnie w Czerniewie. Jej córka Zofia Rembowska z d. Wojda przyjaźniła się z moją siostrą Marianną Dondzik. Mieszkały w sąsiedztwie w pobliżu Kiernozi. Marysia Dondzikowa była matką chrzestną syna Zosi Rębowskiej. Ciocia Józia miała również syna Jana nauczyciela Technikum Rolniczego w Łowiczu i jeszcze jedną córkę Lucynę i syna.

Siostra Franciszka, Marianna Jabłońska z d. Stańczyk (23.02.1889) i jej mąż Ludwik mieszkali w Osieku.

Marianna Sidorkowa z rodziny Zofii i Konstantego Stańczyków z Retek mieszkała na Pradze w Warszawie. Miała syna inżyniera Janusza, który zamieszkuje z rodziną na Żoliborzu przy ulicy Fortecznej.

Ciocia Julianna „Ulina” Witek, siostra Franciszka Stańczyka mieszkała w Zgierzu z dziećmi, Mieczysławem, Lucyną i Jadzią, którzy założyli rodziny i przenieśli się do Łodzi.

Wieś Retki została osadzona na prawie średzkim aktem lokacyjnym wydanym w Gnieźnie dnia 28 kwietnia roku 1351 przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Jarosława Bogorię Skotnickiego i nadana Januszowi Łowcy. Obejmowała obszar 520 ha urodzajnej ziemi poza bagiennymi rozlewiskami otaczających ją rzek, od południa Słudwi, lewobrzeżnego dopływu Bzury i od wschodu Nidy, dawniej nazywanej Czerniew, wpadającej tutaj do Słudwi. Zabudowania gospodarskie rozsiadły się wzdłuż rzeki Słudwi w odległości około 200 metrów od brzegu. Domostwa skupiono przy drodze o długości około 300 metrów, przylegającej od zachodu do przejazdu przez rzekę na szlaku Zduny – Złaków. W dziewiętnastym wieku w latach 1864 - 1867 przeprowadzono komasację. Być może bagienny teren rzeki Słudwi powiększał się i zagrażał zabu-

dowaniom gospodarskim. Trzęsawisko to miało szerokość około $\frac{1}{2}$ kilometra i stanowiło siedlisko różnych gatunków ptactwa wodnego. Trawę z łąk i trzciny koszone, kiedy zamarzła woda i bagienne podłoże. Wieś przeniesiono na wyższy teren w odległości około $\frac{1}{2}$ kilometra na północ od rzeki. Na wyniosłości pagórka wytyczono prostą drogę o długości około 1500m od granicy zachodniej z wsią Złaków Kościelny. Po stronie wschodniej wsi w dolinie rzeki Nidy od strony Świerzyża I, II i Wyborowa – dawniej Duplic Dużych, łąki i ziemię orną podzielono na małe skrawki dla wszystkich gospodarzy. W cyplu, gdzie Nida uchodzi do Słudwi torfiaste łąki przyjęły nazwę „dziołek”. Dalej ku północy wzdłuż nurtu rzeki Nidy wyznaczono też odpowiednio do posiadanego przez właściciela arealu ziemi wąskie paski gruntu nazwane przydatkami. Najwyżej położone na poziomie około 95 metrów piaszczyste pagórki, najdalej wysunięte na północ nazwano górami, gdzie ziemia została częściowo zalesiona. Tam często biegaliśmy po piaszczystych pagórkach porośniętych skąpo trawą a na wiosnę kępami sasanek. W jesieni wybieraliśmy się na grzybobranie maślaków i podgrzybków. Północna granica Retek została wyznaczona wzdłuż drogi z Łowicza do Złakowa Kościelnego, która oddzielała je od wsi Przemysłów – dawniej zwanej Duplicami Małymi. Wieś ta została osadzona tym samym aktem lokacyjnym, na prawie niemieckim, jak Retki w 1361 r.

Zabudowania Śmiałków znajdowały się po dokonanej komasacji, około 1000 metrów od początku wsi, jak większość po stronie północnej drogi. Wówczas drewniane wiejskie chaty kryto słomą i malowano niebieską farbą. Domy miały drzwi wejściowe niskie. Centralne pomieszczenie stanowiła duża sień często z kuchnią i piecem do pieczenia chleba. Po każdej stronie sieni znajdował się jeden duży pokój z dwoma oknami, z okiennicami malowanymi w stylizowane kwiaty lub koguty. Z pokoi wchodziło się do ciemnych komór, które służyły za sypialnie dla licznych wówczas młodych członków rodziny. Często jedna z komór stanowiła spiżarnię, gdzie przechowywano mąki, kasze, miód, garnki ze smalcem, suszoną słoninę, zebrane zioła i różne sprzęty potrzebne gospodyni. W pokojach na łóżkach pokrytych białymi narzutami z czerwoną ręcznie wykonaną koronką znajdowały się stosy mniejszych i większych poduch z podobnymi ozdobami. Pierzyny często powłóczono wielobarwnymi kraciastymi materiałami z lnu. Na ścianach znajdowały się rzędy obrazów świętych w tym świętej Agaty z zielonym palmowym liściem, broniącej od ognia i tak zwane kodry – z papieru i wełny - kolorowe bukiety kwiatów. Na belkach nalepiano kolorowe łowickie wycinanki. Przy drzwiach wejściowych wisiała mała kropielnica z wodą święconą. Z sufitu zwisał pająk z wełny i bibuły. Z każdego rogu mieszkania rozciągano do pająka cztery sznury ozdobione różnobarwnymi bibułami. Na ich końcu wieszano wyrobione z wełny bukiety kwiatów ozdobione kolorowymi choinkowymi bombkami. Pod oknami zwykle przez niemal całą długość pokoju ciągnęła się rzeźbiona drewniana ława. W widocznym miejscu pod ścianą stała komoda z ołtarzykiem i kwiatami oraz malowana skrzynia łowicka do przechowywania łowickich wełniaków i strojów. Na środku ustawiano stół z bukietem ściętych kwiatów z ogrodu, lub wykonanych z papieru i cztery drewniane rzeźbione krzesła. Na wyszorowanej, czystej, sosnowej, niemalowanej podłodze rozkładano różnobarwne chodniki, tkane na własnych warsztatach. Te same warsztaty służyły także do wyrobu wełniaków łowickich, lnianych prześcieradeł, płócien na koszule i ręczniki. Prostokątne podwórko zwykle było zamknięte budynkami obory, stajni, chlewni i spichlerza. Na środku wykopany był w ziemi duży gnojownik na obornik. Gumno często budowano poza podwórkiem w pobliżu brogu do siana. Najdalej od drogi stała stodoła pokryta słomą jak wszystkie zabudowania. Przed nią stał maneż z długim, grubym drągiem, do którego zaprzęgano konie podczas omłotu zbóż albo ciecicia ze słomy sieczki dla inwentarza żywego. To urządzenie wyparło cepy, dawniej stosowane do ręcznej młocki zboża. Poszycie dachów słomą i drewniane bale ścian stawały się łakomym pokarmem dla ognia. Zwykle tylko obory miały ściany z kamienia, który w tych okolicach obficie wyorywany był corocznie na polach. Cembrowana kamieniami studnia w każdym gospodarstwie zwykle wykopana była przy wjeździe do gospodarstwa. Żuraw wysoko wznosił się ponad zabudowaniami. Miejsce dobrej żyły wodnej ustalał zwykle różdżkarz. U Śmiałków i w bogatszych gospodarstwach budowano tzw. czworaki, tj. dom na podmurówce, szerszy, z czterema

pokojami graniczącymi z sienią, z wejściem schodami przez ganek. Obok swoich zabudowań gospodarskich Wojciech Śmiałek (1759 – 1817) posiadał wiatrak zbudowany w roku 1785. Wykopany duży staw zabezpieczał wiatrak przed pożarem. Można przypuszczać, że Wojciech znał również fach młynarski, który w tamtym okresie przynosił znaczne dochody.



8. Wnętrze chaty łowickiej – ubieranie choinki (foto: łowicki kalendarz 2012)

W roku 1788 urodził się najstarszy syn Wojciecha Śmiałka, Grzegorz (1788 Retki – 01.08.1831), który w roku 1818 pojął za żonę Brygidę Kowarską (1793 – ?).

Następny syn Józef Śmiałek (1790 – ?) ożenił się w roku 1816 w Złakowie Kościelnym z Katarzyną Słubik (1795 – ?).

Trzeci syn Piotr (1791 – 1854) po ślubie w roku 1811 z Marią z d. Łysio (1783 – 1858) początkowo osiadł w Jackowicach w sąsiedniej parafii Zduny. Piotr pełnił funkcję zarządcy majątku. Małżonkowie posiadali dwoje dzieci: Wincentego (20.01.1819 Jackowice – 1854 Dobra Dąbrówka Szlachecka) i Marcjanę (1827 Jackowice – 1883). Przenieśli się następnie po roku 1840 do dóbr Dąbrówka Szlachecka w parafii Tarchomin, obecnie Warszawa (dzielnica Białołęka). Wincenty ożenił się w roku 1844 z Marianną Rogulską córką Franciszka i Anastazji z Brzezińskich z Dąbrówki Szlacheckiej. Ich troje dzieci to : Zofia (1847 – ?), Tomasz (1851 – 1860) i Anna (1854 – 1854; 5 miesięcy). Córka Piotra, Marcjanna pozostała panną. Żona Wincentego wyszła ponownie za mąż w roku 1857 za Józefa Maliszewskiego.

Córka Wojciecha Śmiałka, Katarzyna (1792 – ?) wyszła za mąż w roku 1817 za Stanisława Anyszkę (1795 - ?) z Retek.

Śmiałkowie brali za żony córki zamożnych gospodarzy, bądź córki młynarzy. Wiadomo, że do XX wieku rodzina Łysiów posiadała młyny w Złakowie Kościelnym i w Złakowie Borowym. Śmiałkowie zasymilowali się z mieszkańcami tej ziemi. Nosili stroje księżackie, charakterystyczne dla tej grupy etnicznej, lecz nie używali gwary łowickiej, w której między innymi wyróżniało się twarde H. Jak pamiętali starsi mieszkańcy Retek, Śmiałkowie zachowali swoją obyczajowość i cechowała ich duma.

Syn Wojciecha Śmiałka, Władysław (1797 – ?) poślubił w roku 1827 w Łowiczu Katarzynę His (ur. około 1802 r.). Najmłodsze potomstwo Wojciecha i Magdaleny Śmiałków to: Brygida (24.01.1808 Retki – 30.06.1819 Retki), Wincenty (15.07.1809 – 17.10.1856), w roku 1829 poślubił Paulinę Adamas (1804 - ?), oraz Bernard (maj1811 – 27 styczeń 1812) i Maria (1814 - ?), którzy zmarli wkrótce po urodzeniu.

Jan (1796 – 21.03.1848), syn Wojciecha Śmiałka wykazywał zainteresowanie młynarstwem, toteż przejął cały majątek w Retkach. Ożenił się w roku 1818 z panną Elżbietą Sieczkowską z Retek (lipiec1800 – 1850?), która urodziła mu syna Tomasza (13.09.1818 – 08.11.1818), następnie Bonawenturę (1819 – 1819) i Jana (20.06.1820 –?)

Kolejny syn Jana, Wojciech (19.04.1821 – ?) ożenił się w roku 1839 z Małgorzatą Bogusz (1821 - ?) w Złakowie Kościelnym. Córka Brygida Śmiałek (1824 – 17.09.1865) została wydana za mąż do sąsiedniej wsi Duplice Małe. Córka Scholastyka (10.02.1825- 24.02.1825) zmarła wkrótce po porodzie. Następny syn Jana to Antoni (21.08.1826 – 21.11.1908). Młodszy brat Antoniego, Michał zmarł wkrótce po urodzeniu w roku 1828.

Kolejny syn Jana, Władysław Śmiałek (1830 – ?) ożenił się. Jego żona NN urodzona około 1830 roku zmarła po roku 1860. Klemens Śmiałek (?-?), syn Władysława miał córkę Julianę Śmiałek (?-?) poślubioną Janowi Cichemu (?) Wiadomo tylko, że Klemens Śmiałek i Petronela Śmiałek (1860 -1894) byli rodzeństwem Katarzyny Rybus z d. Śmiałek, (1860? – ?). Klemens Śmiałek w roku 1906 był świadkiem na ślubie jej córki, Zofii z Rybusów Gruszczyńskiej.

Najmłodsza córka Jana Marianna urodzona w roku 1836 zmarła wkrótce po urodzeniu. Nie wiadomo czyją córką była kuzynka Marianna Śniadała, która mieszkała w wieku XX w Zdunach k/Łowicza we własnym domu nad stawem w pobliżu budynku straży pożarnej. Miała córkę, poślubioną Janowi Murasowi, elektrykowi.

Antoni Śmiałek (21.08.1826 – 21.11. 1908) ożenił się w roku 1847 z Franciszką z Żaczków (1829 – 1855). Z czworga ich potomstwa: Wincenty (1847 – 1847), Jan (22.10.1848 – 16.01.1862) i Katarzyna (23.04.1854 – 05.05.1856) zmarli w dzieciństwie. Tylko syn Mikołaj (08.09.1851 – 1922) dożył sędziwego wieku. Kolejną żoną Antoniego, w roku 1856 została Karolina z Boguszów (1837, Boguszyce k/Piątku – 15.03.1912, Retki), matka Pawła (18.04.1857 – 15.08.1857), Michała (28.09.1858 – 26.01.1952), Józefy (1859 – ?), Władysława (1860 – 1889), Leona (1864 – 11.05. 1918), Andrzeja (1866 – 24.11. 1918) i Marii (1870 - ?). Małżonkowie Antoni i Karolina Śmiałkowie ufundowali krzyż na skrzyżowaniu dróg wsi Retki i Zduny - Złaków Kościelny. W XX-tym wieku Józefa Śmiałek , żona Stanisława wzniosła w tym miejscu dębowy krzyż po zniszczeniu starego, drewnianego. Antoni Śmiałek był zamożnym gospodarzem. Posiadał dobrze prosperujący wiatrak, urodzajną ziemię, a dwie jego żony wniosły mu spory majątek w posagu. Założył duży sad owocowy. Był dobrym i wyrozumiałym mężem nawet dla swojej ostatniej żony Karoliny, która czasami na ból głowy używała za dużo kropli „piersiówki”.

Gdy dzieci dorosły, wydał Antoni córki za zamożnych synów gospodarzy. Józefa (około 1859 roku, Retki – ?, Wyborów) w wieku lat 16 wydana została za Marcina Lisa ze Świeryża I. Z tego związku urodziła się córka Maria Lis, która wyszła za mąż za Jana Tomalę ze Świeryża I. Z małżeństwa tego nie było potomstwa.

Józefa Lis z domu Śmiałek w wieku lat 18 pojęła drugiego męża Rocha Jachimka (1854, Wierznowice – ?, Wyborów). W tym małżeństwie urodziło się sześcioro dzieci. Najstarsza, Katarzyna Jachimek poślubiła Józefa Golisa z Łażnik. Urodziła w Wyborowie Lucynę Golis, żonę Tadeusza Mamczarczyka i matkę Ewy i Wiesławy Mamczarczyk, zamieszkałych w Katowicach. Druga córka Katarzyny, Maria Golis z mężem Janem Murasem z Przemysłowa mieszkała w Świeryżu I, obejmując gospodarstwo po Tomalach. Syn Katarzyny Mieczysław Golis pozostał na gospodarstwie rodzinnym w Wyborowie, ożenił się z Lucyną Piaskowską z Karsznicy Dużych i miał dwie córki, Wiesławę i Annę. Syn Katarzyny Stanisław osiedlił się w Piekarach Śląskich i był bezdzietny.

Syn Józefy Jan Jachimek ożenił się z panną Krystyną Głowacką z Klewkowa. Córka ich, jedynaczka Janina Strach z domu Jachimek wyszła za mąż za kawalera z Wyborowa Stanisława Stracha i po kilku latach została wdową. Następny syn, Józef Jachimek w rok po ślubie z Agnieszką Tarkowską zmarł. Kolejny syn Józefy, Franciszek z żoną Anielą Znyk z Chaśna miał dzieci: Krzysztofa i Jolantę i zamieszkał w Wyborowie. Syn Henryk Jachimek pojął za żonę Józefę Wieteska ze Złakowa Kościelnego. Zamieszkali w Wyborowie i urodziły im się dzieci: Mirosław i Grażyna. Najmłodszy syn Józefy, Stanisław Jachimek po studiach w Warszawie wyjechał do Lublina, gdzie ożenił się z Heleną Jankowską. Mieli oni pięcioro dzieci: Annę, Kazimierza, Elżbietę, Tadeusza i Krzysztofa Jachimków.

Najmłodsza córka Antoniego, Maria Perzyna z domu Śmiałek (1870, Retki – ?, Niedźwiada) przeszła na mariawityzm, a jej mąż i dzieci zostali katolikami. W tym czasie Śmiałkowie byli zażenowani decyzją siostry Marii. Po śmierci męża, ciocia Maria nawróciła się na katolicyzm i została pochowana w grobie rodzinnym Perzynów na cmentarzu kolegiackim, obecnie katedralnym w Łowiczu. Stryj, mój ojciec chrzestny Józef Śmiałek, syn Andrzeja, który z zamiłowania był myśliwym spotykał się z bratem ciotecznym Franciszkiem Perzyną, synem Marii podczas polowań.

Najstarszemu synowi Mikołajowi, Antoni Śmiałek po ślubie z Marcjaną Sosnowską z Łażnik kupił w roku 1875 wiatrak i gospodarstwo rolne (24 morgi) we wsi Urzeczce, leżącej nad rzeką Bzurą na wschód od osady Sobota.

W Retkach majątek został przeznaczony dla dwóch synów, starszego Leona i młodszego Andrzeja, u którego postanowili zamieszkać rodzice. Andrzej ożenił się z panną Apolonią Wiechno z Wierznowic (1871 – 1951), inteligentną, łagodną i mądrą kobietą. Otrzymał 24 hektarowe gospodarstwo, ponieważ nie interesowało go młynarstwo. Antoni Śmiałek zarządzał wiatrakiem. Synowa dbała o teścia, kiedy prosił o herbatę w dniach cierpień teściowej na tzw. „bóle głowy”. Apolonia urodziła Andrzejowi jedenaścioro dzieci. Czworo założyło rodziny, a pozostałe zmarły wcześniej, jedna z nich siedmioletnia Lucynka 10.05. 1916 roku. Antoni Śmiałek pozwolił sobie na wyjazd na pielgrzymkę do Rzymu wraz z synową Apolonią w roku 1900. Przywiózł dokument z błogosławieństwem do trzeciego pokolenia dla rodziny Śmiałków od papieża Leona XIII. Dokument ten powierzył synowi Leonowi. Oczekiwane łaski nie spadły na rodzinę. Dzieci chorowały. Zapadały na gruźlicę niezwykle szerzącą się w tym okresie. Leczone je klimatycznie w Zakopanem. W gospodarstwie Andrzeja wystąpiły nienaturalne zjawiska. Jakies nieznane siły nie pozwalały pracować na jego polu. Pracownicy byli lekko uderzani kamieniami i bali się wychodzić do pracy. Mały Staś, mój ojciec, bratanek Andrzeja Śmiałka mieszkający w sąsiedztwie widział jak ludzie uciekali przed ciosami jakby w hipnozie zbiorowej. Na polu jego ojca Leona pracowano spokojnie. Ponieważ to dziwne zjawisko trwało długo, postanowiono wyświęcić pole. Przyjechał ksiądz proboszcz ze Złakowa Kościelnego. Kropił wodą święconą a zebrani mężczyźni ze wsi urządzili oblawę i złapali zajęczycę. Wyglądała na karmiącą młode. Została uwolniona. Jak podaje czasopismo źródłowe (Konteksty: polska sztuka ludowa : antropologia kultury, etnografia, sztuka, tom 48, Polska Akademia Nauk, Instytut Sztuki, 1994, s.99) wypuszczona zajęczyca zaśmiała się ludzkim głosem i uciekła. Po pewnym czasie zjawił się w Retkach nieznajomy wędrowiec i po usłyszeniu niesamowitej opowieści orzekł, że nie należało wypuszczać zajęczycy. Należało z łyka wierzbowego, którym oplatane są wianuszki poświęcone w oktawę Bożego Ciała sporządzić postronk z pętłą. Dławiona postronkiem zajęczyca wyjawiałaby prawdę. Niezwykłe moce wówczas wiązano z palmą wielkanocną jak i poświęconym łykiem wierzbowym. W dalszym ciągu nic nie pomagało na uciążliwe rzucanie w ludzi kamieniami. Po żniwach w roku 1903 wybuchł pożar i strawił wszystkie zabudowania gospodarskie Andrzeja i jego brata Leona wraz ze sprzętem z upraw oraz wiatraki ojca Antoniego i jego syna Leona. Wówczas tak zwany „ciskacz” przestał nękać rodzinę. Podobny przypadek miał miejsce w Wierznowicach w latach pięćdziesiątych XX wieku w rodzinie Wiechno, z której pochodziła Apolonia Śmiałek żona Andrzeja Śmiałka. Przyjęty był do pracy w gospodarstwie młody chłopiec. Do czasu jego odejścia również w podobny sposób rzucano w ludzi kamieniami na podwórku i na polu Wiechnów. Tam także poproszono o wyświęcenie całego pola i domostwa bez pozytywnego efektu. Moja siostra Łodzka specjalnie odwiedziła rodzinę p. Wiechno, która potwierdziła wiarygodność tego zjawiska.

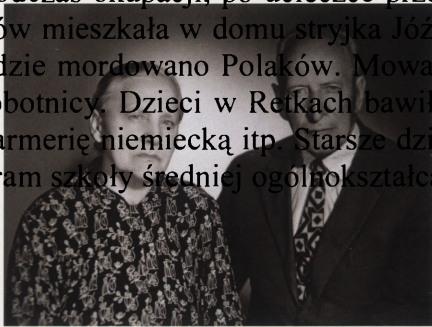


9. Rodzina Józefa s. Andrzeja Śmiałka – od lewej Józef i Józefa Śmiałkowie, Irenka, Gienio, Franuś, Marian, babcia Apolonia i Janek; w tle domy zbudowane przez Andrzeja i Leona Śmiałków po pożarze w roku 1903.

Leon i Andrzej byli niezwykle kochającymi się braćmi. Wybudowali identyczne, obszerne, pierwsze we wsi murowane domy mieszkalne i pozostałe budynki gospodarskie. Leon odbudował swój wiatrak. Natomiast ojciec, 77 letni Antoni zrezygnował z młynarstwa. Pomagał do śmierci w roku 1908 synowi Andrzejowi. Między innymi pilnował sadu owocowego i pokrzykiwał „ wy pieskie gałganki „, na dzieci, rwące bez pytania dojrzałe jabłka, gruszki i śliwki. Pożytek z tego był niewielki, ponieważ dzieciaki wiejskie rwały owoce, kiedy pradziadek Antoni Śmiałek smacznie w ciągu dnia chrapał w specjalnym szałasie. Wiele z tych drzew przetrwało nawet niezwykle mroźną zimą lat 1928/1929. Ostatnie drzewa owocowe wymarły podczas zimy 1939 / 1940 roku. Były to grusze cukrowki, winówki, małgorzatkki, pomarańczówki i inne. Niektórych pni tych ogromnych drzew nie mogło objąć dwoje dzieci. Pozostała tylko jedna grusza cebulka na ziemi stryjka Józka rosnąca obok tak zwanego sklepu. Tak nazywano piwnicę na ziemniaki i jarzyny przechowywane przez zimę.

Andrzej Śmiałek (1866 – 24.11.1918) zmarł na t.zw. grypę hiszpankę. Gospodarstwo przejął po nim najstarszy syn Andrzej Franciszek (1899 – 1926), ożeniony z Marianną Wiśniewską, bratanicą mojej babci Elżbiety Olba (1862-1941) z domu Wiśniewskiej. Strzyjek mój Franciszek zmarł na gruźlicę, pozostawiając młodą żonę z dwojgiem dzieci, czteroletnią Lucyną i dwuletnim Mieczysławem, który wkrótce zmarł tragicznie z powodu wypicia łągu żrącego. Teściowa, Apolonia Śmiałkowa starała się bez powodzenia wydać synową za młodszego syna Józefa. Nasza stryjenka i równocześnie ciocia Marysia wyszła wkrótce za bogatego gospodarza Jana Perzynę z Załusina w powiecie kutnowskim. Do jego trzech synów, Piotrka, Tadeusza i Konstantego urodziła mu córki Mieczę i Zosię. Piękną Lucynę wydała za bogatego wdowca Józefa Koziaka ze Szczytu w powiecie kutnowskim, który miał z pierwszego małżeństwa córkę Alę. Mój tata, ojciec chrzestny i stryj Lucynki zabrał mnie, niespełna czteroletniego brzdąca na wesele. Ślub odbył się w Orłowie n/Bzurą. Zmęczyło mnie wczesne wstanie z łóżka, długa jazda powozem, toteż przyjęcie weselne przespałem. Natomiast zawsze chętnie brałem udział w wyjazdach do Szczytu na obiady u Luci w pięknej pałacowej jadalni. Zwykle drugą bryczką jechał strzyjek Józiek z rodziną. Droga na skrót przez Żychlin i Oporów była często błotnista. Choć konie były silne, często grzęźliśmy w bagnistym terenie. Żartowaliśmy w krytycznym momencie, kiedy uprząż niemal nie pękała, że podzielimy pasażerów na trzy klasy. Klasa pierwsza nie wysiada nigdy z powozu, druga tylko wysiądzie, natomiast trzecia, do której zaliczono młodzież, mu-

siała wysiadać i pchać pojazdy. Lucia urodziła Mieczysława, Zygmunta, Marylkę i Januszkę. Podczas okupacji, po ucieczce przed aresztowaniem i wywózką do obozu, cała rodzina Koziazków mieszkała w domu stryjka Józka. Powiat kutnowski włączono do tak zwanego Warthegau, gdzie mordowano Polaków. Mowa polska była zakazana, a Polacy mogli pracować tylko jako robotnicy. Dzieci w Retkach bawily się w łapanki uliczne, partyzancki zwiad, napady na żandarmerię niemiecką itp. Starsze dzieci uczęszczały do polskiej szkoły, a nawet przerabiałały program szkoły średniej ogólnokształcącej na tajnych kompletach.



10. Józefa i Józef s. Andrzeja małż. Śmiałek

Młodszy brat, Józef (17.09.1902 – 06.09.1987) – męski, z dużym orlim nosem, pełen energii, znakomity mówca oraz zamiłowany myśliwy, niezwykle gościnnie nie mógł żyć bez gry w brydża i dobrego towarzystwa przy stole. Mimo nalegania matki Apolonii na ożenek syna Józefa z bratową, wdową po Franciszku, wziął za żonę zamożną pannę Józefę Strach z Wyborowa (26.08.1906, Wyborów – 26.02.1986, Retki). Stryjenka Józia wychowywana była w domu babci w Świeryżu I. Ślub odbył się 19 marca, w dniu imienin obojga nowożeńców. Podczas Wielkiego Postu, w dniu świętego Józefa nie obowiązuje post i mogą odbywać się wesela. Mój ojciec chrzestny stryjek Józiek często podczas spotkań rodzinnych opowiadał o zalotach do swojej małżonki. Twierdził, że poza ważnymi cechami, jak uroda, wdzięk i pobożność musi jego żona mieć upodobanie do porządku i czystości. Wybrał się wraz ze swoim późniejszym szwagrem Antonim Anyszko do Świeryża I, położonego po wschodniej stronie Nidy. Zgodnie z założonym planem, postanowił obserwować wieczorem przez okno zachowanie panny. Józia zamiatała podłogę. Nie podmiotła śmieci pod chodnik. Zebrała je i wrzuciła do kosza. Wówczas uznał, że może zabiegać o względy panny Józefy. U Józefostwa Śmiałków przez kilka lat nie było potomstwa, lecz później szybko urodziła się piątka dzieci.

Najstarszy, Franciszek (09.03. 1931, Retki – 1991, Lućmierz k/Zgierz) ukończył Technikum Rolnicze w Dąbrowie Zduńskiej i pracował następnie jako dyrektor Państwowych Gospodarstw Rolnych na Pomorzu, a ostatnio w Lućmierzu pod Zgierzem. Żona jego, Barbara (? – ?) urodziła dwie córki, Izabelę (1959) i Małgorzatę. Franciszek był człowiekiem prawym. Twierdził, że właściwie był stróżem majątków państwowych, rozkradanych przez margines społeczny. W Państwowym Gospodarstwie rolnym w Lućmierzu w lasach Franciszek organizował polowania dewizowe dla myśliwych z zachodu. Jego młodszy brat felczer Marian, mieszkający w pobliskim Kutnie przyjeżdżał często na polowania. Pewnego razu podczas powrotu do domu w lesie miał niezwykle zdarzenie. Dorosła sarna wpadła mu nagle pod koła auta. Maskę wozu została solidnie uszkodzona, a zwierzę wstało i uciekło.

Marian (16.01.1935, Retki) ożenił się z Danutą z d. Pisarkiewicz (12.02. 1939, Kutno) kierowniczką Działu Kadr Powiatowego Wydziału Zdrowia w Kutnie. Mają dwóch synów. Pierwszy Adam s. Mariana (24.12.1961, Kutno) lekarz weterynarii (SGGW Warszawa). Jego żona Renata z d. Bończak (03.09.1961, Kutno) socjolog (Uniwersytet Łódzki) urodziła dwóch synów: Marcina (15.12.1985) aktualnie doktoranta Katedry Chorób Drobiu SGGW oraz Rafała (28.12.1982) inżyniera informatyka Politechniki Warszawskiej. Żona Rafała Ewa z d. Krewko (październik 1983, Przemyśl) urodziła syna Stefana Śmiałka (31.07.2010).

Drugi to Paweł Śmiałek s. Mariana (26.11.1963, Kutno) – oligofrenopedagog (Olsztyn), kurator sądowy, pojął za żonę Jolantę Łusiak (27.09.1966) z Mrągowa, oligofrenopedagoga i dyrektora Szkoły dla Dzieci Specjalnej Troski. Ich syn, Paweł (15.05.1992) jest studentem prawa w Olsztynie.

Irena Sosnowska z. d. Śmiałek córka Józefa (11.03. 1936, Retki) technik ekonomista wyszła za mąż za Stanisława Sosnowskiego z Retek (02.11.1928 –04.05.1996, Łódź) technika mechanika. Oboje zamieszkali i pracowali w Łodzi. Irena urodziła dwóch synów. Marek (03.05.1959 Łódź) mgr ekonomii poślubił pannę Alicję Simlat (10.06.1958), mgr inż. ekonomii. Ich córka, Monika Sosnowska (10.05. 1981 – Łódź) (doktorat z dziedziny stosunków międzynarodowych) jest pracownikiem naukowym Uniwersytetu Łódzkiego. Młodszy syn Ireny Jarosław Sosnowski (02.08.1961 – Łódź) mgr inż. ekonomista ożenił się z panną Beatą Ozga (25.08.1960, Łódź) mgr chemii. Ich córka, Katarzyna (12.04.1984 – Łódź) mgr geografii wyszła za mąż za Rafała Rybaka (1960) – wojskowego. Katarzyna Rybak urodziła bliźnięta, Weronikę i Adriana (07.10.2011, Łódź).

Najmłodszy syn Józefa, Eugeniusz (13.09.1938 – 20.09.1943) zmarł na płonicę.

Gospodarzem majątku Józefa Śmiałka został jego syn Jan. (27.12. 1933 – 31.05.1966, Retki). Ożenił się ze Stanisławą Niedzielanką ze Świeryża II (1931). Ich troje dzieci to: Teresa (1958), Krzysztof (1959) i Andrzej (1961 – 10.10.1985, Retki) zmarły tragicznie, któremu Józef Śmiałek planował przekazać gospodarstwo rolne w Retkach po śmierci syna Jana z powodu ziarnicy złośliwej, tak zwanej choroby Sternberga. Po wyprowadzeniu się synowej z dziećmi do Łowicza, stryjek Józef sprzedał ziemię swojej bratanicy Leokadii Jarzębowskię z prawem dożywocia. W związku z tym wydarzeniem, pierwotne grunta Śmiałków, rozdzielone przez Antoniego na dwóch synów Andrzeja i Leona, uległy scaleniu.



11. Zofia z Ostrowskich i Stanisław s. Andrzejka małż. Śmiałek (foto ok.r.1938)

Stanisław, syn Andrzeja Śmiałka (15.11.1906 – 15.07.1982) był przystojnym, wysokim blondynem o uroczym uśmiechu ze sznurem białych zębów, szarmancki, po prostu amant filmowy. Panie z przyjemnością patrzyły na stryja pełnego męskiego uroku. Opowiadała mi moja nauczycielka geografii p. Stefania Śliwińska, jakie magnetyczne działanie posiadał mój piękny stryj Stanisław. Po ukończeniu Szkoły Handlowej w Żychlinie, podczas służby w wojsku pracował jako pisarz w sztabie w stopniu kaprała. Ożenił się z panną Zofią Ostrowską urodzoną w Nowym Jorku (10.05.1909 – 1989) i osiadł we własnym domu w Łowiczu przy ul. Gdańskiej. Jego najstarszy syn Krzysztof (1932 – 1941) zmarł po operacji wyrostka robaczkowego.

Córka Alicja Ewa „Lalka” (1936), mgr WF, nauczyciel akademicki w Akademii Wychowania Fizycznego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie, występowała w kadrze drużyny narodowej piłki siatkowej kobiet. Mężem jej został Jerzy Szewczyk (1929 – 2004) trener. Ich córki: Agnieszka Kuś z d. Szewczyk (1961) żona Grzegorza (1959) ukończyła Wydział Pedagogiki w UW. Oboje prowadzą Galerię Myśliwską. Młodsza córka, Hanna Jarmakowska (1963), wdowa, jest mgr WF.

Młodsza córka Stanisława, Mirosława Stanisława (02.01.1941, Łowicz) mgr ekonomii, absolwentka Szkoły Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie ukończyła Wydział Handlu Zagranicznego i pracowała jako przedstawiciel handlu zagranicznego w Niemczech. Przez 3 lata była działaczką opozycyjną w Niezależnym Samodzielnym Związku Zawodowym „Solidarność”.

Józefa, córka Andrzeja Śmiałka i Apolonii z d. Wiechno (16.03.1904 – 06.10.1977, Retki) wyszła za mąż w styczniu 1926 roku za Antoniego Anyszkę (01.01.1901 – 12.01.1971, Retki), syna Jana i Konstancji z d. Kołaczyńskiej (Złaków Borowy). Antoni to wnuk Jana Anyszki, wójta gminy Jezioro w Chaśnie i Agnieszki z d. Śmiałek, prawnuk Grzegorza Anyszki. Ponieważ w Retkach mieszka wiele rodzin Anyszków, tę gałąź rodziny nazywa się dotąd Grzelakami po pradziadku wujka Antoniego. Antoni jako siedemnastolatek pod koniec I wojny światowej został wcielony do powracającej z Francji armii polskiej generała Hallera i skierowany na wschód, gdzie brał udział w walkach z armią sowiecką. Po powrocie z wojny odbył służbę wojskową w jednostce w Łowiczu. W sierpniu 1939 roku z kilku innymi mieszkańcami Retek urodzonymi w roku 1901 wcielony został do Policji Państwowej. Brał udział ponownie w bitwie o Grodno. Internowany na Litwę przebywał w obozie w Ukmerge (Wilkomierz). W roku 1940 po wcieleniu Litwy do ZSRR został przeniesiony na teren Prus Wschodnich w okolicę Bartenstein (Bartoszyce), gdzie pracował w gospodarstwie rolnym. Do domu powrócił wiosną 1942 roku. Zastąpił go samotny Franciszek Jachimek, brat cioteczny Józefy Anyszkowej.

Józefa, mimo ukończenia tylko trzech klas rosyjskiej szkoły była kobietą bardzo światłą i odczytaną. Pisała pięknie, mówiła gwarą łowicką, ale również najczystszą polszczyzną, zwłaszcza w rozmowach z wnukami, którym dużo czytała i uczyła wierszy, między innymi Adama Mickiewicza i Aleksandra Fredry. Jako jedna z nielicznych kobiet w Retkach posiadała przed wojną książkę kucharską. Wspaniale gotowała i prowadziła dom. Należała do Koła Gospodyń Wiejskich w Retkach, gdzie nauczyciele ze szkoły pozytywistycznej w Dąbrowie Zduńskiej kształcili gospodynie z okolicznych wsi. Ciocię Józję Anyszkową bardzo lubiły córki jej brata stryjecznego Stanisława Śmiałka. Jak to było w zwyczaju w poniedziałek wielkanocny wybrały się na tak zwany śmigus dyngus, aby polać wujostwo wodą kolońską. Dzieci otrzymywały wtedy zawinięte w dużą chustę różne smakołyki świąteczne. Kiedy wracając przechodziły obok domu brata stryjecznego wujka Antka, Walentego Anyszki, ten zapytał je gwarą łowicką „Cy najadłyście się synecki?” One odpowiedziały. „Myśmy córeczki nie synecki”. Walek Anyszka był kulawy z powodu zwichnięcia stawu biodrowego. Dzieci nigdy nie straszył. Natomiast obcych przerażał, kiedy podchodził do nich i mrucał niewyraźnie robiąc miny. Wszyscy bojąc się – uciekali. Żydzi, którzy wynajmowali w lecie i jesienią sady owocowe wspinali się na drzewa. Dla Retkowiaków te żartobliwe zachowania pana Walentego i próby podgryzania drzew były jak widowisko w teatrze.

Córka cioci Józji Anyszkowej, Marianna Marciniak z d. Anyszka (05.12.1926 – 15.15.2003, Retki) absolwentka Żeńskiej Szkoły Rolniczej w Dąbrowie Zduńskiej (powstałej w okresie polityki polityki) wyszła za mąż w roku 1950 za Konstantego Marciniaka (11.03.1922 – 07.10.1982, Retki) syna Franciszka i Kunegundy z d. Stańczyk. Ich syn, Janusz Marciniak (01.03.1952, Retki) mgr ekonomii (1978 r., Uniwersytet Łódzki), pojął za żonę (02.06.1979) Grażynę Ewę z d. Wąs (20.08.1954) mgr ekonomii UŁ. Mieszkają w Zgierzu. Joanna Marciniak, ich córka (20.03.1986) jest mgr prawa UŁ.

Bożenka Marciniak, córka Marianny urodzona w roku 1956 zmarła 06.02.1961 roku. Jej brat Krzysztof Marciniak (30.11.1958) we wrześniu 1987 roku ożenił się z Danutą Zakrzewską (01.01.1966). Córka ich, Sylwia Stasińska z d. Marciniak (03.08.1989), studentka andragogiki Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Warszawskiego i jej mąż Jacek Stasiński prawnik UW, mają córkę Annę Wiktorię Stasińską (22.11.2011). Jest to pierwsza prawnuczka Józefy i Antoniego Anyszków.

Konrad Marciniak, syn Marianny (22.11.1960) pozostaje samotny.

Mirosław Marciniak, syn Marianny (02.09.1961), absolwent Technikum Rolniczego w Dąbrowie Zduńskiej pozostał w Retkach na gospodarstwie rolnym. Jest związany z regionem księżackim. Od lat jest kronikarzem Ochotniczej Straży Pożarnej w Retkach, powstałej w roku 1905 za przyzwoleniem cara po piśmie Józefa Tokarskiego z Retek. Wydał książkę „Z dziejów wsi Retki (1351 – 2011)”, w czerwcu 2011 roku z okazji 660 rocznicy lokacji wsi. Jego żona, Jolanta z d. Głodowska (20.06.1967) od 01.05.1993 roku. Dzieci: Kinga (12.03.1994) i Mateusz (31.08.1995).

Jarosław Marciniak syn Marianny (21.07.1965 – 16.08.2004) absolwent Technikum Rolniczego w Wolborzu (mechanizacja rolnictwa). Jego żona Renata z d. Kuklińska (13.08.1968) od roku 1987 (ślub cywilny) i w styczniu 1988 rok (ślub kościelny) mieszka w Ostrowach k/ Krośniewic i prowadzi działalność w branży gastronomicznej. Ich dzieci, Izabela Marciniak (09.01.1988) absolwentka pedagogiki specjalnej (licencjat) w WSGK Kutno, pracuje jako opiekunka w Domu Opieki Społecznej, Ewelina Nell Marciniak (14.11.1990) studiuje na Wydziale Administracji Wyższej Szkoły Gospodarki Krajowej w Kutnie.

Syn Antoniego, Mieczysław Anyszka (14.02.1929, Retki) ożenił się 20.06.1954 roku z Janiną Kołaczyńską (20.03.1934, Przemysłów), córką Wojciecha i Sabiny z Tarkowskich ciotecznej siostry Józefy Śmiałkowej, żony Stanisława.

Aldona Fraj z domu Anyszka c. Mieczysława (05.10.1955), mgr inż. hutnictwa (1980, Politechnika Częstochowska), wyszła za mąż 15.07.1978 roku (związek pobłogosławił ksiądz prałat Bolesław Śmiałek) za Marka Fraja (07.10.1954) mgr. inż. Politechniki Częstochowskiej. Mieszkają w Piotrkowie Trybunalskim.

Daria Fraj, córka Aldony (26.07.1980) mieszka i pracuje w Piotrkowie Trybunalskim.

Dominik Fraj, jej brat (17.03.1986) jest aktorem Wrocławskiego Teatru Ad Spectatores, socjolog (Uniwersytet Wrocławski).

Henryk Anyszka syn Mieczysława (30.07.1957) mgr inż. mech. rolnictwa (1981, SGGW Warszawa) prowadzi w Łowiczu fermę drobiu. Jego żoną jest Izabela Anyszka z d. Polak (20.03.1958) od 04.06.1983.

Magdalena Anyszka c. Henryka (27.05.1984- mgr kosmetologii, dietetyk (Uniwersytet Medyczny w Łodzi) mieszka w Głownie.

Katarzyna Anyszka c. Henryka (13.05.1986) mgr pedagogiki specjalnej (Akademia Pedagogiki Specjalnej w Warszawie).

Wojciech Anyszka syn Mieczysława (07.04.1961), mgr inż. zootechnik (1987 SGGW w Warszawie) ożenił się 22.05. roku 1993 z Marzeną Jankowską (28.09.1961) dr nauk chemicznych Uniwersytetu Warszawskiego. Mieszka w Retkach, gdzie prowadzi fermę drobiu i gospodar-

stwo rolne po rodzicach. W Warszawie, gdzie pracuje żona Wojciecha jako adiunkt UW, dzieci Joanna Iga Anyszka (06.03.1995) i Wojciech Jan Anyszka (19.02.2001) uczęszczają do szkoły.

Jadwiga Anyszka córka Mieczysława (01.09.1961) wyszła za mąż 20.06.1987 roku za Macieja Ceglarka (1961). Jej córka, Luiza Anyszka (05.10.1988) studiuje na Wydziale Architektury i Urbanistyki Politechniki Warszawskiej a syn Aleksander Anyszka (04.09.1990) jest studentem Akademii Sztuk Pięknych na Wydziale Tkanin i Ubiorów.

Lucyna, córka Józefy i Antoniego Anyszków (15.04.1932, Retki) od roku 1956 żona Jana Madanowskiego (18.04.1929 – 01.08.2009) syna p. Leona, mechanika obsługującego silnik parowy w młynie w Retkach i Katarzyny z d. Redo, urodziła córkę Urszulę Madanowską-Antoszczyk (24.04.1957), żonę Janusza Antoszczyka. Lucyna z córką prowadziła pracownię sukien ślubnych, a następnie przekazała ją córce.

Aleksandra Antoszczyk (26.08.1991), wnuczka Lucyny, studiuje w Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi na Wydziale Projektowania Wnętrz.

Barbara Madanowska, młodsza córka Lucyny (23.08.1958), absolwentka Uniwersytetu Łódzkiego, jest nauczycielką języka angielskiego.

Najmłodszy syn Józefy i Antoniego, Tadeusz Anyszka (12.02.1943, Retki), technik technologii drewna, ożenił się 30.04. roku 1967 z Barbarą z d. Cyran (04.05.1945), c. Stanisława i Krystyny z d. Pawlak, technikiem ekonomistą i mieszkają w Łodzi. Ich dzieci to: Izabela Anyszka (06.06.1978), technik chemik i Agnieszka Anyszka-Szymańska (10.01.1976), mgr biologii UŁ. Agnieszka wyszła za mąż w czerwcu 2007 roku za Grzegorza Szymańskiego (22.07.1978) mgr informatyki. Urodziła córkę Weronikę Szymańską (26.06.2008)

Starszy brat Andrzeja Leon Śmiałek (1864 – 11.05.1918) otrzymał od ojca Antoniego 12 hektarów ziemi ornej. Wybudował obok wiatraka ojca drugi wiatrak. Ożenił się z jedynaczką Marcjanną z domu Piekacz (1871 – 05.03.1921) z Mastek. Matka Marcjanny, po śmierci młodego męża pojęła Jana Gawrońskiego z Mastek. Małżeństwo to nie dochowało się potomstwa, toteż Marcjanna pozostała spadkobierczynią całego majątku, w tym około dwunastohektarowego gospodarstwa rolnego. Ponadto, Leon Śmiałek z dochodów z wiatraka i ziemi zakupił jeszcze 9 ha ziemi w środkowej części Retek. Babcia Marcjanna urodziła jedenaścioro dzieci. Roch (1889 – ?), Brygida (1891 - 1979), Marianna (1893 - 1950), Stanisław (13.11.1896 – 16.03.1965), Jan (1899 – 1989), Ewa (1908 – 1916), Antoni Bolesław (09.06.1911 Retki – 04.03.1984). Pozostała czwórka potomstwa, Wojciech, Władysław, Józef i Władysław, zmarli wkrótce po urodzeniu. Dziadkowie Gawrońscy byli szczerzy dla swoich wnucząt i oboje bardzo je kochali a nawet rozpieszczali. Mój ojciec Stanisław opowiadał, że dziadek Gawroński sownie go obdarowywał. Wnuk często odwiedzał dziadka, który sięgał do skrzyni i garścią sypał mu do kieszeni złote ruble.

Leon Śmiałek przez około trzydzieści lat pracował na wiatraku. Nowe techniki wieku XIX, pary i elektryczności, zdopingowały go do budowy młyna parowego. Sprzedał 9 ha ziemi Jakubowi Surmie i Albinowi Anyszce z Retek. Pierwszego sierpnia 1913 roku w wybudowanym młynie z palonej czerwonej cegły rozpoczął przemiał zbóż na maszynach i urządzeniach sprowadzonych z Anglii, z Warszawy od firmy Pałaszewski i z Łodzi od Wajgta.



12. Młyn w Retkach zbudowany w roku 1913

W pracy w młynie pomagał ojcu najstarszy syn Stanisław. Gdy rozpoczęła się I Wojna Światowa, władze niemieckie przejęły zarząd nad młynem, lecz Leon i Stanisław Śmiałkowie w nim pracowali jako fachowcy. Pierwsza wojna światowa toczyła się przez długi czas na ziemiach polskich. Pola nie były uprawiane. Panował głód nawet na wsiach. W gospodarstwie rolnym pozostawiano tylko jedną krowę. Brakowało zbóż na mąkę i paszę dla zwierząt. W Retkach, gdzie nad rzeką Nidą utrzymywał się front, ze względu na trudności przeforsowania bagien wymontowano bale ze stodoł. Śmiałkowie podczas wojny głodu nie cierpieli, ponieważ nie brakowało rodzinie mąki na chleb.

Szerzyły się choroby zakaźne. Gdy Stanisław zachorował na dur brzuszny, leczył go wojskowy lekarz niemiecki. Do pobliskiego Przemysłowa, gdzie mieszkała Józefa Olbianka, narzeczoną Stanisława, dotarła wiadomość o jego śmierci. Panna młynarzówna po cichu go opłakiwała. Stanisław Śmiałek, mój ojciec, szczęśliwie wyzdrowiał. Po tej chorobie wyrosły mu piękne blond kędziory, lecz szybko wyłysiał. Był człowiekiem prawym, mężczyzną dobrze zbudowanym, energicznym i swoje plany pomyślnie realizował. Dzięki zdolnościom, jakie posiadał potrafił rozsądnie prowadzić młyny. Znał się również na rolnictwie. Wprowadzał nowości organizacyjne i zawsze miał dużo gotówki. Mówiono, że gdyby posiadał wykształcenie, mógłby objąć tekę ministra finansów.

Moja mama, Józefa Śmiałek, (23.11.1895 – 12.05.1988), córka Jana Olby syna Cypriana i Elżbiety Wiśniewskiej ze Złakowa Kościelnego była piątym dzieckiem. Najstarszy brat zmarł wkrótce po urodzeniu. Drugi, Józef Olba (?-?) ożenił się z panną Marianną Muras z Przemysłowa i otrzymał od rodziców wiatrak i połowę gospodarstwa rolnego – około 20 mórg. Wuj Józef wychował troje dzieci: Władysława, który po nim odziedziczył majątek, Lucynę Plichta z d. Olba, położną i Stanisława.

Pierwsza córka, Marianna Urbanek z d. Olba (?-?), która uważana była za najpiękniejszą pannę w parafii Złaków Kościelny, wyszła za mąż za Franciszka Urbanka, bogatego gospodarza z Przemysłowa. Ciocia Marysia była przeze mnie i moje rodzeństwo niezwykle kochaną. U cioci Urbankowej, nazywanej przez nas „Przemysłowską”, moja rodzina miała przystań w drodze do Kiernozi. Tam częstowano najsmaczniejszym mlekiem, masłem i serem przechowywanym w głębokiej studni. Kochaliśmy jak rodzoną siostrę córkę cioci, Anielkę. Ona odwiedzała często ciocię Józję w Retkach i pomagała przy jej czterech małych córkach. Podobnie jej córka Jadzia Markowska z d. Golisz z Łażnik dotąd jest naszą najbliższą rodziną. Anielka i Jadzia obdarowały mnie piękną parą dużych lalek w strojach łowickich, kołowrotkiem do przedzenia lnu i innymi pamiątkami, związanymi z kulturą łowicką. Mąż Anielki, Konstanty przez długi czas pełnił funkcję sołtysa. Zmarł na gruźlicę w młodym wieku. Anielka została młodą wdową z dwojgiem dzieci - Heniem i Jadzią.

Jedyny syn cioci Marysi Janek Urbanek (?-?) przejął gospodarstwo po rodzicach i ożenił się z Marianną Koza z Przemysłowa. Syn Jana Urbanka ożenił się z panną Kołaczyńską ze Złakowa Kościelnego i pozostał na gospodarstwie rolnym, a córka po wyjściu za mąż osiadła w Łodzi.

Młodsza córka cioci Marysi, Stanisława z mężem Władysławem Kozą mieszkała w Karsznicach Dużych, gdzie następnie na gospodarstwie rolnym pozostał jej syn Mirosław. Stasia była chrześniaczką mojego taty i po nim otrzymała imię.

Kolejna córka Marianna Koza z d. Urbanek została żoną Stanisława, brata jej szwagierki Marianny Urbanek. Najmłodsza córka cioci Marysi Urbankowej, Józia, chrześnica mojej mamy Józefy, zmarła w wieku kilku lat.

Wuj Franciszek Olba (?-?), czwarte dziecko mojej babci Elżbiety, pojął za żonę Józefę Kołaczek z Wyborowa i dochował się dwóch synów: Jana i Stefana. Janek ożenił się z panną Aleksandrą Kaźmierczak z Karsznic Małych i przejął gospodarstwo po rodzicach. Mieli trzy córki. Najstarsza Henia zmarła w dzieciństwie na wirusowe zapalenie wątroby. Wkrótce zmarł Janek, chrześniak mojej mamy Józefy. Ola została jako młoda wdowa. Młodszy brat Janka, Stefan założył rodzinę we wsi Remki k/Pacyny w powiecie gostyńskim.

Najmłodsza córka naszej babci Elżbiety Olba, ciocia Franciszka, nazywana w rodzinie ciocią „Jackowską” wyszła za mąż najpierw za Tomasza Gałaja z Jackowic a po jego śmierci za jego brata Józefa. Wuj Józef: uwielbiał czytać książki. Jego kuzyn Dyzma Gałaj był pisarzem. Z dwoma mężami ciocia „Jackowska” miała córki Mariannę, Zofię i Kazimierę Wandę oraz synów Mieczysława i Jana. Janek, chrześniak mojej mamy, pozostał w Jackowicach, gdzie w podszłym wieku zginął tragicznie porażony przez prąd elektryczny. Najmłodszy wuj, Jan Olba ożeniony z Rozalią Mikurenda ze Zdun, nie dochował się potomstwa.

Stanisław Śmiałek przeżył, jak wspominałem, dur brzuszny i 17 stycznia roku 1918 wziął ślub z Józefą Olbianką w parafialnym kościele pod wezwaniem Wszystkich Świętych w Złakowie Kościelnym. Na murach starego kościółka ksiądz prałat Aleksander Wasilewski wzniósł nowy w roku 1907 w stylu gotyku nadwiślańskiego. Polichromię i freski scen siedmiu sakramentów świętych w strojach łowickich wykonał malarz Stroynowski. Na jednym z nich, w scenie ostatniego namaszczenia uwieczniona została ciocia mojej mamy – Nowakowska z domu Wiśniewska ze Złakowa Kościelnego. Ze starego kościoła przeniesiono tylko barokowy wielki ołtarz Wszystkich Świętych. Pozostałe ołtarze: świętego Antoniego, świętej Anny i Matki Boskiej Częstochowskiej, zdobią kościół barwami fresków ściennych. Zniszczone przez wojny kolorowe witraże częściowo zostały uzupełnione. Jest tam witraż Stanisława i Józefy Śmiałków oraz Józefa i Józefy Śmiałków z Retek. Na tle krajobrazu ze złakowskim kościołem widać postacie patronów fundatorów witraża: świętego Józefa z małym Jezusem i świętego Stanisława Kostkę. Siostry zakonne ufundowały piękny witraż z postacią św. Franciszka z Asyżu, a rodzina Grzegorych ze Złakowa Borowego witraż z postacią św. Klemensa, patrona ich syna zamordowanego przez gestapo. Przybyły dwa nowe ołtarze boczne : świętej Teresy ufundowany przez parafianina, dziedzica majątku Długie pana Walerego Janowskiego, oraz świętego Andrzeja Boboli z olejnym obrazem artysty pana Zippera z Bielska Białej, fundacji mojego stryja młynarza Jana Śmiałka. Jest to dar wdzięczności za uratowanie i wyrwanie z rąk gestapo syna Władysława Mariana. Przy kościele ksiądz prałat Aleksander Wasilewski wybudował przytulisko, dwupiętrowe schronisko dla ludzi biednych. Dotąd słynne są w Złakowie Kościelnym procesje w dniu Bożego Ciała. Wielu gości odwiedzających w tym dniu Łowicz wpada do Złakowa Kościelnego na procesję, znaną z wiernych, ubranych w najpiękniejsze stroje księżackie. Na przełomie XIX i XX wieku kościół miał ogromny wpływ na przetrwanie tożsamości narodowej w Polsce. Ksiądz Wasilewski dbał nie tylko o zachowanie strojów ludowych. Mama moja pamiętała, jak ksiądz prałat zwracał nawet uwagę na sposób wiązania kwiecistych, wełnianych chustek, tak zwanych szalinówek, na głowach dziewcząt.



13. Kościół parafialny p. w. Wszystkich Świętych w Złakowie Kościelnym

Pięknego kościoła w Złakowie pozazdrościli parafianie sąsiedniej parafii w Zdunach. Twierdzili, że ich kościół musi być „winksiejszy” i mieć trzy wieże, o jedną więcej niż kościół złakowski. Rzeczywiście kubatura kościoła zduńskiego nieco jest większa, ale te potężne dwie wieże w Złakowie posiadają więcej dostojeństwa niż jedna duża w Zdunach i dwie małe po jej bokach. Ponadto, wewnątrz kościoła w Zdunach pomalowane na biało ustępuje artyzmowi unikalnych fresków w Złakowie.

Wkrótce po ślubie syna Stanisława, Leon Śmiałek, pracujący przez całe dorosłe życie w kurzu młyńskim, przeziębił się i zmarł 11 maja 1918 roku. Ponieważ podczas wojny nie dokonano prawnych zapisów majątkowych, przed śmiercią mój dziadek wydał ustne rozporządzenie. Cały majątek w Retkach miał zostać dany najstarszemu synowi Stanisławowi. Polecił, aby syn Jan został splacony, a najmłodszy Antoni Bolesław wysłany do szkół. Zameżne siostry Stanisława, Brygida i Marianna Boguckie miały otrzymać jeszcze finansowe wyrównanie spadku po rodzicach. W jesieni 1918 roku na gripę hiszpankę zmarł teść Stanisława Jan Olba syn Cypriana i stryj Andrzej Śmiałek. W samo święto Trzech Króli roku 1919 przyszła na świat pierwsza córka Stanisława i Józefy Śmiałków. Szczęśliwa babcia Marcysia wybrała jej modne wówczas imię Leokadia. Imię to nadano później córkom Józefa Śmiałka s. Michała i Władysława s. Mikołaja.

Brygida Bogucka, córka Leona Śmiałka (1891, Retki – 1979, Wyborów) osiadła na dwudziestoceterohektarowym gospodarstwie Boguckich w Wyborowie, z mężem Konstantym (1885, Wyborów – 1942, Wyborów). Jej najstarsza córka, Marianna (1910) wyszła za mąż za Grzegorzego ze Złakowa Borowego. Zmarła wkrótce po porodzie jedyne dziecko, które tylko niewiele dni żyło po śmierci matki.

Najstarszy Korneliusz, syn Brygidy Boguckiej (1914-?) odbywał w Warszawie służbę u prezydenta Rzeczypospolitej, Ignacego Mościckiego. Podczas okupacji działał jako dowódca Armii Krajowej w tej okolicy. Ukrywał się skutecznie przed tropiącą go żandarmerią niemiecką. Jego ojciec, w tym czasie nękany przez hitlerowców, zmarł nagle na zawał serca. Kornel ożenił się z panną Siekierzanką z Mastek.

Córka Brygidy, Stanisława Bogucka (1917-2010) wyszła za mąż za Józefa Staszewskiego, brata przyrodniego mojej stryjenki Józefy Śmiałkowej z d. Strach. Starszy brat stryjenki zmienił urzędowo nazwisko Strach na Lewandowski, a młodszy Józef na Staszewski.

Córka Brygidy Ewa (1920 – ?) wyszła za mąż za gospodarskiego syna Jana Kaźmierczaka z Karsznic Małych, brata Aleksandry Olba z d. Kaźmierczak. Ewa miała córkę Marię i syna. Zmarła w późnym wieku, lecząc się okresowo na gruźlicę.

Młodszy syn Brygidy, Józef Bogucki (20.02.1923), łącznościowiec ożenił się z koleżanką ze studiów Krystyną Broniek 02.08.1949 roku w Bazylice Najświętszego Serca Jezusa w Warszawie na Pradze. Mają dwoje dzieci: Grażynę (30.06.1950), mgr farmacji, która wyszła za mąż za

prawnika Janusza Wapowskiego z Warszawy. Ich dzieci to Andrzej Wapowski politolog i aktualnie student III roku Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego oraz córka Anna. Syn Józefa, Jerzy Bogucki (11.04.1955), magister inżynier elektroniki i automatyzacji z żoną Barbarą ma syna Łukasza i córkę Magdalенę.

Najmłodszy syn Brygidy, Marian Bogucki ożenił się z Zofią Muras ze Złakowa Kościelnego, wybudował dom przy ulicy Mostowej w Łowiczu i miał dwie córki. Jedna z nich zmarła w młodości. Marian do śmierci opiekował się wujkiem, księdzem prałatem Antonim Bolesławem Śmiałkiem, który przed odejściem na emeryturę dokonał wpłaty na dwupokojowe mieszkanie spółdzielcze w Łowiczu w parafii Świętego Ducha, gdzie spełniał do śmierci posługę kapłańską. Mieszkanie księdza Śmiałka otrzymała w spadku córka Mariana i Zosi Boguckich. Stryj przeznaczył dla swojego bratanka Mieczysława Śmiałka antyczne meble stołowe. Swojej siostrzenicy i jedynej chrześniaczce Annie Boguckiej c. Marianny podarował całe wyposażenie mieszkania. Swojemu wychowankowi księdzu prałatowi Grzegorzowi Kalwarczykowi – bibliotekę, a kurii warszawskiej – cenne przedmioty sakralne.

Marianna ze Śmiałków Bogucka (1893, Retki – 1950, Mastki), żona Franciszka (1888, Wyborów – 1953, Mastki), która otrzymała po babci Piekacz-Gawrońskiej gospodarstwo o powierzchni około 12 ha w Mastkach, urodziła kilkoro dzieci.

Najstarszy syn, Henryk Bogucki (1914, Mastki – ?) był ranny podczas wojny niemieckopolskiej w roku 1939. Stracił oko. Po wyleczeniu w szpitalu powrócił do Mastek. Ożenił się z panną Marianną Makowską z Mastek (1923, Mastki – ?). Wyjechali oboje na Ziemię Zachodnie i tam mieli dzieci. W Chwalimiu w woj. Lubuskim urodził się im syn Stanisław Bogucki (25.02.1946) pozostający w stanie wolnym. Stanisław mieszka w Lutomierniku.

Drugi syn Henryka, Jan Bogucki (01.10.1949, Chwalim – 07.04.2001, Lutomiernik) ożenił się z Wandą z d. Woskowicz i mieszkali razem ze Stanisławem w Lutomierniku. Mają dzieci: córkę Wioletę Jędrzejczak z d. Bogucką (06.11.1972, Zgierz), poślubioną Krzysztofowi Jędrzejczakowi 20.01.1996 roku oraz córkę Edytę (16.05.1975, Zgierz) od 15.06.2002 roku z mężem Jackiem Sochą.

Córka Henryka, Marianna Antonina Godula z d. Bogucka (13.06.1952, Chwalim – 02.02.2010, Łódź) po ślubie z Sędzimirem Godula 11.08.1979 roku urodziła trzech synów. Radosław ożenił się i ma córkę a Jarosław i Dariusz pozostają w stanie wolnym.

Kolejny syn Henryka, Jerzy Bogucki (16.04.1954, Lutomiernik) ożenił się w Konstancynie Łódzkiej 15.10.1977 roku z Janiną Teresą z d. Niewiadomską (30.03.1959, Annówka) i mają dwóch synów. Starszego Daniela Boguckiego (16.07.1978, Łódź), który pojął 16.08.2003 roku w Łodzi za żonę Monikę z d. Pawlikowską (17.08.1979, Łódź). Dnia 25.11.2004 roku w Łodzi przyszedł na świat Dominik Bogucki s. Daniela.

Młodszy syn Jerzego, Łukasz Bogucki (28.04.1984, Łódź) jest kawalerem i mieszka w Konstancynie Łódzkiej.

Najmłodszy syn Henryka, Wiktor Bogucki (11.05.1955, Lutomiernik) poślubił 14.08.1976 roku, w parafii Kazimierz, Marię Jolantę z d. Kacprzak (26.12.1954, Konstancyna Łódzka). Córka Wiktora, Sylwia Ewa (03.11.1977, Łódź), poślubiła w Lutomierniku 05.02.2000 roku Sylwestra Szwarca (20.05.1975, Łódź). Dzieci Sylwii Ewy to Gabriela Szwarz (01.07.2000, Łódź) i Szymon Szwarz (01.03.2006, Łódź). Syn Wiktora, Cezary Adam Bogucki (17.12.1978, Łódź) mieszka w Babiczkach gm. Lutomiernik.

Stanisław Bogucki (1916, Mastki – 1945, Małszyce, obecnie Łowicz), młodszy brat Henryka, zginął tragiczną śmiercią. Najechał na niego radziecki wóz wojskowy. Ten wypadek zdarzył się na drodze przed naszym domem przy skrzyżowaniu dróg Warszawa – Poznań – Łódź.

Marian Bogucki następny syn Marianny i Franciszka (21.09.1918, Mastki – 21.02.1996, Karsznice Duże) 08.07.1951 roku ożenił się z panną Marianną Kaźmierczak z Karsznicy Dużej (22.10.1928 – 14.04.1989). Tam osiadł jako gospodarz, lecz dzieci nie posiadał. Oboje zostali

pochowani na cmentarzu w Złakowie Kościelnym. Młodszy brat Mariana, Mieczysław Bogucki (1921 – 09.1964), kawaler, zmarł w Mastkach.

Natomiast najmłodszy syn Marianny Józef Bogucki (08.01.1929, Mastki – 01.02.1988, Mastki) pojął za żonę siostrę Marianny Kaźmierczak-Boguckiej, Irenę (05.03.1931, Karsznice Duże) 08.07.1951 roku w Złakowie Kościelnym i przejął gospodarstwo rolne po rodzicach w Mastkach. Wychował troje dzieci.

Córka Józefa Halina Bogucka (03.07.1952, Mastki) posiada wykształcenie zawodowe. Władysław Perzyna (14.01.1952), zamieszkały w Klewkowie k/Łowicza, został jej mężem po ślubie 02.06.1974 roku w Złakowie Kościelnym, pobłogosławionym przez wujka księdza, prałata A. Bolesława Śmiałka. Syn Haliny, Michał Perzyna (04.11.1975) jest kawalerem z wykształceniem wyższym i mieszka w Klewkowie. Córka Haliny, Renata Perzyna (22.11.1977) dnia 09.09.2000 roku wyszła za mąż za Zbigniewa Kostrzewę, posiadającego wykształcenie wyższe. Zamieszkali we wsi Skarutki gm. Domaniewice. Kostrzewowie wychowują dwoje dzieci: Natalię (08.10.2003) i Nikodema (11.05.2011). Syn Haliny, Bogumił Perzyna (18.07.1982) posiada wykształcenie wyższe i wraz z żoną Anną mieszka w Warszawie.

Druga córka Józefa Boguckiego s. Franciszka, Grażyna (12.07.1953, Mastki), ma wykształcenie średnie i wyszła za mąż 21.07.1979 roku za wojskowego Mirosława Ciupka w Złakowie Kościelnym. Mąż przyjął nazwisko żony. Grażyna i Mirosław Boguccy mieszkają w Zegrzu k/Warszawy. Mają syna Marcina (30.03.1980, Świecie), kawalera z wykształceniem wyższym i córkę Karolinę (30.03.1982, Opole), posiadającą wykształcenie wyższe. Karolina poślubiła 15.05.2010 roku w Zarębach Kościelnych, Pawła Zakrzewskiego i urodziła córkę Weronikę (05.03.2011). Rodzina mieszka w Warszawie.

Najmłodsze dziecko Józefa, Andrzej Bogucki (18.05.1959) ożenił się 09.06.1984 w Kiernozi z Barbarą z d. Biernacką, tel. 697 918 081. Ich dzieci to syn Bartłomiej (09.12.1984), kawaler z wykształceniem wyższym, Aleksander (12.10.1988) kawaler, wykształcenie wyższe – i córka, Sabina (10.04.1990), wykształcenie średnie.

Córka cioci Marysi – Marianny Boguckiej - Ewa Bogucka (15.05.1923, Mastki – 22.03.2007, Uniejów) została siostrą zakonną 02.07.1952 roku we Włocławku. Jako dziecko, poparzyła ługiem sodowym przelyk, który uległ zwężeniu. Ta patologia w lecie roku 1944 spowodowała zagrożenie życia Ewy. Wychodząc z domu zerwała owoc czereśni i w całości połknęła. Nastąpiła niedrożność przelyku. Leżała w szpitalu w Łowiczu, gdzie lekarze proponowali dokarmianie bezpośrednio do żołądka. Ewa nie zgodziła się. Jeszcze poszukiwała ratunku. Ksiądz proboszcz parafii Złaków Kościelny kanonik Michał Chojecki poprosił lekarzy niemieckich, którzy na plebanii urządzili wojenny lazaret. Próby udrożnienia przelyku nie powiodły się z powodu braku cienkiej długiej sondy. Był dzień 15 sierpnia 1944 roku. Wszyscy domownicy poszli do kościoła. Ewa leżała modląc się. Była niezwykle osłabiona. Co pewien czas mogła tylko połknąć naparstek naparu z Inianego siemienia. Większa porcja powodowała nagłe wymioty. Jak twierdzą domownicy, podczas sumy w święto Matki Bożej, nagle zalegający owoc czereśni opadł do żołądka po około trzech tygodniach. Ewa miała wkrótce wyjść za mąż. Po tym wydarzeniu przysięgła, że poświęci się służbie Matce Boskiej. Rodzina wybrała się do Włocławka na jej śluby zakonne. Przez wiele lat pełniła posługę w kurii biskupiej włocławskiej. Pochowana została na cmentarzu w Uniejowie, gdzie spędziła w zakonie ostatnie lata.

Córka Marianny, Stanisława Bogucka (20.08.1925, Mastki – 07.05.2010, Karsznice Duże) w lutym 1950 roku wyszła za mąż za syna gospodarskiego, Mieczysława Adamasa z Karsznicy Dużych i urodziła trzech synów. Najstarszy, Tadeusz (22.02.1951, Karsznice Duże) poślubił 26.09.1981 roku w Zdunach, Grażynę z d. Zawisłak i zamieszkał w Karsznicach Dużych. Wychował trzech synów: Roberta (10.08.1982, Łowicz) kawalera z wykształceniem średnim, Artura (03.03.1986, Łowicz) kawalera z wykształceniem średnim i Marcina (09.03.1990, Łowicz), kawalera z wykształceniem średnim. Drugi syn Stanisławy, Julian (03.08.1955, Karsznice Duże) ożenił się z Henryką Gajda 29.08.1981 w Łowiczu. Jego syn Sebastian Adamas jest kawalerem i

posiada wykształcenie średnie. Najmłodszy syn Stanisławy Zdzisław Adamas (10.06.1959, Kiernozia – 08.02.1996) zmarł tragicznie i został pochowany w Złakowie Kościelnym.

Najmłodsza córka Marianny i Franciszka Boguckich, Anna (17.07.1931, Mastki) utraciła w dzieciństwie oko. Po ukończeniu nauki w Technikum Ekonomicznym w Łowiczu wyszła za mąż 26.08.1963 roku w Złakowie Kościelnym, lecz dzieci nie miała. Mąż jej, Władysław Urbane (1930 – 10.04.1994) spoczywa na cmentarzu w Złakowie Kościelnym. Ania zamieszkiwała w Jaworznie. Obecnie w związku z chorobą Alzheimera przebywa w Mastkach pod opieką rodziny bratanka Andrzeja Boguckiego.

Do moich ukochanych ciotek Brygisi i Marysi Boguckich jeździliśmy bryczką. Dotąd pamiętam serdeczne powitania, całusy, uściski i na pożegnanie prezent. W naszym domu rodzeństwo mamy i taty zawsze było serdecznie ugoszczone, a w młynie po przyjeździe ze zbożem nigdy nie pobierano od nich tak zwanej miarki za przemiał. W tamtym czasie miarkę zboża odsypywano z worka klienta do specjalnego urzędowo zatwierdzonego pojemnika, wykonanego przez bednarza z drewnianych klepek opasanych dwoma metalowymi listwami, z drewnianym uchwytem.

Najmłodszy syn Leona, Antoni Bolesław Śmiałek był bardzo przystojnym, wysokim szatynem z błękitnymi oczami, o spokojnym usposobieniu, zamknięty w sobie. Jak było wolą ojca, został skierowany po ukończeniu czterech klas szkoły wiejskiej w Retkach, uruchomionej w roku 1918, do ogólnokształcącego gimnazjum w Łowiczu. Często przyjeżdżał do Retek, gdzie zatrzymywał się w swoim pokoju. Uczył się dobrze. Pani profesor Jadwiga Benoit urodzona i wykształcona w Szwajcarii tępiła uczniów mało zdolnych, a od dobrych wymagała poziomu wiedzy, jaką winni prezentować. Konsekwentnie dopingowała uczniów do osiągnięcia wiedzy według ich możliwości. Podczas zdawania matury z języka niemieckiego zaproponowała Bolesławowi dostatecznie. Na szczęście obecny drugi nauczyciel języka niemieckiego pastor kościoła ewangelicko-augsburskiego w Łowiczu, stwierdził dobre opanowanie niemieckiego przez A. Bolesława Śmiałka. Pani Benoit zmuszona była zgodzić się na dobrą ocenę dla maturzysty. Szkoła łowicka od wieków szczyliła się wysokim poziomem nauczania i dużymi wymaganiami. Wydaje się, że p. prof. Benoit pewnie przesadzała w surowym egzekwowaniu wiedzy z języka niemieckiego. Według danych kuratorium z roku 1924 istnieje zapis, że w gimnazjum łowickim egzekwuje się od uczniów wiedzę z literatury nie omawianej w szkole. Stryj mimo krytycznej oceny p. Benoit z powodzeniem po latach studiował filozofię na Uniwersytecie w Innsbrucku. W łowickiej szkole repetował nawet jedną klasę Stanisław Noakowski, późniejszy wybitny profesor Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej i malarz. Z Bolesławem maturę uzyskali w Gimnazjum Ogólnokształcącym im. księcia Józefa Poniatowskiego w r.1931 jego przyjaciele, Jan Kołaczyński z Retek i Stanisław Kutkowski, syn zawiadowcy stacji kolejowej w Jackowicach, późniejszy mój nauczyciel fizyki w łowickim gimnazjum ogólnokształcącym.

Antoni Bolesław został przyjęty na Wydział Biologii na Uniwersytecie Warszawskim. Po trzech miesiącach studiów, po mszy prymicyjnej swojego starszego kolegi z Retek ks. doktora Leona Pawliny dn. 26 grudnia 1931 roku zdecydował się na pójście do seminarium duchownego w Warszawie. Podczas wakacji, jako elew i diakon przebywał w domu rodzinnym w Retkach, gdzie miał własny pokój. Moje starsze siostry opowiadały, że nasz tata kochał stryja bardziej niż własne córki. Otaczał go miłością braterską i opieką ojcowską. Stryj mnie zawsze wyróżniał i przywoził prezenty. Pamiętam, że podczas jednej z wizyt stryja otrzymałem korkowiec, pistolet ze strzelającym korkiem uwiązany na sznurku i książeczkę o rodzinie ptaków rudzików. Często zabierał dzieci na spacer do pobliskiego Wyborowa, gdzie mieszkała ciocia Brygisia Bogucka. W Retkach odwiedzali go koledzy seminarzyści, późniejsi księża, Durka i Miętek. Stryjowi Bolesławowi uszyto łowickie, wełniane, pasiaste spodnie, aby nie cierpiał podczas długich modłów na kolanach. Biskup Antoni Szlagowski przyjął jego święcenia kapłańskie w prokatedrze warszawskiej przy Krakowskim Przedmieściu. Cierpiałem bardzo, kiedy podczas tej uroczystości stryjek leżał krzyżem na zimnej i twardej posadzce prokatedry. Niestety, po uroczy-

stości w kościele, rodzice zostawili mnie pod opieką mojej siostry Wandzi w mieszkaniu ciotki Marysi Sidorkowej z d. Stańczyk przy ul. Konopackiej 4 na trzecim piętrze. Okropne było to dla mnie więzienie. Mój kuzyn Januszek Sidorek nieco starszy ode mnie usiłował mnie zabawić. Niestety na ukojenie mnie w rozpacz, jako że nie mogę zobaczyć pięknej Warszawy, nie było sposobu. Wreszcie przyjechali rodzice. Przeżyłem pierwszą chwilę radości. Ujrzałem na przystanku tramwaj. Krzyknąłem głośno. O, czwórka! Siedząca obok pani zdziwiona pochwaliła mnie, że taki mały chłopczyk, a zna już liczby. Lecz okropnie cierpiałem w drodze powrotnej w autokarze, gdy dowiedziałem się o wizycie mojego stryjecznego brata Franusia w ogrodzie zoologicznym. W tym strasznym bólu pocieszył mnie tata. Obiecał, że następnym razem zabierze mnie tam i obejrzą wszystkie egzotyczne okazy. Autokarem do Retek powróciła rodzina i mieszkańcy wsi, a następnego dnia po mszy świętej w złakowskim kościele odbyło się w domu rodzinnym tzw. księża wesele. Pamiętam, że w tym dniu mój wujek Janek Olba ze Zdun podarował mi 2 złote w srebrze. Dla mnie to była zawrotna suma pieniędzy. Pamiętam jak byłem obcałowywany w tym dniu przez ukochane ciotki. Natomiast wujkowie drapali mnie zarostem.

Natychmiast po prymicji stryj Bolesław został wikariuszem przy parafialnym kościele w Kampinosie. Na początku września pewnej niedzieli udaliśmy się na motocyklach Metro, polskiej produkcji, w odwiedziny do stryja. Po mszy świętej w drewnianym kościele i po obiedzie wybraliśmy się na spacer do Puszczy Kampinoskiej. Znaleźliśmy dwa ogromne prawdziwki. Wiozłem je do domu jako niezwykle trofea. Tymczasem w drodze powrotnej już od Łowicza zaczął padać deszcz. Droga była śliska, pokryta tłuczniem kamiennym. O zmroku w odległości około dwóch kilometrów od domu, przy zjeździe z pagórka, w przekopie drogi między wsią Zduny a wioską Pólka nastąpił poślizg. Upadliśmy a prawdziwki uległy całkowitemu zniszczeniu. Nie udało się uruchomić motocykla, toteż na piechotę powróciliśmy z podróży. Taki sam los tylko o około pięćset metrów przed nami spotkał drugi towarzyszący nam w wycieczce motocykl pana Adolfa Wajbła z Felunią. Wszyscy byliśmy brudni – musieliśmy się rozebrać i umyć.

Jako zdolny absolwent seminarium duchownego, stryj Bolesław we wrześniu 1935 roku został skierowany na studia filozoficzne na Uniwersytecie w Innsbrucku w Austrii. Znajomość języka niemieckiego zdobyta w gimnazjum łowickim pozwoliła mu na dobre wyniki w nauce. Po aneksji Austrii przez hitlerowców w roku 1938, stryj powrócił do kraju, gdzie kontynuował studia na Uniwersytecie Warszawskim. W tym czasie był wikariuszem w Wilanowie i dojeżdżał na studia tak zwaną kolejką wilanowską. Często zapraszali stryja wraz z księdzem proboszczem na przyjęcia hrabiostwo Branicki do pałacu w Wilanowie. Wkrótce po zajęciu Polski naziści zamordowali księdza proboszcza.

Następnie stryj podczas wojny pełnił posługę kapłańską w kościele p. w. Najczystszej Serca Maryi na pl. Szembeka w Warszawie przy proboszczu, wielkim budowniczym tego kościoła, księdzu Janie Sztuce. Moi rodzice dość często odwiedzali swojego brata i zabierali mnie, aby żandarmeria niemiecka nie uznała ich za tak zwanych szmuglerów. Przywoziliśmy zwykle różne cenne wówczas artykuły spożywcze, jak mięsa, masło, mąkę, jaja i sery. Na plebanii urządzano wytworne przyjęcie dla gości, którzy okazywali powściągliwość w jedzeniu podarowanych przez siebie wiktuałów.



14. Józefa z d. Olba i Stanisław s. Leona małż. Śmiałek (foto r. 1942)

Wieś w tzw. Generalnej Guberni, mimo obowiązkowych dostaw dla okupanta, miała dostateczną ilość żywności do zaopatrzenia ludności miejskiej. Zwierzęta oznaczano numerowanymi kolczykami. Okazało się, że taki kolczyk przekładano na małe prosię po uboju dużego bekonika lub olbrzymiego wieprza. Niestety, stałe kontrole żandarmerii niemieckiej na dworcach kolejowych i na rogatkach miejskich nie dopuszczały do przywozu żywności do miast. Stryj Bolesław Śmiałek został przeniesiony pod koniec okupacji do kościoła p. w. św. Karola Boromeusza na Powązkach. Gdy opóźniała się dostawa żywności z Retek, gospośka łapała zwabionego przynętą gołębia. Stamtąd ksiądz Śmiałek przyłączył się do powstańców w sierpniu 1944 r., jako kapelan. Zabranym został przez hitlerowców z Woli 11 sierpnia 1944 roku do obozu przejściowego w Pruszkowie, ponieważ jego oddział nie przedarł się do Śródmieścia Warszawy. Przebywał następnie w niemieckich obozach koncentracyjnych w Sachsenhausen, oraz w Neuengamme pod Hamburgiem, gdzie pracował wraz z kilkunastu tysiącami więźniów przy sypaniu wałów ochronnych nad rzeką Łabą. Nie przyznawał się, że jest księdzem katolickim, ponieważ hitlerowcy traktowali kler bardziej surowo. W związku z wadą serca, złym odżywianiem, ciężka praca odbierała mu siły, za co był karany biciem. Kolega stryja, więzień, o. bonifater namówił go do powiedzenia prawdy po niemiecku, że są kapłanami. Wkrótce, pod koniec grudnia 1944 roku obaj zostali przewiezieni z północy na południe Niemiec do obozu koncentracyjnego w Dachau. Można powiedzieć, że w tamtych warunkach wojennych szczęśliwa to była decyzja. Podczas ewakuacji obozu po zbliżeniu się aliantów do obozu w Neuengamme wiele tysięcy więźniów zostało nieświadomie zatopionych przez aliantów. Anglicy ostrzegali hitlerowców, że zaatakują każdy okręt pod banderą niemiecką. Z pięciu okrętów załadowanych więźniami tylko jeden ocalał, ponieważ opóźnił wypłynięcie z portu. W Dachau, podczas apelu i wyczytaniu nazwiska Śmiałek zwrócił się do stryja jeden z więźniów. Był to ksiądz, któremu nasz stryjek Józef Śmiałek z Retek wysyłał paczki żywnościowe. Dzielił się ze stryjem Bolesławem swoimi skromnymi zapasami. Moi rodzice przesyłali również przez RGO paczki żywnościowe innemu więźniowi, księdzu Włodarczykowi z Poznania, który prawdopodobnie zginął po tak zwanym dziesiątkowaniu. Stryj jeden raz podczas takiej akcji oprawców niemieckich był numerem dziesiątym. Oswobodzenie obozu w Dachau przez armię amerykańską nastąpiło niespodziewanie 27 kwietnia 1945 roku. Amerykanie zajęli obóz bez walki. Nie było ewakuacji obozu, podczas której dobijano słabszych więźniów. Załoga niemiecka została wrzucona przez więźniów do krematorium. Później zachłystywano się tylko wolnością. Przez dwa miesiące panował okres kwarantanny. Amerykanie serwowali wiele żywności. W posiłkach dominowała jajecznica z szynką. Ostrzegano, aby zjadać tylko podawaną porcję. Niestety niektórzy brali dokładki i umierali na niestrawność. Wielu więźniów Polaków, szczególnie tych pochodzących z terenów wschodnich zajętych przez ZSRR wyjechało do Europy Zachodniej, USA i Ameryki Południowej. W lipcu 1945 roku ks. A. Bolesław powrócił do kraju. Pamiętam, jak zobaczyłem go wy-

glądając przez okno naszego łowickiego domu. Nosił cajgowe spodnie i wyblakłą pomarańczową koszulę po gestapowcu, tak zwanym „żółtku”. Koszulę tę na pamiątkę przechowywałem przez wiele lat.

Mój tata kupił stryjowi sutannę, garnitury, palto, futro i buty oraz pościel w Warszawie na tak zwanym Kercelaku, obecnie nie istniejącym, przy skrzyżowaniu trasy WZ z Aleją Solidarności, ulicami Towarową i Okopową. Stryj Jan zapewnił mu meble, gdy został skierowany jako wikariusz do parafii p.w. św. Franciszka z Asyżu w Warszawie na Okęciu, przy księdzu proboszczu Sitkowskim. Tam już po wojnie panowała niezwykle gościnna atmosfera. Ksiądz proboszcz Sitkowski, syn właściciela restauracji zawsze serdecznie zapraszał do stołu, na którym zawsze stawiano znakomite jadło a dla dzieci słodkie desery. Później przeniesiono stryja do parafii p.w. Matki Boskiej Loretańskiej w Warszawie. Przy tym kościele znajdował się dom dla księży emerytów. Gdy stryj przyjeżdżał w odwiedziny do rodziny, mówił, że nigdy nie zgodzi się na pobyt w domu opieki, jeżeli doczeka sędziwego wieku. Następnie pełnił posługę w Kałuszynie, w Grójcu, gdzie uczył religii w Liceum Ogólnokształcącym im.ks. Piotra Skargi i w Nowym Mieście n/Pilicą. Wreszcie został skierowany jako proboszcz do Lubani a następnie do Boguszyc, odległych kilka kilometrów od Rawy Mazowieckiej. Do Boguszyc wówczas był dojazd ciuchcią z Rogowa na trasie Warszawa – Katowice.



15. Ksiądz A. Bolesław Śmiałek – zdjęcie z proboszczem w dniu I Komunii Św.

Odwiedziny u księdza stryjka okazały się niezwykle interesujące. W Boguszycach ocalał szesnastowieczny kościółek drewniany, w którym artyści konserwatorzy z Krakowa odkrywali malarstwo sprzed wieków. Po prostu ciepłym żelazkiem elektrycznym zdejmowali farbę olejną. Jak tłumaczyli konserwatorzy, stare farby przygotowywano z dodatkiem białka z jaj. Odkryli wówczas scenę, przedstawiającą narodziny Pana Jezusa w Betlejem. Grupa sześciorga artystów mieszkających na plebanii, zaprzyjaźniła się z proboszczem. Podarowali mu kilka namalowanych tam obrazów olejnych, ale najpiękniejszym darem były freski sześciu scen biblijnych na

ścianach plebanii w dużej jadalni. Pozostał mi w pamięci raj z Adamem i Ewą, zrywającą gruszkę, samarytanka przy studni i kuszenie Pana Jezusa. Obraz naszych pierwszych rodziców podczas odpustów był zawsze zasłaniany ogromnym kredensem. Pan Bieniek, znakomity malarz z Krakowa postanowił powrócić z Boguszyc do Krakowa na osła. W związku ze sprzeciwem żony chemiczki, postanowił kupić konia osłopodobnego. Wówczas odwiedziłem stryja w dniu wolnym od zajęć na Wydziale Farmaceutycznym w Łodzi. Wybraliśmy się bryczką obejrzeć zwierzę. Ustalono, że koń nie odpowiada oczekiwaniom pana artysty. Jednak, gdy następnym razem odwiedziłem stryja, powitał mnie przeraźliwy ryk autentycznego osła. Stryj nie miał zamiłowania do prowadzenia gospodarstwa rolnego, które pozostawało własnością kościoła. Budynki gospodarcze stały puste. Niestety, zwierzę wczesnym rankiem budziło domowników. Pan Bieniek po naradzie z księdzem i artystami ku radości małżonki pozbył się osła. Ksiądz A. Bolesław, będąc proboszczem w Lubani, wychował znakomitego ministranta ks. prałata Grzegorza Kalwarczyka. Jego ministrantem był także ks. prałat Krzysztof Ukleja, obecny proboszcz parafii p.w. Najczystszej Serca Maryi w Warszawie przy pl. Szembeka. Stryj miał w Błędowie młodego wikariusza, który stwierdził u siebie osłabienie kończyn dolnych. Podczas wizyty wkrótce po uzyskaniu przeze mnie dyplomu lekarza medycyny, stryj poprosił mnie o zbadanie księdza. Stwierdziłem stwardnienie rozsiane tzw. SM. Skierowałem księdza do kliniki neurologicznej w Warszawie, gdzie potwierdzono rozpoznanie. Stryj był bardzo dumny ze swojego bratanka. W Błędowie, będąc kanonikiem łowickim, pełnił funkcję dziekana goszczyńskiego. Pewnego razu, gdy byłem doktorantem w Zakładzie Neuropatologii PAN w Warszawie, stryj bardzo mnie prosił, abym po pracy odwiedził go w sobotę. Stryj nie lubił utrzymywać bliskich kontaktów z rodziną. Właściwie nie miał zwyczaju zapraszać do siebie. Przynależem mu, że na pewno go odwiedzę w umówiony dzień. Wieczorem o zmroku zaprosił mnie do kościoła. Zjawiła się wkrótce para młoda w strojach codziennych z matką panny młodej. Pełniłem rolę drugiego świadka. Nie chciałem znać nazwiska nowożeńców. Jakie było moje zdumienie, gdy po około trzech tygodniach pozdrowiłem na Nowym Świecie w Warszawie parę młodych, milicjanta z małżonką. Po raz drugi zostałem wezwany przez stryja nagle w dniu moich urodzin. Oznajmił mi, że umiera. Zebrałem wywiad przez telefon. Zdiagnozowałem niewydolność serca. Zadzwoeniłem do koleżanki z mojego roku, dr Hali Popławskiej, bardzo zdolnej kardiolog. Na szczęście miała w tym dniu dyżur w II Klinice Chorób Wewnętrznych Akademii Medycznej przy ulicy Nowogrodzkiej. Stryj został przyjęty natychmiast. Stan był bardzo poważny. Rozpoznano zapalenie wsierdzia u chorego z wadą mitralną. Po sześciotygodniowych wielomilionowych dawkach penicyliny w codziennych kroplówkach i doustnie przyjmowanej erytromycynie stryj mógł wreszcie udać się na krótko na bal sylwestrowy chorych w klinice. Chorzy koledzy z sali żartowali, że księdza wyleczyła „wczasowo – sylwestrowa” atmosfera balu. Jeszcze przez trzy lata stryj pozostawał pod opieką Hali. Czuł się tak dobrze, że nawet dwukrotnie poleciał do Rzymu na zjazd księży więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych.

Z Błędowa stryj został przeniesiony na probostwo do Mogielnicy. Tam przebył, na szczęście niegroźny, udar mózgu. Po przejściu na emeryturę jako prałat przeniósł się do rodzinnego miasta Łowicza, gdzie zamieszkał w dwupokojowym mieszkaniu spółdzielczym. Do śmierci 4 marca 1984 roku pełnił posługi jako rezydent w kościele p.w. Św. Ducha. Został pochowany w grobie rodzinnym na cmentarzu w Złakowie Kościelnym. W pogrzebie brał udział kolega szkolny ks. prałata, biskup Władysław Miziołek z dużą świtą księży, oraz między innymi parafianie z Błędowa i Mogielnicy, mieszkańcy Retek i parafii Złaków Kościelny oraz przyjaciele.



16. Grób Leona, Marcjanny, Stanisława i Józefy, ks. prałata A. Bolesława i Wandy Śmiałków w Żłakowie Kościelnym



17. Grób rodziny Antoniego i Karoliny, Andrzeja i Apolonii, Józefa i Józefy oraz Jana i Eugeniusza Śmiałków w Żłakowie Kościelnym

Po śmierci Leona Śmiałka w roku 1918, plany rodzinne uległy zmianie. W roku 1919 Stanisław Śmiałek, patriota i zwolennik marszałka Józefa Piłsudskiego, wraz z wybuchem wojny polsko-bolszewickiej na ochotnika zgłosił się do wojska. Stacjonował w pobliskiej Łęczycy w sztabie wojskowym. W ostatniej fazie walki podczas bitwy pod Warszawą w roku 1920 został skierowany w kierunku Ciechanowa, gdzie walczył z wrogiem, cofającym się w kierunku Białegostoku. Gdy wrócił do Retek, tutaj nastąpiło wiele zmian podczas zarządzania majątkiem przez babcię Marcjanę. Stryj Jan ożenił się z zamożną panną Marianną Tokarską z Szymanowic. Za posag żony kupił później 7-mio hektarowe gospodarstwo od Goździków, którzy przenieśli się do Krzyżanowa w powiecie kutnowskim. Młyn i gospodarstwo rolne upadały. Stryj Jan nie wykazywał dużego zainteresowania młynem, ani nie posiadał uprawnień młynarskich. Stanisław po powrocie z wojny zastał rodzinę w biedzie. Bracia Stanisław i Jan podzielili się majątkiem po połowie, lecz Jan wydzierżawił bratu młyn na lat dziesięć. Młyn, prowadzony fachowo przez Stanisława zaczął przynosić duże zyski. Babcia Marcjanna Śmiałkowa (1871, Mastki – 05.03.1921, Retki) z małym Antonim Bolesławem (1911 – 1984), przeniosła się do połowy domu mieszkalnego zajmowanego przez Stanisława i tam zmarła na astmę 5 marca roku 1921, w przeddzień narodzin drugiej córki Stanisława, Feliksy (06.03.1921 – 1998). Rodzina uznała, że Felunia jest niemal fotografią pięknej, młodej babci Marcysi. Ponadto w genach po babci miała zakodowaną elegancję. Tata oczekiwał wciąż narodzin syna, kontynuatora tradycji młynarskich rodziny Śmiałków.



18. Marianna Śmiałkowa z dziećmi (od lewej): Lucyną i Mieczysławem, s. Franciszka; Stanisław i Józefa Śmiałkowiec z dziećmi (od lewej): Feliksą na kolanach ojca, Leokadią i maleńką Wandą oraz brat A. Bolesław Śmiałek s. Leona (po prawej) pod gruszą cebulką- foto rok 1924.

Tymczasem w ciągu sześciu lat małżeństwa przyszły na świat jeszcze dwie córki – Marianna (06.08. 1922 – 24.09.2009) i Wanda (24.04. 1924 – 11.04.1945, Retki). Dopiero po ponad jedenaście latach, małżonkowie uradowali się z narodzin syna Mieczysława (18.11.1929, Retki).



19. Józefa i Stanisław Śmiałkowiec z dziećmi (od lewej): Feliksą, Wandą, Mieczysławem i Marianną. (foto r. 1932)

Jan Śmiałek syn Leona (19.05.1899, Retki – 14.01.1989, Łódź) z żoną Marianną z d. Tarkowską mieli pięcioro dzieci. Najstarszy, Władysław Marian (1921, Retki – 24.07.1972, Łowicz), po ukończeniu siedmioklasowej Szkoły Powszechnej w Zdunach pomagał ojcu w młynie,

który od 1930 roku prowadzony był wspólnie przez braci Stanisława i Jana. Podczas okupacji hitlerowskiej pracował w podziemnych siłach zbrojnych Armii Krajowej. W jesieni 1944 roku został aresztowany przez gestapo w Łowiczu i torturowany. Nie wydał nikogo. Został uwolniony w styczniu 1945 roku pod Kaliszem podczas ewakuacji więźniów z Łowicza przed zbliżającą się armią radziecką. Miał szczęście, ponieważ grupa więźniów z Łowicza wraz z więźniami nazistowskiego więzienia na Radogoszczy w Łodzi opuściła to miejsce w przeddzień spalenia. W lecie 1945 roku, W. Marian ożenił się z Filomeną Anyszka z Retek (12.02.1926, Retki – 27.05.2006, Łowicz) i otrzymał w posagu ¼ młyna w Małszycach przy ul. Zamkowej w Łowiczu. Mieli dzieci: syna Zbigniewa (09.1947 – 1978), u którego z małżeństwa z NN urodziły się córki: Aneta (1975) i Iwona (1978), córkę Halinę Teresę Pieguszewską z d. Śmiałek (17.02.1950, Łowicz), technika chemika. Halina Teresa wyszła za mąż za technika elektryka i studenta Politechniki Łódzkiej Marka Pieguszewskiego (23.01.1949) i urodziła córki: Dorotę (1975) i Annę (1977). Henryk Śmiałek syn W. Mariana (03.06.1952, Łowicz) ożenił się z Heleną Szóstak (1952) i są bezdzietni. Najmłodszy syn, Jacek urodził się 03.02.1958 roku w Łowiczu, gdzie mieszka w młynie przy ul. Tkaczew.

Władysław Marian, współdziałal młyna przy ul. Zamkowej odsprzedał stryjecznej siostrze Feliksie Śmiałek – Żabka. Sam zakupił i prowadził młyn przy ul. Tkaczew w Łowiczu. Zmarł na złośliwego gwiazdziaka mózgu.

Dwoje młodszych dzieci Jana, Stanisława i Tadeusz zmarli w dzieciństwie. Następnego dnia po śmierci Tadeusza urodził się Zdzisław Tadeusz (1925 – 2009). Ukończył on Szkołę Powszechną w Zdunach i ożenił się z Ireną Kaźmierczak z Chruśli parafii Kiernozia. Irena (30.08.1925, Chicago – 26.02.1999, Chicago), urodzona w USA, wyjechała do Chicago z córkami Grażyną i Haliną i tam tragicznie zginęła w wypadku drogowym. Po spłacie przez Stanisława, brata Jana, z jego majątku w Retkach, Z. Tadeusz zakupił młyn w Sójkach, gdzie po śmierci żony Ireny ożenił się i tam zmarł.

Najmłodsza córka Jana Śmiałka, Maria (03.08.1929, Retki – 1998, Łódź), wyszła za mąż za Stefana Morawskiego (1922 – 1987, Łódź). Morawscy zamieszkali w Łodzi. Maria urodziła Ryszarda i Krzysztofa Morawskich. Ryszard (1951, Łódź) inżynier włókiennictwa (PŁ) ożenił się z Elżbietą Goleniewską mieszkanką Łodzi. Mają córkę Joannę (1982), mgr zarządzania i syna Tomasza (1988), studenta Wydziału Matematycznego Politechniki Łódzkiej. Krzysztof, syn Stefana i Marii Morawskich (1956, Łódź), inżynier ekonomii ożenił się z Iwoną z domu Ekiert (1959, Łódź). Ich dzieci to Piotr (1984) i Błażej (1985).

1.4 Sopol

Mikołajowi Śmiałkowi, synowi Antoniego i Franciszki, jako jedynakowi po pierwszej żonie Franciszce, ojciec zakupił wiatrak i duże gospodarstwo rolne we wsi Urzeczce, leżącej na lewym brzegu rzeki Bzury. Gdy dorósł młodszy syn Antoniego, Michał syn Karoliny, postanowiono, że wiatrak i gospodarstwo rolne w Urzeczcu przejmie po bracie Mikołaju. Natomiast ojciec, w r.1889 w drodze licytacji zakupił dla Mikołaja osadę fabryczną Sopol nad rzeką Mrogą, prawym dopływem rzeki Bzury. Nazwa tej rzeki pochodzi podobno z czasów wędrowek osadników celtyckich. W wieku XV ziemie te należały do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Świadczy o tym Liber beneficiorum (II, 436), czyli spis dóbr sporządzony na polecenie prymasa Jana Łaskiego w latach 1511 – 1523. W wieku XVIII, do rozbiorów Polski, Sopol leżał w obrębie województwa łęczyckiego, a powiatu orłowskiego, parafii Waliszew i należał do zakonu oo. Pijarów (Registr Diecezjów w Koronie sporządzony przez księdza Franciszka Czajkowskiego ok. roku 1782). Na przełomie wieku XVIII i XIX, Sopol przeszedł na własność skarbu państwa. Od roku 1825 dobra Sopol przejął w wieczystą dzierżawę Wacław Thraumer, niemiecki katolik pochodzący ze Śląska. Wybudował tutaj nowoczesną manufakturę zajmującą się produkcją papieru ze

znakami wodnymi. Rodzina Thraumera uległa polonizacji. W czasie powstania listopadowego drukowano w Soplu papier ze znakami wodnymi „GOTT SEGNE POLEN” („BOŻE BŁOGOSŁAW POLSKĘ”). W sklepie w Terespolu znaleziono ryzy tego papieru. Przesłano sprawę do Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych w Warszawie. Po rozprawie wstrzymano drukowanie papieru z tym znakiem wodnym. Jednak pozwolono sprzedać resztkę znajdującego się w sklepach. Wacław Thraumer kupił trzy folwarki dla swoich synów. Augustowi właścicielowi majątku Cybulice podarował papiernię w Soplu. Ta ryzykowna lokata pieniędzy w majątki ziemskie doprowadziła do braku modernizacji papierni i konieczności jej sprzedania. Thraumerowie postanowili w pewnym momencie usunąć krzyż znajdujący się w pobliżu grobli. Krzyż ten został postawiony w tym miejscu na pamiątkę niezwykłego uratowania dziewczynki, która bawiąc się z małym bratem wpadła do spiętrzonego zbiornika wodnego, zaopatrującego w wodę dwa młyny wodne w Soplu. Poszukując ciała dziecka spuszczone całkowicie wodę upustem. Zwłok nie odnaleziono. Natomiast po pewnym czasie, jak opowiadał mieszkaniec wsi Antoni Wawrzyńczak, ku zdziwieniu i radości zauważono ocalałą dziewczynkę nad brzegiem rzeki. Ludzie uznali to uratowanie dziecka za cud. W miejscu znalezienia dziewczynki wystawiono krzyż.



20. Krzyż w Soplu

Wielu ludzi zebrało się, kiedy właściciel Sopla Thraumer ścinał krzyż. Na oczach zebranego tłumu krzyż padając zabił Niemca. Krzyż został ponownie postawiony w tym samym miejscu. Wieszano na nim różne wota. Jadzia Śmiałkówna powiesiła na nim swój oprawiony obrazek, pamiątkę Pierwszej Komunii Świętej. Leokadia Śmiałek - Jarzębowska wkopała w tym samym miejscu nowy krzyż, kiedy drewno spróchniało. Dotąd jeszcze przyjeżdża ksiądz i dla całej wsi odprawia przy krzyżu Mszę Świętą dla wiernych. Po tym wypadku jeszcze przejmowało Sopol kilku dzierżawców. Wszyscy popadali w długi. Ludzie przypuszczali, że to fatum wynika z powodu ścięcia krzyża przez Thraumerów. W roku 1884 budynek papierni uległ spaleni. Po odbudowie został adaptowany na młyn zbożowy. W roku 1889 w drodze licytacji nabył majątek Sopol Mikołaj Śmiałek. Nowy właściciel nie kontynuował tu działalności włókienniczej prowadzonej przez Antoniego Jana Długoszewskiego właściciela fabryki sukna w Zgierzu, a następnie Fryszmana. Mikołaj Śmiałek nabył majątek Sopol o powierzchni 33 mórg z młynem wodnym i zakładem włókienniczym – szarpalnią starej odzieży dostarczającą do fabryk łódzkich półprodukty na materiały z wełny i bawełny. Młyn wodny w Soplu i gospodarstwo rolne przynosiły

znakomite dochody. Właściciel osady Sopol w zapisie rejentalnym był zmuszony do płacenia dzierżawy majątkowi ziemskiemu Stopczyńskich za grunta użyte pod zbiornik wodny młyna. W grudniu 1901 roku woda przerwała wał zbiornika na terenie folwarcznym i popłynęła martwym korytem, omijając młyn. Rodzina Stopczyńskich sprzeciwiła się naprawie grobli powodując zastój młyna. W roku 1902 Mikołaj Śmiałek własnym kosztem usypał groblę o długości dwustu metrów na swojej drodze. To spowodowało zalanie około sześciu hektarów łąk właściciela sąsiedniego folwarku Pawła Stopczyńskiego. Stopczyńscy i Śmiałkowie żyli w zgodzie do chwili podziału majątku p. Stopczyńskiego na dwóch synów i trzy córki w roku 1905. Od roku 1909, po śmierci Pawła Stopczyńskiego, jego dzieci uzyskały prawo pobierania czynszu za zalane tereny na staw. Mikołaj Śmiałek za wszystkie prawa czynszowej dzierżawy zdecydował się zapłacić właścicielom 1450 rubli. To zakończyło nieporozumienia wodne pomiędzy rodzinami. W roku 1914 podczas walk nad rzeką Mrogą, prawym dopływem rzeki Bzury, prawie wszystkie zabudowania po kompleksie fabryczno - młynarskim z pięknym dworkiem spłonęły z wyjątkiem dziewiętnastowiecznego spichrza (1844), szarpalni i domku gościnnego.



21. Spichrz – r. 1844

Bardzo dużą stratą było spalenie się biblioteki, która zawierała ponad 400 starych oprawnych w skórę ksiąg. Na szczęście, wszyscy mieszkańcy ocalali. Zdążyli ukryć się w murowanej piwnicy domu, gdy w pobliżu spadła pierwsza kula armatnia.



22. Stary młyn wodny w Sopolu

Mikołaj Śmiałek (08.09.1850, Retki – 1922, Sopol) był żonaty dwukrotnie. W roku 1870 pojął za żonę pannę Marcjanę Sosnowską (1850, Łaźniki – 1909, Sopol), która mu urodziła sześciu synów: Józefa (1873 - ?), Jana (1875 Urzecze – 11.12.1962), Franciszka (1883 – 1942), Piotra (1877 – ?) Władysława (1887 – 12.08.1959), Henryka (zginął podczas I wojny światowej) oraz trzy córki: Marię Trzciańską (1880 – 25.08.1947), żonę nauczyciela z Łodzi, Józefa

(1875 – 1942) oraz Helenę Stawicką żonę Stefana i Teodozję Stawicką, żonę jego brata Antoniego, synów łódzkiego piekarza.

Najstarszy syn Józef Śmiałek ożenił się z panną z jednego z pobliskich dworów. Od dzieciństwa jego żona była wychowywana jako przyszła sukcesorka majątku. Urodziła czworo dzieci, trzech synów i jedną córkę. Wszyscy byli brunetami. Matka ich pochodziła z Włoch. Józef po śmierci pierwszej żony ożenił się z wdową Wandą Stopczyńską i osiedlił się w jej majątku w Ziewanicach.

Chłopcy znali doskonale fach młynarski toteż pracowali we młynie w Soplu u stryja Jana albo w Retkach u stryja Stanisława Śmiałka. Julian pozostał kawalerem. Mieczysław ożenił się z Sabina, córką gospodarza z Gawronek i mieli siedmioro dzieci, Krzysztofa, Annę, Janusza, Renatę i innych. Teodor ożenił się i miał syna Zdzisława. Mieszkał w Głownie.

Córka Józefa, Bronisława (1906 – 1990) wyszła za mąż za Stanisława Wojcieszka (03.01.1903 – 30.05.1976). Urodziła dwóch synów, Mieczysława Wojcieszka i Jerzego Wojcieszka (1929 – ?), który podczas służby wojskowej na granicy niemieckiej w Słubicach poznał pannę Stefanię Lewicką, repatriantkę spod Sambora i się z nią ożenił. Na ślubie żartowano, ponieważ Jurek jako mały chłopiec twierdził, że się ożeni tylko z ciocią Łodzią. Trzy córki Jerzego i Stefanii pracowały w służbie celnej w Świecku. Serdeczne kontakty rodzinne utrzymywane są ciągle z tak daleko mieszkającą rodziną Broni Wojcieszkowej z d. Śmiałek. Mieczysław Wojcieszek pracował w młynie cioci Leokadii Śmiałek-Jarzębowskiej w Słomkowie k/Skierniewic. Ożenił się z panną z pobliskiej wsi i tam prowadził gospodarstwo rolne.

Pasierbica Józefa i Wandy Śmiałków, Maria Stopczyńska wyszła za mąż za pana Pietruszkę, który zginął podczas nalotu w roku 1939. Druga córka Wandy Stopczyńskiej-Śmiałek, Wiktoria przyjęła nazwisko męża Kowalska. Trzecia, Helena Szczypiorska z mężem otrzymała należną jej część majątku i miała dwoje dzieci, syna Antoniego i córkę. Małżeństwo mieszkało daleko od innych zabudowań pod lasem. Mąż Heleny podczas wojny ukrył broń w pomieszczeniu kuchennym. Ich służący wydał go gestapo, które zamordowało męża Heleny. Samotna Helena przeżyła jeszcze jeden dramat. Podczas srogiej zimy w początku lat czterdziestych XX wieku podczas wojny ktoś w nocy prosił ją o wpuszczenie do domu. Bojąc się, Helena nie otworzyła drzwi. Rano pod jej drzwiami znalazła zamarzniętego mężczyznę. Po tym ciężkim przeżyciu leczyła się u psychiatry.

Córka Wandy i Józefa Śmiałków, Józefa Czesława (1919 – 2006) wyszła za mąż za Mariana Stopczyńskiego i mieszkała w Ziewanicach, a młodsza ich córka Zofia Śmiałek-Sznyt urodziła syna Jakuba, dziennikarza pracującego w Łodzi.

Córka Maria Trzcńska z d. Śmiałek (1880, Urzecze – 25.08.1947, Łódź), żona Józefa (1873 – 1942) urodziła syna Jana (1910 - ?), który z żoną Jadwigą zamieszkał w Zgierzu. Ich syn Marek ożenił się z Ireną Baranowską z Kiernozi, gdzie mieszkał do śmierci. Córka Marii Trzcńskiej Bronisława (1912 - ?) wyszła za mąż za Wiktora Szwedowicza (1910 - ?). Mieszkali w Łodzi z synem Stanisławem (1935 – 2004), który ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Łodzi. Staś Szwedowicz ożenił się i miał jednego syna. Młodsza córka Zofia Trzcńska (1914 – 2008, Gdynia - Orłowo), lekarz stomatolog wyszła za mąż za Kazimierza Skrobińskiego (26.01.1910 – 22.01.1979, Łódź) artystę malarza i nie miała dzieci. Najmłodsza córka Teodozja (1915, Łódź – 2001, Orłowo) pojęła za męża p. Kopala pochodzącego z Czech (1910-?). Jej mąż pracował jako inżynier przy budowie portu w Gdyni, gdzie się osiedlił z rodziną. W roku 1935 urodził się Sławomir Kopal, który mieszka z rodziną w domu rodziców w Orłowie. Opiekował się swoją ciocią Zofią Skrobińską, która była bezdzietna.



23. Grób Marii i Józefa Trzcinski w Waliszewie

Dwie młodsze córki Mikołaja wyszły za mąż za braci Stawickich synów piekarza z Łodzi. Helena pojęła za męża Stefana Stawickiego. Ich dzieci to córka Helena i syn Stefan, inżynier absolwent SGGW. Córka Teodozja, żona Antoniego Stawickiego urodziła czworo dzieci: syna Bolesława, który zmarł w wieku siedmiu lat, córkę Jadwigę i synów Mieczysława oraz Jana. Rodzina Stawickich mieszkała w Łodzi. Podczas okupacji hitlerowskiej po włączeniu Łodzi do tak zwanego Warthegau, Janek Stawicki przebywał w Retkach u mojego ojca Stanisława.

Franciszek Śmiałek s. Mikołaja zamieszkał w Soplu w domu przybudowanym do starego spichrza. Ożenił się z Marianną Stopczyńską (13.10.1902 – 13.10.1991). Syn ich, Tadeusz przeżył 18 lat (11.04.1923 – 17.01.1941). Zmarł podczas bardzo mroźnej i śnieżnej zimy. Drogi były nieprzejezdne. Trumnę ze zwłokami Tadeusza niesiono na ramionach do odległego o 5 km kościoła parafialnego w Waliszewie.

Władysław Śmiałek s. Mikołaja (1887, Urzeczce – 12.08.1959, Ziewanice) ożenił się z panną Stanisławą Łacką córką Jakuba i Konstancji z Durajskich z Pabianic (1894 – 15.06.1986). Mieszkał we własnym domu w Soplu. Ich córka Jadwiga Domeracka (1919) technik dentystryczny mieszka w Piastowie. Wyszła za mąż za Bolesława Domerackiego (1914 - ?), urzędnika PKP i ma cztery córki.

W roku 1947 urodziła Marię – lekarzkę, specjalistkę chorób wewnętrznych, żonę magistra inżyniera Janusza Łopacińskiego (11.04.1954). Małżeństwo to dochoowało się syna Macieja (07.04.1986).

Druga córka Jadwigi, Sylwia (1949), lekarz stomatolog wyszła za mąż za mgr inż. budownictwa Andrzeja Jagielskiego i urodziła syna Igora (1975).

Trzecia, Elżbieta Anna (09.10.1950), lekarz stomatolog z pierwszego małżeństwa z Janem Dąbrowskim posiada córki: Aleksandrę (29.04.1978) lek. stomatologii z dwojgiem dzieci, Jakubem (2000) i Emilią (2006) i Ewę Dąbrowską-Urbańską (08.12.1979), prawnika, posiadającą córki, Zofię i Julię (2004), która jest zdolną uczennicą. Wygrała konkurs na wiersz, prezentowany przez młodą poetkę w Polskim Radio. Druga córka Ewy Urbańskiej, Zofia urodziła się w 2008 roku. Rodzina oczekuje jeszcze na trzeciego potomka. Z drugim mężem, Marianem Korolczukiem mgr inż. mechanikiem pracującym przez wiele lat w Fabryce Samochodów Osobowych w Warszawie (FSO) na Żeraniu Elżbieta Anna dochoowała się syna Michała, lek. stomatologa i córki Blanki, italianistki mieszkającej z mężem Stefano Aragon w Rzymie. Mają synka Federico Aragon (2012, Rzym), potomka królewskiego hiszpańskiego rodu, który osiedlił się na Sycylii.

Najmłodsza córka Jadwigi Śmiałek-Domerackiej, Anna Domeracka-Kołodziej (1958) dr n. med. laryngolog - foniatra straciła tragicznie męża Marka Kołodzieja, neurologa w wieku lat 44. Jej córka, Agnieszka Kołodziej, mgr historii (UW) specjalizuje się w dziedzinie logopedii. Współpracuje z międzynarodową grupą wolontariuszy, pracujących w Kenii nad ochroną dzikiej fauny i jej kontaktem z miejscową ludnością.

Leokadia, córka Władysława wyszła za mąż za Franciszka Reszke. Mają syna Romana oraz wnuka Patryka i mieszkają w Gdańsku.

Najstarszy syn Władysława Śmiałka, Stanisław (1914 - ?) miał syna Włodzimierza. Kolejny syn Władysława, Henryk (1921 - ?), pozostawił syna Witolda i córki Annę i Iwonę. Trzeci syn Władysława, Leszek nie żyje. Jego synowie to: Andrzej Śmiałek technik, którego kilkoro dzieci mieszka w Szkocji i Irlandii oraz Grzegorz Śmiałek, prawnik, pracuje w Akademii Policyjnej. Syn Grzegorza jest wojskowym. Barbara (1923 – 1924) i Janusz (1929 – 1929), dzieci Władysława Śmiałka, zmarły w dzieciństwie.



24. Grób rodzinny Władysława Śmiałka s. Mikołaja w Wąliszewie

Syn Mikołaja Piotr Śmiałek (1877, Urzecze – ?), ożenił się z panną Kazimierą Zawiślak. Ich córka, Irena (1920) mieszkała w Anglii, gdzie prowadziła pensjonat. Syn Piotra, Władysław Śmiałek posiadał młyn na Kujawach. Jego córka Zofia mieszka w Anglii. Posiada dom zakupiony od ambasady indyjskiej. Syn Piotra, Marian Śmiałek – żołnierz zawodowy, podczas próby puczu w czasach gomułkowszczyzny aresztowany i torturowany nie żyje.



25. Pomnik poległych o wolność Ojczyzny w latach 1919-1920 parafian kościoła w Wąliszewie. (Upamiętniony został Henryk Śmiałek)

W roku 1920 podczas wojny polsko-bolszewickiej zginął Henryk Śmiałek s. Mikołaja, a następny syn Mikołaja, Jan (1875, Urzecze – 11.12.1962) zmarł bezpotomnie w Sopli.



26. Grób rodzinny Mikołaja i Marcjanny z Sosnowskich małż. Śmiałków ich syna Jana oraz wnuczki Bronisławy c. Józefa z mężem Stanisławem Wojcieszkiem w Waliszewie

W roku 1912 Mikołaj Śmiałek ożenił się po raz wtóry z Apolonią Majewską z Bielaw (zmarłą w roku 1937), z którą nie miał potomstwa. Mikołaj Śmiałek uważany był za zamożnego posiadacza majątku nazwanego „Osada Sopol – Młyn Śmiałków” o powierzchni 37 morgów i 248 prętów. Mój ojciec, Stanisław Śmiałek, bratanek Mikołaja odwiedzał z rodzicami stryja. Podziwiał eleganckie zabudowania z pięknym dworkiem, obszernym i bogato umeblowanym. Po przeciwnej stronie rzeki Mrogi za mostem górował trzypiętrowy dziewiętnastowieczny spichlerz a w niecce wysokiej skarpy rzecznej lśniła tafla wodna wielkiego stawu rybnego. Po obydwóch stronach upustu obszernego rezerwuaru wody usytuowany był młyn i budynek po szarpalni starej odzieży wełnianej i bawełnianej. Od 1901 r po przerwaniu grobli zbiornika wodnego i usypaniu nowej na gruncie Śmiałków, istniały ciągłe spory o zalane 6 ha łąk folwarku pp. Stopczyńskich. Tego konfliktu nie rozwiązały przez długie lata małżeństwa między synami Mikołaja, a córkami p. Stopczyńskiego. Podczas I wojny Światowej w roku 1914 linię frontu stanowiło koryto rzeki Mrogi. W wyniku ostrzału i pożarów majątek został doprowadzony do ruiny. Mikołaj Śmiałek zapisał w drodze darowizny osadę Sopol zięciom Stefanowi i Antoniemu Stawickim. Posiadający piekarnię i gotówkę bracia Stawiccy odbudowali i uruchomili młyn. Naprawiono również i zabudowania gospodarcze oraz z ocalałego domku gościnnego urządzono skromny dom mieszkalny. Stawiccy po kilku latach sprzedali ten majątek wówczas niedochodowy braciom Apolinaremu i Aleksandrowi Marjańskim z Głowna. W roku 1921 odkupił go nauczyciel, syn Mikołaja, Jan Śmiałek. Uczynił to na prośbę ojca. Mikołaj Śmiałek chciał, aby Sopol został własnością samotnego syna Jana, wtedy cała rodzina w przyszłości mogłaby korzystać z dóbr ojca. Okazało się jednak, że tylko pewne posunięcia mogły uratować rodzinny Sopol. Pomógł w tej sprawie szwagier Marii Trzcńskiej, bogaty budowniczy uzdrowiska Ciechocinek poprzez zapis fikcyjnego ogromnego długu na tym majątku, aby nikt poza Janem nie mógł go nabyć. Jednak po śmierci Mikołaja Śmiałka w roku 1922 nastąpił okres sądowych zatargów o spadek pomiędzy Janem i wszystkimi braćmi. Wniósł tę skargę Józef Śmiałek najstarszy syn Mikołaja. Uważał, że darowanie Sopla szwagrom Stawickim było fikcją, podobnie jak kolejne sprzedaże. W roku 1921, według Skorowidza Miejscowości Rzeczypospolitej, Jan Śmiałek prowadził regularnie działalność młynarską. Uprawiał też ziemię dużego gospodarstwa rolnego, którego czuł się prawowitym właścicielem. Jego bracia Franciszek i Władysław na gruntach osady Sopol wybudowali domy i założyli rodziny. Brat stryja Jana, Piotr, ożeniony z panną Stopczyńską, posiadał zabudowania na ziemi teściów. Stryj Jaś często gościł u siebie rodziny siostr Trzcńskiej i Stawickich z Łodzi.

Podczas II wojny światowej osada Sopol szczęśliwie znalazła się wraz z całym powiatem łowickim w tak zwanej Generalnej Guberni. Stała się też dzięki temu miejscem schronienia dla

członków rodziny z Łodzi i tak zwanego Warthegau. Jan Śmiałek niestety przestał po pewnym czasie płacić podatki władzom niemieckim z powodu złego stanu majątku. W roku 1943 władze osiedliły tam dzierżawcę, niejakiego Liegenschafta. Ten, zniechęcony ruiną gospodarczą młyna i całego majątku opuścił Sopol. Rodzina z powrotem zamieszkała w budynkach rodzinnych, a stryj Jaś dalej nie płacił podatków do końca wojny.



27. Nowa elektrownia wodna przy starym młynie i dom mieszkalny w Soplu

Po drugiej wojnie światowej niektórzy członkowie rodziny wyjechali na ziemie zachodnie. W Soplu – Ziewanicach pozostała tylko rodzina Józefa, która mieszkała na ziemi dawnego folwarku. Pozostała jego czwórka dzieci z pierwszego małżeństwa żyła w przyjaźni, z nową właścicielką Sopla, stryjeczną siostrą, Leokadią Jarzębowską. Bronisława ze swoim mężem Stanisławem Wojcieszkiem do końca życia prowadzili księgowość w młynach w Soplu i w Retkach. Bronia pomagała ponadto wychowywać synów Łodzi. Leokadia zakończyła formalnie spór o groble i zatopione łąki rodziny Stopczyńskich.

Leokadia Śmiałek c. Stanisława (06.01.1919, Retki – kwiecień 2009, Słomków) wyszła za mąż 27.06.1949 za młynarza Tadeusza Witolda Jarzębowskiego s. Adama herbu Gozdawa (11.05.1921, Wkra – 08.09.2002, Słomków) ze Słomkowa w powiecie skierniewickim. Ślub odbył się w zabytkowym kościele w Waliszewie, pamiętającym czasy potopu szwedzkiego, a świadkami byli kuzynka Zofia Trzcńska, studentka Wydziału Stomatologicznego w Łodzi i brat Leokadii – Mieczysław, student Wydziału Farmaceutycznego Akademii Medycznej w Łodzi.



28. Kościół parafialny w Waliszewie, który ocalał podczas potopu szwedzkiego

Aby majątek nie został połączony, małżonkowie Jarzębowski nie zawarli ślubu tak zwanego cywilnego, co w tym czasie nie było jeszcze obowiązujące. Jako pozostający formalnie w stanie wolnym, oddzielnie, a razem prowadzili działalność. W przeciwnym razie w czasie PRL młyny mogły zostać upaństwowione, podobnie jak młyn w gnieździe rodzinnym Śmiałków w Retkach.



29. Leokadia z d. Śmiałek i Tadeusz Witold małż. Jarzębowski – w tle odrestaurowany spichrz i nowoczesny młyn.

Z małżeństwa urodził się w Soplu syn – Henryk Stanisław Jarzębowski (01.07.1951), inżynier chemii spożywczej SGGW w Warszawie, przedsiębiorca, Przewodniczący Rady Nadzorczej Krajowej Izby Gospodarczej Przemysłu Spożywczego w Warszawie (2002-2007), członek Rady Muzeum w Łowiczu i działacz Związku Ochotniczych Straży Pożarnych RP. Henryk Stanisław ożenił się z panną Urszulą Łukasik (06.01 1955) z Woli Stępowskiej parafii Kiernozia, absolwentką SGGW w Warszawie, zootechnologiem, przedsiębiorcą. Osiedlili się w Retkach, gdzie odziedziczyli młyn i gospodarstwo rolne po dziadku Stanisławie s. Leona Śmiałka.

Ich najstarsza córka Dagmara Anna (26.06.1978), magister nauk ekonomicznych SGH w Warszawie na Wydziale Międzynarodowych Stosunków Gospodarczych i Politycznych, w latach 2002- 2003 ukończyła studia podyplomowe w Institute Francisc de Gestion (Francuski Instytut Zarządzania) na kierunku zarządzanie firmą w warunkach nowej ekonomii. Syn, Sebastian Karol (15.06.1981), doktor nauk ekonomicznych SGGW w Warszawie (2000 – 2005), Wydział Ekonomiczno Rolniczy, kierunek ekonomia, specjalność: ekonomia i organizacja przedsiębiorstw (2003 – 2006), Rheinische Trierich-Wilhelms Universitat in Bonn (Reński Uniwersytet Fryderyka Wilhelma w Bonn, Niemcy), Landwirtschaftliche Fakultat (Wydział Rolniczy), kierunek Agrarwissenschaften (Nauki rolnicze), specjalność Wirtschaft und Sozialwissenschaften (nauki gospodarcze i społeczne), dyplom – Dipl.-Ing. (agr) mgr inż. nauk rolniczych. Dnia 28 lipca 2012 roku Sebastian pojął w Smardzewicach za żonę Agnieszkę Bezat (20.04.1983, Tomaszów Mazowiecki) doktor nauk ekonomicznych, pracownika naukowego SGGW w Warszawie. Natomiast Dawid Rafael Jan Paweł (29.04.1983), mgr inż. po studiach w SGGW w Warszawie na Wydziale Zastosowań Informatyki i Matematyki, kierunek informatyka i ekonometria, specjalizacja – systemy informacyjne w zarządzaniu, ożenił się z panną Agnieszką Rola (1984), doktorantką SGGW w Warszawie, wyznania prawosławnego, z Hajnówki. Ślubowali w pięknej nowoczesnej cerkwi, gdzie odbywają się festiwale muzyki cerkiewnej. Adrian Albert Jarzębowski (18.08.1985) prawnik, studia na Wydziale Prawa i Administracji (UW), kierunek prawo, w latach 2004 – 2009 Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych, kierunek: Nauki Polityczne, od roku 2011 odbywa aplikację radcostwa w Okręgowej Izbie Radców Prawnych w Warszawie.

Drugi syn Leokadii Lesław Adam (02.03.1956), mgr inżynier SGGW w Warszawie został spadkobiercą majątku w Soplu. Ożenił się z panną Ewą Kunecką z Ziewanic (1960). Rodzina

się powiększyła o trzech synów – Kamila Krzysztofa (1983), posiadającego dyplom magistra socjologii SGGW, Norberta Jacka (1987) magistra informatyki Politechniki Warszawskiej i Ernesta Michała (1990) studenta Politechniki Warszawskiej.

Ewa i Lesław Jarzębowski corocznie goszczą u siebie ułanów poznańskich podczas kolejnej rocznicy śmierci Tadeusza Mikke dowódcy 36 Pułku Ułanów Wielkopolskich z Poznania, który zginął w pobliżu nad rzeką Mrogą podczas bitwy nad Bzurą w roku 1939.



30. Ułani 36 Pułku z Poznania przybyli do Sopła na corocznej uroczystości pamięci dowódcy, poległego w 1939 r.

1.5 Bielice

Michał Śmiałek (28.09.1858 – 26.01.1952) na krótko zamieszkał w Urzeczu w majątku z dużym gospodarstwem rolnym i wiatrakiem. Przejął te dobra po bracie Mikołaju, któremu ojciec Antoni Śmiałek w roku 1889 zakupił osadę fabryczną Sopel. Kiedy wiatrak spłonął, Michał Śmiałek postanowił przenieść się do Bielic (d. Rybusowo) w pobliżu osady Piątek w Ziemi Łęczyckiej. Tam zakupił 60 morgów urodzajnej ziemi i zamieszkał z rodziną w pobliżu majątku swojego szwagra Piotra Rybusa (1861, Rybusowo – 08.10.1920, Hornówek k/Warszawy), męża jego stryjecznej siostry, córki Władysława Śmiałka (1830 – ?), Katarzyny Śmiałek-Rybus (1860, Jackowice – 1894?, Bielice). Piotr Rybus po śmierci żony powtórnie się ożenił z p. Jaworską z Bolkowa k/Piątku. Sprzedał część własnego majątku i przeniósł się pod Warszawę. Pochowany został na cmentarzu bródnowskim w Warszawie. Rodzina jego córki Zofii Gruszczyńskiej z d. Rybus osiedliła się w Olszewce k/Nakła n/ Notecią.



31. Piotr Rybus

Michał ożenił się w roku 1885 z panną Marojanną Sołtyszewską (1862 – 15.08.1938) z Maurzyc. Ich dzieci: córka Maria i synowie Franciszek (1897 – 1958) i Wacław Śmiałek (1900 – 1926) zmarły bezpotomnie.

Syn Michała, Józef Śmiałek (10.04.1890, Bielice –1952, Bielice) pojął za żonę Stanisławę Rybus z Bochenia (1899 – 1957, Bielice). Ich dzieci, Maria Śmiałek (1923, Bielice – 23.07.1947) i Adam (1926 – 1926) zmarły bezpotomnie.



32. Józef Śmiałek s. Michała, od strony lewej żona Stanisława z d.Rybus z córką Leokadią na kolanach, stoi bratanek Stanisławy, Henryk , siedzi bratowa, żona Adama Rybusa z Bochenia



33. Stanisława Śmiałek z d. Rybus, z prawej strony i p. C. Górczyńska.

Córka Józefa Śmiałka, Leokadia (1920 – 2010, Bielice), wyszła za mąż za Czesława Szczepaniaka z Łęki (1926). Córka Leokadii Szczepaniak z d. Śmiałek, Maria Szczepaniak (1952 Bielice) pojęła Eugeniusza Leśniewskiego (1950). Zamieszkali w Poznaniu i mają syna Damiana (1981). Młodsze dzieci Leokadii: Stanisława Jadwiga (1954), dr rolnictwa i Bogdan Marcin (1959) nie posiadają dzieci.

Córka Michała, Franciszka Śmiałek (1904, Bielice – 1937 Bielice) wyszła za mąż za Władysława Jaroszewskiego z Piątku (1891, Piątek – 1939, Piątek), zamordowanego przez hitlerowców. Ich córka, Janina (1930 – 1970) wydana została za Kazimierza Małeckiego. Oboje ukończyli studia w SGGW w Warszawie. Mają dwoje dzieci Ewę Małecką-Kluczka i Janusza. Starsza córka Franciszki, Irena (1927 – 1990) poślubiła Jana Sobczaka. Ich syn Wiktor Sobczak urodzony w r.1948, zmarł w Bielicach 20.12.2001 roku. Najmłodsza córka Franciszki, Zofia Jaroszevska (1933 – 1958) zmarła bezpotomnie.



34. Jubileusz 550-lecia Częstochowy w roku 1932 (od lewej Władysław Jaroszewski, Józef Śmiałek i NN)

Córka Michała, Felicja (1908 – 13.11.1998, Bielice) z mężem Antonim Stańczykiem (1907 – 21.11.1967) zamieszkiwali w Bielicach. Mieli dwoje dzieci: Wandę, żonę Jana Siwreka, która nie posiadała dzieci oraz syna Adama. Syn Felicji Adam Stańczyk (1939 – 09.01.2000) z żoną Jadwigą Tybura wychowali trzech synów. Pierwszy Sławomir Stańczyk ożenił się z Ewą NN. Urodził im się syn Mateusz Stańczyk, którego ojcem chrzestnym został Bogdan Szczepaniak. Drugi syn Adama, Stańczyk Andrzej ma żonę Klaudię NN. Trzeci Tomasz Stańczyk z żoną mają syna oraz córkę Justynę, zamężną, wychowującą córkę Julię (1993?). Rodzina Antoniego Stańczyka, męża Felicji nie uważana była za krewnych rodziny Śmiałków.

Córka Michała, Katarzyna urodzona w Bielicach (1890 - ?) poślubiła młynarza Antoniego Panka (1890 – ?). Zamieszkiwali w Głownie na Zabrzeżni. Mieli córkę Lucynę (1914 – ?) poślubioną Stanisławowi Skwarnie (1910 – ?). Jedyńy ich syn Grzegorz Bogdan, urodzony z porażeniem mózgowym w roku 1935, zmarł w dzieciństwie.

Syn Katarzyny, Bronisław (1915 – ?, Francja) uczył się w Męskim Gimnazjum Ogólnokształcącym im. Ks. Józefa Poniatowskiego w Łowiczu. W zapisach wydarzeń sportowych w latach 1921 – 1931 Bronisław Panek był wymieniany jako niezwykle utalentowany piłkarz obok Piotra Kostrzewskiego. Dzięki znakomitej grze szkolnej drużyny piłkarskiej osiągnęto zwycięstwa z drużynami seminarium Nauczycielskiego w Łowiczu, drużyną łowickiego 10 pułku piechoty a nawet 7:0 z drużyną Maccabi z Łodzi. Po maturze, którą Bronisław uzyskał w Łowiczu, wyjechał na studia do Paryża, gdzie się ożenił i tam pozostawił dwie córki. Nigdy do Polski nie powrócił. Doznał zawodu w młodzieńczej miłości do koleżanki Wacławy Biedrzyckiej, która wyszła za mąż za o wiele lat starszego nauczyciela matematyki w gimnazjum, później mojego nauczyciela matematyki, prof. Stanisława Renkawka.

Drugi syn Antoniego i Katarzyny, Stanisław Panek zmarł podczas nauki w gimnazjum. Lucyna Skwarna, kiedy sprzedano dom rodziców w Głownie, proponowała podarowanie połowy działki po mamie Katarzynie z d. Śmiałek kuzynowi Mieczysławowi Śmiałkowi s. Stanisława. Wujostwo Pankowie utrzymywali bliskie rodzinne i zawodowe kontakty z rodziną Stanisława Śmiałka w Retkach.



35. Rodzina Michała Śmiałka s. Antoniego: od strony lewej siedzą, córka Felicja Stańczyk i jej córka Wanda Siwrek, córka Maria Śmiałek, zięć Władysław Jaroszewski, wnuczki Michała Irene Sobczak z d. Jaroszevska i Janina Małecka z d. Jaroszevska, synowa Stanisława Śmiałek z d. Rybus, wnuczka Zofia Jaroszevska i córka Franciszka Jaroszevska z d. Śmiałek, stoją od lewej, Lucyna Skwarna z d. Panek, syn Józef Śmiałek, szwagier Józefa Franciszek Rybus z córką Haliną Rybus - Ruta i wnuczka Józefa Śmiałka, Leokadia Szczepaniak z d. Śmiałek, na drzewie NN.

Syn Michała, Stanisław Śmiałek (1892, Bielice – 21.11.1967, Bocheń) ożenił się z wdową Marią Gusta (?) z Bochenia, która posiadała dwie córki. W r. 1927 urodziła się ich córka Henryka, dr nauk matematycznych, pracująca następnie naukowo w Politechnice Łódzkiej. Linia Michała Śmiałka po mieczu zakończyła się. Stryj Michał posiadał jeszcze kilkoro dzieci, które zmarły po urodzeniu.



36. *Henryka Śmiałek c. Stanisława s. Michała*

Istnieje linia genealogiczna rodu Śmiałków – Władysława Śmiałka (1830, Retki - ?) syna Jana Śmiałka, rodzina Rybusów z Bielic. Córka Władysława Śmiałka, Katarzyna (1860?, Jackowice par. Zduny Kościelne – ?, Bielice) poślubiła Piotra Rybusa (1861 – 08.10.1920, Hornówek k/Warszawy) z Rybusowa (obecnie Bielice)

Ich córka Zofia (01.09.1887, Bielice – 28.04.1974, Olszewka) wyszła w roku 1906 za mąż za Franciszka Gruszczyńskiego ur. we wsi Florki k/ Kutna 29.11.1879, a zmarłego w Olszewce k/Nakła n/Notecią 29.04 roku 1956.



37. *Zofia z d. Rybus i Franciszek małż. Gruszczyńscy*

Gruszczyńscy mieli syna Edwarda Stanisława, ur. w Bielicach 23.04.1907 roku, zmarłego na udar mózgu w Lublinie 25.10.1977 roku. Edward ożenił się z panną Joanną Janiną Kruczkowską ur. 18.12.1914 roku w Zbarażu.



38. Rodzina Zofii i Franciszka Gruszczyńskich (lata 30-te XX wieku). Stoją Czesław Jan i Marianna Janina, siedzą od lewej – Edward Stanisław, Zofia, Sabina, Franciszek i Władysław.

Córka Edwarda Stanisława, Ewa Gruszczyńska-Pachucka (17.08.1942, Lwów) i jej małżonek Andrzej (18.04.1940, Warszawa) zamieszkali w Warszawie.

Córka Ewy, Joanna Pachucka vel Pachner (19.06.1969 Warszawa) – nazwisko zmieniono – wyszła za mąż za Kanadyjczyka MacLeod (27.02.1962, Toronto). Urodziła syna Camerona Aleksandra w Toronto 27.09. 2001 roku. Syn Ewy, Michał Pachucki (24.01.1972 Warszawa) wziął ślub w Paryżu 11.10.1997 roku z Myer Shelley (04.10.1974 Front Royal, Virginia, USA).

Córka Edwarda Stanisława, Anna Gruszczyńska (24.04.1945, Lwów – 1995, Lublin, rak wątroby), urodziła mężowi Zbigniewowi Kolembie syna Mirosława (26.02.1978, Lublin) i córkę Olgę (06.07. 1981, Lublin).



39. Młodzież rodziny Z. i F. Gruszczyńskich z przyjaciółmi. W pierwszym rzędzie siedzą: drugi po lewej Edward Stanisław Gruszczyński, czwarty Antoni Bardyga i koleżanki N.N., w drugim rzędzie stoją od lewej: czwarta Maria „Marta” Przybylska i szóstą Marianna Janina Gruszczyńska, a ponad nią Władysław Gruszczyński, pozostałe osoby N.N. (foto z przełomu lat 20-tych, 30-tych XX wieku)

Kolejna córka Edwarda Stanisława, Barbara Gruszczyńska (22.07.1948 Lublin) z mężem Janem Bukowskim (06.10. 1945, Lublin – 13.03. 1982, Warszawa) mają córki: Katarzynę (13.02.1973, Lublin) i Magdalenę (09.11.1975, Lublin).

Katarzyna Bukowska c. Barbary ukończyła Wydział Prawa i Administracji na Uniwersytecie im. Marii Curie – Skłodowskiej w Lublinie. Po studiach przez kilka lat pracowała w TV HBO w Warszawie, następnie przez trzy lata w HBO w Budapeszcie. Po powrocie do kraju została zatrudniona w TV Puls, a od dwóch lat w TV 4. Mąż Katarzyny Piotr Kordal (28.03.1972, Nowogród k/Łomży) ukończył szkołę policyjną i jest dzielnicowym. Katarzyna urodziła 22,05.2012 roku córkę Janinę Kordal.

Młodsza córka Barbary, Magdalena ukończyła Wydział Pedagogiki i Psychologii – kierunku Pedagogika Opiekuńczo – Wychowawcza na UMCS w Lublinie, a następnie studia podyplomowe w zakresie terapii dla dzieci z dysleksją i nauczanie początkowe. Pracuje w szkole. Mąż Magdaleny , Piotr Pelc (07.01.1973 r. w Zamościu) uzyskał dyplom Wydziału Stomatologicznego Akademii Medycznej w Lublinie i pracuje jako lekarz stomatolog. Magda i Piotr Pelcowie mają syna Antoniego (16.09.2010).

Syn Zofii Gruszczyńskiej z domu Rybus, Władysław (16.10.1908, Bielice – 04.09.1939, Toruń) zginął podczas wojny i pochowany został na cmentarzu garnizonowym. Jego żona, Maria „Marta” Przybylska (17.01. 1911 – 03.05. 1999, Bydgoszcz) urodziła po śmierci męża Władysława syna Władysława Jana 27 marca 1940 r. w Chorzelowie k/ Mielca.



40. Władysław Gruszczyński syn Władysława (foto r. 1942)

Władysław Jan ożenił się z panną Krystyną Kobas (13.08.1944, Uniejów). Ich syn Piotr Gruszczyński (11.07.1969) i córka Monika (18.04.1974) urodzili się w Bydgoszczy. Monika wyszła za mąż za Sebastiana Mileja (18.12.1974) i w Poznaniu urodziła im się córka Zuzanna Krystyna (10.12.2000).

Syn Zofii, Mieczysław Gruszczyński zmarł jako trzyletnie dziecko (1910 – 1913). W roku 1913 urodziła się Lucyna Gruszczyńska i po urodzeniu zmarła.

Córka Zofii Gruszczyńskiej z Rybusów, Marianna Janina z Gruszczyńskich (22.02. 1911, Bielice – 2009, Bydgoszcz) wyszła za mąż za Antoniego Bardygę (28.06.1906 – 28.06. 2001, Bydgoszcz) z Terebińca powiatu Hrubieszowskiego.



41. *Marianna Janina z Gruszczyńskich i Antoni małż. Bardygowie z rodziną – siedzą Marianna, Janina i Antoni Bardygowie, stoją od lewej – córka Anna Teresa Jenzura, syn Ryszard Wincenty Bardyga, córka Barbara i zięć Andrzej Drygasowie, synowa Helena Bardyga, zięć Andrzej Jenzura i córka Maria Szarko - podczas złotych godów w roku 1984*

Wujek Antoni był nauczycielem w szkole młynarskiej w Bydgoszczy. Gdy byłem małym chłopcem, tata często mi powtarzał, że pojedę się uczyć młynarstwa pod okiem wujka Bardygi. Wujostwo posiadali duży secesyjny dom trzypiętrowy przy ulicy Uroczej 1 w Bydgoszczy. Obecnie w domu tym zamieszkuje z rodziną ich córka Anna Teresa urodzona 19.06.1939 w Olszewce z mężem Andrzejem Jenzurą (20.03.1936) z Warszawy.



42. *Marianna Janina z Gruszczyńskich i Antoni małż. Bardygowie z rodziną córki Anny Teresy – siedzą Marianna, Janina i Antoni Bardygowie – od prawej stoją – zięć Andrzej, wnuk Jacek, córka Anna Teresa i wnuk Marek (srebrne gody Anny Teresy i Andrzeja Jenzurów 25.12.1987 roku)*

Anna Teresa i Andrzej Jenzurowie wychowali dwóch synów, Jacka (14.06.1963, Bydgoszcz), kawalera i Marka (14.07.1964). Marek Jenzura z żoną Ewą z domu Ziółkowską (19.07.1967, Bydgoszcz) i ich synkiem Marcinem (11.01.1990, Bydgoszcz) mieszka w Bydgoszczy.

Syn Marianny Janiny, Ryszard Wincenty Bardyga, urodzony w Poznaniu 03.04.1936 i jego żona Helena Białek, urodzona 25.07.1940 w Świeciu, mają córkę Justynę (05.12.1964, Bydgoszcz), która poślubiła Dariusza Skupina (1962, Bydgoszcz). W tym związku małżeńskim uro-

dziło się dwóch synów, Igor Skupin (03.12.1987, Bydgoszcz) i Marcin Skupin (17.06.1995, Bydgoszcz).

Adam Bardyga, syn Ryszarda (18.07.1975, Bydgoszcz) zamieszkuje w Bydgoszczy z żoną Moniką Agnieszką z domu Mitek (22.12.1977, Bydgoszcz) i córką Martyną Marią urodzoną 27 maja 2002 roku w Bydgoszczy.

Maria Bardyga c. Antoniego urodzona 21 czerwca 1947 roku w Płonkówku k. Inowrocławia pojęła Bogdana Szarko (4.03.1944 – 01.03.1981, Bydgoszcz)

Ich syn Piotr Szarko (30.05.1967, Bydgoszcz), który ożenił się z Anną Perlik (30.08. 1970) posiada dwoje potomstwa: Bartosza (25.10.1991, Bydgoszcz), i Paulę (12.12.1992, Bydgoszcz).

Córka Marii, Izabela Szarko (05.02.1974, Bydgoszcz – 2002, Bydgoszcz) wyszła za mąż za Krzysztofa Szmagiela (1970) 05.10.1996 roku, a następnie się rozwiodła. Ponownie zawarła związek małżeński z Rafałem Michalskim (?).

Córka ciotki Marianny Janiny, Barbara Bardyga (12.01.1949, Płonkówka k/Inowrocławia – 2000) z mężem Andrzejem Drygasem urodzonym w Poznaniu 25.03.1947, mają syna Pawła (19.04.1986, Bydgoszcz).

Następne dziecko Katarzyny Śmiałek-Rybus to córka Marianna z Rybusów Żaczek (1884, Bielice – 1905). Ona i jej mąż Mateusz Żaczek (1872, Chruśle – 1940), zamieszkali w Chruślach/Kiernozi .

Ich córka Katarzyna Żaczek-Mikołajczyk (01.12.1902, Chruśle gm. Kiernozia – 17.02. 1967, Łowicz) wyszła za mąż za Władysława Mikołajczyka (1899, Sanniki – 1936).

Katarzyna Mikołajczyk urodziła czterech synów. Trzech zmarło w dzieciństwie. Jej syn Jan Mikołajczyk (02.06.1936, Brodne, gm. Kiernozia) ożenił się ze Stanisławą Teresą Józwick (1940, Sanniki, pow. Gostynin).

Rybus Roch syn Piotra i Katarzyny z domu Śmiałek (1880, Bielice – 1912, Dąbrowa Górnicza), nauczyciel ożeniony z Lucyną Przedworską (1882, Łęczycza – 04.10.1960, Łódź), urodziwą córką rzeźnika z Łęczycy, mieszkał w Łodzi. Oboje zostali pochowani na cmentarzu przy ul. Ogrodowej k/kaplicy.

Ich córka Halina, mniszka (1904, Dąbrowa Górnicza), zmarła w roku 1939 w Szpitalu Psychiatrycznym w Warce.

Druga córka Marianna (Maryla) Stankiewicz z d. Rybus (13.03.1906, Dąbrowa Górnicza – 04.10.1960, Łódź) i jej mąż, Aleksander Stankiewicz (18.02.1896, Trojanów pow. Słuck – 24.07.1984, Wrocław), wykładowca akademicki, który zmarł we Wrocławiu na zawał serca – pozostawili dzieci.

Syn Marianny Stankiewiczowej – Witold Stankiewicz, syn Aleksandra (15.03.1928, Kwiatkowie – 10.1976, Łódź) ożenił się z Marią Habryn (02.02.1929, Wrocław).

- Paweł s. Witolda (11.07.1962, Wrocław) i jego żona Małgorzata Sobik (20.11.1962, Wrocław) z dziećmi Łukaszem (19.11.1981) i Klaudią (13.06.1985) mieszkają we Wrocławiu.
- Włodzimierz s. Witolda (26.02.1967) z małżonką (1967) poślubioną w roku 1990 mają dwie córki bliźniaczki.
- Córka Aleksandra Stankiewicza, Henryka Teresa (25.04.1930, Wrzeszczewice) wyszła za mąż za Mariana Roberta Glutha (31.03.1933, Kraków – 30.08.1993, Łódź).
- Syn Aleksandra, Włodzimierz Kazimierz Stankiewicz (04.05.1942, Wrzeszczewice, pow. Łask – 16.02.1994, Łódź) z żoną Marią Jolantą z domu Kazanecką (21.11.1951, Łódź) i ich córki bliźniaczki urodzone w Łodzi 21.07.1975 roku, Aleksandra i Tatiana, (jedna zmarła w dzieciństwie) oraz Małgorzata Magdalena (09.05.1979, Łódź) mieszkali w Łodzi..

Syn Rocha Rybusa, Henryk Roman (03.08.1907, Dąbrowa Górnicza – 13.07.1974, Wiedeń) był księdzem, profesorem, historykiem kościoła (Polski Słownik Biograficzny, Tom XXXIII). Ksiądz Rybus kilkakrotnie odwiedzał rodzinę w Retkach.

Córka Rocha, Janina ur. w roku 1908 po roku zmarła w Dąbrowie Górniczej.



43. *Henryk Rybus s. Rocha, bratanek Zofii Gruszczyńskiej, później ksiądz*

Czesław Jan Gruszczyński s. Franciszka i Zofii z domu Rybus, ur.14.06.1917 w Bielicach (dawniej Rybusowo), zmarł w Zielonej Górze 12.02.1998 w wypadku drogowym. Ożenił się z Romualdą Weroniką Sieczkowską z zawodu – hodowcą (ur. 17.04.1923 roku w Rudzie Pabianickiej, zmarła w Olszewce 28.07.1992 i pochowaną na cmentarzu katolickim parafii św. Wawrzyńca w Nakle n/Notecią).

Córka Czesława Jana ,Teresa Wincenta Turska z d. Gruszczyńska (12.01.1946, Orłowo k/Inowrocławia – 12.03.2000, Poznań), dr inż. nauk rolniczych (WSR, Poznań), po śmierci z powodu zawału serca została pochowana na cmentarzu parafialnym w Skórczewie k/Poznania. Pozostali w bólu jej mąż Wojciech Turski ur. 26.03.1946 Kucice k/ Płońska – technik mechanik samochodowy i córka Anna Natalia Turska (20.10.1983, Poznań).

Syn Czesława Jana, Michał Gruszczyński (10.02.1951, Olszewka) pojął za żonę Grażynę Marię Pipowską (11.03.1954, Bydgoszcz). Dwoje ich dzieci to Paweł (17.08.1978, Poznań) i Magdalena (07.07.1980, Poznań).

Następny syn Czesława Jana, Paweł Stefan (14.09.1953, Nakło n/Notecią) z zawodu mgr inżynier chemik, w roku 1976 ożenił się z Elżbietą Mandrysz (14.06.1954, Nowa Ruda), a ich dzieci to Hanna Agata (09.08.12.1979, Poznań), Szymon Piotr(05.05.1983, Poznań) i Sabina Maria (05. 05.1983). Paweł Stefan Gruszczyński zainicjował zbieranie danych osobowych przodków i potomków rodziny Śmiałków.

Młodszy syn Czesława Jana, Tomasz, inżynier rolnik (11.05.1955, Nakło n/ Notecią – 1998, Nakło n/Notecią), ożenił się z Darią Teresą Kubicką (15.10.1954). Z małżeństwa tego urodziło się dwóch synów, Mateusz (19.04.1981, Nakło n/ Notecią), technik gastronomii i Szymon Gruszczyński (23.05.1983).

Następny syn Czesława Jana, Edward Ignacy urodzony w Wyrzysku (22.11.1957), mgr inż. hutnik po AGH Kraków z żoną Dorotą Teresą Pisarską (31.07.1961, Nakło n/ Notecią) mają dwóch synów: Macieja (16.09.1984) i Adama (14.01.1986), urodzonych w Nakle n/Notecią.

Córka Czesława, Romualda Teresa (30.12.1958, Nakło n/Notecią) wzięła ślub z Jerzym Sobeckim (07.12.1953, Bydgoszcz). Mają synów: Jakuba (04.01.1981, Nakło n/ Notecią) i Krzysztofa (10.06.1983, Poznań)

Czesław Jan Gruszczyński w roku 1995 pojął za żonę w Zielonej Górze Krystynę Piaskowską (17.02.1926, Poznań).



44. Sabina z d. Gruszczyńska c. Zofii i Franciszka z mężem Antonim Robińskim i z dziećmi Wojciechem i Marią. (foto około roku 1953).

Gruszczyńska Sabina, córka Franciszka i Zofii z domu Rybus, siostra Czesława (07.11.1920, Bielice) wyszła za mąż za prawnika, Antoniego Robińskiego (02.01.1913, Pleszew – 25.10.1983, Kórnik).

Ich syn, Robiński Wojciech (12.01.1948, Nakło n/ Notecią), mgr inż. elektronik, pojął za żonę Ewę Kopeć (13.12. 1948), mgr biologii i mają córkę Joannę (28.08. 1978, Poznań).

Córka Sabiny Maria Robińska urodziła się w Nakle n. Notecią 04.06.1950 roku i mieszka z matką w Kórniku.

Część 2. Jedynak

2.1 Retki (listopad 1929 rok)

Po ciężkiej zimie roku 1928/1929 i upalnym lecie nadeszła późna dżdżysta jesień. Zimny wiatr pędził błotnistą drogą wiejską i pogwizdywał jak chłopak sowizdrzał. Czasami wydawało się, że brudna maź pryska spod jego dziurawych chodaków. Wierzby i topole rosnące na południowej stronie drogi szumiały jakby kołysankę do snu płaczącemu dziecku. Zaczynał się okres ciężkiego powojennego kryzysu na świecie. Na prostym, ponad kilometrowym odcinku drogi od początku do końca wsi nie było żywego ducha. Zapewne mieszkańcy siedzieli przy stołach i spożywali obiad. Tutaj czas posiłków regulowały zajęcia gospodarskie, obrządek przy zwierzętach i prace polowe. Przed młynem motorowym Śmiałków, który mrucał monotennie, stały trzy furmanki chłopskie. Wyprężone konie okryto derkami i uwiązano w murowanej szopie dobudowanej do młyna, aby nie marzły z powodu zimna i padającego śniegu z deszczem. Ze spoconych opasłych gniadych i kasztanowatych ardenów, sprowadzonych przed laty na ziemię łowicką, buchały chmury pary. W Ziemi Łowickiej upodobano sobie tę rasę ciężkich pociągowych koni. Rolnicy hodowali te silne zwierzęta nie tylko do pracy na polu, lecz również do wyjazdu do miasta i w święta do kościoła. Dobrze utuczony koń stanowił najlepsze świadectwo dbałości gospodarza i jego zamożności. Księżacy to grupa etniczna ludzi dumnych, pracowitych, którzy kochają swoją ojcowiznę i lokalne zwyczaje.

Z domu stojącego w szeregu na północnej stronie drogi, jak niemal wszystkie domy we wsi, wybiegła dziewczynka w serdaku i drewnianych trepach. Na środku drogi trep ugrzązł jej w błocie. Szybko poprawiła zawiązanie łowickiej, kwiecistej chustki na głowie, brudną stopę wsunęła w drewniak i po schodkach wpadła na rampę przy młynie. Otrząsnęła z ubrania rozpuszczający się śnieg i z trudem otworzyła ciężkie młyńskie drzwi. Miała pewnie niewiele ponad dziesięć lat. Wnętrze wypełnione było białą chmurą kurzu. Poszukała ojca, rzuciła mu się na szyję i głośno krzyknęła: tatusiu, mamy braciszka! W tym ciągłym łoskocie maszyn i urządzeń młyńskich głos Łodzi usłyszał nawet młynarczyk p. Panuszewski. Szybko rzucił się do szefa i gratulował mu syna. Pan Stanisław wyrwał się z objęć młynarza i choć był łysy, nie zważając na mróz, z gołą głową i rozpiętą marynarką pobiegł do domu.

Tutaj słyhać było, wśród ogólnej wrzawy zgromadzonych kobiet, krzyk noworodka. Ojciec nie bacząc na sprzeciw babki Sosnowskiej, wiejskiej położnej, porwał dziecko i tak ścisnął i całował, że Łodzia obawiała się, aby nie udusił braciszka. Przybiegły wcześniej dwie bratowe i sąsiadka pani Burzyńska. Wszystkie cieszyły się wraz z położnicą panią Józefą i panem Stanisławem z jedynaka. W drzwiach drugiego pokoju stały onieśmiałe trzy młodsze siostry Łodzi, Felunia z ciemnoblonde lokami na głowie, nieco jaśniejsza Marysia oraz najmłodsza, jasnowłosa z grubymi warkoczami do pasa, sześciolatnia Wandzia. Dziewczynki nie okazywały większej radości. Można powiedzieć, że czuły się rozczarowane z powodu narodzin chłopca.

Stryjna Jankowa odebrała synka ojcu. Zaczęła dziecko uspakajać, usiadła i zaczęła chłopca karmić własną piersią. W sierpniu urodziła córeczkę Marysię i miała w piersiach bardzo dużo pokarmu. Postanowiła dać odpocząć bratowej po porodzie i zająć się noworodkiem.

Szczęśliwy ojciec Stanisław Śmiałek odziedziczył po przodkach zamiłowanie do młynarstwa. Myślał, aby wychować swojego jedynaka na młynarza i przekazać mu rodzinny majątek. Sam po ukończeniu rosyjskiej szkoły pomagał z wielkim zapałem ojcu przy pracy w wiatraku. Później jako nastolatek budował murowany motorowy młyn ojca i terminował w nim od sierpnia

roku 1913. To cudo ówczesnej techniki wyposażone zostało w cztery pary walców od Wajgta z Łodzi i Pałaszewskiego z Warszawy, mielących żyto i pszenicę oraz perlak do kaszy jęczmiennej. Zboże do przemiału na mąkę najpierw było poddawane oczyszczeniu na specjalnej maszynie. Twardy drobnoziarnisty kamień ułożony na podłożu glinianym służył do produkcji kaszy jaglanej z prosa, duże dwa gruboziarniste kamienie młyńskie tarły owies i mieszankę różnych zbóż na ospę dla inwentarza żywego gospodarstw chłopskich. Wszystkie te maszyny za pomocą pasów podłączono do transmisji na trzech kondygnacjach budynku. W jednym z dwóch oddzielnych pomieszczeń nie połączonych z halami produkcyjnymi znajdował się silnik długości ponad cztery metry z ogromnym kołem zamachowym o średnicy około dwóch metrów i z całą masą poruszających się różnych części. Tę maszynę obsługiwał Leon Madanowski. Często do mechanika opiekującego się tą maszyną przychodziła mała Łodzianka i pytała z ciekawością pana Leona o mechanizm działania tej maszyny. W drugim pomieszczeniu połączonym drzwiami znajdowały się przeróżne urządzenia i do sufitu sięgający piec, do którego mechanik co pewien czas dosypywał koks, przesyłany koleją z Koksowni Walenty do stacji Jackowice odległej o około pięć kilometrów.

Ojciec dobrze zorganizował pracę w młynie toteż mógł dojeżdżać w tygodniu do dzierżawionego wraz z p. Adolfem Wajblem młyna w Kiernozi. Małżonkowie Śmiałkowie wyjeżdżali na kilkudniowe wycieczki rowerowe. Pani Józefa Śmiałkowa zawsze towarzyszyła małżonkowi pozostawiając dzieci pod niemal matczyną opieką p. Marii Burzyńskiej. Panowała ogólna radość z wolności i rozwijającej się gospodarki w kraju. Nowe szkoły rosły jak grzyby po deszczu. Likwidowano pozaborowy analfabetyzm. Rozwijały się kolejnictwo i COP - Centralny Okręg Przemysłowy. Powstania Wielkopolskie i Śląskie ustaliły granice zachodnie Polski. Na wschodzie prerażała długa granica ze Związkiem Radzieckim Cieszyńska i wileńszczyzna, rodzinne strony Marszałka Piłsudskiego. Wywalczony Lwów stanowił bardzo ważny ośrodek kultury i nauki z przodującą w świecie biochemią prof. Jakuba Parnasa, Politechniką Lwowską i uroczą stacją radiową ze Szczepciem i Tońciem. Pan Stanisław cieszył się z zainteresowania najstarszej córki zawodem młynarskim. Myślał, że młyn odziedziczy córka, skoro przez prawie sześć lat od najmłodszej Wandzi nie narodził się tak zwany „naśladnik „. Po urodzeniu syna był pewny, że młyn pozostanie w rodzinie Śmiałków. Już planował, że wyśle go na naukę do szwagra Antoniego Bardygi w Bydgoszczy.



45. Mieczysław Śmiałek s. Stanisława, foto z lat 1933 i 1941

Stanisław zdobył dokument mistrza młynarskiego w Cechu Młynarskim w Łowiczu. Młyn pod jego kierownictwem prosperował znakomicie. Przemiał zbóż trwał krótko, a dobre gatun-

kowo mąki ściągały klientów z okolicznych wsi, a nawet z odległych miejscowości powiatów gostyńskiego i plockiego, Dobrzykowa, Słupna czy Maszewa. W cechu młynarskim w Łowiczu zdobył uznanie kolegów. Chory pan Beder właściciel sąsiedniego młyna z odległej o około dziewięć kilometrów osady Kiernozi wydzierżawił mu połowę podobnego jak w Retkach młyna motorowego. Jego kuzyn pan Adolf Wajbel jako drugi dzierżawca prowadził administrację młyna, a Stanisław Śmiałek jako specjalista miał za zadanie czuwać nad sprawami przemiału zbóż i jakością mąki. Zadanie to miało wpływ na koniunkturę młyna. Szczególnie ważne było odpowiednie kolejne ułożenie płatów jedwabnej gazy o różnej wielkości oczek w cylindrach przesiewających mąkę. Umiejętność odpowiedniego przykręcenia wałów stalowych decydowała o szybkim zmieleniu i dobrej jakości otrzymanego produktu. Gospodynie wypiekające chleb, bądź placki, przygotowujące domowy makaron i kluski uważano za najbardziej ostrą grupę krytyków. Mężowie musieli się nasłuchać narzekania, dlaczego nie dopilnowali młynarczyka, aby w odpowiednim momencie przemiału odebrał ładniejszej mąki nie psując jakości całej partii. W tym czasie oznaką zamożności było jedzenie jasnego pieczywa. Ziarno na mąkę razową przeznaczali zwykle ubodzy. Stanisław Śmiałek mógł być tylko raz w tygodniu w Kiernozi, ponieważ nie mógł opuszczać często rodzinnego młyna. Wiedział tylko tyle, że rodzina Bederów – osadników niemieckich posiada opinię ludzi uczciwych. Wziął także pod uwagę, że dorastające dzieci będą miały w Kiernozi mieszkanie przy młynie i siedmioklasową szkołę powszechną. W Retkach działał w szkole czteroklasowy program nauki.

Ojciec mój Stanisław był mężczyzną pełnym energii, człowiekiem dobrze czującym się w warunkach ówczesnego kapitalizmu. Posiadał wprawdzie połowę ojcowizny, lecz brat Janek był bogatszy o posag swojej żony. Sam wprawdzie ożenił się pod koniec pierwszej wojny światowej z córką bogatego właściciela wiatraka i włóki ziemi, Józefą Olbianką z Przemysłowa, lecz w tym czasie nie dokonano żadnych zapisów. Tymczasem cztery córki potrzebowały dobrych posagów. Miał cechy przywódcy, wymagającego ale sprawiedliwego, prawego i uczciwego, nie tylko dobrego gospodarza, lecz także troskliwego ojca. U niego słowo tak znaczyło tak, a nie zdecydowanie nie. Dzieci wiedziały, gdzie jest ich miejsce, czego im nie wolno robić. W chwili zagrożenia łapały się kiecki mamusi, która je jak kwoka chroniła przed karą. Od żony Stanisław nie wymagał żadnego majątku. Pani Józefa też nie żądała od swoich rodziców należnego posagu. Promieniowała szczęściem rodzinnym, radosna i serdeczna dla ludzi. Wspólnie odmawiała z dziećmi pacierz wieczorny, ciągle wtrącając gwarę łowicką. Podczas burzy wszyscy domownicy klękali do różańca, a w niedzielę powozem jeszcze z czasów carskich zaprzężonym w dwa siwki jechali do Złakowa Kościelnego na sumę.

Pani Józefa zawsze długo dochodziła do zdrowia po porodach. Jedynekowi nadano imię Mieczysław. Siostry wybrały to imię dla brata, ponieważ bardzo lubiły brata ciotecznego Miecicia Anyszkę. Ojcem chrzestnym został Józef Śmiałek, stryjeczny brat ojca, a matką chrzestną pani Maria z Makowskich Tarkowa, żona sąsiada młynarza z Osmoleńca koło Kiernozi. Ubrane w pasiaki łowiczanki w złakowskim kościele oglądały strój parafianki z Kiernozi. Osada ta niegdyś nie mieściła się w granicach Księstwa Łowickiego. Po latach włączona została jednak do powiatu łowickiego. Widoczne były tu wpływy kultury księżackiej u kobiet. Księżanki nosiły usztywnione wykrochmalone listwy, które nadawały krynolinowy charakter wełnianej kiecce sięgającej nieco poza kolana. Dolna część wełniaka w zależności od zamożności obszyta była od dołu szerszym lub węższym aksamitnym pasem haftowanym lub wykładanym paciorkami w bukiety różnych kwiatów. Wyżej przyszywano kolorową aplikację przypominającą kwiaty i złociste lub srebrzyste taśmy ze złotymi cekinami i różnobarwnymi paciorkami tak zwane „tarsy”. Do wełniaka był przszyty aksamitny stanik haftowany lub wykładany koralikami w kwiaty. Fartuchy podobnie utkane w pasiasty różnokolorowy układ wełen ozdabiano takimi samymi ślicznościami jak wełniaki. W tamtym czasie dominował kolor zielonych łąk ustrojony różnokolorowymi pasmami wełny jak kwiaty ostróżek, jaskrów, bławatków. Starsze łowiczanki nosiły wełniaki z przeważającym kolorem wełny pomarańczowej tak zwanej dubeltowej, a jeszcze starszej generacji kiecki, fartuchy i zapaski barwy ceglasto czerwonej z paskami wąskimi w

innych barwach. U państwa Wegnerów w Łowiczu przy trójkątnym tzw. Nowym Rynku (im. gen. Jana Kilińskiego) farbowano wełnę o różnych odcieniach. Trudno zapamiętać całą paletę barw wełen. Na przykład kolor zielony dzielono na : zielony, zieloniutki, trawkowy, zgniły, czyli zgniłozielony, butelkowy, wściekły i wścieklutki, jakby przejście zielonego w błękitny, oliwkowy, seledynowy i taki jeszcze delikatniejszy seledyn tak zwany wiatrowy. Kolor niebieski nazywano jasnym lub jaśniutkim, ale miał odcienie chabrowego, niebieskiego, niebiesciutkiego, błękitnego, pawiego. Żółty, żółciutki, cytrynowy, sracuszkowy, fioletowy, ostróżkowy, czerwony, czerwoniutki, malinowy, wiśniowy, bordowy, makowy, purpurowy, kardynalski, amarantowy, ponadto różowy i różowiutki, karmelkowy jakby odmiana cielistego, piaskowy, brązowy, tabaczkowy, kawowy, biały, orzechowy, szary czyli siwy lub siwiutki, stalowy, czarny, granatowy i wiele jeszcze innych odcieni.



46. *Oberek w wykonaniu łowickiego młodzieżowego zespołu tańca (kierownik mgr Stanisław Wielec)*

W parafii kiernozkiej kobiety nosiły tylko wełniane pasiaste fartuchy w kolorach pastelowych z dużą ilością pasów białych i jedwabne plisowane spódniczki udekorowane pojedynczymi kolorowymi tasiemkami. Tutaj tak jak w stroju łowickim dominowały wełniane kwieciste chusty. Kiernozianki nosiły białe i kolorowe bluzeczki. Natomiast łowiczanki miały bufiaste haftowane koszule pod stanikiem wełniaka, albo koszule z szerokimi rękawami haftowane i zakończone koronką lub haftem Richelieu. Oczywiście, księżanki uważają te stroje za najpiękniejsze w całej Polsce, a ja także potwierdzam tę opinię. Pasiaki łowickie usztywnione specjalną krochmaloną listwą sterczały pofałdowane pękato. Na powierzchni fałdu dominował odpowiedni wybrany kolor stroju a w głębi dobrane szersze i węższe pasma odpowiednich barw. Wiosną i jesienią kobiety podczas zimna i złej pogody okrywały się dużymi, kolorowymi, kraciastymi chustami z cienkiego materiału wełnianego. Podczas zimy podobne chusty wykonane były z materiału grubszego, oraz czarne lub zielone duże, podobnie jak tamte z frędzlami chusty z grubszego materiału z wełny boucle.

Mężczyźni nosili wełniane spodnie tkane na krosnach w szerokie pomarańczowe pasy, przedzielone wąskimi, różnobarwnymi, białe koszule, czarne kaftany i buty z cholewami. Ubierali się ponadto w białe lub czarne sukmany a podczas zimy zakładali brązowe kozuchy z długim czarnym włosiem. Na uroczystości wkładano na głowę sztywne czarne kapelusze ozdobione różnymi świecidłami.

Mieczysław pozostawał pod opieką kochających rodziców i sióstr w Retkach. Rósł ładnie, pyzaty, z pałąkowatymi nóżkami, lecz ciągle grymasił. Przez kilkanaście miesięcy miał nawracające zapalenie spojówek. Po długim leczeniu u kilku lekarzy schorzenie ustąpiło. Wreszcie samodzielnie zaczął stawać i stawiać pierwsze kroki, ku radości rodziców i sióstr. Pewnego razu mama kupiła mu w Łowiczu nowe śpioszki. Kochające cztery siostry ubierając go na stole za-

gapiły się i dziecko upadło na podłogę. Mama i siostrzyczki ciężko przeżyły ten na szczęście niegroźny wypadek. Nie było to pierwsze niebezpieczne zdarzenie. Siostry miały obowiązek usypiać braciszka i bujać go w specjalnej kolebce na biegunach. Właśnie wypadł dyżur ośmioletniej Marysi. Dziecko długo nie usypiało, gdy tymczasem reszta dzieciarni bawiła się na pobliskiej łące przed domem Burzyńskich. Marysia tak mocno bujała kołyskę, że ta wywróciła się. Na szczęście dziecko nie wypadło, ponieważ pierzynka była zawsze przytrzymywana przez krzyżowo umocowane mocne sznury. Prerażona dziewczynka przywołała starszą o rok siostrę Felunię, która pomogła jej odwrócić kołyskę. Za utrzymanie w tajemnicy tego zajścia obiecała Marysia siostrę wynagrodzić. Szybko nastąpiło spełnienie obietnicy, ponieważ Marysia, bawiąc się piłką z Felunią w kuchni, upadła na wystawiony garnek z ugotowanymi ziemniakami i bardzo się sparzyła. Chorą odwiedzały ciotki i znajome. Ciocia Marysia Perzynowa z Załusina obdarowała Marysię dużą torbą cukierków, których część otrzymała w tajemnicy Felunia. Przyrzeczenie zostało spełnione. O tym wydarzeniu moje siostry opowiadały dopiero po kilkunastu latach. Najstarszą Lodzię, kiedy miałem kilka miesięcy, w roku 1930, na wniosek nauczyciela z Retek wysłano do piątej klasy do szkoły w Złakowie Kościelnym. W Zdunach odległych o 4 kilometry od Retek była siedmioklasowa szkoła, ale istniały tymczasowe utrudnienia dojazdu do niej. Regulowano bieg rzeki Słudwi i kończono budowę solidnego mostu i bitej drogi przez trzęsawiska. Most ten na rzece Słudwi posiada konstrukcję metalową podobnie jak odległy o kilka kilometrów most na tej rzece w Maurzycach. Ten na trasie Warszawa – Poznań jest pierwszym na świecie mostem, spawanym elektrycznością. Pan prof. Bronisław Sałuda radził, aby zdolną Lodzię dalej kształcić tymczasem przez jeden rok w pięcioklasowej szkole w Złakowie Kościelnym. Lodzia ukończyła następnie naukę w Szkole Powszechnej w Zdunach. Później pomagała ojcu przy buchalterii w młynie. Kiedy Felunia do piątej klasy skierowana została do szkoły w Kiernozi, ojciec wysłał Lodzię do pracy w kiernożkim młynie i do opieki nad młodszą siostrą. Otrzymały mieszkanie w domu p. Bederowej na pierwszym piętrze przy Rynku Kopernika. Lodzia jako najstarsza bardzo dzielnie opiekowała się młodszym rodzeństwem. Była bardzo roztropna. Nie pozwoliła krzywdzić swoich sióstr. Była odważna, nawet chłopcy podporządkowywali się jej ze względu na jej silną osobowość. Potrafiła zacząć się i natrzeć im uszu. Po roku do Kiernozi przybyła również Marysia, a po dwóch następnych latach najmłodsza Wandzia. Dziewczynki były dobrymi uczennicami, ale najzdolniejsza z nich okazała się Wandzia. Nie przykładła się do nauki, ale miała same piątki. Mały Miecio pozostawał sam w Retkach przy rodzicach. Początkowo bawił się tylko z rówieśniczką, siostrą stryjeczną Marysią oraz z bratem stryjecznym Fransiem. Zabawki przywoził czasami dzieciom stryj ksiądz. W trzech gospodarstwach Śmiałków po pradziadku Antonim znajdowały dzieci wiele zakamarków i sprzętu do zabawy. Trzy bryki i powozy w dziecięcych główkach zmieniały się w zamkowe korytarze i komnaty. Młyn ze schodami od piwnicy po piętro z poręczami do zjeżdżania i kojce wypełnione różnego rodzaju ziarnami zbóż do skoków w dal dawały możliwości organizowania zawodów sportowych. Stodołę z ogromną ilością snopów zbóż ułożonych na różnych poziomach w sąsiadkach traktowaliśmy jak skocznię. W lecie zabawa odbywała się nad rzeką. Brali w niej udział tylko rozebrani na golasa kilkuletni chłopcy. Wieś położona między odnogami dwóch rzek miała znakomite warunki do kąpieli i nurkowania. Uregulowane koryto rzeki Słudwi i wysoki poziom wody pozwalał na skoki z burty. Podziwiałem odwagę i wspaniałe nurkowanie oraz skoki do wody mojego przyjaciela Kazia Wójcika. Płytsza ale bardziej wartka rzeka Nida przecinająca tak zwane przydatki dawała możliwość łapania rękami ryb. Do głębszego torfiastego miejsca wskakiwało kilkunastu chłopców, mąciło wodę i po chwili wybierało dorodne szczupaki, które wypływały na powierzchnię. Te drapieżne ryby miały w tym miejscu wiele pożywienia z kolonii karasi gnieżdżących się w mulistym dnie. Nikt tam nie pilnował chłopców. Na szczęście nikt nie utonął i nic złego się nie stało, poza czasami koleżeńską bójką, na przykład z powodu przedrzeźniania pałakowatych nóg, lub wyśmiewania tchórzostwa. Te niemal codzienne wodne igrzyska w borowinowej kąpieli zakończyły się u mnie jednego lata kuracją czyraków, piekielnym zastrzykiem szczepionki trzęsącej całym ciałem. W tym czasie wszyscy wiedzieli, że jest to

najskuteczniejsze leczenie starszego felczera p. Antoniego Sokoła z Gminnej Spółdzielni Zdrowia w Zdunach. Tam po opłaceniu rocznej składki można było korzystać z wizyt lekarskich w gabinecie lub wysłać pojazd konny po p. felczera na wizytę domową. Korzystano też z tak zwanej pomocy dentystycznej polegającej na usuwaniu mleczych bądź spróchniałych zębów. Pan Sokół przyjeżdżał do szkoły w Retkach na szczepienia okresowe dzieci. Szczepienia nie należały do miłych zdarzeń. Pewnego razu uparłem się, aby pozostać w domu. Spotkała mnie pierwszy i ostatni raz cielesna kara, kilku klapsów wymierzonych przez ojca w pewną część ciała. Podziękował. Podczas szczepienia za odwagę i wzorowe zachowanie zostałem wyróżniony przez pana felczera.

Ważnym miejscem moich zabaw był ubogi domek państwa Burzyńskich a właściwie jeden pokój w przerobionej oborze z małym okienkiem i pomieszczeniem dla kóz i kur. Pan Burzyński był wyrobnikiem. Nie posiadał własnego domu ani ziemi. Pracował tylko okazjnie u gospodarzy przy różnych pracach polowych lub w gospodarstwie. Za mieszkanie nie płacił panu Anyszce, lecz odrabiał pewną ilość dniówek w jego gospodarstwie. Cierpiał ciągle na stan zapalny w jednej nodze, czego się nabawił w czasie pracy przy regulacji koryta rzeki Słudwi. Była to państwowa inwestycja osuszania bagien. Odzyskano wprawdzie urodzajne łąki obfitujące w paszę dla bydła, ale liczne gatunki ptaków wodnych straciły bogatą w ryby spiżarnię i wspaniałe miejsce do wylęgu. Pani Maria Burzyńska matka Mani i starszej Natalci często pomagała mojej mamie poza godzinami pracy w charakterze woźnej w szkole. Zawsze pozostawała ze mną, gdy rodzice wyjeżdżali do Kiernozi lub w różnych sprawach zawodowych i towarzyskich. W domu moich rodziców stół był zawsze gorący. Duża bliższa i dalsza rodzina oraz przyjaciele odwiedzali młyn. Mama serdecznie i gościnnie wszystkich przyjmowała. W zimie częstowała gorącą strawą, czy herbatką albo wysokoprocentową grzanką. Wypicie lampki alkoholu stanowiło zabezpieczenie przed zapaleniem płuc podczas mrozów. Bardzo lubiłem słuchać opowiadań p. Burzyńskiej o odpustach w Skępem i Miedniewicach, w których corocznie uczestniczyła, chodząc pieszo kilkadziesiąt kilometrów. Mania, młodsza córka państwa Burzyńskich, starsza ode mnie o kilka lat lubiła się mną opiekować. Opowiadała mi przeróżne bajki. Umiała znaleźć dla mnie zawsze coś nowego do wspólnej zabawy. Jesienią 1932 roku Mania zachorowała na zapalenie stawów. Jako niespełna trzyletni chłopczyk pamiętam jej powrót wozem konnym w pierzynach ze szpitala w Łowiczu. W grudniu Mania odeszła do nieba. Dotąd mam przed oczami wieko białej trumienki opartej o ścianę przed wejściem do mieszkania państwa Burzyńskich. Mania ubrana była w trumnie w białą bluzeczkę i piękną białą spódnicę łowicką z haftem Richelieu, którą nosiły księżanki pod pasiastym wełniakiem. W grudniu 1932 roku ze łzami w oczach obserwowałem kondukt żałobny, ostatnią drogę mojej ukochanej koleżanki, chrześniaczki mojej mamusi. Zapamiętałem, że moja siostra stryjeczna Marysia nie widziała nawet trumienki Mani i żałobników odprowadzających ją na cmentarz, ponieważ ciężko zachorowała na szkarlatynę. Moi rodzice mieli w tym czasie trudne do wytłumaczenia przeżycie. Późną nocą nagle obudzeni zostali przez hałas w pokoju. Wydawało się, że jakiś intruz wkroczył do domu i przesuwał krzesła. Tata szybko wyskoczył z łóżka. Wyciągnął spod poduszki pistolet i zapalił lampę. Okazało się, że wszystko jest w najlepszym porządku. Gdy położył się do łóżka po chwili zapukała do okna sypialni p. Burzyńska. Powiadomiła, że Mania umiera. Moja mamusia, matka chrzestna Mani szybko się ubrała i z tatą pobiegli do sąsiadki. Tam wszyscy klęczeli na kolanach i odmawiali różaniec. Pani Burzyńska do ostatniego oddechu Mani podtrzymywała w jej bezwładnych rączkach zapaloną gromnicę. Posiadanie broni przez młynarza było w tym czasie niezbędne. Często występowały rabunkowe napady bandyckie, lub podpalano młyn albo wiatrak. Przypuszczano, że sprawcami byli wędrowni bezrobotni młynarze. Panował w cechu młynarskim zwyczaj nocowania i karmienia takiego młynarza. Złe potraktowanie wędrowca mogło spowodować zemstę. W młynie w Retkach życzliwie witano i tzw. „brodałę”, czarnego Józia czy Perlica, którego często poszukiwała policja. Pewnego razu był tropiony właśnie Perlic. Przyjechał na noc rowerem do Retek. Policja ze Zdun wpadła po niego i w nocy zabrała skutego w kajdanki. Dzieci obudziły się i obserwowały to zajście. Na szczęście Perlic był inteligentnym człowie-

kiem. Kiedy został zwolniony, powiedział ojcu, że nie ma do niego pretensji. Wiedział, że taki donos nie mógł pochodzić od właściciela młyna.

Ojciec przeżył światowy kryzys lat 1929-1932 bez większych strat. Zdarzało się, że niektórym ludziom przepadły ogromne sumy, za które można było potem zakupić zaledwie jedną kurę. Ojciec nie posiadał w banku oszczędności. Utrzymywał się z dochodów z dwóch młynów. Najpierw kupił w Retkach sześć morgów ziemi po Szteli i wkrótce dwunastomorgowe sąsiednie gospodarstwo po Teofilu Boguckim, który nabył ziemię z majątku Boskich w Czerniewie. W tym czasie kilka mniejszych gospodarstw zadłużyło się po drenowaniu gruntów i wyniosło się ze wsi: Styśkowie, Skowrońscy, Boguccy, Sztelowie i Aleksander Anyszko. Mogli oni po sprzedaży ziemi w Retkach nawet powiększyć areał nowego gospodarstwa. Całe zabudowania po rozbiórce przewozili na nowe miejsce zamieszkania. Tata ciągle wspominał moją pożyczkę na zakup ziemi. Oszczędziłem pięć złotych i oferowałem ojcu pomoc finansową. To rozbawiło całą rodzinę. Ojciec cały swój majątek przeznaczył dla syna jedynaka. Przysposabiał mnie do tej roli gospodarza rodzowego majątku. Wczesną wiosną rodzice zabierali mnie małą bryczką na przegląd upraw. Ocenialiśmy stan zasiewów po zimie. Ojciec wyjaśniał mi, że na lepszej ziemi pszenica dobrze znosi mroźną zimę. Poznałem jakość gleb w naszym gospodarstwie. Wiedziałem, gdzie znajdują się bardzo urodzajne czarne ziemie, średniej klasy bielice, lekkie, pod uprawę żyta szcerki, na podłożu żwirowym, czy mokre sapy, gdzie zamiast zboża wyrastała tak zwana miotła. Dowiedziałem się, że pod buraki cukrowe i ziemniaki należy dawać obornik, a w następnym roku siać tam pszenicę. Ponadto nauczyłem się płodozmianu na poszczególnych rodzajach gleb. Nie odczuwałem pragnienia, aby posiadać młyn i gospodarstwo rolne i pracować na wsi przez całe życie. Sama wiedza o rolnictwie i młynarstwie mnie pasjonowała, lecz pragnąłem tylko szybko zostać uczniem w szkole powszechnej a później w szkole średniej. Stryj Janek również dokupił ziemi uprawnej od Aleksandra Anyszki, który wyprowadził się do powiatu kutnowskiego. Moi rodzice nabyli z tego gospodarstwa las na tzw. górach. W ten sposób bracia posiadali od tego czasu podobne trzydziestomorgowe gospodarstwa rolne i wspólny rodzinny młyn w Retkach. Ojciec mój nie był hazardzistą, lecz wierzył w szczęśliwy los. Wspólnie z nauczycielem p. Antonim Latochą przez lata opłacał połowę losu w kolekturze Państwowej Loterii Pieniężnej u p. Wolańskiej w Warszawie. Trafili wreszcie główną wygraną. Ten uśmiech losu pozwolił na zakup ¼ udziału młyna w Małszycach na przedmieściu Łowicza, obecnie przy ulicy Zamkowej. Połowa własności przypadła p. Franciszkowi Rykowskiemu, młynarzowi z Jackowie, a pozostała ¼ teściowi Rykowskiego Franciszkowi Anyszce, sąsiadowi Śmiałków w Retkach. Młyn Rykowski i spółka dobrze funkcjonował. Śmiałkowie mieli tam mały dom i część zabudowań gospodarczych. Córka Felunia, która ukończyła szkołę w Kiernozi pomagała przy buchalterii w młynie.

W Retkach ciągle bawiłem się ze swoją rówieśnicą, stryjeczną siostrą Marysią. Często odwiedzaliśmy w sąsiedztwie rodzinę stryja Józefa Śmiałka i szaleliśmy z najstarszym Franusiem. Tam bardzo troskliwie zajmowała się dziećmi niezwykle życzliwa stryjeczna babcia Połosia. Dowiadywaliśmy się od niej wielu ciekawych rzeczy o naszych przodkach. Ponadto czytała nam książki. Bardzo interesowały nas bogato ilustrowane żywoty świętych, które świątobliwa babcia traktowała jako program wychowawczy dla rozbrykanych maluchów. Dowiedzieliśmy się wówczas między innymi o mazowieckim świętym z Rostkowa, Stanisławie Kostce, patronie młodzieży. Żywoty świętych z obrazami z ich życia były wielką księgą oprawioną jak mszał w kościele. Dowiedzieliśmy się też o wyjeździe babci z naszym pradziadkiem Antonim Śmiałkiem do Rzymu w jubileuszowym roku 1900. Mówiła o swoich jedenastu dzieciach i malutkiej córeczce Weronce, pochowanej na złakowskim cmentarzu. Gdy był ciepły październik dzieci chętnie jeździły z rodzicami sprzątać rodzinne groby. Pamiętam jak w części cmentarza dla zmarłych dzieci czyściliśmy znajdujące się obok siebie dwa małe grobki Lucynki i Ewy Śmiałek, które w wieku siedmiu i ośmiu lat zmarły dzień po dniu w roku 1916 podczas I wojny światowej.

Mnie interesowała historia Polski. Pytałem, czy babcia coś słyszała o powstaniu styczniowym w Księstwie Łowickim. Zostaliśmy odesłani do leciwej pani Drzewiczowej, która miała około 90 lat. Nic się dzieci nie dowiedziały. Pani Drzewiczowa niestety nie pamiętała walk powstańców i nic nie mogła powiedzieć nam o tym okresie z powodu zaawansowanej demencji. Państwo Drzewiczowie po odzyskaniu niepodległości zmienili swoje piękne nazwisko na Drzewiecki. Tata opowiadał, że podczas zaboru rosyjskiego pewien carski generał polakożerca nazywał się Drowie. Dzieci przedrzeźniały swoich kolegów Drzewiczów nazywając ich Drowicami. Od taty nauczyłem się piosenki, którą zapamiętałem wraz z melodią. „Drowicowe ręce, Drowicowe ręce już nie będą przeplatały szablą na wojence. Drowicowe nogi, Drowicowe nogi już nie będą nam Polakom przestępować drogi”. Ciagle tęskniłem za kochającymi mnie siostrami. One zawsze przywoziły mi przeróżne smakołyki, których nie można było kupić w Retkach w sklepie p. Ludwika Pierzchały, a co proponowały w dużym asortymencie sklepy polskie i żydowskie w Kiernozi.

2.2 Kiernozia i Retki do 1939 roku

Kiernozia do połowy XIX wieku była miastem z dwoma rynkami. Mieszkańcy opowiadali, że jest to środek świata. Twierdzili, że podczas przejazdu z Torunia do Łowicza Mikołaj Kopernik jakoby podczas pojenia koni utopił ołówek w studni, dotąd istniejącej na środku rynku. Do II wojny światowej osadę Kiernozia zamieszkiwało ok. 50% ludności żydowskiej. Przy ulicy Osmólskiej łączącej rynki stała drewniana synagoga. Rodziny żydowskie zwykle zajmowały się handlem. Rodzina Berkowiczów posiadała sklep bławatny. Berkowiczowie zatrudniali wiele kobiet z okolicy, które wykonywały ręcznie hafty, firanki, czy serwety. Mieli podobnie jak Śmiałkowie cztery córki: Rózię, Lipkę, Ryfkę i Peskę i syna Abrama. Dziewczynki poza najstarszą Rózią chodziły do równoległych klas z Felunią, Marysią i Wandzią. Przeżyła z nich wojnę tylko Lipka, koleżanka Feluni i jej brat Abram. Lipka uczyła Felunię pisma hebrajskiego. Pamiętałem jeszcze zarys tych dziwnych liter. W domu p. Adolfa Wajbla, w sąsiedztwie młyna, sklep z artykułami gospodarstwa domowego prowadzili pp. Zajfertowie, a obok sklep bławatny w tym samym domu prowadzili Polacy pp. Stelmaszczykowie. W rynku znajdowały się dwa sklepy spożywcze Makowskich – jeden polski, a drugi żydowski. Sklepy żydowskie miały zwykle tańsze artykuły, ponieważ wspomagała je gmina żydowska. Ponadto poza właścicielami sklepów w Kiernozi prowadzili interesy kupcy zbożowi, np. Berek mający dom w Rynku i pan Mosze Geist, (po wojnie pan Jan Wierzbicki). Pan Geist mówił po polsku bez akcentu obcego. Był blondynem o lekko złocistych włosach i nie miał aparycji typowej dla Żyda. Ocalał również syn p. Geista Lucek, który w czasie wojny pasał krowy u gospodarza na wsi pod Mińskiem Mazowieckim. Ksiądz, który wiedział o jego pochodzeniu, przyjął go dla kamuflażu na naukę religii przed pierwszą komunią świętą, ale niby to nie dopuszczał go do komunii, jako źle przygotowanego. Obok mieszkania Śmiałków na pierwszym piętrze żyła rodzina muzykanta p. Szafka z żoną, synem, dorosłą córką Rózią i jej mężem. Z ich mieszkania zawsze wydobywały się ostre zapachy cebuli i różnych przypraw. Druga żydowska rodzina sąsiadów z p. Gołdą i jej mężem liczyła dziewięć osób. Z siedmiorga dzieci sąsiedzi nasi mieli tylko jednego syna. To był dramat dla Żyda. Każda córka musiała posiadać posag. Pani Gołda utrzymywała mieszkanie w sterylnej niemal czystości i była niezwykle przyjazna. W Kiernozi największy ruch panował w pierwszy poniedziałek każdego miesiąca. Odbywał się tu targ. W poprzek rynku Mikołaja Kopernika rozstawiano przeróżne kramy. Natomiast na końskim targowisku drugiego rynku odbywał się handel koni, cieląt, owiec i prosiąt. Na środku północnej ściany rynku znajdował się pasaż umożliwiający pieszym przejście na pobliskie targowisko. W tym dniu po odbytych umowach targowych ogromny ruch panował w karczmach i gospodach, gdzie opijano tzw. litkup. Na każdej ulicy stało kilku Żydów z kubelkami solonych śledzi. Dziwiono się, jak można wyżywić liczną rodzinę prowadząc taki interes.

W Kiernozi żyło tylko kilka rodzin pochodzenia niemieckiego. Byli to zwykle ludzie zamożni. Państwo Bederowie mieli własny młyn i rzeźnię ze sklepem wędliniarskim. Wajbłowie mieli również własne rzeźnie, a p. Adolf dzierżawił pół młyna. Wegnerowie posiadali posesję z partelowym domkiem obok młyna. Populacja żydowska zamykała się hermetycznie wśród swoich. Natomiast luterańscy wyznawcy w rodzinach niemieckich ulegali polonizacji. Jedna córka państwa Bederów przeszła na katolicyzm i wyszła za mąż za Polaka p. Świerczyńskiego, który także miał własną rzeźnię. Bratanek p. Świerczyńskiej Jerzyk Beder (1927 – 1949) często odwiedzał mnie. Bawiliśmy się razem. Już wtedy jako mały chłopiec twierdził, że podobnie jak ciocia Świerczyńska przejdzie na katolicyzm. Później podczas wojny uczęszczał do szkoły niemieckiej w Łowiczu, ale gdy chcieli go wziąć do Hitlerjugend zapisał się do Armii Krajowej i uciekł do partyzantów. Przechrzcił się. Jego matką chrzestną została p. Łysiowa, żona młynarza ze Złakowa Borowego. Zaprzyjaźnił się z tą rodziną, gdy jego ojczym, niemiecki wójt gminy Kiernoza p. Feil przejął podczas okupacji młyn pp. Łysiów. Do końca życia Jerzyk pracował w młynie mojego ojca. Pani Świerczyńska z moim ojcem Stanisławem Śmiałkiem stali się kumami, rodzicami chrzestnymi potomka rodziny Świerczyńskich. Danusia córka państwa Świerczyńskich była przyjaciółką Wandzi Śmiałkówny i siedziała z nią w jednej ławce szkolnej. Obie były podobne do siebie, blondynki, miały grube, długie warkocze. Danusia nawet mogła na nich usiąść.

Nad Kiernozią królowała strzelista wieżyczka starego romańsko-gotyckiego kościoła pw. św. Małgorzaty. Wielkie odpusty odbywały się corocznie 10 czerwca. Pani Maciaszkowa, jak primadonna opery warszawskiej każdej niedzieli śpiewała solo pieśni kościelne. Przez wiele lat pasterzował tutaj ksiądz kanonik Stefan Zawado, który proszony był również na przyjęcia do rodziny Bederów, ewangelików. W okresie międzywojennym panowała radosna atmosfera. I biedni i bogacili cieszyli się wolnością. Na przyjęciach wszyscy śpiewali pieśni biesiadne i patriotyczne, a dzieci recytowały wiersze. Wymyślano także różne zabawy i quizy. Jako dziecko żyłem w świecie wszechobecnej życzliwości. Oczywiście jest to opinia małego dziecka. Ozdobę rynku stanowiła piękna okazała budowla straży pożarnej z ogromną salą balową na pierwszym piętrze i wysoką wieżyczką z alarmem przeciwpożarowym. Przy ulicy Łowickiej p. mgr. Oleśiak prowadził aptekę, a w ogromnym parku na tyłach kościoła znajdował się pałac mecenasa Hetlingera, właściciela majątku ziemskiego. Pałac ten to pozostałość po rodzinie Łączyńskich, rodzicach pani Marii Walewskiej. Przypuszczano, że w kaplicy kościelnej znajduje się trumna ze zwłokami ukochanej Napoleona pani Marii Walewskiej. Podobno badania wykazały, że w tym miejscu zostali pochowani rodzice Fryderyka Chopina, którego ojciec był nauczycielem muzyki dzieci kiernozkiego dziedzica. W tym czasie Kiernozię od południa otaczały duże lasy sosnowe, poprzecinane polankami, ciągnące się do Czerniewa, gdzie majątek posiadała rodzina Boskich. Kiernoza odległa od Łowicza o około 20 kilometrów i okoliczne wsie leżą na bardzo żyznych ziemiach. W okresie międzywojennym Boscy sprzedawali grunty na obrzeżach własnego majątku i w ten sposób wielu gospodarzy z byłego Księstwa Łowickiego osiedlało się w gminie Kiernoza.

W lecie 1935 roku moja ukochana siostra cioteczna Anielka Urbankówna z Przemysłowa zaprosiła mnie na ślub. Wychodziła za mąż za Kostka Golisza z Łażnik Od swojej drużny Marysi Murasówny otrzymałem kwiatek do wpięcia ze śliczną plastikową broszką w kształcie wiewiórki i różową wstążeczką. Moja drużna miała przesliczny wykładany paciorkami strój łowicki upiękuszony przez jej utalentowanego ojca znanego jako „Wyszywanego Piotrusia”. Czułem się uhonorowany. W parze z moją drużną Marysią szliśmy pierwsi za parą młodą. Panna młoda ślicznie wyglądała w łowickim stroju z kolorowym wiankiem na głowie. Taki wianek posiadał bogato haftowany czepek, od którego na plecy panny młodej spadało kilka ciężkich, jedwabnych, wzorzystych i błyszczących wstęg. Na szczycie czepka umocowany był sam wianek z papierowych i wełnianych kolorowych kwiatów, z licznymi różnobarwnymi dużymi i mniejszymi bombkami choinkowymi. Anielka często potem gościła ciocię Józję, czyli moją mamę z dziećmi w swoim domu w Łażnikach.

Wielkim wydarzeniem było zainstalowanie oświetlenia elektrycznego w zabudowaniach rodziny Śmiałków: Stanisława, Jana i Józefa. W młynie do transmisji poruszanej przez silnik parowy podłączono dynamo. Lekcje dzieci odrabiały od tego czasu nie przy lampie naftowej lecz przy świetle z żarówki elektrycznej.

W Kiernozi w szkole siedmioklasowej siostry kończyły naukę w zakresie podstawowym. Przyjaźń moich rodziców w tym czasie z młynarzem z Osmoleńca w gminie Kiernozia doprowadziła do kumoterstwa. Córka Henia państwa Tarków została chrześniaczką mojego ojca, a pani Maria z Makowskich Tarkowa moją matką chrzestną. Córki pp. Tarków Jasia i Henia uczęszczały do szkoły w Kiernozi, gdzie uczyły się Felunia, Marysia i Wandzia Śmiałkówny. Podczas silnych mrozów dziewczynki zamieszkiwały w mieszkaniu Śmiałków, aby nie marzły w drodze do Kiernozi z Osmoleńca.

W tym czasie w Retkach najbardziej oczekiwałem na przyjazd sióstr na święta, a szczególnie na wigilię Bożego Narodzenia. Ileż wspaniałości wynosiły z ośnieżonych sań. Oglądałem piękne wykonane przez nie cacka na choinkę, łańcuchy, Mikołaje, kolorowe bombki. Ale jak zawsze najbardziej tęskniłem za chałwą, figami, pomarańczami i różnymi czekoladowymi cukierkami. Mama już wcześniej zakupiła długie w sreberku i złotku cukierki choinkowe. Choinka była do samego sufitu obwieszona kolorowymi jabłuszkami, orzechami, które czekały na podział wraz z rozebraniem choinki. Piękny był anioł na czubku drzewka, trzymający wstęgę z napisem „Gloria in excelsis Deo” oraz mnóstwo świeczek, które przygaszały, gdy wszyscy podczas wieczerzy wigilijnej śpiewali kolędy. W tym dniu do stołu zasiadało zwykle kilkanaście osób wraz z rodziną, młynarczykami i służbą. Niestety ciągle spotykało mnie rozczarowanie przy rozbieraniu choinki. Większość cukierków była pusta. Wandzia podkradała się i systematycznie je zjadała, pozostawiając tylko nienaruszone ich opakowania.

Naukę rozpocząłem 1 września 1935 roku. Ucieszyłem się, gdy nauczyciel czteroklasowej szkoły powszechnej w Retkach p. Stanisław Soboniak zgodził się mimo niepełnych sześciu lat zapisać mnie do pierwszej klasy, gdzie dzieci uczyły się poprawnej polszczyzny. Szkołę rozpoczęli : Janek Muras syn Jaśka z końca, Józiek Muras syn Franka z końca, Janek Anyszka – Walków, to znaczy syn Walentego, Józiek Bogucki syn Teofila, Józiek Anyszka syn Franciszka, inaczej Gałajów. Tadeusz Anyszka syn Aleksandra, Józef Anyszka syn Jaśka Walkowego, Zosia Skowrońska, Mietek Śmiałek syn Stanisława, Maria Kołaczyńska, Jan Muras Zydorów, syn Izydora, Jan Mika, Stanisław Wieteska i Stanisław Sosnowski syn Kacpra.

Wiele osób starszych we wsiach w tym czasie było analfabetami i mówiło gwarą łowicką. W Retkach od wielu lat, jeszcze w czasie zaboru rosyjskiego dzieci mogły uczęszczać do dwu lub czteroletniej zimowej szkoły rosyjskiej. Tylko zajęcia z religii odbywały się w języku polskim. W ten sposób uczniowie znali pisownię łacińską i cyrylicę.

się w ławce w ramach ostrzeżenia otrzymywało się pociągnięcie za ucho. Miałem ładną cenzurkę jako drugi uczeń po Jóźku Murasie Franka z końca. Z Jóźkiem się zaprzyjaźniłem. Nawet dałem mu maleńkiego białego pieska Mucka, który wyrósł tak wielki, jak owczarek podhalański. Józiek twierdził natomiast, że ja byłem lepszym uczniem. Gdy nauczyłem się na pamięć ministrantury po łacinie, po egzaminie u ks. kanonika Michała Chojeckiego zostałem ministrantem. Pani Pawłowa Murasowa krawcowa w Retkach uszyła mi piękną komżę z koronkowymi wstawkami. W niedzielę i święta powozem jechaliśmy na sumę. Wszyscy zabierali książeczki do nabożeństwa. Ksiądz odprawiał mszę po łacinie, a wierni po polsku czytali z książeczki odpowiednie modlitwy. W książeczce takiej znajdowały się ważniejsze litanie, pieśni kościelne, godzinki, nieszpory, droga krzyżowa, różaniec i różne modlitwy. Przetrywam pieczętowane podpisane modlitewniki taty i mamy. Przydają się w rodzinie do odmawiania zadanej pokuty po spowiedzi. Mama bardzo przestrzegała religijnego wychowania dzieci. Odmawiała z nami pacierz wieczorny. W maju codziennie chodziliśmy na majowe przy kapliczce ze świątkiem przed domem Aleksandra Anyszki. Zapracowany ojciec nie miał wiele czasu. Wpajał tylko w wolnych chwilach miłość do ojczyzny. Urodzony w niewoli rozumiał smak wolności. Panował zwyczaj zamiatania drogi wiejskiej w sobotę przed każdym domem. Natomiast na zielone święta ozdabialiśmy ją dodatkowo tatarakiem wyrwanym z wilgotnych torfowisk i posypywaliśmy żółtym piaskiem przywiezionym z Retkowskich Gór. Czasami te prace niszczyły, pozostawiając ślady opasłe krowy, wracające przed wieczorem z pastwisk na tak nazywanych przydatkach i działkach. Musieliśmy posprzątać pozostałości po bydłych tabunach, aby następnego dnia cieszyć się i urządzać na drodze zabawy. Podczas ładnej pogody w niedzielę i dni świąteczne zbierały się dzieci i grały w palanta lub w tak zwany krąg. Tworzyliśmy dwie drużyny. Uczestnik, na którego wypadło ostatnie słowo formuły „Raz dwa trzy wychodź ty, jak nie ty to ty” wybierał odpowiedni zespół. Drużyny musiały mieć równą ilość graczy. Do gry cięto piłę poprzecznie z pnia olchy lub brzozy krążek o średnicy około 10 cm i grubości około 2 cm. Rzucany krąg, toczący się po drodze, odbijano kijami i błyskawicznie odrzucano w przeciwną stronę. O zwycięstwie przesądzało odsunięcie przeciwników od linii startu. Czasami zdarzały się wypadki. Mnie krąg trafił w policzek i rana tłuczona goiła się prawie przez dwa tygodnie. Nie wypadało płakać. Nie omijałem kolejnych zawodów. Często obrywali kijem nie tylko przeciwnicy, ale w ferworze gry nawet koledzy z zespołu.

Druga klasa przeszła dobrze bez wielkich osiągnięć. Ciocia Józia Kubicowa, mieszkająca w Złakowie Borowym często odwiedzała Retki w drodze do swojego syna ożenionego do Szymanowie. Zawsze spragniona prosiła o serwatkę, którą można było czerpać z garnków mleka, przeznaczonych na wyrób sera. Nie chciała nigdy pić mleka, ponieważ na to nie pozwalało cioci jej uprzedzenie do naszej służącej. Twierdziła, że nie smakuje jej mleko dojrzone przez Jasię, dziewczynę z czerwonymi łydkami. Przypuszczano, że dawna piękność zazdrościła urody młodej pannie. Zupełnie inny pogląd w kwestii nóg Jasi miał młody p. Niewiadomski, który często wpadał z interesem do młyna. Wreszcie cała rodzina została zaproszona na wesele do Goleńska, gdzie mieszkali rodzice Jasi.



48. *Wesele łowickie (foto: Łowicki Kalendarz 2012)*

A cóż to była za ciekawa uroczystość. Goleńsko odległe o kilka kilometrów od Retek należało do parafii kolegiaty łowickiej. Stroje noszono tam takie same jak w parafii złakowskiej, ale przyśpiewki, piosenki i obrządki podczas przyjęcia weselnego różniły się. Podczas oczepin zbierano pieniądze dla pary młodej, ponieważ nie było w zwyczaju dawania prezentów.



49. *Oczepiny panny młodej (foto: Łowicki Kalendarz 2012)*

Zwykle wkładano używane w obiegu srebrne monety. Potrząsano przetakiem z drucianym dnem przed każdym z gości. Babcia Jasi z Jamna dawała drobny bilon. Za każdym razem śpiewano „Babko jonnińsko za mało. Wincy by sie przydało na sitko, na wszytko, na powijok, zeby synek nie był pijok”. Po kilku takich przyśpiewkach po małych datkach babcia wreszcie wrzuciła srebrniaka.



50. Zbieranie pieniędzy dla pary młodej (foto: Łowicki Kalendarz 2012)

W trzeciej klasie, kiedy były ciekawsze przedmioty, pozostawałem do końca roku szkolnego na czołowym miejscu. Pan prof. Stanisław Soboniak stwierdził, że należy mnie kształcić. Dlatego skierowany zostałem do siedmioklasowej szkoły w Kiernozi, zamiast w następnym roku przerabiać kurs B w klasie trzeciej. Przed ukończeniem roku szkolnego, po dwóch latach przygotowania w kościele złakowskim, przystąpiłem do pierwszej Komunii Świętej. Moje starsze siostry zapytały mnie pewnego razu, czy podoba mi się jakaś dziewczynka. Odpowiedziałem, gdy nalegały, po długim namyśle. Wiedziałem, że Murasów w tej okolicy mieszka wielu. Przyznałem się, że moją ulubioną dziewczynką jest Zosia Murasówna ze Złakowa Kościelnego. Moje siostry dowiedziały się wszystkiego, ponieważ w tej wsi mieszkała tylko jedna rodzina Murasów. Moja wybranka, gdy dorosła, została żoną mojego starszego brata ciotecznego Mariana Boguckiego. Chrzestna, p. Maria Tarkowa z Osmoleńca ubrała mnie na uroczystość świętej komunii po miejsku. Podarowała mi marynarską białą bluzę, granatowe krótkie spodnie, skórkowe białe sandały i białe skarpetki podkolanówki. Wszystkie dziewczynki zostały ustrojone w pasiaki łowickie, a chłopcy w długie spodnie.

Dnia 1 września 1938 roku zacząłem uczęszczać do klasy czwartej w Kiernozi. Czułem się już bliżej do granatowego mundurka gimnazjalisty z niebieskimi lampasami, a później licealisty z czerwonym otokiem na czapce. W Retkach wakacje spędzał u swojej babci Bolek Drzewicz z Łowicza. Często odwiedzał moje siostry. Zafascynował mnie ten jego piękny strój. W czteroklasowych szkołach wiejskich przyjęto program siedmioklasowej szkoły z dwuletnim programem A i B w klasie III-iej i A, B i C w klasie czwartej w ciągu trzech lat. Nauczyciele w kiernozkiej szkole, w tym wychowawczyni klasy IV p. Głowacka polonistka i dyrektor matematyk p. Sójczyński, byli podobnie jak pan Soboniak znakomitymi pedagogami. Zwracali uwagę na logikę rozumowania. Wydawało się niby proste pytanie, jak rozłożone są w kalendarzu pory roku. Większa część uczniów w klasie twierdziła początkowo, że rok zaczyna się od wiosny. W ławce siedziałem ze swoim kolegą Wackiem Świerczyńskim. Obaj byliśmy dobrymi uczniami. W klasie liczącej około czterdzieścioro dzieci uczyła się trójka uczniów pochodzenia żydowskiego. Jedno z nich, bardzo ładna dziewczynka nazywała się Wolańska. Wczesną jesienią roku 1938, wraz z aneksją Czechosłowacji przez hitlerowskie Niemcy i Zaolzia przez Polskę, powstała panika z powodu możliwej wojny. Z siostrą Wandzią, która uczyła się do klasy siódmej, pieszo, błotnistą drogą przez Karsznice Małe, Niespuszę i Przemysłów, poszliśmy do Retek. Rodzice zdecydowali wówczas, aby Wandzia dokończyła naukę w siódmej klasie w Kiernozi. Mnie p. Soboniak pozwolił, jako uczniowi klasy czwartej w Kiernozi, chodzić do tej samej klasy w Retkach.

Początkowo trudny to był dla mnie okres nauki. Rzucono mnie na głęboką wodę. W Retkach obowiązywał w czwartej klasie program C, czyli klasy siódmej. Obowiązywała znajomość obli-

czeń procentowych, promili, ułamków w trudnych zadaniach matematycznych. Stresowali mnie swoimi wiadomościami uczniowie, którzy już trzeci rok uczyli się w klasie czwartej: Janek Pawlina, Stefka Pawlinówna, z którą siedziałem w ławce, moja kuzynka Marysia Anyszkówna c. Jana i Stasiak Tokarski. Do tej klasy poza tym uczęszczali już drugi rok Józek Kołaczyński, Stasiak Głowacki i Józia Murasówna z Przemysłowa. Ona przebywała u swojego bezdzietnego wówczas wujostwa Antoniego i Felicji Goździków z Retek. Mimo ogromnego stresu, z zupełnie dobrym wynikiem, jak sądzę, na miejscu trzecim z Marysią, uzyskałem świadectwo ukończenia czwartej klasy w Retkach. Natychmiast ze Stasiem Głowackim udałem się rowerem do Zdun. Szczęśliwi zapisaliśmy się tam do piątej klasy szkoły w Zdunach z programem siedmioklasowego nauczania.

Podczas wakacji wydarzeniem był ślub naszej służącej Jadzi Tarasówny z Ostrowa. Była to ładna szatynka wysoka i bardzo zdolna. Rodzice pozyskali ją od p. Tarkowskiego z Szymanowic. Od 26 grudnia 1938 r. pracowała zaledwie kilka miesięcy. Wówczas panował taki zwyczaj, że zmiana służby odbywała się w dniu św. Szczepana. Umowa zawierana była na rok. Gospodarz jechał wozem i przywoził pannę lub parobka z jego skrzynią z odzieżą. Pani Burzyńska stała się swatką swojego byłego sąsiada młodego wdowca p. Zawiślaka, gospodarza z sąsiednich Pólek. Mama straciła znakomitą pomocnicę w kuchni i gospodarstwie. Pojechaliśmy na ślub Jadzi powozem do Łowicza, do kościoła parafialnego pw. Świętego Ducha, a następnie na wesele do Ostrowa. Odczuwało się w tym czasie atmosferę nadciągającej wojny. Przy drodze Poznań – Warszawa widać było ćwiczących żołnierzy. Spotkaliśmy w mundurze nauczyciela Łodzi, porucznika Bronisława Sałudę z dużą grupą żołnierzy. Prawdopodobnie odbywały się ćwiczenia rezerwistów. W całej Polsce organizowano zbiórkę na uzbrojenie wojska, na okręty podwodne Orzeł i Sęp. W klasie wisiał plakat, który wskazywał, że Polska ze swoim małym tonażem jest na dziesiątym miejscu w świecie za potęgą morską Wielką Brytanią. Ofiarność społeczeństwa zaskakiwała. Bogaci oddawali złotą biżuterię i różne kosztowności. Organizowano loterie, losowano kury, gęsi, małe prosięta i przeróżne przedmioty. W szkole p. prof. Soboniak zbierał od uczniów pieniążki z naszych szkolnych książeczek oszczędnościowych SKO. W Retkach również odbyła się kolejna ostatnia zbiórka pieniędzy na armię podczas zabawy tanecznej, organizowanej przez Straż Pożarną i Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej, którego przewodniczącą była moja siostra Łozia. To były ostatnie miłe dni sierpnia 1939 roku. Na tę imprezę przyjechała młodzież nie tylko ze złakowskiej parafii. Datki od mieszkańców wystawiono na loterii fantowej. Za 50 groszy wygrałem piękny fant, porcelanowy bucik prawdopodobnie z manufaktury nieborowskiej, z wielobarwnymi pozłoconymi ozdobami.



51. Kolekcja figurek z porcelany

To cudo ocalało podczas wojny i stało się początkiem mojej porcelanowej kolekcji. Mój przyjaciel Józek Muras też miał szczęście, ale musiał się zadowolić dorosłą kurą. Trzeba przyznać, że ogromna ilość losów była pusta.

W miejsce Jadzi szybko została zaangażowana Stefcia Murasówna, córka wdowy Głowackiej z tzw. Pragi Retkowskiej. Praga położona jest przy drodze Łowicz - Złaków Kościelny. Po stronie południowej na terenie Retek stało tylko kilka zabudowań. Liczne domy, najczęściej wyrobników, z niewielkimi skrawkami ziemi, znajdowały się we wsi Przemysłów. Praga była miejscem, gdzie można było nająć kogoś do pielienia, żniwa czy kopania ziemniaków albo zbiórki buraków. Sprzęt zbóż odbywał się za pomocą kosi. Wówczas kilku kosiarzy ciąło zboże, a kobiety podbierały. Za nimi chłopcy wiązali snopy zboża słomianymi powrótami przygotowanymi podczas zimy. Kopanie ziemniaków wykonywano ręcznie motyką. Kobiety kopaczki pracowały parami. Ziemniaki wrzucały do jednego dużego wiklinowego kosza z dwoma uchami, przenosząc wspólnie do przodu. Zebrane ziemniaki wysypywano następnie na przygotowany wóz, którym wywożono je i formowano w kopce w pobliżu zabudowań. Każda para wykopywała ziemniaki z czterech posadzonych rzędów. Nikt nie chciał pozostać w tyle. Wśród kosiarzy podobnie nikt nie chciał opóźnić pracy. Pracownicy przychodzili do domu gospodarza tylko na obiad i godzinny odpoczynek. Drugie śniadanie i podwieczorek zanoszono im na pole.

2.3 Druga Wojna Światowa, lata 1939 – 1945

BIAŁY ORZEŁ W KORONIE

Gniazdo rozdarły piekielne demony
Czarny orzeł, krwawy młot i sierp czerwony.
Kula w tył czaszki, dymy i popioły, naród w żałobie tonie.
Opuścił swą ojczyznę biały orzeł w koronie.
Na pożegnanie trzy wielkie słowa wyznał.
Bóg, Honor, Ojczyzna
Było to dla narodu naszego przesłanie,
Że Polska nie umarła, że znów zmartwychwstanie.
Dojrzały do walki warszawskie orlęta,
Bo dla nich Ojczyzna wolna – rzecz święta.
Przez długie lata łańcuch więzienny skuwał piskląt ocalałych szpony.
Wy bohaterowie z batalionów Parasol, Zośka,
Żołnierze walczącej Warszawy i Wilna,
Z całej polskiej ziemi,
Wasz trud niech będzie błogosławiony.
Jak ziemia szeroka, w każdej świata stronie
Rozproszone dzieci walczyły o powrót orła białego w koronie.
Dzięki Wam wierni swej ziemi orły i orliki,
Za nadzieję trzymającą nas tutaj przy życiu.
Wy z Wolnej Europy, BBC i z Głosu Ameryki.
Wierzyliście, że Polska swych wrogów zwycięży,
Że padną na kolana i zegną swe szyje,

Że podstępnych zaborców swą walką zmitręży.

Bracia! Polska żyje!

(Utwór ten napisałem dla p. Jana Nowaka – Jeziorańskiego na uroczystość wręczenia mu Medalu Stowarzyszenia Miłośników Tradycji Mazurka Dąbrowskiego.)

Wkrótce po niezwykle urodzajnych żniwach, 1 września 1939 r. wybuchła wojna. Nie rozpocząłem nauki w siedmioklasowej szkole w Zdunach. Podczas wrześniowej napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę, jeszcze podczas walk nad rzeką Bzurą, dywersanci niemieccy na tyłach walczących tam Armii Pomorza i Wielkopolska wysadzili most na rzece Słudwi, na drodze prowadzącej z Retek do Zdun. Zdarzył się wypadek. Generał Bortnowski jadący autem od strony Zdun wjechał na zerwany most. Na szczęście nie stało się nic groźnego. Materiał wybuchowy załamał i wygiął metalową, solidną konstrukcję mostu po stronie północnej. Jadący samochód generała nie spadł w przepaść, lecz zjechał w dół po pochyłości zerwanego mostu. Pan generał został nieco poraniony odłamkami popękanej szyby. Został opatrzony w mieszkaniu wujka Franciszka Stańczyka i pojechał dalej. Cofające się po kilku dniach wojsko polskie nad rzeki Bzury musiało przeprawiać się przez torfiaste łąki i zbudowany przez saperów most na rzece Słudwi. Trzeciego września niemieckie samoloty rzuciły dwie wielkie burzące bomby na łąki Tokarskich za rzeką. Panował wielki strach, ponieważ bombowce niemieckie przelatywały nisko ponad zabudowaniami. Stryj Józiek Śmiałek wyciągnął pistolet i strzelał do przelatujących messerschmittów. W tym dniu trzech umundurowanych Niemców wjechało konno na nasze podwórko w swoich zielonych mundurach. Porozumiewali się tylko po niemiecku z uciekinierem z Łowicza Żydem Ajzykiem. My się nie baliśmy. Wiedzieliśmy, że w Gągolinie jest kolonia osadników niemieckich. Dotarła wiadomość, że ten niemiecki patrol podobno został zlikwidowany przez Polaków w okolicy Szymanowic. Na szczęście dla ogromnej masy ludzi przemieszczających się na wschód, uciekających przed wojskami niemieckimi panowała piękna pogoda. Uciekinierom zapewniano noclegi i pożywienie. Pewnego dnia wpadł do nas Wiktor Szwedowicz mąż Broni z Trzczańskich, naszej ciotecznej siostry. Miał różaniec i modlił się bez przerwy. Mama nakarmiła go, dała mu prowiant na drogę i ogromny okrągły bochen wiejskiego chleba. Niósł go na plecach. Dotarł do Warszawy. Opowiadał później, że przez cały czas siedział w wysokim domu obok drapacza chmur przy placu Napoleona. Rzeczywiście, najbardziej bezpieczne były wielopiętrowe kamienice. Niemieckie bomby burzące często przebijały niskie domy do piwnic. Zburzone trzypiętrowe domy zasypywały ludzi. Warszawa w ciągu czterotygodniowej obrony pod dowództwem prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego została w dużym stopniu zniszczona, szczególnie w centrum. Dowiedzieliśmy się przez radio, że siedemnastego września spłonął zamek królewski. Ciągłe nas tylko krzepiły apele prezydenta Starzyńskiego z warszawskiego ratusza. Cieszyli się wszyscy, gdy na spadochronie przelatywał nad nami strącony nad Łowiczem niemiecki pilot. Łowicz płonął, a nad pobliskimi torami kolejowymi grasowały niemieckie messerschmidty, ale ludność wierzyła w zwycięstwo. Wreszcie po kilku dniach w ogrodzie naszych sąsiadów Anyszków ustawiono dwie potężne armaty długiego zasięgu, z których oddano kilka strzałów. Młodsze dzieci w tym i ja uciekaliśmy do babci i cioci do Przemysłowa. Byłem wówczas w Przemysławie z moją siostrą Marysią. Staliśmy za stodołą i patrzyliśmy na wracające po bombardowaniu niemieckie samoloty. Wtem ujrzeliśmy goniący ich polski myśliwiec. Trzy ostatnie samoloty leciały w znanym trójkowym szyku – dwa samoloty z przodu i trzeci z tyłu. Nasz myśliwiec zaatakował tuż nad nami ten ostatni samolot niemiecki. Trwała wymiana ognia. My tylko wyglądaliśmy zza grubej topoli i ściskaliśmy kciuki, żeby nasz zestrzelił zniechęcony szwabski bombowiec. Długo trwała walka. Wreszcie zobaczyliśmy, jak nasz myśliwiec niemal usiadł na niemieckim bombowcu. Poleciał dym z ogona messerschmidta, który spadł na pole Gajdów w Żłakowie Kościelnym w odległości około 2 km. Dopiero po zakończeniu batalii wrześniowej rodziny ekshumowały zwłoki niemieckich pilotów. Szesnastego września w sobotę ludzie zaczęli opuszczać Retki. Wojsko polskie informowało o

ataku niemieckich wojsk 17 września. Postanowiliśmy opuścić wieś. Można było przypuszczać, że obrona nad Słudwią nie będzie długa. Kiedy szliśmy przez Przemysłów od domu babci do schronu u cioci Urbankowej, cwałowała drogą kawaleria polska. Co chwila padały pociski armatnie. Ścieżką przy zabudowaniach uciekała też ludność cywilna. Znaleźliśmy się koło zabudowań Ignacego Urbanka. Usłyszeliśmy typowy furkot armatniej kuli. Biegliśmy ścieżką na poziomie szczytu obory. Marysia, moja siostra natychmiast upadła na ziemię, a na nią ja i dwie córki felczera Sokoła ze Zdun, Irenka i Jasia. Wszystkie szyby w dużej oszklonej werandzie domu Urbanków potłukły się. Struchlałe p. Magda Urbankowa i nasza mama stały na podwórku. Tata znajdował się w stajni razem z ogromną grupą cywilów. Szczęśliwie kula rozerwała blachę dachu stajni i spadła tuż za oborą w pobliską kamionkę. Na szczęście, dzięki Bogu, pocisk nie wpadł do stajni z tłumem uciekinierów. Wiele osób przed dalszym ostrzałem schroniło się w murowanym spichrzu państwa Urbanków. Wieczorem pobiegliśmy wszyscy do cioci Marysi Urbankowej, u której zastaliśmy siostrę Felunię. Noc spędziliśmy w schronie, wykopanym przez brata ciotecznego Janka Urbanka. Siostry Lodzia i Wandzia pozostały w Retkach. Rano rodzice zobaczyli łunę nad Retkami na wprost Przemysłowa. Obawiali się, że pewnie pali się nasz młyn w Retkach. W nim umieszczono stanowisko karabinów maszynowych. Murowany piętrowy budynek na pagórku stanowił dobre miejsce do obserwacji transportu wojsk niemieckich przez rzekę. Okazało się to dobrym taktycznie posunięciem. Po bitwie w tak zwanej „motorowni” młyńskiej znajdował się stos łusek prawie pod sufit, a na łące wiele zniszczonych samochodów niemieckich zalanych krwią. Spłonął młyn pana Świderskiego w Strugienicach nad Bzurą.

Przed południem wojska niemieckie wkroczyły w trzech tyralierach do Przemysłowa. Młyn i zabudowania Śmiałków nie ucierpiały. Ogień artylerii skierowano na zabudowania cioci Zosi Stańczykowej, odległe o około 150m. Tam Niemcy zauważyli pozostawioną polską tankietkę, którą wojsko polskie porzuciło bez paliwa na drodze przed domem. Ogromna ilość kul armatnich zniszczyła w gospodarstwie cioci oborę, chlewnię i na domu komin. Ponadto kula armatnia wybuchła tuż przy spichrzu i piwnicy, które w czasie wojny pełniły funkcję schronu. Tam ukryła się część cywilów. W zniszczonej oborze został ranny w głowę cywil p. Bezbach ze Zdun. Miał obandażowaną głowę. Niemcy wyprowadzili go ze schronu i zastrzelili biorąc pewnie za rannego żołnierza. W Retkach odbywał się w całej wsi mord ludności cywilnej.

Do Przemysłowa wojska niemieckie wkraczały spokojnie. W trzech kolejnych tyralierach odległych o około 200 metrów. Każda linia wojsk niemieckich wyciągała nas ze schronu i kontrolowała wewnątrz. Postanowiliśmy około południa powrócić do domu. Przyłączył się do nas brat stryjeczny Marian i nasz służący Franek Milczarek. Gdy zbliżyliśmy się do wsi zobaczyliśmy za stodołą naszego sąsiada Anyszki Franciszka jakieś łachmany. Okazało się, że były to zwłoki dziesięciu mężczyzn. Przeraziłem się, że leży tam pewnie mój chrzestny, stryjek Józiek Śmiałek. Okazało się, że stryj mój dał swój sweter jednemu z mieszkających w jego domu uciekinierów z Łodzi p. Bulińskiemu, którego znałem. Zabito też jego kolegę z Łodzi p. Dziubińskiego. Poznaliśmy Władka Anyszkę syna naszego sąsiada Franciszka leżącego na plecach z przestrzeloną głową. Wiele ciał trudno było rozpoznać, Niektórzy leżeli jakby zakrywając się rękami. Poznaliśmy p. Leona Madanowskiego naszego młyńskiego mechanika i Żyda Ajzyka z Łowicza, który rozmawiał z trzema Niemcami u nas na podwórku 3 września. Zmasakrowany był Franek Muras Bernatów. Wyszliśmy na drogę, bo dolatywały jęki. W rowie Anyszków konał Mikołaj ze Zdun postrzelony śmiertelnie przez ssmanów. Przed zabudowaniami wujostwa Stańczyków stała na drodze polska tankietka, którą oglądał żołnierz niemiecki. W tej chwili ktoś zawołał z naszego spichrza zbożowego służącego za schron. Tam wszyscy płakali. My zaczęliśmy szlochać, gdy nam opowiedziano o morderstwie u naszych sąsiadów i w całej wsi. Ludzi z połowy wsi zgromadzili przed młynem. Stała tam nawet Hanka Murasowa z malutkim Marianem, który urodził się 8 września. Na wszystkich skierowany był karabin maszynowy. Niemcy grozili ludziom, że ich pomordują za pomoc wojsku. Retkowiacy rzeczywiście karmili wojsko i uciekinierów. Chleb prawie w każdym domu pieczono dwa razy dziennie. Uciekinierzy z Po-

znania porozumieli się z ss-manami po niemiecku i wreszcie wszystkich zgromadzonych zwolnili. Słyszeliśmy, że również w innym miejscu wsi na posesji państwa Kołaczyńskich tak samo pewnie według wytycznych SS postąpiono z cywilami. Jak się okazało naziści zamordowali ponad dwudziestu mężczyzn. Przeżył osiemnastolatek ze Zgierza, który zemdlął podczas strzału do jego ojca i Władek Śmiałek syn Piotra, postrzelony w lewe płuco. Gdy upadł ssmani nie dobili go. Uciekł po chwili, podczas pożaru części zabudowań jego ojca, gospodarstwa Murasów - Kępiaków, Wieteski i Grzegorego. Nie mogę zapomnieć rozpacz naszej sąsiadki p. Aleksandry Anyszkowej, która mdlała po zabójstwie jej synów, 26 letniego Piotrka i 22 letniego Władka. Na szczęście p. Franciszek, ich ojciec, uciekł oprawcom.

U nas nikogo nie wyciągnęli ze spichrza, chociaż dwóch żołnierzy tam zajrzało. Nie zabrano na plac przed młynem rodziny Burzyńskich i Drzewiczów. Wreszcie dowiedzieliśmy się, że 17 września Warszawa skapitulowała. Wandzia, moja najmłodsza z siostr, zaczęła bardzo płakać. Ukłękliśmy wszyscy przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i odmawialiśmy różaniec z prośbą o zwycięstwo nad niemieckim najeźdźcą. Tata pocieszał nas, że jeszcze pozostała nam połowa wschodniej Polski. Po pięknej wrześniowej pogodzie zaczęły się dni słotne. Myśleliśmy, że naziści ze swoim ciężkim sprzętem ugrzęzną w błotach Polesia. Niestety nie wiedzieliśmy, że w dniu zajęcia Retek i końca bitwy nad Bzurą sowieci zajęli podstępnie nasze ziemie do rzeki Bug.

Od początku października p. Soboniak otworzył szkołę. Rodzice zdecydowali się na kontynuowanie przeze mnie nauki w czwartej klasie w Retkach. Był to prawdziwy spacer, ponieważ obowiązywał kurs A czyli program klasy piątej. Urosły mi skrzydła orle po zaliczonym już w ubiegłym roku programie C siódmej klasy. Otrzymałem świadectwo z piątkami i jedną czwórką z robót ręcznych. Nie miałem do tego serca. Zawsze coś nie wyszło, albo został skaleczony palec albo patyk się złamał. Przeszkadzała mi na pewno moja przerobiona leworęczność. Pisałem także bardzo brzydtko.

2.4 Łowicz



52. Herb miasta Łowicza

Następnie p. prof. Soboniak załatwił przeniesienie mnie od września 1940 roku do szóstej klasy Szkoły Podstawowej Nr 4 w Łowiczu „Ćwiczeniówki”, która mieściła się w pobernardyńskim klasztorze, ufundowanym przez arcybiskupa Jana Gruszczyńskiego w wieku XV-tym. Czasami władze okupacyjne wstrzymywały okresowo zajęcia naszej klasy w elektrowni łowickiej. Wówczas rodzice załatwili lekcje prywatne u p. Hali Wilczyńskiej przy ulicy Podrzecznej. Panna Hala uczyła się na tzw. tajnych kompletach szkoły średniej. Jej ciocia nauczycielka p. Bednarkówna podziwiała mnie za wiedzę matematyczną. Nic dziwnego, zaliczyłem już w czwartej klasie program klasy siódmej. Natomiast z językiem polskim były pewne problemy. Np. takie dyktando - „Rzecz Henio raz do Hani. Jak mnie ta pisownia gniewa: Chiny, chemia,

haft, charakter, hufiec, chaber, hołd, cholewa. Człek się waha, jak chów pisać, jak choinkę, jak harcerza. Hardy rycerz się spod hełmu z chichotaniem złym wyszczerza. Istny chaos mam już w głowie. Jakże słów spamiętać tyle. Gdy dyktando przyjdzie pisać, ani chybi się pomylę”. Zrobiłem dużo błędów. W wyrazie chów znalazły się aż trzy. Pomyślałem, że mowa jest o hufcu. Bardzo mi później pomagały te trudne dyktanda panny Hali. W maju roku 1941 władze okupacyjne zezwoliły w tak zwanej Generalnej Gubernii na otwarcie Miejskiej Szkoły Handlowej w Łowiczu z dwuletnim programem nauczania w języku polskim. Wówczas była możliwość przyjęcia do szkoły średniej na podstawie świadectwa ukończenia klasy szóstej. Prof. Dutkiewicz niezwykle dydaktyk i wychowawca naszej klasy VI A wydał mi zaświadczenie na kilka tygodni przed końcem roku, że otrzymam promocję z bardzo dobrymi i dobrymi notami. Ostatecznie postawił mi same piątki i wręczył dyplom dla ucznia najlepszego z chłopców. Nagrodzoną dziewczynką została oczywiście najlepsza Adela Grotkówna. Pan profesor wychowywał nas jak dobry ojciec. My również ceniliśmy go i kochaliśmy. Wyraz temu daliśmy, gdy na cztery dni został zaarrestowany przez gestapo. Kiedy z okien pierwszego piętra naszej klasy zobaczyliśmy go idącego do nas po przerwie na lekcje, usiedliśmy grzecznie w ławkach.

4.3.41
Przyjemnie jest wpisać się dobremu
uczniowi Ten Twój nauczyciel to ma
taką pamięć, że wylatują z niej pro-
szuszkę uczniowie niezdolni, nie-
słomi lewini, a dobrzy zostają dłu-
go, bardzo długo. Dutkiewicz

53. Wpis do pamiętnika profesora Józefa Dutkiewicza



54. Ku pamięci – Danusia Sałudzianka, rysunek – Henryk Żabka.

Dyżurny klasowy Kazik Wojtasiński (szare szeregi), bardzo miły, ale niesforny uczeń za-
siadł za katedrą. Ta scena tak wzruszyła naszego ukochanego profesora, że zobaczyliśmy w jego

oczach łzy. Uważaliśmy go prawie za członka rodziny. Podczas roku szkolnego dwukrotnie odwiedził on mieszkanie każdego ucznia. Razem z całą grupą kandydatów przystąpiłem do piśmennego egzaminu w handlówce. Moja siostra Wandzia, która ukończyła siedmioklasową szkołę w Kiernozi niestety nie przystąpiła do egzaminu. Przed kilku dniami operował ją na zapalenie wyrostka robaczkowego p. Dr Ciszewski. Nie uratował w tym samym czasie mojego brata stryjecznego Krzysia z powodu perforacji wyrostka robaczkowego. Do szkoły handlowej starali się o przyjęcie osiemnastolatkiem, aby mieć legitymację zabezpieczającą przed wywózką na roboty do Niemiec. Pośród licznej grupy kandydatów wyglądałem jak maluch. Komisja egzaminacyjna nie traktowała mnie łagodnie. Rozwiązałem błyskawicznie zadania matematyczne. Pani Plewińska z geografii zadała mi kilka bardzo trudnych pytań. Wydawało mi się, że wypadłem przyzwoicie. Przy tak dużej liczbie kandydatów i małej liczbie miejsc każde obniżenie o jeden stopień z przedmiotów egzaminacyjnych groziło nie znalezieniem się na liście przyjętych. Pani profesor poprosiła spokojnie o wskazanie na mapie stolicy Południowej Afryki. Lubiłem geografie i sam nauczyłem się z atlasu wszystkich stolic ówczesnych państw świata, a nawet kolonii. Pewnie większość kandydatów wskazałoby na bogaty w diamenty i złoto duży Johannesburg. Gdy odnalazłem Pretorię ogromna mapa spod sufitu spadła na podłogę. Rozbawiłem komisję egzaminacyjną, kiedy wskoczyłem na ławkę i starałem się bezskutecznie zawiesić mapę pod sufitem. Zostałem przyjęty do szkoły, lecz nie rozpocząłem tam nauki. Musiałem jeszcze uczęszczać do końca roku szkolnego do klasy szóstej. Powiadomiono mnie, że w przyszłym roku szkolnym zostanę przyjęty bez egzaminu. Nie mogłem z powodu egzaminów brać udziału w pogrzebie Krzysia. W końcu roku szkolnego w budynku elektrowni łowickiej, strzeżonej przez żandarmów, w mieszkaniu rodziców naszej koleżanki Aliny Januszówny, przerobionym na klasę szkolną, otrzymałem świadectwo z dyplomem. Odbyło się też konspiracyjne przedstawienie sztuki Aleksandra Fredry „Śluby panieńskie“ w obsadzie uczniowskiej. Prywatnie z koleżankami Danusią Sałudzianką, której ojciec zginął w bitwie nad Bzurą, Hanią Antonowiczówną, opłakującą ojca po mordzie w Katyniu, Łodzią Kaźmierczakówną i moim kolegą Heliodor-em Czarneckim urządzaliśmy zakazane przez okupanta spotkania teatralne. Bardzo ciekawie wypadły fragmenty Nocy Listopadowej Wyspiańskiego. Przybyli członkowie naszych rodzin. Pamiętam jak Hania Antonowiczówna haftowała sztandar dla powstańców. Mieszkałem w domu rodziców przy młynie w Małszycach, odległym około 1 kilometra od szkoły.

GENERALGOVERNEMENT FÜR DIE BESETZTEN POLNISCHEN GEBIETE
GENERALNE GUBERNATORSTWO DLA OKUPOWANYCH POLSKICH OBSZARÓW

7
-klassige öffentliche polnische Volksschule
-klasowa polska publiczna szkoła powszechna

Nr. 47 Name — im. Louise
in Louise Kreis Łowicz
w 47. powiat
Nr. 47. Schuljahr 1940/41
Rok szkolny

SCHULZEUGNIS ŚWIADECTWO SZKOLNE

Śmiałek Mieczysław

geboren urodzony den dnia 13 listopada 1924 in Łowicz
Kreis powiat Łowicz Konfession wyznania Rzymskokatolicki

besuchte die Klasse und erhielt für das Schuljahr 1940/41 nachstehendes Zeugnis:
uczestniczył do klasy i otrzymał za rok szkolny następujące świadectwo:

Religion	religia	<u>sehr gut</u>	<u>bardzo dobry</u>
Polnische Sprache	język polski	<u>sehr gut</u>	<u>bardzo dobry</u>
Sprache	język	<u>sehr gut</u>	<u>bardzo dobry</u>
Geschichte	historia	<u>sehr gut</u>	<u>bardzo dobry</u>
Erdkunde	geografia	<u>sehr gut</u>	<u>bardzo dobry</u>
Naturkunde	nauka o przyrodzie	<u>sehr gut</u>	<u>bardzo dobry</u>
Rechnen u. Raumlehre	arytmetyka z geometrią	<u>sehr gut</u>	<u>bardzo dobry</u>
Zeichnen	rysunki	<u>sehr gut</u>	<u>bardzo dobry</u>
Werkunterricht	zajęcia praktyczne	<u>sehr gut</u>	<u>bardzo dobry</u>
Gesang	śpiew	<u>sehr gut</u>	<u>bardzo dobry</u>
Leibesübungen	ćwiczenia cieleśne	<u>sehr gut</u>	<u>bardzo dobry</u>
Weibliche Handarbeiten	roboty kobiece	<u>sehr gut</u>	<u>bardzo dobry</u>

erläumte Stunden 9 davon unentschuldig
Liczba opuszczonych godzin w tym nieusprawiedliwionych

Auf Grund dieses Zeugnisses wird der Schüler- die Schülerin in die Klasse 5 versetzt.
Na podstawie powyższego świadectwa uczeń-uczennica przechodzi do klasy 5.

Łowicz den 23 czerwca 1941
Klassenlehrer — opiekun klasy Stanię Schulleiter — kier. Stanię

Urteile: sehr gut, gut, genügend, nicht genügend.
Skala ocen: bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny.

55. Świadectwo szkolne podczas okupacji

Po wakacjach nastąpiła zmiana lokalizacji naszej klasy. Ojca Aliny Januszówny zamordowali naziści niemieccy za działalność w podziemiu wywoleńczym i zabrali służbowe mieszkanie w elektrowni. Przeniesiono nas do starego parterowego budynku szkoły z czasów zaborów na Bratkowicach. Teraz droga do szkoły była nieco dłuższa niż jeden kilometr ulicą Blich. Władze niemieckie postanowiły zmienić kierunek jednego z nurtów Bzury, która zalewała czasami miasto i usypać wały przeciwpowodziowe. Nad Bzurą na ziemi naszego sąsiada Jana Miziołka zbudowali baraki obozu koncentracyjnego. Początkowo przy sypaniu wału pracowali jeńcy rosyjscy z wojny niemiecko – sowieckiej. Ci wycieńczeni żołnierze, poza niewolniczą pracą przy rzece, beczkowitzem codziennie przywozili wodę ze studni drugiego naszego sąsiada Józefa Żabki. Czasami p. Żabkowej udało się skrycie podać tym jeńcom coś do jedzenia. Często idąc do szkoły widziałem, jak ciągnęli wóz pełen ciał zmarłych żołnierzy na cmentarz żydowski na Górkach Jastrzębskich. Nigdy nie udało się dzieciom dać choćby drugiego śniadania tym jeńcom, pracującym jak zwierzęta pociągowe. W późniejszym okresie osadzeni zostali w obozie antyfaszyści włoscy. Pilnujący ich żołnierze niemieccy byli dla nich łaskawszy. P. Żabkowa mogła im dawać

różne wiktuały, a we młynie wsypywano im do torby mąkę na placki do pieczenia na blasze. W tym obozie później przebywali także w oddzielnym baraku obywatele polscy za tzw. przestępstwa gospodarcze jak nieoddawanie kontyngentu zbożowego lub mięsnego, zabroniony ubój, szmugiel itp.

Wychowawcą został w klasie siódmej p. prof. Czesław Motyliński, który polecił nam zakup dzienników do uwag i ocen. Ciężko przeżyłem półrocze klasy siódmej. Pan prof. Motyliński oceniał z języka polskiego oddzielnie wiadomości z gramatyki, ortografii, czytanie, opowiadanie oraz pismo. Okazało się, że z pisania otrzymałem trójkę. Dla mnie było to niezwykle dramatyczne przeżycie. Nigdy nie pisałem kaligraficznie jak niektóre koleżanki w moim pamiętniku np. Hanka Mrozówna, czy Krysia Babska, albo Adela Grotkówna. Na koniec roku jednak, tylko z jedną czwórką z przyrody i resztą piątek, w tym z języka polskiego, ukończyłem Ćwiczeniówkę. Profesor Czesław Motyliński bardzo dyskretnie przemyczał literaturę polską. Gdy nasze podziemie zgładziło Puchalskiego, młodego człowieka współpracującego z okupantem, przerabialiśmy wiersz Ignacego Krasickiego o chytrej czapli i rybach z wymownym morałem „Padła nieżywa. Tak zdrajcom bywa”. Bardzo dobrze rozumieliśmy przesłanie tego wiersza.



56. *Klasycystyczny ratusz łowicki*

Dzięki inskrypcji, znajdującej się w katedrze łowickiej, wiadomo, że książę mazowiecki w r.1100 ufundował w Łowiczu kościół parafialny. Według zapisu w bulli papieskiej Innocentego II z roku 1136 Łowicz został przekazany arcybiskupstwu gnieźnieńskiemu. Arcybiskup Jarosław Bogoria ze Skotnik w r.1355w miejscu grodu obronnego wznosił murowany zamek który przekształcił na rezydencję prymasowską. W roku 1433 prymas Wojciech Jastrzębiec podniósł kościół do godności kolegiaty. Tutaj powstała najstarsza w kraju kolonia Akademii Krakowskiej.



57. Katedra p.w. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Łowiczu (XV–XVII w.).

Tutaj powstała etniczna społeczność księżacy z własną gwarą i twardą literą literą H

H. Łowickie.

Zapisała w r. 1924 stud. fil. Halina Świdarska.

z. Opowiada Zaczek, gospodarz (około 50 lat) rodem z Retek, zamieszkały od dwudziestu kilku lat w Pszczonowie. Zatracił dyftongiczną wymowę -ow-, -wo-, -iu-.

139. To belo jescce za ruskich casuf.

Mieli porovaż manketnice¹⁾ na naszym smyntożu. Jo ryxytg bełym v dozoże²⁾, tożva s kšynzym pr^oboscym se umuveli, ze zvolomy luži. s całki parafijy i ne domy manketnikum vliž na smyntoš.

Zesli se luže rano o pönty gożine, tysönce luži, kolo košcöla i popšy-
 zoželi z vidlamy, z žabasamy³⁾, s kijamy. Myžmy iym požeželi, ze ne ki-
 jamy, iyno sfojmy persamy odbrunimy. Na tyn cos pšyjezzo pan dere-
 xtur z lyskoski fabryki i tšex kšyzuv opeyx: z Makova, z Lipec
 i z Dumańeic. To belo šterex kšyzy. To derextur muvi i opci kšyzo-
 muvóm: pušćie čalo, bo beže rozlañe krfi. Iyno jo stoļiölym za kšynzym
 z Makova, zeby ne pušćie, bo manketniki stšelaž do noz ne bedóm. Pan
 derextur muvi: „A vy veće, ze ne bedóm stšelač?“ — „Jo vym, tša zro-
 hiž dva skšydda z nos po dvox strunaž sosu⁴⁾, zeby niht pšejž ny muk“.
 F ty kfili nadjexoł nocelñik straza žymski i dvunostu strožnikuf. A jescce
 čala ne belo. Pan derextur vysed do luži z golóm głovóm i muvi:
 „Ozeñčta se luže, jaby dozur ney ostañe“. To jo boļoļym se, ze derextur
 rospynži nom luži, to vyože za panym derextorym i zym obocel Žim-
 note, a tyn Žimnota to bel ryxytk pijany. Jo muve dn nego: „Iž do dere-
 xtorä i opštorcu⁵⁾ go dobže, bo jescce rospynži nom tu luži i manketnice
 porovažom“. To un posed do derextora i muvi: „Ic pön do djäbla, do
 sfojy fabryki, ä tu, do cholery, ne žönć košcölym“. To derextur se vzön
 za glove i uceg nazod do kanclaryiy. (Po pijanymu to Žimnoće tag
 uslo požežić, po kšyžvymu to nymozno). Iag nadježaly strožniki, to nocel-

58. Gwara łowicka – H. łowickie

W r. 1511 Łowicz liczył 3000 mieszkańców i był ośrodkiem handlu i rzemiosła. Tutaj odbywały się jarmarki na trójkątnym Nowym Rynku z najważniejszym na św. Mateusza 21 września, kiedy zatrzymywali się kupcy litewscy zdążający na jarmark do Poznania.

Łowicz, przynajmniej jego centrum, znałem od dzieciństwa. Często rodzice zabierali mnie przed wojną w dni targowe w piątki i wtorki. Miasto wydawało się takie wielkie i niezwykle męczące. Pamiętam ten targowy trójkątny Nowy Rynek im. gen. Jana Kilińskiego ze starymi osiemnastowiecznymi kamienicami np. z domem pod donicą i ulicę Zduńską łączącą ten rynek z prostokątnym Starym Rynkiem im. gen. Tadeusza Kościuszki. Najważniejsza ulica handlowa w Łowiczu zamieszkała była głównie przez mniejszość żydowską, która w około dwudziestopięciotysięcznej aglomeracji liczyła ponad pięć tysięcy. Na Nowym Rynku posiadał sklep z obuwiem Żyd, wspaniały fachowiec. Mama pragnęła zakupić nowe czarne pantofelki na słupku. Zabrała tam i mnie. Przymierzała kilka ślicznych fasonów, ale najbardziej jej przypadła do gustu para ozdobiona skórą z węża. Rzeczywiście te pantofelki podkreślały zgrabność nóg i poprawiały sylwetkę. Żydek skakał koło mamy, zachwalał, jaki to cymes wykonał dla niej osobiście. Zaklinał się na własne dzieci i żonę, że nie ma w nich nawet kawałka tektury, lecz najdroższa skóra. Podziwiałem szewca za te jego piękne wyroby. Początkowo pomyślałem, że mama zechce zakupić wszystkie przez nią przymierzane na słupku pary pantofli. Gdy wreszcie zdecydowała się na te jedyne miękko otulające stopę rozpoczęto targowanie. Gdy obniżył szewc cenę o 50 groszy niemal wrywał sobie zarost z brody i włosy na głowie. Twierdził, że zbankrutuje przez mamę. Za każdą obniżką ceny wydawało się, że nie zniesie krzywdy, jaką mu wyrządza. Wreszcie z 15 złotych opuścił na 12 złotych. Już zadowolony chciał pakować pantofelki, lecz mama stwierdziła, że musi się zastanowić. Żyd o mało nie zemdłał. Usiadł na zydlu, złapał się za serce i krzyczał, że skona jak opuści choć jeden grosik. Odwiedziliśmy jeszcze kilku szewców przy ulicy Zduńskiej, a następnie jeszcze jeden w pobliżu Starego Rynku. Niestety buty nie były tak eleganckie jak u pierwszego szewca. Zacząłem mamie marudzić, że czuję się zmęczony. Ucałowała mnie i zdecydowała się na odpoczynek. Wstąpiliśmy na chwilę do pięknego barokowego kościoła oo. Pijarów.



59. Barokowy kościół oo. Pijarów w Łowiczu

W kościele panował chłód. Pomodliliśmy się siedząc w ławce. Spodobały mi się piękne freski na sklepieniu. A były tam aniołki i święci i różne kwiaty wykonane po mistrzowsku w XVII wieku przez samego Michała Anioła Palloniego. Pomyślałem, że wolałbym już modlić się w tym kościele niż w upale załatwiać sprawunki. Lecz udaliśmy się jeszcze na ulicę 11 Listopada biegnącą w kierunku kościoła św. Małgorzaty i św. Leonarda. Zobaczyłem też w Alejach Sienkiewicza strzelistą wieżę kościoła mariawickiego w stylu gotyku nadwiślańskiego, do którego przez pewien okres chodziła siostra mojego dziadka Leona, Maria Perzyna. Dalej przez korony

drzew patrzył stary kościół sióstr bernardynek na szeroką aleję im. Sienkiewicza, podobnie jak siostry skryte za woalem zasłon w prezbiterium podczas mszy świętej. Na skwerze pełnym zieleni i kwiecia ogromny głaz upamiętniał bohatera Ziemi Łowickiej Adama Zawiszę Czarnego z Soboty nad Bzurą. Za klasztorem rozciągały się ogrody klasztorne i ogrody pp. Kalinowskich, którzy hodowali najpiękniejsze kwiaty w Łowiczu. W sklepach z obuwiem fasony i ceny pantofelków nie zachęcały mamy do ich zakupu. Powróciliśmy na Stary Rynek. Odpocząłem trochę w ławkach pięknej kolegiaty, w której spoczywają zwłoki kilkunastu prymasów Polski. Tutaj po przeniesieniu stolicy do Warszawy przez króla Zygmunta III Wazę prymas Polski rezydował w Łowiczu. Zobaczyłem kaplicę z Chrystusem na krzyżu, którą Napoleon podczas pobytu w Łowiczu chciał zabrać do Francji. Dowiedziałem się, że w kaplicy św. Wiktorii, patronki Łowicza, spoczywały zwłoki księcia Józefa Poniatowskiego po bitwie narodów pod Lipskiem. Na wschodniej ścianie rynku rzucała się w oczy dużej kubatury budowla popijarskiej szkoły ogólnokształcącej. Tutaj ks. Stanisław Konarski przeprowadził reformę szkolnictwa w ramach programu Komisji Edukacji Narodowej. Na północnej ścianie rynku wybudowano neoklasycystyczny ratusz. Zobaczyłem niemal w sąsiedztwie kamienicę, w której podobno zatrzymał się sam Napoleon. Wstąpiliśmy do restauracji państwa Kwaczyńskich znajdującej się na południowej ścianie prostokątnego rynku. Szybko zjedliśmy zupę i kielbasę na gorąco z bigosem i bułką. Wydawało mi się, że najlepsza jest kielbasa na zimno z octem i bułeczką, po łowicku, u pana Szymka Drzewicza w jadalni na Przyryнку. Syci i wypoczęci powróciliśmy do pierwszego żydowskiego sklepu po pantofelki za 12 złotych. A co to były za przepiękne buty. Miały ozdobę z wytłaczanej wężowej skórki i obcasik w sam raz. One były tak mocne, że przetrwały wojnę, a nawet sporo lat po wojnie, choć zelówka była cienka, ale mocna jak stal.



60. Zdjęcie absolwentów Ćwiczeniówki w Łowiczu r.1942 z profesorem Czesławem Motylińskim – trzecia po prawej siedzi Irenka Siciakówna, ocalone dziecko z Zamojszczyzny, trzeci stoi w pierwszym rzędzie po lewej Mietek Śmiałek

Z połączonych dwóch klas szóstych A i B ukończyło ze mną naukę w szkole powszechnej około pięćdziesięcioro absolwentów: Aleksandra Adamkowska, Irena Ambroziak, Tadeusz Chodorowski, Henryk Dudkowski, Halina Fortuńska, Ryszard Gajda, Gajewski, Alicja Goździkówna, bracia Graszkwie, Adela Grotkówna, Jurek Grzybowski - Szare Szeregi, Zosia Górowska, Irena Ignaczakówna, Alina Januszówna, Kazimierz Janicki, Daniela Jankowska, Zbigniew Jankowski, Halina Kazuniówna, Krystyna Klimkówna, Mirosław Kłębek – Szare Szeregi, Janina Kopańska, Danuta Kotlarska, Helena Koziółówna, Stanisław i Andrzej Krukowscy – Szare Szeregi, Irena Leontiew, Hanna Mrozówna, Zygmunt Nagłowski, Zofia Nassalska, Jerzy Niebudek – Szare Szeregi, Roman Omięcki, Ryszard Pasternak, Danuta Pawłowska, Maria Płoszka, Marian Płoszyński, Bogusław Podczaski, Irena Siciakówna – dziecko ocalłe z Zamojszczyzny, Lucyna Sokalska i jej brat Sokalski, Halina Sosnowska, Kazimierz Strzelecki, Tadeusz Szale-

niec, Mieczysław Śmiałek, Zosia Wieczorkówna, Wojdzianka, Marysia Wolska, Wardajn, Kazio Wojtasiński – szare szeregi i Mietek Zimny – Szare Szeregi.

Tak we wrześniu roku 1942 rozpocząłem już bez egzaminu naukę w 42-osobowej klasie Szkoły Handlowej w Łowiczu, zlokalizowanej w budynku sióstr bernardynek przy Alejach Sienkiewicza. Była to jedna z ciekawszych ulic miasta. Szeroką aleję ozdabiały liczne drzewa i krzewy, stary siedemnastowieczny kościół, klasztor sióstr bernardynek i na skwerze głąz upamiętniający bohatera Narodowego Ziemi Łowickiej Artura Zawiszę Czarnego z miejscowości Sobota. Z Nowym Rynkiem aleję połączono wąską uliczką Ciemną, którą codziennie przemierzałem idąc do szkoły. Szkoła Handlowa w Łowiczu miała niemal program szkoły wyższej. Uczyli znakomici nauczyciele ze szkół poznańskich. Tutaj wspomnę p. Wojnowskiego wykładającego technikę handlu, administrację sklepu i bardzo dokładnie każdy paragraf prawa handlowego. Świetnego mieliśmy wychowawcę i nauczyciela księgowości p. Tadeusza Wojciechowskiego. Arytmetyki handlowej nauczali nas p. prof. Józef Zagórski i nasz dyrektor prof. Adam Wysocki. Byłem dobrym uczniem, lecz trudno było wyprzedzić zdolną i niezwykle pilną moją koleżankę z Ćwiczeniówki Adelę Grotkównę. Ponadto sztywne zasady panujące w szkole trudne były do zniesienia dla chłopca niezwykle ruchliwego, z różnymi pomysłami. Właśnie był tłusty czwartek. Zaproponowałem, jak to było w zwyczaju w szkole powszechnej wysmarowanie tablicy tłuszczem. Wszyscy uczniowie z radością podjęli ten sztabacki zwyczaj. Oddawali posmarowane masłem swoje kanapki i każdy raz pomazał tablicę. Ponadto umówili się, aby nie wydać inicjatorów tej zabawy. Ustalono, że w przypadku represji odpowiedzą wszyscy za ten żart. Oczywiście p. prof. Zagórski nauczyciel arytmetyki miał problemy w prowadzeniu lekcji. Ale groźny p. dyrektor Wysocki nie przepuścił nam tego wybryku. Podczas przerwy odwiedził klasę z groźną miną. Zapytał najpierw dwie dyżurne Krysię Klimkównę i Gienę Wasiliew. One potwierdziły to, co uzgodniono wcześniej. Inni uczniowie, między innymi i ja powtórzyłem to samo. Lecz jeden z uczniów okazał się kapusiem. Wymienił trójkę prowodyrów, mnie, Zbyszka Jankowskiego i Danusię Grudziecką. Wyrzucono nas ze szkoły. Następnego dnia po wizycie rodziców lub opiekunów przywrócono nam status uczniów. Danusia była sierotą. Ojciec jej, wojskowy, zginął podczas wojny. Wychowywana była przez pp. Brzozowskich, rodzinę nauczycielską. Ponieważ w tym czasie, z powodu zamknięcia przez nazistów młyna w Małszycach mieszkałem sam, mnie usprawiedliwił p. prof. Żabka, nasz sąsiad. Następnego dnia zasiedliśmy znów w ławkach. W Retkach młyn pracował pełną parą w dzień i w nocy. Nigdy żandarmom niemieckim nie udało się odkryć malwersacji buchalteryjnych. Gdy jechał jakiś samochód ze Zdun wiadomo było, że to muszą to być Niemcy. Wówczas poprawiano w księgach nieściśłości. W Łowiczu młyn stał przy głównej arterii Warszawa - Poznań - Łódź. Tu przejeżdżało mnóstwo aut niemieckich. Kontrola wpadała zniecierpliwiona. Kontrolerzy nie dawali się namówić na poczęstunek. Żandarmi ze Zdun nie byli tak akuradni. Najpewniej było zaprosić ich do stołu. Uwielbiali alkohol, tzn. bimber, którego nie wolno było produkować. U nas Łodzianka urządziła wspaniałą bimbrownię. Delektowali się bimbrem oczyszczanym w kolumnie z węglem aktywowanym a do deseru spreparowanym w domu ajerkoniakiem. W ten sposób kontrola wypadła pozytywnie. Na mąkę oczekiwano wielu szmuglerów z Warszawy, przyjeżdżających codziennie do pobliskich Jackowic, gdzie na dworcu żandarmi wybiórczo odbierali żywność, szczególnie mięso i wyroby mięsne. Niekiedy aresztowali handlarzy. Wysyłano następnie notorycznego szmuglera do obozu. Nie było innej rady na życie w Generalnej Gubernii. Żeby przeżyć tę wojnę, trzeba było handlować. Gdy w pociągu zjawiała się żandarmeria, wszyscy wiedzieli, że zrzutka do czapki uratuje cały wagon od rekwizycji towaru. Trzeba było jeszcze się pomodlić, żeby w Warszawie na dworcu kolejowym bez rewizji przejść przez patrol żandarmerii.

Łowicka szkoła handlowa dzięki talentowi profesora Żabki mojego sąsiada szczyliła się niezwykle wysokim poziomem technicznym i artystycznym przedmiotu techniki reklamy. Nie miałem w tej dziedzinie sukcesów. Brakowało mi ciekawych pomysłów i cierpliwości w różnych stylach pisania. Najbardziej mi odpowiadała kursywa amerykańska, ponieważ pozwalała na ukrycie pewnych drobnych niedociągnięć. Sądzę, że prof. Żabka nasz sąsiad podciągał mnie na

czwórkę. Jego przyjacielem i przyjacielem dyrektora szkoły był nasz nauczyciel od towaroznawstwa i stenografii p. prof. Dyło. Pan dr Ruszkowski lekarz ginekolog nauczyciel higieny pod koniec nauki urządził oddzielnie chłopcom i dziewczynkom lekcje seksuologii. Mieliśmy jeszcze naukę geografii gospodarczej z uroczą p. Janiną Plewińską, która ciągle po pamiętnym egzaminie wstępnym stawiała mi piątki. Tych przeróżnych przedmiotów było kilkanaście: spółdzielczość, korespondencja handlowa, pisanie na maszynie, niemiecki z p. Jadwigą Benoit i na bardzo niskim poziomie okrojony z literatury język polski z nauczycielką przedwojennego liceum ogólnokształcącego panną Marią Ficką. Po lekcjach języka polskiego podczas opuszczania klasy przez nauczycielkę panowała straszna wrzawa. Pewnego razu p. dyrektor Wysocki zwabiony krzykiem stwierdził, że najgłośniej wrzeszczał Mietek Śmiałek. Za karę wysłał mnie do domu po rodziców. Ponieważ było to niemożliwe, gdyż rodzice odwiedzali mnie raz w tygodniu, gdy przywozili żywność, p. Prof. Henryk Żabka załatwił znów tę trudną sprawę.

Gdy młyn był zamknięty przez władze okupacyjne obiady jadłem w restauracji przyjaciół moich rodziców, a nawet kumów – pp. Cejrowskich. W domu wszystkich współwłaścicieli młyna w Małszycach mieszkały w tym czasie dwie rodziny wysiedlone z pobliskiego Gębina. Pani Janina Łuczyńska codziennie rano przygotowywała dla mnie kubek gorącej kawy zbożowej z mlekiem. Rodzina pp. Łuczyńskich zajmowała pokój z piecem w ścianie, niegdyś ogrzewającym moją sypialnię. W tym czasie nikt go nie używał. Wszyscy mieszkańcy domu stosowali ogrzewanie elektryczne, ponieważ władze niemieckie płaciły za energię elektryczną w zamkniętym przez nich młynie. Dlatego przez dziurę w piecu, po wyjęciu kafła od strony mojego pokoju, p. Łuczyńska mogła podać mi kawę bez wychodzenia z mieszkania. Kafel był wstawiany tymczasowo, aby nie szpecił wnętrza. Gdy natomiast po przejściowych represjach młyn uruchamiano, siostra Felunia natychmiast zalepiła na stałe ruchomy kafel. Za pomoc w postaci codziennie podawanego mi kubka gorącej kawy przez p. Janinę Łuczyńską moi rodzice obdarowywali ją i jej rodzinę bezcennymi wówczas produktami żywnościowymi. Pewnego dnia odwiedziła nas w Łowiczu ciocia Piekaczowa z Ożarowa Mazowieckiego. Felunia obdarowała ją ogromną ilością mąki. Dołożyła jeszcze nieco wiktuałów przywiezionych przez rodziców z Retek. Zaledwie ciocia przeszła na drugą stronę ulicy zatrzymali ją żandarmi niemieccy i wszystko odebrali. Wielkie szczęście, że jej nie aresztowali. Ciocia powróciła do nas. Otrzymała nowy ładunek żywności i szczęśliwie powróciła do domu. Felunia miała także ciężkie przeżycie. Została zatrzymana podczas ulicznej łapanki w Łowiczu przez żandarmerię niemiecką. Legitymowała się dokumentem potwierdzającym jej zatrudnienie w młynie. Na szczęście potwierdził to jakiś volksdeutsch, który ją znał i została zwolniona.

W Szkole Handlowej uczył religii ks. Stefan Zawadzki. Ksiądz nie należał do łagodnych pedagogów. Bardzo denerwował się nie tylko na lekcjach, ale również w kościele, gdy podczas posługi przy mszy, uczeń – ministrant wolno lub niedokładnie odpowiadał po łacinie. Łajał wówczas bardzo głośno i nerwowo. Wreszcie wszyscy uczniowie mimo przepisanej harmonogramu służenia do mszy św. przestali przychodzić na mszę poranną do kościoła oo. pijarów. Pewnego razu ksiądz Zawadzki odprawiając mszę świętą nagle zmarł przy ołtarzu. Dopiero po tym wypadku skruszeni uczniowie zrozumieli nerwowość księdza, który miał częste napady bólu serca i duszności. Po pogrzebie rozpoczęto naukę religii z księdzem Zygfrydem Stanowskim. Zapanowała miła atmosfera. Wszyscy uczniowie chętnie usługiwali nowemu prefektowi do mszy świętej. Chociaż źle było z finansami w rodzinach podczas okupacji, uczniowie składali ofiary na rzeźbę św. Stanisława Kostki patrona młodzieży. Podczas śpiewu pieśni kościelnych ksiądz zaproponował mi naukę śpiewu u byłego mojego nauczyciela ze szkoły powszechnej i organisty kościoła p. prof. Wąsali. Szybko rozpoczęły się solowe występy podczas mszy św. w każdą niedzielę w szkolnym kościele o godzinie 10-ej. Kościół ten w Łowiczu był elitarny, podobnie jak kościół ss. Wizytek w Warszawie. Uczęszczała do niego inteligencja. W każdą niedzielę z małżonkiem doktorem Ciszewskim uczestniczyła w uroczystości mszalnej p. Cecylia siostrzenica Stefana Żeromskiego. Pani doktorowa i dyrektorowa Szpitala Miejskiego w Łowiczu uważana była za najelegantszą damę w mieście. Pan doktor Ciszewski, chirurg, po ciężkim

zranieniu i amputacji dłoni lewej we wrześniu 1939 roku, z asystą znakomicie operował pacjentów. Często drugim solistą w kościele był bas, Ludwik Benoit, syn germanistki. Świetna akustyka pięknego barokowego kościoła z freskami Michała Anioła Palloniego niosła dobrze mój śpiew. Stryj Stasiek Śmiałek, mieszkający nad Bzurą przy ulicy Gdańskiej opowiadał, że czuł się bardzo dumny z prezentowanego poziomu artystycznego bratanka. Wczesną wiosną roku 1944 wojsko niemieckie zajęło na lazaret dla rannych żołnierzy wermachtu budynek szkolny u ss. Bernardynek, gdzie panował spokój. Czasami tylko przez podwórko szkolne przechodziła zawsze ta sama piękna siostra do ogrodu zakonnego. Przeniesiono nas do Domu Rzemiosła przy ul. Zduńskiej, głównej handlowej ulicy. Ulica Zduńska przed wojną zamieszkała była głównie przez Żydów. Po likwidacji getta i wywózce ludności żydowskiej do obozów koncentracyjnych, spaleniu i rozebraniu do fundamentów synagogi, powstało wiele powierzchni do zasiedlenia, szczególnie tysięcy uciekinierów z tak zwanego Warthegau, Pomorza i Łodzi. Świadectwo ukończenia nauki w szkole handlowej otrzymywało się po zaliczeniu egzaminów pisemnych i ustnych. Wszyscy dopuszczeni uczniowie zdawali egzaminy pisemne z arytmetyki handlowej, księgowości, stenografii, korespondencji handlowej i języka niemieckiego. Natomiast egzaminy ustne musieli zaliczać z pozostałych przedmiotów tylko, mający oceny dostateczne i mierne oraz poprawki z przedmiotów pisemnych. Uradowałem się bardzo, gdy po egzaminach pisemnych znalazłem się w dwudziestce zwolnionych uczniów spośród osiemdziesięciorga absolwentów. Z mojej klasy ukończyli Miejską Szkołę Handlową w Łowiczu : Czesiek Broda z Kiernozi, Julek Budzyń, Eulalia Candyk, Miecio Ciesielski z Bolimowa, Mietek Czuba szare szeregi, Heniek Daniłowicz, Marta Dębińska, Sylwek Dobrowolski, Garbacka, Adela Grotkówna, Danusia Grudziecka, Heniek Janeczek z Karsznic Dużych, Kazio Janicki, Zbyszek Jankowski z Wołkowyska, Krysia Klimkówna, Mirek Kłębek szare szeregi, Danusia Kosiorkówna, Jurek Kosiorek, Jula Kowalczykówna z Wicia, Staszek Krukowski, Basia Łyczbianka z Jamna, Hela Michalak z Wicia, Bogdan Nodzak z Bielaw, Stefa Odolczykówna, Polek Ohryzko szare szeregi, Janka Perzynianka z Niedźwiady, Marian Płoszyński, Tadek Pokorski z Gąbina – Szare Szeregi, Ptasieński, Staszek Rybus z Bochenia, Stelmaszczykówny Danusia i Krysia z Kiernozi, Kazio Strzelecki, Ola Sylwestrowicz, Gienia Szkopińska, Mietek Śmiałek, Wojtek Tomczyk - Szare Szeregi – (skazany na karę śmierci za uwolnienie Cyfry i członków ruchu oporu Armii Krajowej w Łowiczu, a po kilku latach ułaskawiony, ożenił się z naszą koleżanką Gieną Wasiliew również z Szarych Szeregów), Giena Wasiliew, Józek Wasilewski, Ania Węgierska i Ala Zielińska.



61. Uczniowie Miejskiej Szkoły Handlowej w Łowiczu w roku 1944 w Alei H. Sienkiewicza; Klasztor SS Bernardynek i wieża kościoła mariawickiego – Mietek Śmiałek stoi ósmy po prawej

W tym czasie mieszkańcy ulicy Blich i tej dzielnicy przeżyli makabryczne wydarzenie. Wy-sadzono w powietrze mleczarnię, do której obowiązkowo odstawiano mleko dla władz niemieck-

kich. W ramach represji gestapo przywiozło natychmiast dziesięciu więźniów politycznych i rozstrzelało ich na placu przed zrujnowaną mleczarnią. Zmuszono ludność cywilną do patrzenia na leżące zakrwawione trupy. Podczas zwycięstw armii niemieckiej na frontach okupanci pisali na domach w mieście „Deutschland siegt an allen Fronten“ (Niemcy zwyciężają na wszystkich frontach). Kiedy faszyci ponosili klęskę, chłopcy z Szarych Szeregów zmieniali literkę s na l i czytano, że Niemcy leżą na wszystkich frontach. To bardzo ludzi podnosiło na duchu. W łowickim kinie nie wyświetlano filmów polskich. Głoszono bojkot tego niemieckojęzycznego kina. Dlatego pisano również na murach domów. „W kinie siedzą same świny“. W szkole było wielu moich kolegów działających w dywersji, zarówno uczęszczających do Ćwiczeniówki jak i do handlówki. Jak się później okazało, siedziałem z jednym z nich w ławce, a mianowicie z Jurkiem Niebudkiem. Pojawiały się też polskie napisy PPR wróg i PPR zdrajca. Wiele osób nie rozumiało znaczenia tych liter, bo komunistyczna mniejszość wówczas stanowiła niewielki procent populacji. Dopiero w latach osiemdziesiątych poznano prawdę. Marceli Nowotko założyciel partii komunistycznej PPR został przysłany z ZSRR w celu niszczenia podziemnej polskiej Armii Krajowej. Kolaborował z Niemcami i donosił do gestapo na ludzi z polskiego patriotycznego podziemia. Podejrzewany przez swoich o kolaborację z okupantem został zastrzelony przez braci Mołojców z centrali PPR-u. Ci powiadomili Moskwę o likwidacji kapusia. Srogo zostali ukarani przez mocodawców z Kremla.

W roku 1943 Śmiałkowie postanowili zastąpić silnik parowy w młynie na elektryczny. Zabrakło Leona Madanowskiego, który fachowo obsługiwał i konserwował urządzenia mechaniczne młyna. Władze okupacyjne zgodziły się na przeprowadzenie linii wysokiego napięcia i oświetlenie Retek oraz Kolonii Retkowskiej w Złakowie Kościelnym. Był to duży postęp cywilizacyjny na wsi. Ósmego września 1943 roku najmłodsza siostra Marysia (06.08.1922 – 24.09.2009) wyszła za mąż za Edwarda Dondzika (02.06.1917, Milwaukee, Wisconsin, USA-2004, Chicago) syna Franciszka i Agnieszki z Kaźmierczaków mieszkających w Stanisławowie k/Kiernozu. Gości weselnych było około 600 osób. Ze względu na okupację, po zaślubinach w kościele parafialnym w Złakowie Kościelnym, na weselu nie było orkiestry łowickiej. Goście podczas ucztowania śpiewali tylko pieśni weselne przy akompaniamencie Łodzi na własnej harmonii. W przerwach grano polskie piosenki na gramofonie z dużą trąbą i na elektrycznym adapterze.



62. Poprawiny po weselu Marysi i Edzia Dondzików- Mietek w tureckim siadzie przed ojcem Stanisławem Śmiałkiem, mama Józefa siedzi trzecia po prawej i trzyma dzieci Marylkę Kozia-kównę i Stasia Cejrowskiego, Łodzi stoi za panną młodą, Felunia na rampie młyńskiej w stroju łowickim

Marysia przeniosła się do męża do Stanisławowa k/Kiernozu. Ich pole stanowiło granicę pomiędzy tak zwaną Generalną Gubernią, a tak zwanym Warthegau, gdzie nie można było używać

polskiej mowy i zabronione były śluby w rodzinach polskich. Rodzice mojego szwagra Edzia państwo Dondzikowie pobrali się w USA przed pierwszą wojną światową i w okresie międzywojennym powrócili do kraju. Tutaj zakupili 30 morgów znakomitej uprawnej ziemi i wybudowali duży dom oraz zabudowania gospodarcze. Edzio, który uczęszczał do szkoły w Kiernozi poznał tutaj siostry Śmiałkówny i wybrał Marię. Podczas wojny rodzice zapisali Marii dom w Kiernozi przepisany natychmiast na jej teściów w zamian za współwłasność z jej mężem Edwardem gospodarstwa w Stanisławowie. Dnia drugiego października roku 1944 urodziła się córka Halina Teresa. W całej rodzinie zapanowała mimo wojny ogromna radość. Babcia p. Agnieszka Dondzikowa oświadczyła, że dom jej w Kiernozi odda swojej pierwszej, tutaj urodzonej wnuczce Halince. Halina Dondzik uzyskała dyplom lekarza stomatologii w Akademii Medycznej w Warszawie. Poślubiła muzyka Andrzeja Konarzewskiego. Z tego małżeństwa urodził się następnie Arkadiusz Konarzewski (08.11.1973 w Warszawie). Aruś mieszka z matką w Chicago, gdzie ukończył naukę na Wydziale Handlu Zagranicznego i Zarządzania Louis University w Chicago.



63. Rodzina Marianny Dondzik z d. Śmiałek – od lewej strony synowa Leokadia K. Dondzik, córka Halina Konarzewska, Edward i Marianna Dondzikowie, syn Jerzy Dondzik i wnuczek Arkadiusz Konarzewski (foto rok 1989)

Syn Marii Jerzy Dondzik ur. 31.03.1948 w Łowiczu, technik elektryk, podczas służby wojskowej na Śląsku poznał Leokadię Katarzynę Kandzia (27.01.1951) technika technologa zbiorowego żywienia, kierowniczkę stołówki w Akademii Medycznej w Zabrze Rokitnicy. W r.1968 służąc w t.zw. komandosach brał niestety udział wraz z wojskiem polskim w pacyfikacji czeskiej wiosny. Tam zaprzyjaźnił się z rodzinami czeskimi, które przyjeżdżały w odwiedziny do Polski. Wojsko polskie nie zachowywało się agresywnie podczas tej przykłej misji. Mieliśmy śląskie wesele z kluskami śląskimi na ciepło, podawanymi w naczyniu ogrzewanym w misce z gorącą wodą. To danie powtarzaliśmy na naszych przyjęciach jako bardzo oryginalne. Jurek osiedlił się w Bytomiu. Na Śląsku urodził się jego syn Daniel (22.07.1977, Bytom). Kasia i Jurek przenieśli się do rodziców w Chicago i tam pozostali. Jurek pracuje jako dyspozytor elektryk. Daniel Dondzik pracuje jako inżynier mechanik. Barbara urodziła mu córkę Lilę Weronikę. (17.09.2012, Chicago). Daniel interesuje się sportem motorowym. Jest rajdowcem samochodowym z nr 475. Najmłodszy syn Marysi Waldemar Dondzik (19.04.1955), który uprawiał kwiaty w Stanisławowie w gospodarstwie odziedziczonym po rodzicach ożenił się z Danutą Kawecką (1957) i z dwoma córkami Marleną (1979) i Agnieszką wyjechali do rodziców do Chicago. Marlena poznała Adriana Gracia z rodziny hiszpańsko francuskiej. Ślub narzeczonych

odbył się w Lionie we Francji, aby rodziny mieszkające w Europie mogły uczestniczyć w uroczystościach weselnych. Marlenka urodziła synka Estebana Gracia i córkę Alicję Sopię (02.08.2012 roku, Chicago). Młodsza córka Waldemara Agnieszka Dondzik, fryzjerka, urodziła w Chicago dwoje dzieci Donavana i Gicha.



64. Marianna i Edward Dondzikowie z córką Haliną Konarzewską na cmentarzu w Chicago.

W roku 1943, mimo okupacji, wierzyliśmy w wyzwolenie. Pomimo groźby aresztowania przez gestapo codziennie w warsztacie przy młynie słuchano radia BBC z Londynu. Już w październiku 1939 roku władze okupacyjne zabrały w Retkach wszystkie nadajniki. Moi rodzice zostawili jeden aparat. Oddali radio kryształkowe na słuchawki. Mój brat stryjeczny Marian i moja siostra Lodzia należeli do wyzwolenieckiego podziemia Armii Krajowej. Czasami podczas wakacji siostra Lodzia informowała mnie, abym czuwał, bo usłyszę wielki huk. Nie spałem i czekałem na wybuch wylatującego w powietrze pod Szymanowicami pociągu niemieckiego z transportem na wschód. Ciężko wszyscy przeżyli śmierć chłopców z podziemia w Retkach, a szczególnie zatrudnionego we młynie, po wysiedleniu z powiatu kutnowskiego, Piotrka Perzyny, pasierba mojej cici. Zamordowany został były pracownik mojego taty Wojtek Białek, który ożenił się z naszą sąsiadką Julką Anyszkówną. Ponadto po aresztowaniu Zygmunta Kubicy zginęli Włodek Styśko, Stanisław Bończewski, Tadek Muras Zydorów czyli syn Izzydora, Stasiek Pawlina Pawlinioków i Janek Garstka.

W sierpniu 1944 roku podczas powstania warszawskiego przywieziono do Retek pierwszych wypędzonych z miasta ludzi.

ZMARTWYCHWSTANIE

Miasto umarłe, niewyciężone!
Ruiny, zgliszcza, walka i sława!
Na krzyk serc dzieci nieujarzmionych
Z martwych powstanie Warszawa.

Sterczy nad Wisłą kikut bez ciała.
Ból i cierpienie serce zaciska.

Umiera stolica ukrzyżowana,
Jak Chrystus święta i czysta

Zdradzona, dumna i uparta krzyczy – nie !
Zdecydowano bez niej o jej własnym losie.
Wierzy, że zaświeci jutrzienka zwycięstwa.
Niszczona przez wrogów i przyjaciół płonie na historii stosie.

Warszawa czuwa chociaż w żałobie.
Tworzy nowe wcielenia.
Puste jej oczodoły wypatrują gdzie wolność,
Choć nie ma nadziei cienia.

Wiatr rozwiął dymy, popioły pożogi.
W mogiłach powstańczych polskie serce bije.
Nasza Ojczyzna z martwych powstanie.
Warszawa żyje !

Wypędzonych warszawiaków umieszczano w każdym domu po kilka osób. U moich rodziców przebywały: babcia i dwie matki z trojgiem malutkich dzieci, p. Janina Ciastek z rocznym Tadzikiem i jej matka p. Katarzyną Ładno oraz p. Stolińska z dwoma córeczkami, trzyletnią Krysią i drugą maleńką, karmioną jeszcze piersią. Poza obecnością w domach przygarniętych wysiedlonych z tzw. Warthegau, retkowiacy przyjęli także warszawiaków. Dotarli do nas dwaj chłopcy, Marek Myśliński z Grochowa i Zbyszek Malanowski. Marek został postrzelony w podudzie. Rana powoli się goiła. Marka odwiedziła jego mama p. Myślińska, która знаła nasz adres. Państwo Myślińscy byli parafianami kościoła na pl. Szembeka, gdzie stryj był wcześniej wikariuszem. Państwo Myślińscy mieszkali przy ulicy Grochowskiej, mieli dworek i rozległy plac od ulicy Nasielskiej do Garwolińskiej, zamknięty od północy ulicą Szaserów. Muszę nieskromnie przyznać się, że wygrałem konkurs na znajomość ulic Warszawy z samymi warszawiakami. Pan Zbyszek Malanowski ostatecznie przegrał, ponieważ nie znał ul. Pankiewicza. W tym czasie został aresztowany mój stryjeczny brat W. Marian Śmiałek. Moja siostra Łodzia, współpracująca z nim, ukrywała się wtedy razem z Lucynką Tokarską c. Józefa, jej koleżanką, w stodole po Szteli. Wojska sowieckie odbiły więźniów, wśród których był Marian, pod Kaliszem podczas ich ewakuacji. Dzień wcześniej ta grupa więźniów politycznych nocowała w Radogoszczy w Łodzi, gdzie następnej nocy spalili Niemcy budynek wraz z więźniami.

Z początkiem września Łodzia po rozmowie z rodzicami postarała się o załatwienie dla mnie dalszej nauki na tajnych kompletach z zakresu szkoły ogólnokształcącej. Poprosiła o pomoc swojego bardzo zdolnego kolegę Józia Adamczyka, który przerabiał na kompletach program liceum ogólnokształcącego. Szybko uzupełniłem z nim materiał klasy I i II gimnazjum. Józek zgłosił mnie do prof. Jana Zbudniewka, dyrektora tajnych kompletów w Łowiczu. Dojeżdżałem codziennie rowerem do odległego o 3 kilometry Złakowa Kościelnego. Józio był synem kowala. Wykazywał wszechstronne zdolności i talent dydaktyczny. Został lekarzem medycyny i mieszkał w Warszawie. Łodzia również na tajnych kompletach w Warszawie przerabiała program średniej szkoły ogólnokształcącej. Ponadto uczęszczała do Szkoły Handlowej w Warszawie przy placu Dąbrowskiego.

W krótkim czasie udało mi się opanować program algebry i geometrii z drugiej klasy gimnazjum i zdać na czwórkę u bardzo surowego matematyka p. prof. Stanisława Renkawka. W

mieszkań profesora w oficynie przy ulicy Podrzecznej (podczas okupacji ulicy Hitlera), kręciły się podczas egzaminu dzieciaki: Krysia i jej młodszy brat Staś. Później z Krysią studiowałem medycynę, a następnie pracowałem w Instytucie Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej PAN w Warszawie. Matematykę z klasy pierwszej miałem zaliczoną na podstawie ukończenia szkoły handlowej. Łatwo dawałem sobie radę z łaciny. Po nauce języka niemieckiego u p. prof. Jadwigi Benoit w Miejskiej Szkole Handlowej w Łowiczu gramatyka łacińska nie była tak straszna. Już w listopadzie u p. prof. Napiórkowskiej otrzymałem na egzaminie czwórkę. W listopadzie zaliczyłem również egzaminy z geografii, botaniki i zoologii w mieszkaniu byłej nauczycielki geografii z handlówki. P. prof. Janina Plewińska polubiła mnie już podczas egzaminu wstępnego w handlówce. Później otrzymywałem z geografii piątkę. Pani prof. Plewińska zaliczyła mi na piątkę egzamin z geografii gospodarczej świata bez pytania, a z geografii Polski, botaniki i zoologii z radością przyjąłem tym razem od niej czwórkę. Trudny był materiał dwóch klas historii od kultury greckiej i wszystkich wojen punickich po bitwę pod Pskowem króla Stefana Batorego. W przeddzień wigilii Bożego Narodzenia udałem się na Stary Rynek w Łowiczu do mieszkania historyczki p. prof. Ireny Preissowej. Siedziałem tam kilka godzin. Byłem tak zmęczony zapewne podobnie jak i p. profesor, która odpytywała mnie i przygotowywała dania wigilijne. Zaliczyłem ten dwuletni program nauki historii po wielogodzinnym odpytywaniu od deski do deski. Jedyne język polski musiałem zaliczyć w początku lutego 1945 roku u p. prof. Marii Domańskiej mojej późniejszej znakomitej polonistki w nowo otwieranym Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym im. ks. Józefa Poniatowskiego w Łowiczu. Język niemiecki został mi zaliczony na podstawie świadectwa ze Szkoły Handlowej. Szkoła tymczasowo mieściła się w budynku Szkoły Powszechnej Nr 5 przy ul. Kaliskiej. Dawny zabytkowy siedemnastowieczny budynek szkoły pijarskiej, słynnej z powodu reformy Komisji Edukacji Narodowej ks. Stanisława Konarskiego, zdobiący tzw. Stary Rynek im. Tadeusza Kościuszki, został zbombardowany. Zniszczenia dokończyli okupanci, którzy rozebrali szkołę do fundamentów. Ocalała tylko kaplica barokowa pw. św. Karola Boromeusza. Ksiądz kanonik Kawecki, proboszcz łowickiej kolegiaty, również częściowo spalonej, dzięki fortelowi jaki zastosował w stosunku do hitlerowców, uratował kaplicę od rozbiórki. Ubolewał, że ulegną zniszczeniu freski Michała Anioła, lecz nie zaznaczył, że Palloniego.



65. Średnia szkoła pijarska w Łowiczu po odbudowie (wiek XVII).

Szkoła łowicka zawsze prezentowała wysoki poziom nauczania. Wielu jej wychowanków kształciło się na Uniwersytecie Jagiellońskim i zostało wykładowcami w tejże uczelni. Znany jest wychowanek łowickiej szkoły Stanisław z Bochenia lub z Łowicza piszący po łacinie.

Rok szkolny trwał od 17 lutego do 31 lipca 1945 roku. Wychowawcą klasy został fizyk mgr Stanisław Kutkowski przyjaciel szkolny mojego stryja księdza Bolesia. Nie było w sprzedaży typowych dzienników lekcyjnych. Przygotowałem ręcznie wychowawcy dziennik z alfabetycz-

nym wykazem uczniów: Władzio Blus, z którym siedziałem w jednej ławce, Jerzy Chrościcki – Szare Szeregi, Hania Cichocka, Staszek Dałek, Danusia Długołęcka, Władek Dynowski, Helenka Grzywaczówna, Staś Guzek, siostry Jagniątkowskie, Ania i Marysia, Hala Jakobińska znakomita humanistka, Janek Kadłubiski, świetny matematyk i pianista, Andrzej Krukowski – Szare Szeregi, Zosia Leśniewska, Emilka Łapieś, Arnold Maciesza, Staś Marszałek – Szare Szeregi, Hania Mazaraki, Edek Mika, Ala Mikulska, Hala Niedzielska, Zosia Olejnik, Romek Omiecki, Pawlak, Gienek Pietrzak, Krysia Popielewska, Rossa, Igor Russel, Józek Rutkowski, Irenka Seidlówna narodowości niemieckiej po skończeniu klasy trzeciej wyjechała, Zosia Stawikowska, Wacek Stencel, Zbyszek Studniarek, Szczypiński, Mietek Śmiałek, Basia Świątkowska, Tadek Taczanowski, Targowska, Teresa Ujazdowska znakomita polonistka, Krysia Ulatowska, Staś Warzywoda, Romek Wasilewski, Hala Wiśniewska - zmarła w kwietniu na zapalenie opon mózgowych, Jula Workowska, Stefan Wysocki – Szare Szeregi, Zbyszek Załuski i Jagienka Zychówna.

Koledzy z Szarych Szeregów Stefan Wysocki z gimnazjum i Wojtek Tomczyk z Miejskiej Szkoły Handlowej w Łowiczu brali udział w tym czasie w akcji uwolnienia z więzienia przy ulicy Kurkowej „Cyfry”, Zbigniewa Jana Fereta, ich zastępcy szefa Szarych Szeregów obwodu łowickiego. Wydarzenie to miało miejsce 8 marca 1945 roku po aresztowaniach działaczy patriotycznego podziemia przez NKWD i UB.



66. Ks. Prałat Stefan Wysocki w towarzystwie dyrektora Liceum Ogólnokształcącego im. Józefa Chelmońskiego w Łowiczu dr Henryka Zasepy i Joanny Marii Adamczyk z d. Żabka c. Feliksy z d. Śmiałek podczas zjazdu wychowanków liceum.

Dziesięciu wysokich chłopców udających pracowników UB zorganizowało uwolnienie ponad osiemdziesięciu dowódców i żołnierzy Armii Krajowej i Szarych Szeregów. Wojtek Tomczyk wraz z czterema kolegami dostali się do więzienia pod pozorem przyprowadzenia więźnia. Pozostali stali na czatach. Stefan Wysocki rozdawał fałszywe dowody osobiste. Odbłyły się aresztowania, bo piątka uwalniająca więźniów nie mogła być zamaskowana. Wojtek Tomczyk i trzech jego kolegów dostali karę śmierci, lecz wreszcie zostali ułaskawieni. Jeden z tej piątki najpierw dostał 10 lat, później 2 lata więzienia po apelacji i nawet po tym czasie został przyjęty na studia w Akademii Sztuk Pięknych. Przypuszczano, że on prawdopodobnie współpracował z oprawcami (po strasznych torturach). Stefan Wysocki następnego dnia po akcji wpadł w kocioł w sklepie obuwniczym rodziców jego kolegi. Przedstawiono go piątce aresztowanych. Pierwszy z zatrzymanej piątki odpowiedział, że go zna ale z kolegiaty, gdzie służy do mszy św. Mimo to Stefan po dwóch latach musiał opuścić Łowicz. Jurek Niebudek natychmiast po akcji odbicia więźniów wyjechał do Grodziska Mazowieckiego do ciotki, która była nauczycielką historii. Z ponad osiemdziesięciu uwolnionych z więzienia NKWD i UB tylko szesnaście osób zatrzymano. Pozostali przetrwali na tzw. ziemiach odzyskanych. Po pewnym czasie, gdy szef Szarych Szeregów w Łowiczu ożenił się i zamieszkał w Łodzi, odwiedził go, w jego mieszkaniu, ten kolega z najniższym wyrokiem. Komendant oczywiście nie przyznał się, że mieszkał kiedykolwiek

wiek w Łowiczu. Nie aresztowano go. Przypuszczał, że ze względu na jego płaczące małe dziecko kapuś nie wydał go. Po pewnym czasie ten artysta plastyk powiesił się. Po pogrzebie żona jego powiedziała, że on skarżył się, że podpisał duszę diabłu. W pierwszych miesiącach szkoły zmarł matematyk p. prof. Stanisław Renkawek. Zastąpił go prof. Józef Babicki. Uczniowie brali udział w pogrzebie Krysi Babskiej z klasy III A dla zaawansowanych, zmarłej na gruźlicę. Zmarła też Hala Wiśniewska, mieszkanka Bielaw, z klasy III B dla początkujących, na zapalenie opon mózgowych. W kwietniu panowała chyba epidemia zapalenia opon mózgowych, bo w tym czasie zmarła moja siostra Wandzia, a moja siostra cioteczna Marysia Gałajówna z Jackowie szczęśliwie wyzdrowiała. Po wakacjach klasy początkujące i zaawansowane połączono razem. W tym czasie w początku roku 1946 zorganizowano tzw. strajk młodzieży szkolnej. Wszyscy uczniowie udali się z transparentami na Stary Rynek. Stanęli z transparentami przed pięknym, nie zniszczonym podczas wojny ratuszem łowickim a delegaci strajku zanieśli petycję. W ten sposób uzyskano własny budynek szkolny przy ul. Podrzecznej 28/30. Uczniowie przynosili umeblowanie szkoły i sprzęt z ulicy Kaliskiej do przyznanego im gmachu. Tam otrzymałem tak zwaną małą maturę, czyli świadectwo ukończenia gimnazjum ogólnokształcącego. W tym czasie zaliczyłem egzaminy w szkole muzycznej w klasie fortepianu. Rodzice kupili mi fortepian firmy Krahl - Seidler. Jednak ćwiczyłem zwykle w domu pp. Jakobińskich, mieszkających przy kościele oo. Pijarów w pobliżu szkoły.

Bez egzaminu przyjęto mnie i jeszcze szesnastu uczniów do Liceum Ogólnokształcącego. Miałem też możliwość wyboru kierunku. Nie istniał w tym czasie w liceum łowickim kierunek przyrodniczy, na którym mógłbym najlepiej się przygotować na wybrane mi przez tatę studia farmaceutyczne. Spośród 23 uczniów, którzy mieli oceny dostateczne, tylko jeden zdecydował się na egzamin wstępny do liceum. Niestety nie zdał i tylko w siedemnastoosobowej klasie kontynuowaliśmy naukę. W tak nielicznej klasie podzielonej na dwa kierunki, humanistyczny i matematyczno-fizyczny oraz na języki obce francuski i niemiecki, na każdej lekcji niemal wszyscy byli wzywani do odpowiedzi. Należało bardzo ciężko i systematycznie pracować. Byłem leworęczny, przymuszony przez matkę pisać prawą ręką, pisałem brzydko i nieczytelnie. Nasza znalkomita polonistka p. Maria Domańska. z trudem odczytywała treść obszernych wypracowań. Po tych skargach na mnie, p. dyrektor nasz, matematyk, p. prof. Jan Zbudniewek postanowił wychowywać mnie po męsku. Kiedy jako jedyny bezbłędnie napisałem klasówkę w moim rzędzie ławek, otrzymałem dwójkę z napisem „pismo okropne”. Całą godzinę matematyki poświęcił na lekcję wychowawczą, gdy zauważył mój oburzony wyraz twarzy. Uważam, że to była bardzo delikatna moja reakcja na taką niesprawiedliwość. Pan dyrektor mówił sam. Nie odezwałem się ani słowa. Skutkiem mojego milczenia - przez całą godzinę w pozycji stojącej - usłyszałem decyzję, abym przepisał pracę klasową. Na następnej lekcji otrzymałem bez noty odpowiedź - treść pracy dobra. Niestety niespodziewanie na okres postawił mi dwóję i poprosił moją najstarszą siostrę na rozmowę. Pozwolił mi przepisywać brudnopisy klasówek. Oznajmił, że mogę mieć u niego czwórkę z matematyki. Oczywiście przepisane wyraźnie następne klasówki zostały ocenione jako bezbłędne na czwórkę. W skali stopni pana dyrektora czwórka była najwyższa. Przepisując na czysto klasówki uratowałem siedzącego za mną kolegę, któremu groziła dwójka. Był to zdolny uczeń i wcale nie kiepski z matematyki. Lecz p. dyrektor dawał na klasówki tematy konkursowe. Przepisując brudnopis ostatniej klasówki umożliwiłem koledze przeczytanie go. On błyskawicznie odnalazł błąd w swoim sposobie rozwiązania i po wielu jedynekach uzyskał z ostatniej klasówki 4 minus. Nie miałem wyrzutów sumienia. Wśród uczniów nie traktowano tego jako występku, lecz bezinteresowną pomoc koleżeńską. Władzio szczęśliwie zdał, lecz przeniósł się do innej szkoły.

Podczas wakacji na zabawach Ochotniczej Straży Pożarnej w Retkach z dziećmi i młodzieżą uczęszczającą do Liceum Ogólnokształcącego w Zdunach wykonałem przeróbkę utworu Brodzińskiego „Wiesław” na sztukę teatralną. Tematyka poruszająca problemy ludzi po dziewiętnastowiecznym powstaniu narodowym wydawała się w roku 1947 bliska dzieciom, które przeżyły ostatnią wojnę. Dochód z tej imprezy zorganizowanej podczas zabawy Straży Pożarnej w Ret-

kach przeznaczony został na zakup literatury klasyków polskich dla Szkoły Podstawowej w Retkach. W dziele tym u Brodzińskiego był zwrot - „gdy Moskwa polskie dobijała plemię”. Zaczynał się okres represji komunistycznych po roku 1945. Ktoś musiał donieść o adaptacji nieprawomyślniej literatury. Przyjechał przedstawiciel władz z Łowicza w niedzielę przed spektaklem. Obejrzał książkę. Znałem czujność UB w Łowiczu. Skreśliłem słowo „Moskwa” i zastąpiłem wyrazem „obcy”. Szczęśliwie przedstawienia nie zawieszono.

Podczas tych wakacji 07.07.1947 roku wyszła za mąż moja siostra Feliksa za naszego sąsiada Mieczysława Żabkę herbu Prus (23.11.1915 – 30.08.1987) syna Józefa i Anny z Rutkowskich z pobliskiego Szczudłowa.



67. Siostra Feliksa Żabka z d. Śmiałek (foto 1942 rok)

Siostra w posagu otrzymała $\frac{1}{4}$ młyna w Małszycach obecnie Łowicz ul. Zamkowa i duży plac przy młynie oraz 1 morgę ziemi za rzeką Bzurą. Wkrótce rodzice odkupili jeszcze od bratanka Władysława Mariana Śmiałka $\frac{1}{4}$ młyna, którą otrzymał w posagu swojej żony Filomeny z Anyszków. Dla mnie nastąpił okres jeszcze większego zbliżenia z rodziną mojego szwagra Mietka. Pan Józef Żabka, syn Mateusza i Rozalii, ojciec szwagra, był człowiekiem zacnym i mądrym. Pani Anna, wzór teściowej, prowadziła cały dom i gotowała wspaniałe obiady. Na te obiady chodziliśmy we trójkę do domu państwa Żabków, ponieważ moja siostra pracowała we młynie. Pamiętam przepyszną zupę pomidorową, którą wszyscy uwielbiali. Zupa o smaku niezwykłym stanowiła rodzaj sosu, którym polewano domowej roboty makaron w różnej postaci. Za zupą wszyscy tęsknili. Można ją było dostać na każde życzenie, ponieważ często stała podgrzewana na blasze w kuchni.

Moja siostra Felunia urodziła trzy córki – Annę Lidię (29.10.1950, Łowicz), moją pierwszą chrześniaczkę, późniejszą żonę Eugeniusza Reglińskiego (22.11.1951) syna Michała Jana i Anieli z domu Richert z Kaszub. Oboje poznali się na koloniach dla dzieci w Kaliskach, gdzie jako studenci odbywali praktyki w charakterze wychowawców. Ania studiowała na Uniwersytecie Gdańskim, a Gienek w Akademii Wychowania Fizycznego. Oboje pracowali początkowo jako nauczyciele w szkołach podstawowych na Kaszubach w Karwicy i Brodnicy Górnej. Przenieśli się do Kolna, gdzie Gienek przez kilkanaście lat pełnił funkcję dyrektora Szkoły Podstawowej. Poza pracą z młodzieżą trenował biegi długie. Był maratończykiem (42 km) i supermaratończykiem (100 km). Reprezentował nasz kraj w Polsce i za granicą i zdobył wiele pucharów i medali – w Grecji, Kanadzie, USA, ZSRR, Szwecji i Norwegii. Kiedy po stanie wojennym odbywały się zawody w Norwegii zdobył brązowy medal w biegu na 3000 metrów. Brakowało wówczas środków witaminowych. Pracowałem jako wolontariusz w Polskim Związku Bokserskim. Poprosiłem mojego kolegę doktora Leszka Święcickiego, lekarza kadry, który wspomógł Gienka. Na temat działalności sportowej, zawodowej i społecznej Gienka została napisana praca magisterska. Ania pracowała do emerytury w Szkole Podstawowej Nr 1 w Kolnie, w liceum ogólnokształcącym i w gimnazjum. Wychowywała dzieci, raczyła rodzinę wspaniałymi specjałami własnej kuchni. Ponadto maluje. Te zdolności odziedziczyła po mamie Feliksie i rodzice Żabków. Pierwszy syn Ani i Gienka, Daniel Dariusz (01.10.1975 – 27.11.2010

Koszalin) ożenił się dnia 17.07.1999 roku z Anną Chludzińską (05.06.1977), córką Jana Chludzińskiego herbu Cholewa i Jadwigi z domu Kulas. Ania urodziła Tomasza (20.06.2006, Łódź) i Antoninę (Tosię) (04.07.2008, Kolno). Daniel ukończył Technikum Mechaniczne, został technikiem obróbki skrawania. Następnie Wydział Pielęgniarstwa Studium Medycznego. Marzył, aby zostać chirurgiem. Niestety podczas pracy w szpitalu łódzkim stwierdzono u niego chorobę nowotworową. Walczył dzielnie i działał. Po przeniesieniu się z rodziną do Koszalina pracował z Grupą Rekonstrukcji Historycznych. Niestety przegrał z chorobą i odszedł w wieku 35 lat. Ania Reglińska z.d. Chludzińska ukończyła na Uniwersytecie Łódzkim informatykę z ekonometrią.



68. Herb rodu Chludzińskich - Cholewa

Drugi syn Eugeniusza, Marcin Gracjan (11.03.1977) ukończył Medyczne Studium Zawodowe ze specjalizacją w dziedzinie elektroradiologii oraz Studium Informatyczne. Ożenił się z Ewą Sacharczuk (11.03.1978) córką Jana i Wiery z domu Antypiuk, wyznania prawosławnego. Piękna to była ceremonia ślubna. Świadkowie trzymali niezwykle długo złote korony nad głowami nowożeńców. Pop zauważył mojego siostrzeńca Henryka Jarzębowskiego, ubranego w koszulę z kołnierzem, podobnym do koloratki, noszonej przez księdza wyznania katolickiego i przywitał go z ogromną atencją. Właściwie tylko obrządek wschodni w kościele prawosławnym różni obydwie religie i tylko jeden spójnik i jeden przyimek. Jest problem - czy Duch Święty pochodzi od Ojca i Syna, czy od Ojca przez Syna.



69. Zdjęcie Ewy z d. Sacharczuk i Marcina Reglińskich w cerkwi – w tle ikonostas

Na weselu śpiewano po polsku i po białorusku. Zaśpiewałem również i ja po białorusku. Nauczyłem się ludowej piosenki zaczynającej się od słów „I szła i szła dziewczynojka berizkom” od p. Józefa Kasjanowicza z Rygałówki powiatu lipskiego. Podobno wieś Rygałówka przecięta jest obecnie granicą polsko-białoruską. Pan Józek to kolega Kostka Murasa z Polanki k/Kiernozi, chłopaka mojej siostry Łodzi. Uczylem też p. Józka jazdy na rowerze. Urwał mu się pedał podczas tych ćwiczeń. Rower damka był przeze mnie już nieźle sfatygowany. Pamiętam jak zakomunikował. „Pedała mi się urwała”. Mieliśmy cztery rowery, toteż ćwiczyliśmy tak długo, aż p. Józek jeździł jak kolarz. Służył wraz z Kostkiem w kompanii prezydenta Ignacego Mościckiego w Warszawie. Odwiedzili nas w Retkach podczas przepustki. Ewa i Marcin mają dwóch synów, Łukasza (17.03.1999) i Mateusza (13.12.2000), który otrzymał imię po prapradziadku Mateuszu Żabce.

Druga córka Feluni to Joanna Maria Adamczyk (30.06. 1953), mgr matematyki z dyplomem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, żona Karola (04.01.1953, Piotrków Trybunalski) mgr matematyki Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, dyrektora szkoły. Ich najstarsza córka to Fabiola (24.02.1978, Piotrków Trybunalski) mgr ekonomii Uniwersytetu Łódzkiego. Druga córka Aneta Dorota Adamczyk (06.02.1981, Piotrków Trybunalski) mgr teologii. Najmłodsza córka to Anna Edyta Łaska (25.04. 1982, Piotrków Trybunalski) mgr inż. architekt Politechniki Warszawskiej wyszła za mąż za Pawła Łaskiego (1978) magistra inżyniera Politechniki Łódzkiej. Ich dzieci to Mateusz (25.09.2008, Piotrków Trybunalski) i Dorota (24.06.2010, Piotrków Trybunalski) oraz najmłodszy Stanisław. Najmłodsza córka siostry Feliksy Żabka z d. Śmiałek to Halina Renata Ciesielska (29.05. 1957, Łowicz) żona Jerzego (29.06.1955, Łowicz) - studenci po IV roku Wydziału Dziennikarstwa UW. Wyemigrowała z rodziną w roku 1988 do Kanady i zamieszkuje z mężem i dziećmi w okolicy Montrealu w stanie Quebec: z synem Dominikiem (30.06.1977, Łowicz) mgr informatyki i córką Karoliną (18.12.1979, Łowicz) mgr organizacji pracy. Felunia była zdolna, lecz nasz ojciec nie zgodził się na jej naukę w szkole średniej. Potrzebna była pomoc w młynie. Kiedy siostra nie planowała już powiększania rodziny a władze miasta Łowicza nakazały rozebranie dziewiętnastowiecznego młyna, ukończyła ogólnokształcącą szkołę średnią w Sochaczewie.

W roku 1948 naciski na młodzież nasilały się. Po studniówce przed maturą namawiano uczniów, aby zapisali się do organizacji młodzieżowych. Głoszono, że nie zrzeszeni nie będą mieli szans dostać się na studia. Niektórzy uczniowie zapisali się do OMTUR, a ja z trefnym pochodzeniem młynarskim i kułackim i inni związani z wsią do ZMW Wici. Tylko dwie dziewczynki nie uległy naciskom i nie zapisały się do narzuconych organizacji politycznych. Maturę uzyskało w tym roku 21 absolwentów: Irena Adamina Adamczak, Janina Leokadia Baranowska, Bożenna Elżbieta Białek, Maria Bożena Bieda, Mieczysław Eugeniusz Gawroński, Wiesław Stanisław Kosiorek, Marianna Zofia Kowalczyk, Marianna Kucharek, Antonina Kwiecień, Teresa Krzyżanowska, Alicja Maria Mikulska, Hanna Mróz, Bolesław Michalski, Krystyna Katarzyna Popielewska, Barbara Helena Sobieszek, Zbigniew Marian Studniarek, Mieczysław Śmiałek, Eligiusz Wiercioch, Adam Wojda, Władysław Zakrzewski i Jerzy Cyryl Załuski. Gdy powróciłem z egzaminu ustnego wstąpiłem do pp. Żabków, ponieważ Feluni i Mietka nie zastałem w domu. Powiedziałem z radością, że zdałem z wynikiem dobrym. Czekać na siostrę i szwagra postanowiliśmy zrobić im kawał.. Wszyscy domownicy mieli mieć miny bardzo strapione, a ja miałem symulować płaczem moją rozpacz po nie zdanej maturze. Na to dała się nabrać Felunia, gdy weszła do domu teściów. Złapała mnie za włosy i krzyknęła - no i co, ośle! Kiedy rozśmiałem się, rozzłościła się jeszcze bardziej. Później już tylko wszyscy się łapali za brzuchy ze śmiechu. Żart się udał, lecz moja siostra z przejęcia trzymała się za zbolale serce.



70. Maturzysta Mieczysław Śmiałek

2.5 Łódź

Jak się okazało już podczas wakacji znaleźliśmy się w organizacji ZMP. Organizacja ta dla niektórych członków zorganizowała kursy z przedmiotów obowiązujących na egzaminie wstępnym w uczelniach łódzkich. Pozostałych wzywano na rozmowy i dawano w zaklejonej kopercie pismo dla uczelni. Znalazłem się w trójce kandydatów na farmację, z Ireną Słoniówną i Józefą Ireną Solecką, później matką znanego reportera sportowego Tomka Zimocha. Odkleiliśmy zaraz po wyjściu koperty. Ucieszyłem się bardzo, bo miałem napisane, że na wyższe studia powinienem być przyjęty. W ankiecie, składanej na uczelni, ważne było pochodzenie. W pierwszej kolejności były przyjmowane dzieci robotnicze, chłopskie i inteligencji pracującej. Oczywiście nie uwzględniony został w ankiecie jeszcze wówczas nie upaństwowiony młyn i znacjonalizowane dekretem Bieruta nieruchomości w Warszawie. Nieco zmniejszony został areal gospodarstwa rolnego ojca do 15 ha, ponieważ była to środkowa grupa między 5 ha i ponad 15 ha. Egzaminy przebiegały z dużymi trudnościami, szczególnie pisemny. Wiedziałem, że nic nie mam do stracenia. Walczyłem odważnie do końca. Na korytarzu był tłum kandydatów. Kiedy zapytałem jakąś dziewczynę o salę egzaminacyjną, tak mi tylko odpowiedziała - A czego ty chłopcze tu szukasz? Rzeczywiście wyglądałem jak dzieciak. Tam starali się o przyjęcie ludzie w wieku dwudziestu kilku lat a nawet i ponad trzydziestoletni. Na pewno szczęśliwym trafem czynnikiem społeczno-politycznym w komisji był pan Sierosławski, który był obserwatorem podczas egzaminów maturalnych w Łowiczu. Trzeba przyznać, że był bardzo miły. Zapytał tylko dlaczego jako jedynak nie chcę pozostać w gospodarstwie ojca. Odpowiedziałem, że farmacja jest moim wymarzonym zawodem, a najstarsza moja siostra, jeszcze panna, odziedziczy ziemię. Ucieszony zobaczyłem jak napisał czerwonym ołówkiem dużą literę P. Pomyślałem, że to znaczy przyjąć. Ustny egzamin wstępny u p. Sierosławskiego zaczynał się od wiadomości o Polsce i świecie współczesnym. Pytanie na temat ambasady było proste, lecz niestety znałem tylko nazwisko jednego ambasadora, profesora ekonomii Oskara Langego w USA. Pomyślałem, że już przepadłem, gdy mnie pytano kilkakrotnie o nazwisko drugiego ambasadora w Stanach. Podsuwano mi nawet p. Józefa Winiewicza. Cały czas mówiłem, że nie wiem. Egzaminator nie powiedział mi, gdzie pracował p. Winiewicz. Jak kulomiot rzucał nazwiska działaczy politycznych i prosił o ich przynależność partyjną. Dotrzymałem tempa. Odpowiadałem błyskawicznie i zdałem. Kolejny egzamin z biologii był dla mnie ciężkim przeżyciem. Egzaminował mnie botanik prof. Adam Czartkowski przy liczącej około dziesięciu osób komisji. Dał mi proste pytanie, co wiem o tłuszczach. Rozpocząłem na temat tłuszczów zwierzęcych a to bardzo zdenerwowało profesora. Usiłował mnie skierować na tłuszcze roślinne, a ja ciągle usiłowałem skończyć rozpoczęte zagadnienie. Wreszcie wymieniłem rośliny oleiste w tym soję podobno ulubioną roślinę p. dziekana. To mnie uratowało. Wiedziałem, że soja należy do rodziny motylkowatych. Wyczerpująco opisałem tę rodzinę, ze szczególnym naciskiem na zdolności soi i innych przedstawicieli tej rodziny do asymilacji azotu z powietrza i wzbogacaniu w azotany ziemi uprawnej. To wypadło tak śpiewająco, że przewodniczący komisji prof. Czartkowski, którego tak zdenerwo-

wałem odpowiedzią z dziedziny zoologii wstał, poklepał mnie po ramieniu i powiedział - możecie mieć piątkę, tylko macie kolego dziury w materiale. Potwierdziłem to zdanie p. profesora mówiąc, że botanikę i zoologię dorabiałem dawno na tajnych kompletach po ukończeniu podczas okupacji szkoły handlowej. Z ostatnią chemią też były problemy. Znałem już z giełdy rozwiązania wszystkich zadań chemicznych od Krysi Turówny, lecz otrzymałem zupełnie nowe na reakcję red-ox z wodą utlenioną. Pomyliłem wzór nadtlenu wodoru przez dodanie atomu tlenu i odjęcie atomu wodoru. Na szczęście p. prof. Michalski nie wyrzucił mnie od razu. Wypytał mnie szczegółowo o zasady redukcji i utleniania, wiele równań i wzorów chemicznych z podaniem elektrowartościowości i jak się okazało ocenił mnie pozytywnie. Wszystkie wzory były prawidłowe a reakcje chemiczne napisane bezbłędnie. Ucieszyło mnie, kiedy p. prof. Czartkowski wołając następnego kandydata powiedział, że zdałem chemię. Nie znaczyło to, że zostanę przyjęty. Było przecież pięcioro kandydatów na jedno miejsce. Poprosił mnie do swojego gabinetu po skończeniu sesji egzaminów w tym dniu. Namawiał mnie, abym się uczył, a na pewno w przyszłym roku uzyskam same bardzo dobre. Bronilem się dzielnie i na pożegnanie p. profesor ucałował mnie w czoło. Do siebie na rozmowę zapraszał tylko niektórych kandydatów. Wróciłem do domu niepewny o mój dalszy los. Siostra Lodzia zasugerowała, abyśmy wspólnie studiowali w Wyższej Szkole Handlu Zagranicznego w Szczecinie. Tam wystarczało świadectwo dojrzałości i wpłata 20000 złotych. Długo nie było wyników egzaminów na farmacji przy ul. Lindleya w Łodzi. Wreszcie, gdy zbliżał się dzień końca zapisów na uczelnię w Szczecinie pojechałem sławnym autobusem tzw. Kubą, kursującym z Kiernozi przez Retki do Łodzi. Na szczęście w dziekanacie pisano na maszynie listę przyjętych. Asystentka biologii p. mgr. Lusja Napiórkowska znalazła na kartce moje nazwisko i pogratulowała mi sukcesu.

Powróciłem pociągiem do Głowna i pobiegłem z wiadomością do Sopła do Łodzi. Odpadły wspólne studia z Łodzią, która w ten sposób zrezygnowała z wyjazdu do Szczecina. Uzgodniła z rodzicami w tym dniu w Retkach, że skoro nie powrócę do Retek to pojedziemy na wystawę ziem odzyskanych do Wrocławia. Lodzia umówiła się ze swoim chłopakiem Tadzem Jarzębowskiem na tę wycieczkę, a mnie zabrała w charakterze przyzwoitki. Następnego dnia wyruszyliśmy do Wrocławia bezpośrednim pociągiem z Głowna. Podróż trwała wiele godzin, chyba całą noc. Staliśmy prawie na jednej nodze. We Wrocławiu zabawiliśmy trzy dni. Miasto leżało jeszcze w gruzach, ale wystawa ze sławną iglicą była początkiem odnowy gospodarczej kraju. Z chęcią wracałem do domu, ponieważ chciałem zobaczyć radość rodziców z uzyskania indeksu.

Studia rozpoczęły się 10 października 1948 roku dość niepomyślnie. Pod koniec wakacji po częstych kąpielach w Słudwi zachorowałem na zapalenie lewego stawu kolanowego. Na szczęście ambulatoryjnie w Łodzi wyleczył mnie p. dr Czkwianianc, mąż przyjaciółki mojej ciotecznej siostry Broni Szwedowiczowej z Trzczańskich. Początkowo przygarnął mnie do siebie kuzyn Heniek Pawlina syn ciotecznej siostry mojej mamy do wynajętego mieszkania przy ulicy Gdańskiej 4. Lodzia podarowała mi niewielki stolik, abym miał miejsce do nauki. Warunki mieszkaniowe w tej dzielnicy w pobliżu fabryki Poznańskiego były złe. Mój szwagier Mietek Żabka przez swoich przyjaciół znalazł mi dobre jak na one czasy mieszkanie przy ulicy Nowotki 23, obecnie Pomorskiej, u kochanej p. Władysławy Krajewskiej – Wolnickiej. Mieszkanie było duże, z wygodami. Wprowadził się tam najpierw Heniek Pawlina, a później mój kolega ze szkoły handlowej w Łowiczu, Zdzisiek Adamas. Pani Władysława bardzo często opuszczała Łódź. Przebywała przez wiele miesięcy u swojej córki p. Krystyny Nikonorow w Żyrardowie. Wówczas rządziłymi się sami w mieszkaniu. W dużym salonie na ogromnym stole urządzaliśmy zawody ping ponga. Zamykaliśmy zawsze drzwi wejściowe zostawiając klucz w zamku, aby nie złapała nas na tym uczynku nasza urocza gospodyni. Nigdy nie znaleźmy daty jej powrotu. W przypadku dzwonka do drzwi natychmiast robiliśmy porządek. Eleganckiego stołu nie uszkodziliśmy piłeczką pingpongową. Drewno dębowe i lakier okazały się niezniszczalne. Dzięki p. Władysławie poznałem elegancki świat fabrykantów przedwojennej Łodzi. Zapraszany byłem na przyjęcia przez przyjaciół mojej sympatycznej p. gospodyni.

Pan profesor Eugeniusz Michalski z Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, znakomity wykładowca, rozbudził we mnie miłość do chemii. Chłonałem wiedzę i myślałem, że jej nie zapomnę do końca życia. Często powtarzałem materiał z Jadzią Dłużyńską, z którą rozważaliśmy zawilosci wiedzy chemicznej. Nie przeszkadzało nawet ciepłe spojrzenie w oczy. Szybko przeszedł rok akademicki.



71. *Podczas wakacji żniwa w Retkach –Mietek siedzi na klaczy Baśce obok w zaprzęgu jego gniada klacz rasy hanowerskiej – Marta*

Po wakacjach Jadzia była już mężatką a chemię organiczną przerabiałem sam. Na studiach farmaceutycznych chemia stanowiła postrach dla studentów. Cieszyłem się bardzo, gdyż pierwszy na roku zaliczyłem pracownię chemii jakościowej. Również czułem się szczęśliwy, gdy p. prof. Michalski uznał, że spośród sześciorga studentów zdających przed wakacjami z chemii nieorganicznej, najprzyjemniejszą rozmowę miał ze mną. Zdawały takie asy jak Danka Piotrowska i Henio Witkowski. Ania Błaszczakiewicz, Czesia Lisowska i Irena Kajzerówna. Wszystkie siedem egzaminów zaliczyłem na średnią ponad 4, a nawet z systematyki roślin otrzymałem celująco. W r.1948 przed tzw. zjednoczeniem partii nie odczuwało się jeszcze nadchodzącego okresu stalinizmu. Przy kościele akademickim pw. św. Jana przy ulicy Sienkiewicza istniało studium wyższej wiedzy religijnej dla studentów. Kilkanaście studentek z pierwszego roku uczęszczało na zajęcia. Namówiły mnie moje koleżanki bardzo łatwo. W tym komunizującym się kraju chciałem poznać, co naucza komuna, a co Bóg. Zdałem nawet przed wakacjami jeden egzamin z teodycei u o. Bojko na 5. Od roku akademickiego 1949/1950 reżim nasilał się. Zamknięto studium w kościele akademickim. Podczas wykładów zjawiała się niespodziewanie tak zwana lotna kawaleria. Sprawdziała listę obecności na wykładach i potępiała tak zwanych wrogów klasowych.



72. Pracownia Mineralogii- od lewej pracownik p. Olewiński, Adaś Wardzichowski, Ania Błaszczakiewicz, starosta roku Wojtek Górski, Mietek Śmiałek, Tadek Mosiniak i Heniek Zachariasz

Obowiązywała natomiast obecność na pochodach pierwszomajowych. Na roku drugim duże trudności były z ogromnym materiałem chemii organicznej u pani prof. Zofii Jerzmanowskiej i z mikrobiologii u prof. Józefa Letkiego. Okazało się, że średnią z egzaminów uzyskałem podobną do wyniku z pierwszego roku studiów. Nawet z mikrobiologii otrzymałem czwórkę. Wydaje mi się, że był to w pewnym stopniu prezent profesora Letkiego, opiekuna naszego roku za złożone pierwszomajowe zobowiązanie zdania przedterminowego wszystkich kolokwiów. Na roku trzecim interesowały mnie wykłady z chemii fizycznej prowadzone przez prof. Jerzego Kroh z Politechniki Łódzkiej. Przez jeden semestr poznawaliśmy tajniki przemian nuklearnych. P. profesor pomagał nam w zrozumieniu rachunku całkowego i różniczkowego. Koleżanki uczyły się pilnie wpatrzone w przystojnego młodego profesora. Niestety dowiedziały się, że ma piękną żonę medyczkę. Wszyscy cieszyli się, że są prawnukami naukowymi naszej noblistki Marii Skłodowskiej – Curie, u której kształciła się pani prof. Dorabialska, szefowa profesora Kroh. Niestety uroczystość pierwszomajowa w tym roku akademickim zakończyła się wyraźnym zgrzytem. Z kolegą Januszem Napieralskim niosłem ogromny transparent. Pochód w pewnym momencie stanął, a my zwinęliśmy go i odeszliśmy. Skończyło się to wyrzuceniem z ZMP. Na szczęście ta egzekutywa odbyła się bez nas. Obronił nas kochany „Dziadek”, prodziekan prof. Adam Czartkowski. W ten sposób zakończyłem kontakt z tą organizacją młodzieżową, której między innymi zawdzięczałem przyjęcie na studia. Zaliczyłem przedterminowo egzamin z chemii farmaceutycznej. Zapisalem się do kierownika katedry prof. Karaffa – Korbutta, który w przeddzień mojego terminu egzaminu nagle zmarł. Wyznaczono mi jako egzaminatora p. prof. Feliksa Modrzejewskiego. Byłem bardzo zaskoczony i przerażony, lecz otrzymałem nawet czwórkę. Ostatni rok czwarty kończył się dwunastoma egzaminami. Z dziewięciu kierunkowych przedmiotów uzyskałem bardzo dobre, z dwóch egzaminów z wojska po 4, a z marksizmu tylko 3. Technologia Środków Leczniczych, wykładana przez sławnego z wynalazku utwardzenia gumy p. prof. Stanisława Kiełbaśńskiego, była niezwykle ciekawa. Wszyscy studenci bali się tylko odrabiania pracowni z technologii środków leczniczych u p. mgr inż. Kowalskiego. Swym studentom notorycznie dawał do wykonania skomplikowane syntezy, szczególnie kwasu monochlorooctowego. Ci biedni studenci męczyli się prawie przez cały semestr, aby uzyskać 1-3% wydajności. Brakowało czasu na inne zadania. Mnie na szczęście ominęło to ćwiczenie. Przedostatnim moim zadaniem było uzyskanie dobrej wydajności kwasu p - nitrobenzoesowego w modyfikacji z zaprojektowanym nowatorsko przez inżyniera Kowalskiego katalizatorem syntezy. W programach tego procesu konieczna była destylacja próżniowa bardzo często trudna do

realizacji w warunkach naszej pracowni. Kiedy temperatura finalnego produktu nie zgadzała się, trzeba było zaczynać wszystko od początku. Pan inżynier ciągle mnie kontrolował, lecz nie zauważył końca destylacji próżniowej. Gdy mu pokazałem uzyskany produkt ostateczny pokiwał głową. W tej właściwej temperaturze otrzymałem niewiele stałej masy kwasu p - nitrobenzoowego. Sprawdził montaż aparatury i spostrzegł w jednej z kolb rozdzielczych na tak zwanej „krowce” dużą ilość podobnej stałej substancji. Kwas meta nitrobenzoowy, uboczny produkt reakcji powinien mieć postać płynną. Wytłumaczył, że to musi być kwas p - nitrobenzoowy półprodukt do produkcji nowokainy. Oznaczenie temperatury topnienia po krystalizacji w benzenie przyszedł nawet sprawdzić sam profesor Kielbasiński. Byłem bardzo dumny, gdy profesor gratulował mi sukcesu. Bardzo też byłem zadowolony z rozmowy z nim podczas egzaminu z technologii środków leczniczych. Na egzaminie z farmacji stosowanej u p. prof. Feliksa Modrzejewskiego, u którego niektórzy do egzaminu podchodzili cztery razy, miałem wielkie szczęście. Dostałem między innymi pytanie o maść penicylinową. Ten antybiotyk składnik maści czynił w tym czasie cuda. Podczas praktyki wakacyjnej w aptece p. magistra Białkowskiego w Łasku znalazłem broszurę naukową na temat penicyliny. Wiadomości z tej literatury, między innymi cały proces technologiczny otrzymywania leku wyśpiewałem podczas egzaminu, chociaż p. prof. Modrzejewski tego nie wymagał i nie wykładał. Otrzymałem z egzaminu piątkę mimo wcześniejszej reprimendy od p. profesora za opóźnienia w pracowni. Na szczęście zaliczenie zajęć w pracowni otrzymałem ostatniego dnia przed terminem. W ten sposób nie opóźniłem ćwiczeń następnej grupy studentów. Wydział Farmaceutyczny gnieździł się w ciasnych starych budynkach przy ul. Lindleya. Toteż zajęcia dla studentów tego samego roku odbywały się w różnych terminach. Nasz sławny dziekan farmakognosta prof. Jan Muszyński z Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie, u którego tak dobrze mi poszedł egzamin wstępny z biologii zaproponował mi nawet asystenturę w Zakładzie Farmakognozji. Z przykrością musiałem odmówić, ponieważ planowałem jak najprędzej rozpocząć studia medyczne. Pewnie bez zastanowienia przyjąłbym propozycję pracy naukowej w dziedzinie biochemii. Podziwiałem znakomitego wykładowcę prof. Antoniego Dmochowskiego wychowanka lwowskiego profesora Parnasa, światowej sławy biochemika z Uniwersytetu im. Jana Kazimierza. Ostatni egzamin dyplomowy z farmakodynamiki zaliczyłem u p. prof. Sysy. Wraz ze zdającymi ze mną kolegami Basią Awęcką, Anią Błaszczakiewicz i Krysia Zalewską - najlepszymi lodami w Łodzi, w cukierni Granowskiego przy ulicy Narutowicza fetowałem to szczęśliwe wydarzenie. Studia na Wydziale Farmaceutycznym Akademii Medycznej w Łodzi ukończyłem przedterminowo 15 lipca 1952 roku.

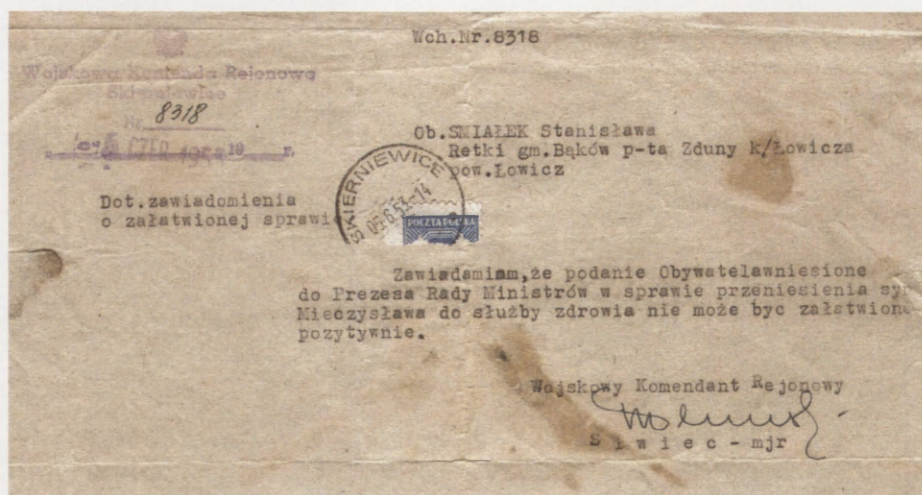


73. Absolwenci Wydziału Farmaceutycznego A.M. w Łodzi po 50-ciu latach (rok 2002) – w ostatnim rządzie trzech żyjących absolwentów – od lewej w ostatnim rządzie stoją, w okularach Tadek Mosiniak, Mietek Śmiałek i Zenek Bałtrukiewicz

Zorganizowaliśmy uroczyste absolutorium z częścią artystyczną i ze łzami w oczach niektórych naszych koleżanek w Restauracji Halka przy ul. Narutowicza. Żegnaliśmy się z naszymi profesorami i asystentami oraz z naszą Alma Mater. Postanowiłem jak najszybciej odbyć nakaz pracy i kontynuować moje wymarzone studia lekarskie. Napisałem do Ministerstwa Zdrowia prośbę o przydział pracy w laboratoriach Wojewódzkiej Stacji Sanitarno- Epidemiologicznej w Bydgoszczy. Nie otrzymałem odpowiedzi, a tymczasem wezwano mnie na tzw. komisję przydziałów pracy. Powstała z tego powodu duża awantura. Tłumaczyłem, że w myśl odczytanego nam wcześniej przez dziekana rozporządzenia Ministerstwa Zdrowia, studenci kończący studia wraz z absolutorium, mieli prawo wyboru miejsca pracy w całej Polsce. Zwymyślano mnie i określono jako element wrogi społecznie. Odmówiłem podpisania nakazu pracy i z oświadczeniem, że zostałem oszukany wyszedłem. Zaocznie nakazano mi objąć stanowisko kierownika apteki w Będkowie w pobliżu Łodzi na trasie kolejowej Warszawa – Katowice. Na szczęście nie były to rubieże wschodnie opanowane częściowo przez oddziały partyzanckie różnych orientacji politycznych i nie tzw. ziemie odzyskane. Natychmiast wezwał mnie prodziekan prof. Adam Czartkowski. Wręczył mi list do p. prof. Józefa Letkiego, który pracował wówczas w Ministerstwie Zdrowia i radził następnego dnia wyjechać do Warszawy. Pan prof. Antoni Monikowski przekazał mi jeszcze list od siebie. Pan prof. Letki przyjął mnie bardzo życzliwie. Starał się przez kilka godzin dodzwonić do Bydgoszczy bez powodzenia. W tym czasie nawet telefony w ministerstwach bardzo źle łączyły. Wreszcie p. profesor wręczył mi potwierdzające pismo ze skierowaniem do pracy w Bydgoszczy. Bezpośrednio po powrocie z Warszawy złożyłem odwołanie do komisji. Jak mi polecono zjawiłem się w Będkowie. Wójt tymczasowo zapewnił mi mieszkanie u siebie w pobliżu apteki. Po upaństwowieniu aptek w r. 1950 chora właścicielka poważnie zaniemogła. Trudno się pracowało mimo małej liczby osób odwiedzających aptekę w okresie przed świętami Bożego Narodzenia. Brakowało mi wiadomości praktycznych z receptury za drugim stołem. Nie wiedziałem, które substancje należy podgrzewać, w jakiej kolejności dodawać, aby czopki, pigułki, czy globulki miały odpowiednią konsystencję. Przeżyłem ten trudny okres bez żadnych skarg. Tuż przed wigilią Bożego Narodzenia odbyło się posiedzenie komisji odwoławczej. Niezwykle uprzejmie dano mi nakaz pracy do Bydgoszczy. Zrealizowałem jeszcze zamówienie w Centrali Aptek Społecznych na brakujące leki i materiały. Przywiozłem je do Będkowa i pojechałem do rodziców do Retek na wieczerzę wigilijną. Niestety przemeldowałem się z Łodzi do moich rodziców w Retkach.

2.6 Zabrze-Makoszowy

Nim otrzymałem etat w Wojewódzkiej Stacji Sanitarno – Epidemiologicznej w Bydgoszczy komendant wojskowy WKR w Skierniewicach major Siwiec jako syna kułaka wcielił mnie do karnej kompanii kopalnianej w Knurowie, oddziału kopalni Zabrze - Makoszowy. Mimo tłumaczenia mu, że jestem farmaceutą, potwierdził moją przydatność w kopalni. Zauważyłem, że nie posługiwał się czystą polszczyzną.



74. *Odpowiedź na prośbę ojca do Prezesa Rady Ministrów o zwolnienie syna Mieczysława z kopalni.*

Początkowo uważałem, że to jest kara za wyrzucenie mnie z ZMP. Na szczęście lekarz wojskowy przy kopalni dr Mieczysław Szercha poradził mi serdecznie, abym odwołał się. Poinformował mnie, że znalazł w dokumentach moich w sztabie przyczynę mojego zesłania do kopalni jako syna bogacza wiejskiego. Moja najstarsza siostra Leokadia odwiedziła najpierw prodziekana Wydziału Farmaceutycznego w Łodzi prof. Adama Czartkowskiego, otrzymała od niego pisma i udała się na audiencję do wiceministra zdrowia prof. Bednarskiego, prosząc o wstawiennictwo. Po ponad półrocznym pobycie w kopalni zostałem zwolniony. Pozostała mi tylko przyjaźń z kolegą Jurkiem Adamczykiem z Warszawy i Staszkiem Mierzwińskim z Brwinowa. Podczas tej mojej tak zwanej służby wojskowej częściowo pracowałem na dole, częściowo w ambulatorium. Po kilku miesiącach przeniesiono mnie do Kopalni Zabrze – Makoszowy. Tam istniało ambulatorium z izbą chorych i małym pomieszczeniem aptecznym. Znalazłem tam tylko aspirynę, pyralginę, pabialginę, jodynę, wazelinę i tabletki rubrosilu. Ten sulfonamid syntetyzowałem w pracowni chemii organicznej. Stosowano go w leczeniu infekcji dróg moczowych. Skromna ilość leków skłoniła mnie do sporządzenia maści rubrosilowej dla leczenia trudno gojących się ran u żołnierzy górników. Nasi chorzy posmarowani na czerwono byli rozpoznawani nawet przy konsultacjach specjalistycznych w Gliwicach i Krakowie. Wielu żołnierzy zapadało na gruźlicę. W Makoszowach, gdzie opiekowałem się ciężko chorymi, kalekami, zdecydowałem się starać o zezwolenie na studia medyczne. Zostałem wreszcie po ponad półrocznym pobycie w kopalni zwolniony 5.10.1953 roku. Udałem się w następny poniedziałek 12 października 1953 roku do Warszawy, aby podziękować p. ministrowi Bednarskiemu za wstawiennictwo. Dziwna to była audiencja. Mówiłem do ministra per obywatelu ministrze. Kiedy wreszcie stwierdziłem, że minister mówi do mnie per pan, zawstydzony poprosiłem go o umożliwienie kontynuowania studiów lekarskich w Warszawie. Ku mojemu zdziwieniu i wielkiej radości pan minister się zgodził na moją prośbę, lecz po odbyciu obowiązkowego nakazu pracy. Po przeczytaniu pisma mojego prodziekana „Dziadka“, prof. Adama Czartkowskiego i jego liście z oświadczeniem o moich zdolnościach i wszystkich ocenach bardzo dobrych z egzaminów dyplomowych, minister oświadczył, że zgadza się na moją prośbę. Stwierdził, że ponieważ uzupełniła się w znacznym stopniu liczba pracowników służby zdrowia, należy w tej sytuacji podnosić poziom naukowy kadr.



75. Kopalnia w Knurowie – Mietek z kolegami – leżą Niewińczany i Chomiczewski, siedzą Giera, Zoelner i Śmiałek po stronie prawej (foto rok 1953)



76. Jubileuszowy Medal XV – lecia Związku Represjonowanych Politycznie Żołnierzy – Górników

2.7 Bydgoszcz – Ciechocinek – Starogard Gdański

Rozpocząłem staż w Bydgoszczy w Pracowni Badania Żywności i Przedmiotów Użytku Wojewódzkiej stacji Sanitarno – Epidemiologicznej. Kierownikiem Pracowni był p. mgr. Chomik z Wilna, a bezpośrednim przełożonym dwuosobowego zespołu zajmującego się badaniami toksykologicznymi mgr farmacji p. Basia Żyszczynska z Warszawy. Największym osiągnięciem naszego dwuosobowego laboratorium okazało się wykrycie zatrucia zwierząt w jednym z PGR-ów paszą ze związkami arsenu. Rodzinną atmosferę w pracowni tworzyła urocza pani mgr Antonina Andrełowicz z Wilna, zesłanka syberyjska i uczestniczka bitwy pod Monte Cassino. Babcia, bo taki przydomek miała nadany pani magister, posiadała niezwykle poczucie humoru. Gdy otrzymaliśmy do badania kiełbasę z mięsa końskiego, Babcia chodziła po pracowni i kopała nas po nogach. Ja również podjadałem kiełbasę końską, ponieważ nie wypłacono mi 500 złotych zaliczki, a pensję dostałem dopiero około 10 grudnia t. j. po ponad miesiącu od rozpoczęcia pracy. Na szczęście rodzice dali mi nieco gotówki. Wykupiłem obiady w stołówce, a ponadto ratowała mnie z wyżywieniem ciocia Marysia z Gruszczyńskich - Bardyga. Przygarnęła mnie do siebie na 2 tygodnie przy ulicy Uroczej 1, dopóki nie przydzielono mi mieszkania służbowego w związku z nakazem pracy. Raz przysłali mi rodzice paczkę z żywnością, którą oddałem cioci Marysi. Cała rodzina pracowniana miała swoje przydomki. Laborantki: Tereska – Figuryńska, Lusja - Ciszek. Mnie przypadło być „Czaromirem” czyli Czarusiem. Wkrótce po przyjeździe do Bydgoszczy zadzwoniła do mnie dziewczyna. Choć telefon znajdował się w gabinecie kadrowej, Lusja i Terenia wpadły tam na chwilę i podsłuchiwały rozmowę. Była to Irenka, którą po-

znałem w drodze do Bydgoszczy. Później już było to powszechną tajemnicą, ponieważ na balu sylwestrowym spotkałem Terenię ze swoim chłopakiem studentem politechniki. Nawet Terenia twierdziła, że miałem na balu najpiękniejszą partnerkę. Moi koledzy trzej bracia Bryszewscy byli podobnego zdania. Spotykaliśmy się najczęściej w kawiarence, gdzie często grano i śpiewano modną piosenkę Reny Rolskiej ze słowami „W rozgwarze kawiarnianym w przyćmionym świetle lamp, wciąż siedzę zasłuchany w melodię bliską nam”. Lecz skończyła się ta uroczą przygoda jak refren w piosence. „Nie oczekuję dziś nikogo i nic nie zmienia przyszłe dni”. Wyjechałem na stałe z Bydgoszczy nad piękną Brdą. Miłe to miasto nie było tak urokliwe jak śliczny, stary Toruń. Posiadało nieliczne zabytki. Właściwie poznałem wówczas tylko gotycką farę i cztery spichrze z muru pruskiego. Jeden później się spalił.



77. Mietek nad Brdą – w tle fara bydgoska (foto rok 1954)

Po kilku miesiącach pracy w Bydgoszczy zaproponowano mi kierownicze stanowisko w Stacji Sanitarnej –Epidemiologicznej w Ciechocinku w Pracowni Badania Żywności i Przedmiotów Użytku. Choć dyrekcja Stacji w Ciechocinku wiedziała o moim skierowaniu do pracy, sytuacja była podobna jak po przyjeździe do Bydgoszczy. Pierwszą noc przespałem w gabinecie oburzonego dyrektora. Groził mi dojazd do pracy z odległych o około 130 km Jackowic na trasie Warszawa Bydgoszcz. Na szczęście w sekretariacie Stacji pracował Kazik Sobierajski, syn Przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej w Ciechocinku. Pani Sobierajska postanowiła przegarnąć mnie jak syna. Miała tylko jedynaka Kazia, który stracił dwóch małych braci bliźniaków. Zostałem niemal członkiem rodziny państwa Sobierajskich i mam dotąd przyjaciela Kazika. Szybko zresztą otrzymałem kwaterekowe mieszkanie przy ul. Kopernika 15 w Ciechocinku. W tym czasie w pracy poza zajęciami fachowymi przydzielano również pracę społeczną. Ponieważ przybyłem pół roku po otwarciu nowej stacji sanitarno-epidemiologicznej dla mnie pozostało stanowisko przewodniczącego towarzystwa przyjaźni polsko – radzieckiej. Uczyliśmy się przez pewien czas języka rosyjskiego. Zrozumiałem, że na pewno w przyszłości ważnym językiem stanie się język angielski. Podczas odwiedzin w Ciechocinku rodziny wujka Trzcieskiego, w sprawach rodzinnych, związanych z Soplem, dowiedziałem się, że córka p. Ankowska udziela lekcji z języka angielskiego. U niej rozpocząłem naukę. Ogromnym kłopotem dla mnie było w miarę poprawne wypowiedzianie „th”. Tak mocno pracowałem nad tą wymową, że zabolęła mnie żuchwa i język z powodu przeróżnych śmiesznych ruchów. Był to taki czas, kiedy pracownicy zakładów pracy jeździli na żniwa i wykopki do PGR-ów. Po jakimś czasie zauważyłem poprawę stanu sanitarnego w zakładach żywienia oraz poprawę higieny sprzedawanej żywności. Pod koniec stwierdzono spadek zakwestionowanej żywności z 79% do 21%. Ponadto otrzymałem pochwałę z Ministerstwa Zdrowia w związku z badaniami nad prawidłowym żywieniem dzieci w domach opieki. Prowadziłem również zajęcia dydaktyczne dla pracowników zakładów żywienia zbiorowego. Bardzo mi pomógł w tym krótki miesięczny kurs w PZH w Warszawie.

Pozwoliłem sobie nawet z oszczędności kupić w Warszawie olejny obraz Koreckiego, jezioro o zmierzchu.

WKR Włocławek wysłał mnie na szkolenie wojskowe do Czerwonego Boru koło Zambrowa. Jechałem pociągiem razem z dr Świerczewskim z Nieszawy i mgr Skrzyńskim z Ciechocinka. Niestety w Czerwonym Borze nie znaleźliśmy jednostki wojskowej. Autostopem na traktorze w przyczepie dotarliśmy do Zambrowa. Tam w jednostce wojskowej poinformowano nas, że jednostkę z Czerwonego Boru przeniesiono do Przemyśla. Powróciliśmy do Warszawy. Okazało się, że pociąg do Przemyśla odjeżdża około północy. Wybraliśmy się na operetkę w Romie. Rano zajechaliśmy do Przemyśla. Po zjedzeniu śniadania w barze mlecznym postanowiliśmy zwiedzić miasto. Widać było w Przemyślu ślady dawnej świetności z czasów handlowego szlaku lewentyńskiego. Podziwialiśmy piękne renesansowe kościoły i zabytkowe nieco obdrapane kamienice, Fredreum i piękny widok nad Sanem. Ponieważ była sobota, po dniu zwiedzania miasta ok. godz. 15-ej udaliśmy się do koszar. Tam nas okropnie zwymyślano za nasze spóźnienie, ale umundurowano i przydzielono do odpowiedniej kompanii. O godzinie 6-ej pobudka i cały dzień szkolenie teoretyczne i praktyczne. Znalazłem się razem z moim byłym asystentem z farmakognozji mgr Witkiem Zalewskim, z którym zaprzyjaźniłem się. Obaj postanowiliśmy nie uczyć się nic. Obawialiśmy się przymusowego wcielenia nas do wojska, co wówczas było nagminnym zwyczajem. Po kilku dniach dowództwo przejrzało nasz plan. Takich kilku elewów poproszono na dywanik. Dowódca słowami, że pewnie jestem tępy, przełamał mnie i innych. Zaczęliśmy się uczyć z Witkiem. Nawet zostaliśmy przodownikami wyszkolenia bojowego na zakończenie kursu i dano nam trzy gwiazdki na pagonie- stopień porucznika. Po urządzeniu się w Ciechocinku odwiedził mnie tata. Miałem już wszystkie meble. Nawet zdobyłem piękne radio Pionier w drewnianej, jasnej oprawie. Wszystko to dzięki mojej sąsiadce p. Marii Urbanowej, zatrudnionej w urzędzie miejskim. Otrzymałem talon na zakup radia. Pewnie obecnie jest to zupełnie niezrozumiałe, ale to był taki czas. Z sąsiadkami p. Marią Urbanową i p. Alfredą Zarębską żyliśmy jak najbliższa rodzina. Dziwiło mnie np. to, że mieszkanie zamykane było niemal tylko przy wyjeździe z Ciechocinka. W lecie czas po pracy spędzałem zwykle na basenie solankowym i w solarium. Często oglądałem w teatrze letnim sztuki wystawiane przez teatry z Bydgoszczy, Torunia, Inowrocławia i z Warszawy. Kiedyś wystąpiła znakomita pani Maria Malicka w sztuce Świt, Dzień i Noc. To była prawdziwa uczta duchowa i niezwykle przeżycie. W parku zdrojowym ciągle można było cieszyć się występami śpiewaków, ślicznymi ariami operowymi i operetkowymi. Odwiedził mnie również mój stryj ks. Bolesław. Gdy wybraliśmy się na zwiedzanie Torunia kupił tam dla mnie kupon wełnianej samodziiałowej kraty na marynarkę. Wyglądałem w niej jak prawdziwy bikiniarz. Obiady jadłem w stołówce dla pracowników uzdrowiska. Gdy miałem gości przynosiłem gorące dania do domu. Stryj czuł się ze mną i ze wszystkimi zaprzyjaźnionymi mieszkańcami pierwszego piętra jak z rodziną.



78. Ciechocinek, ul. Kopernika 15 - Sąsiedzi, od lewej Mietek, rodzina p. Alfredy Zarębskiej i dziewięcioletnia Ewa Urbanówna (rok 1955)

Kiedyś po powrocie z pracy wróciłem do całkiem innego mieszkaniu. Stryj sam poprzestawiał wszystkie meble. Muszę przyznać, że ta zmiana okazała się korzystna i ten układ umeblowania pozostawiłem do końca mojego pobytu w Ciechocinku. Miałem tylko obawę, czy stryj - z poważną wadą serca się nie rozchoruje. Pewnie, gdyby dłużej u mnie gościł, meble zmieniłyby kilkakrotnie miejsce. Przecież przy każdej wizycie u niego na plebanii wystrój mieszkania zmieniał się nie do poznania. Przybywały nowe meble. Obiecał mi przekazać wszystkie antyki w testamencie. Ponieważ wiedział, że uzyskałem zgodę na studia, w obecności sąsiadek obiecał mi pomoc materialną. Nie było to dla mnie nowością, ponieważ przed wyjazdem na studia do Innsbrucku obiecywał ojcu ponieść koszty mojego wykształcenia. W okresie międzywojennym miesięczny koszt pobytu stryja w Austrii wynosił 200 złotych. Stryj już dostał wykształcenie seminaryjne, został splacony z majątku. Mój ojciec nie miał obowiązku dalszego łożenia na wykształcenie stryja. Lecz tata był niezwykle ambitny. Kochał rodzinę i cieszył się swoim zdolnym bratem, którego wychowywał jak syna po śmierci rodziców i kształcił w Innsbrucku. Ciągłe odwiedzała mnie rodzina. Jeżeli nikt nie obiecał przyjazdu na urlop, wynajmowałem mieszkanie kuracjuszom. To stanowiło dla mnie dodatkowy przyływ gotówki. Podczas jednych wakacji u mojej sąsiadki p. Marii Urbanowej zamieszkała kuracjuszka z Warszawy p. Eufemia Ignatczakowa, która prowadziła prywatny sklep na Targówku. Kiedy moja sąsiadka po wypadku drogowym została zabrana do szpitala p. Eufemia została tylko z dziewięcioletnią Ewą córeczką p. Marii. Niestety zbyt ostre kąpiele borowinowe tak zaostrzyły stan zapalny stawów p. Eufemii, że nie mogła wstawać z łóżka. Przynosiłem z naszej stołówki pracowniczej obiady dla chorej, przygotowywałem posiłki i wzywałem lekarza, dopóki p. Urbanowa nie wróciła do domu. Wówczas p. Ignatczakowa przyrzekła mi pomoc w Warszawie podczas studiów i zakwaterowanie u siebie. Ponieważ po wyjeździe z Bydgoszczy rozluźnił się związek z moją dziewczyną, zaczęto swaty. Pani Maria Urbanowa poznała mnie z piękną swoją kuzynką z Torunia. Niedoszli teściowie bardzo się polubili. Tata zaakceptował przyszłą synową. Nic niestety z tego nie wyszło. Nakaz pracy w Ciechocinku ukończyłem 31 grudnia 1955 roku. Moje stanowisko zajęła biolog p. Hanka Brzozowska. Pożegnałem uroczą koleżankę p. mgr Marylę Orłowską kierowniczką pracowni bakteriologicznej i chemika Władzia Karnkowskiego szefa analiz wody i ścieków. Oboje dojeżdżali z Torunia. Z Aleksandra Kujawskiego dojeżdżał mój wspañiały kontroler sanitarny działu żywienia i żywności p. Gienio Sikorski. Często mieliśmy wspólne wypadki kontroli w tak zwany teren. Jeździliśmy ciuchciami ciągnącymi się wzdłuż długiego na około 100 km powiatu aleksandrowskiego. Pewnego razu otrzymano skargę z Ministerstwa Zdrowia na stan sanitarny w mleczarni z produkcją żółtych serów w osadzie Osiecinie. Dyrektor o mało nie wyrwał sobie resztek włosów z głowy, bo on był odpowiedzialnym powiatowym inspektorem sanitarnym. Podaliśmy mu cztery protokoły pokontrolne z upomnieniami z powodu niezrealizowania zaleceń pokontrolnych, przekazanych również władzom gminy i czynnikom partyjnym. Takie otrzymaliśmy wytyczne do załatwiania spraw w tym okresie. Pani Hanka Cieszkowska sekretarka przepisała stos dokumentów na maszynie. Nie mieliśmy wtedy możliwości wykonania kserokopii. Wysłano odpowiedź do Ministerstwa Zdrowia i nic dalej się nie działo. Byliśmy bezradni. Kiedy zakwestionowaliśmy otwarcie nowo zbudowanej wytwórni soków w Ciechocinku z powodu braku odprowadzenia ścieków i oczyszczalni, oskarżono nas o wrogie działanie na rzecz świata pracy. Dano 9 lat na uzupełnienie zastrzeżeń w protokole i tak pozostało.

Pod koniec września 1955 roku przyjechała do mnie Lodzia. Podczas ciąży zachorowała na astmę oskrzelową, którą odziedziczyła po babci Marcysi. Napady trwały po kilka godzin w postaci strasznej duszności i zlewnych potów. Moja siostra starała się zmienić miejsce pobytu ze względu na ciągły kontakt z kurzem młyńskim czy to w Soplu, czy w Słomkowie. Powietrze ciechocińskie nie zmieniło stanu chorej Lodzi. Wyjechała po 10-ciu dniach. Ataki nie ustępowały do końca ciąży. Urodziła 2 marca 1956 roku drugiego synka Lesława Adama, któremu ja jako ojciec chrzestny wybrałem imiona. Poród odbył się w trudnych warunkach w szpitalu w Głownie, ponieważ wichura uszkodziła trakcję elektryczną i w tym czasie przy lampach naftowych przyszedł na świat mój chrześniak.



79. Po latach odpoczynek pod tężniami w Ciechocinku (foto rok 2005)

Wpadałem czasami do Nieszawy, skąd mój przodek Wojciech Śmiałek przybył do Retek. Wiedziałem, że nasza główna księgowa p. Raciborska wychowuje małego Śmiałka, lecz to był czas nieodpowiedni do odgrzebywania przeszłości. Sprawy rodzinne stanowiły temat tabu, ponieważ różne powiązania mogły bardzo zaszkodzić, jeśli na przykład ktoś z rodziny wyjechał do Anglii, należał do Armii Krajowej podczas okupacji, lub był księdzem.



80. Spotkanie z przyjaciółmi ze studiów w Ciechocinku – od strony lewej Zenek Walinowicz, jego małżonka Danusia Walinowicz z d. Kegel, Stefek Mrówczyński, Marysia Śmiałek z d. Sobotka, Mietek Śmiałek i Marysia Mrówczyńska z d. Salamon (foto rok 2010)

Po odbyciu nakazu pracy w Ciechocinku z myślą poznania pracy w dużym zakładzie produkcyjnym na pół roku przenieśliem się do Starogardzkich Zakładów Farmaceutycznych, gdzie pełniłem funkcję mistrza zmiany Wydziału Ampułkarni. Spodobała mi się Polfa w Starogardzie Gdańskim podczas wycieczki, organizowanej przez docenta Bodalskiego na ostatnim roku studiów farmaceutycznych. Najciekawsze było wybrzeże i posiłki w słynnym ekskluzywnym hotelu w Sopocie. Noclegi jednak mieliśmy w nowym ośrodku turystycznym z łózkami piętrowymi. Te zaś były tak ruchome, że koledzy z góry spadali często na dolne łóżko. W Starogardzie

Gdańskim pracę w Polsce rozpocząłem drugiego stycznia 1956 r. Praca w Wydziale Ampułkarni polegała na wykonaniu terminowego planu produkcyjnego leków ampułkowanych. Najważniejszy problem stanowiło zapewnienie dostatecznej ilości odpowiedniej wody destylowanej do produkcji. Często musiałem sam obsługiwać ogromne, szklane urządzenia aparatu destylującego wodę. Mimo stosowania wymienników jonowych często kontrola techniczna kwestionowała jakość wody. Byłem tak zwanym mistrzem zmiany. Do moich obowiązków należały wszystkie sprawy prowadzące do uzyskania ampułki z wyprodukowanym lekiem - przygotowanie odpowiednich składników chemicznych, zapewnienie dobrej wody, w tym regulaminowe płukanie i zmiana sączków w urządzeniach mechanicznych. Ponadto należało dopilnować, aby praca przebiegała sprawnie, a w przypadku awarii natychmiast służyć pomocą pracownikom napełniającym ampułki. Realizowaliśmy również programy racjonalizatorskie w celu zwiększenia produkcji leków. Mieszkałem w hotelu pracowniczym z mgr chemii Staszkiem Antoniem, który pochodził z Opola Lubelskiego i był miłym kolegą i zdolnym chemikiem. Odwiedziłem przyjaciół mojej rodziny pp. Cejrowskich w pobliskim Pępulinie. W tym mieście nie można było ominąć pięknej katedry, gdzie znajdują się księgi Guttenberga, drukarza mogunckiego i wynalazcy druku w wieku XV. Tam dowiedziałem się o śmierci Bolesława Bieruta w Moskwie. Dziwny to musiał być wirus, ponieważ co pewien czas podczas wizyty atakował najwyższe głowy państw bloku socjalistycznego. W końcu czerwca serdecznie zostałem pożegnany przez kolegów i pozostałych pracowników. Po półrocznej mojej tam pracy ofiarowano mi piękny album architektury polskiej. Znalazłem w nim zdjęcie gotyckiego kościoła w Będkowie koło Łodzi, gdzie krótko pracowałem w aptece.

2.8 Warszawa

Do Warszawy przybyłem 1 lipca 1956 roku, aby na tzw. kursie felczerskim uzupełnić przedmioty z pierwszego roku studiów wydziału lekarskiego – anatomię człowieka i histologię. Moje dokumenty znajdowały się już w Dziekanacie Wydziału Ogólnolekarskiego Dziekan p. prof. Sylwanowicz przekonywał mnie, abym rozpoczął studia medyczne od pierwszego roku. Odpowiedziałem, że jestem za stary. Wówczas zwykle jedna trzecia studentów drugiego roku medycyny repetowała. Po ukończeniu zajęć podczas kursu pomyślnie zdałem anatomię z I roku studiów u p. prof. Sylwanowicza na drugim miejscu z czwórką. Piątkę otrzymała tylko jedna felczerka, a pozostałe osoby trójczki. Tam od pierwszych zajęć prosektoryjnych zaprzyjaźniłem się z Lucyną Brzywczy, mgr biologii, asystentką Katedry Botaniki UW. Lucyna mieszkała w ogrodzie botanicznym. Uczyliśmy się tam wspólnie w wolnych podczas wakacji salach zajęć dla studentów. Zakwaterowała mnie u siebie, jak obiecała, p. Eufemia Ignatczakowa. Dano mi wygodną samodzielną kawalerkę jej męża, przy ul. Józefowskiej 5 na Targówku Fabrycznym. Nie płaciłem nic. P. Eufemia ustaliła, że jeśli zajdzie potrzeba kuracji w Ciechocinku, zamieszka wówczas w moim mieszkaniu.

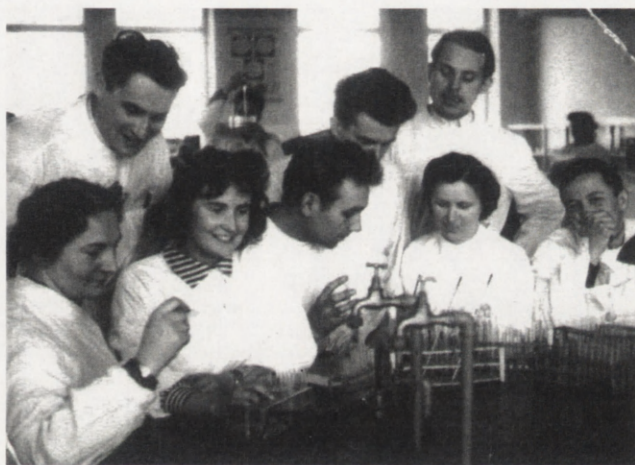
Studia na drugim roku medycyny zaczęły się niepomyślnie. Wkrótce po rozpoczęciu zajęć przeziębłem się i miałem gorączkę. Zostałem przyjęty do szpitala studenckiego „Palma”, przy ul. Mochackiego. Leczone mnie zastrzykami z penicyliny, która wówczas skuteczna była niemal na wszystkie choroby z gorączką czy zmianami ropnymi. Był to historyczny październik roku 1956. Chorych kolegów odwiedzali studenci. Od nich dowiedzieliśmy się o rozruchach w Warszawie. Wydawało się to prawie niewiarygodne w ówczesnych naszych warunkach politycznej zależności od ZSRR. Gdy przeczytaliśmy Trybunę Ludu, organ PZPR, który zaczął pisać artykuły w stylu ówczesnego Życia Warszawy, zrozumieliśmy, że dzieje się to samo, co miało miejsce przed rokiem w Poznaniu. To był ten wspaniały oddech – polski październik 1956. Mój kolega z grupy studenckiej Leszek Wygowski został aresztowany przez milicję. Opowiadano nam o wielotysięcznych tłumach ludzi na placu Defilad, o przemówieniu Gomółki, że wszyscy mu bili brawa, wierząc w zapowiedź wolności. Podczas tej odwilży gomółkowskiej

zdecydowałem się wraz z kilku kolegami zapisać się do metodystów na język angielski. Ustąpił już strach, że może nas namierzyć służba bezpieczeństwa. Wypuszczono z więzień dużą grupę więźniów politycznych. Staliśmy w ogromnej kolejce opasującej Plac Zbawiciela. Na szczęście zostałem zapisany do znakomitego lektora p. Skarzyńskiego, którego matka i siostra również pracowały w English Language College przy ulicy Mokotowskiej. Po nauce języka angielskiego u p. Ankowskiej w Ciechocinku zupełnie dobrze dawałem sobie radę. Sądziłem, że znajomość języka angielskiego jest niezwykle ważna w zdobywaniu najnowszej wiedzy w zawodzie lekarskim. Poza anatomią największa liczba studentów repetowała z powodu nie zdania egzaminu z chemii fizjologicznej. Te wszystkie biochemiczne przemiany w organizmie człowieka były bardzo trudne dla studentów. Dlatego postanowiłem starać się o zaliczenie tego przedmiotu u p. prof. Ireny Mochnackiej na podstawie wyniku tego egzaminu na Wydziale Farmaceutycznym w Łodzi. Okazało się to niewypałem. Pani profesor nie pytając mnie o nic odmówiła. Kierownikiem katedry był prof. Józef Heller, toteż jeszcze raz próbowałem u niego szczęścia. Niestety nie wiedziałem, że w tym samym pokoju urzęduje także p. prof. Irena Mochnacka. Kiedy p. prof. Józef Heller był bliski zaliczenia mi egzaminu zdanego u jego lwowskiego kolegi prof. Antoniego Dmochowskiego, zadrżałem z przerażenia. Od maszyny do pisania odwróciła się p. profesor. Zwymyślała mnie od leni, nie mających chęci do nauki. Stwierdziła, że zamiast mojej piątki otrzymanej w Łodzi, tutaj mogę dostać dwóję. Pan prof. Heller zaskoczony zwolnił mnie tylko z zaliczania pracowni biochemicznej. Podziękowałem mu i jednak uczęszczałem na zajęcia prowadzone przez naszą asystentkę p. dr Teresę Szymczyk. Pani doktor była znakomitym dydaktykiem. Zależało jej na dobrych wynikach studentów. W sesji zimowej zdałem anatomię człowieka na dobrze. Jak na naukę przez pół zamiast półtora roku był to wynik znakomity i trzeci w mojej grupie studenckiej. Stwierdziłem, że moje oszczędności z Ciechocinka topnieją. Stryj, który obiecał pomoc, nie dawał wiadomości. Sam krępowiałem się przypominać o przyrzeczeniu. Wydatki na podręczniki, obiady i artykuły żywnościowe wyczyściły niemal książeczkę. Bardzo mi było dobrze u pani Eufemii, lecz zorientowałem się, że w akademiku będę mógł kończyć studia, jeśli uzyskam stypendium. Złożyłem podanie i się udało.



81. Dom Akademicki na Jelonkach – stoi drugi po lewej Mietek Śmiałek, siedzą od lewej – kolega z pokoju Mietka Sławek Kacprzyk, koledzy z roku Marian Pyzikiewicz i Rysiek Koziół – Szeptowski, stoi trzeci po stronie prawej Alfred Koziół.

Podczas sesji egzaminacyjnej niespodziewanie otrzymałem niewielką sumę pieniędzy od stryja. Przyznano mi też stypendium i miejsce w akademiku. Nie odczuwałem głodu ani biedy. Mogłem nawet raz w miesiącu wybrać się do teatru i kupić parę skarpetek oraz nici do cerowania. Podarowałem Matce Boskiej w żłakowskim kościele obiecane wotum za łaskę studiów medycznych. Przekazanie wiadomości o pomocy pieniężnej stryja ucieszyło tatę. Polecił mi listownie podziękować mu za to. Rodzice nie mieli warunków do pomocy. Młyn został znacjonalizowany w roku 1954, a gospodarstwo rolne przynosiło straty. Ojciec chory, a matka leciwa nie byli w stanie sami pracować. Sprzedali nawet sześć morgów ziemi. W ramach gnębienia kułaków po żniwach władze gminne przeprowadziły przymusowy omłot zboża w jednej ze stodół. Drugi rok zaliczyłem razem z piątką studentów naszego kursu na piątki i czwórki. W ten sposób do stypendium studenckiego przyznano mi dodatkowo stypendium naukowe w sumie 100 złotych miesięcznie. Tyle gotówki wystarczyło na miesięczne obiady w stołówce studenckiej. Pani dr Szymczyk zaproponowała mi pracę w Zakładzie Chemii Fizjologicznej. Kochałem biochemię, lecz nie czułem się dojrzałym do pracy naukowej. Marzyłem tylko o zajęciach klinicznych i leczeniu chorych. Wakacje spędziłem w Retkach pomagając rodzicom w gospodarstwie. Dalsze lata to już był spacer.



82. Ćwiczenia z mikrobiologii, od lewej Ala Tyszevska, Krzys Czubalski, Justyna Klukacz-Czubalska, Mietek Śmiałek, Tadzio Grelewski, Danusia Sęk, Andrzej Wrzesiński i Funio Głowacki

Od trzeciego roku w klinikach nazywano nas lekarzami. Pewnego razu opowiedziałem Danusi Sęk o Studium Wyższej Wiedzy Religijnej przy kościele akademickim w Łodzi. Zachęciła mnie do chodzenia na spotkania w kościele akademickim św. Anny w grupie ks. Tadeusza. Uczęszczałem tam ze Staszkiem Strómiłło i Stefanem Mrówczyńskim, z którymi mieszkalem w akademiku na Jelonkach. Obiady jadłem w Medyku przy ul. Oczki, a śniadania i kolacje na Jelonkach. W kościele grupę tzw. gałganiarzy prowadziła Zosia Godlewska ze starszego rocznika naszej uczelni. Przydzielono nas do akcji pomocy chorym lekarzom. Opiekowaliśmy się niewidomą lekarką p. dr Wiktorią Zawadzką ze Stroynowskich. Pani doktor straciła wzrok w przypadku sympatycznego zapalenia oka. Przed rewolucją październikową jej hrabiowska rodzina posiadała majątek w okolicy Smoleńska. Studia lekarskie ukończyła w Szwajcarii. W roku 1917 miała dwie córki, ośmioletnią Bożennę i kilkumiesięczną Liliannę. Była to niezwykle energiczna i mądra osoba. Podczas rewolucji arystokratka polska i lekarka udawała zwyczajną robotnicę. Zatrudniona została jako maszynista w pociągu. Niezwykle dzielnie dawała sobie radę z bolszewikami. Tam każdy dzień był walką o życie i przetrwanie. Używając różnych forteli pojechała do obozu i zabrała z aresztu szwagra. Na podstawie różnych spreparowanych dokumentów z wielu pieczęciami dowiodła, że szwagier musi wyjechać, ponieważ jest obywatelem austriackim. Rzeczywiście urodził się w Krakowie. Na dokumencie pozwalającym mu opuścić Związek Radziecki podobno nabito wiele różnorodnych pieczętek, ponieważ kontrolujący najczęściej byli analfabetami. Jako maszynista na kolei uciekła pociągiem do Białegostoku z córkami i mężem

w roku 1921. Rodzina osiadła w Warszawie. Córki przed wojną uzyskały matury. Dopiero po drugiej wojnie światowej Bożenna z dyplomem inżyniera ekonomii Wyższej Szkoły Ekonomicznej we Wrocławiu pracowała w Ministerstwie Finansów w Warszawie. Lilianna ukończyła studia na Wydziale Filologii Polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim i zachorowała na gruźlicę. Bożenka opiekowała się chorą niewidomą matką z jej psem Tropem i pomagała ciężko chorym na gruźlicę siostrze i szwagrowi mieszkającym w Zakopanem. W domu panowało ubóstwo. Pani doktor miała jakąś starą sukienkę i bluzeczkę, może dwie nocne koszule i stary szlafrok, a Bożena w miarę schludny kostium, i kurteczkę z podpinką na zimę i wiosnę. Zapełniliśmy szafę pań przeróżnymi amerykańskimi kreacjami. Gdy brakowało przed pierwszym żywności staraliśmy się w kościele o fundusze. Kupowaliśmy dużo zwyczajnej kiełbasy i mięsa mielonego na kotlety, które sami smażyliśmy. Pani doktor nie zdawała sobie sprawy z dramatycznego położenia jej rodziny. Diabetyczka, a niestety zmuszała nas do zaspakajania jej życzeń wędlinami, smażonymi potrawami mięsnymi i smacznymi bułeczkami. Często chorowała. Musieliśmy ciągle zmieniać kliniki, ponieważ p. doktor była bardzo przykrym pacjentem. Wreszcie polubiła ją kochana przez nas p. dr Natalia Sendys w Instytucie Hematologii. P. dr Sendys nie pozwoliła się sterroryzować pani doktor Zawadzkiej, a takie osoby o silnej osobowości dr Zawadzka ceniła sobie najbardziej. P. dr Sendys, harcerka i sanitariuszka z powstania warszawskiego doceniała trud biednych studentów. Zawsze nam pomagała podczas zachorowań naszej podopiecznej. Przed wyjazdem na obóz studencki w wakacje roku 1961 p. dr Zawadzka zachorowała ciężko na serce. Instytut Hematologii był w remoncie. Umieściliśmy chorą p. dr Zawadzką w szpitalu przy ulicy Solec i niestety już jej nigdy nie zobaczyliśmy. Zmarła podczas wakacji i została pochowana na cmentarzu przy ulicy Wałbrzyskiej. Z córką Bożenką utrzymywałem stałe kontakty i czasami jej pomagałem. Pani doktor prosiła mnie, abym traktował ją jak siostrę. Kiedy zrobiłem porządek w zagraconym mieszkaniu, powyrzucałem przeterminowane leki w tym dwudziestoletnie zjełczałe maści, dostała mi się reprimenda za bałaganiarstwo. Cierpliwie znosiłem te napady złości i przynosiłem recepty na świeże leki. Zaprosiłem ją na mój ślub i przyjęcie weselne. Zmarła nagle w fotelu w podeszłym wieku. Przez cały trzeci rok studiów mieszkałem w pokoju ze Staszkiem Strómiłło i Lucjanem Stępińskim. Lucjan był silnym, dobrze zbudowanym mężczyzną. Ciągłe ćwiczył i inicjował często różne rozrywki w naszym bloku. Zbieraliśmy się wówczas najczęściej w niedzielę w jednym pokoju. W turnieju siłowym na prawą rękę wygrywał z każdym. Wiedziałem, że nie mam z nim żadnej szansy. Kiedy kładł każdego kolejnego przeciwnika na lewą rękę podszedłem bez wiary w zwycięstwo. Chłopcy zaczęli mnie dopingować. Wygrałem. Koledzy żartowali, żeby Lucjan uważał na mój lewy sierpowy. Zwyciężyłem, ponieważ jestem leworęczny. Ściany baraków na Jelonkach służyły nam do zawodów rzucania lotką do tarczy, sporządzonej na zwyczajnym szarym papierze do pakowania. Lotkę wykonaliśmy sami z długiej igły, obłożonej zapalkami i skrzydełkami z kartki papieru. Całość wiązano mocną nicią. Urządzaliśmy turnieje strzelania do prymitywnie wykonanej tarczy. To lubiliśmy najbardziej. Gdy tak bawiliśmy się, Lucjan wypełniał loteryjne kupony Syrenki. Co tydzień wysyłał 144 kombinacje sześciu cyfr. To był już hazard. Tracił tygodniowo prawie trzysta złotych, gdy miesięczne stypendium na roku trzecim wynosiło czterdzieści złotych więcej. Ze Staszkiem rozpoczęliśmy walkę z jego nałogiem. Wypełniłem jeden kupon rzucając lotką sześć liczb. Trafiłem pięć wylosowanych liczb i wygrałem kwotę około 1300 złotych. On nie miał nawet jednej trójki spośród ponad stu kuponów. Poprosił, abym wyrzucił dla niego liczby. Podałem mu. Wypełnił kupon, lecz go nie nadał w kolekturze. Wszystkie sześć moich liczb zostało tym razem wylosowane. Zrozumiał wreszcie, że to nie ma sensu, został wyleczony z hazardu. Zaproponował Staszkiowi i mnie, abyśmy codziennie przez piętnaście minut stali na głowie. Podobno to zapewniało długo świeżość umysłu. Po trzech dniach Lucjan skręcił szyję i już nigdy nie wracaliśmy do tego typu odnowy pracy naszej kory mózgowej.



83. Jelonki – spotkanie koleżeńskie w niedzielę, od lewej Janek Kurkus, Mietek Śmiałek, Staszek Strómiłło i Włodek Kardasiewicz

Po wypoczynkowym trzecim roku studiów odbyłem wspólnie z moim przyjacielem Staszkiem Strómiłło miesięczny staż wakacyjny w szpitalu w Aleksandrowie Kujawskim. Mieszkaliśmy w Ciechocinku w moim mieszkaniu i dojeżdżaliśmy pociągiem 15 minut do Aleksandrowa Kujawskiego. Moje mieszkanie było położone bardzo blisko dworca, a szpital naprzeciw dworca aleksandrowskiego. W tym czasie, gdy miałem zajęcia na internie, na oddziale chirurgicznym, gdzie przebywał Staszek, młody pacjent dostał psychozy pooperacyjnej po zabiegu wzrostka robaczkowego. Kiedy leżał po operacji i wybudzeniu się z narkozy na szafce nocnej powstał pożar od papierosa pozostawionego przez sąsiada. Chory bardzo się przeraził. Gdy wpadła zaalarmowana siostra wyskoczył z łóżka i uciekał bojąc się szatana. Zorganizowano pogoń. Chory najpierw pogryzł pielęgniarkę, później dyrektora szpitala i biegał po korytarzach szpitalnych. Staszek przyszedł do mnie na oddział internistyczny prosząc o pomoc. Na korytarzu zauważyłem uciekającego chorego. Rozłożyłem ręce i przyciągnąłem go do siebie. Tymczasem on mnie ugryzł w lewe ramię. Trzymałem go tak długo aż grupa pościgowa dopadła go. Chorego związano pasem bezpieczeństwa, a mnie opatriono. Widać było trzy rany po zębach. Słuchaliśmy jak pacjent ciągle mówił dokładnie cały pacierz. Wreszcie p. dyrektor rzekł „Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie”. Chory na chwilę tylko przerwał modlitwę i po chwili kontynuował. Po pięciu dniach, po kuracji fenaktiliem, chory w dobrym stanie wrócił do domu. W Ciechocinku popołudnia przebiegały sielankowo. Korzystaliśmy z basenu solankowego i łowiliśmy ryby. Staszek przywiózł dwie wędkę. Sam łowił na żywca, którego mu dostarczałem. Pewnego dnia wybraliśmy się na przystań statków pasażerskich. W tym czasie na chwilę zatrzymał się statek. Obok siedziało kilku wędkarzy. My odsunęliśmy się nieco dalej. Podałem pierwszego żywca Staszekowi, ale ten szybko gdzieś przepadł. Staszek dopominał się o następnego, lecz nic mi nie brało. Wreszcie, gdy miałem szczęście i Staszek założył płótkę, nagle go coś szarpnęło tak, że omal nie wpadł do wody. Długo się męczył. Wędzisko się złamało. Ryba wciągnęła go do wody, Musiałem go trzymać i pomóc przy wyjściu z Wisły. Wreszcie wyciągnął piękną sztukę, szczupaka o długości mojej kończyny górnej. Podzieliliśmy się zdobyczą z sąsiadkami. Następnego dnia udaliśmy się też na przystań. Zazdrośni rybacy natychmiast nas wylegitymowali. Było im łyso, kiedy Staszek przedstawił legitymację Związku Wędkarskiego i zezwolenie do korzystania z dwóch wędek. Urażeni zmieniliśmy miejsce. Zaproponowałem przepłynięcie łódką na wysepkę, gdzie jest tylko jeden dom. Tam Staszek złowił tylko kilka małych szczupaków, a ja ze trzydzieści sztuk drobnicy. Całe nasze piętro smażyło znów ryby.

Po odbyciu praktyki postanowiłem przed zajęciami z farmakologii w wakacje popracować w aptece. Udałem się do Centrali Aptek Społecznych Zastałem tam dyrektora, mgr Bolesława Piaseckiego, mojego kolegę z wojska. Z powodu braku farmaceutów zostałem przyjęty na dwa miesiące do apteki przy ul. Filtrowej 62. Pani kierownik mgr Tajchert również się ucieszyła. Przedłużono mi pracę jeszcze o jeden miesiąc. W październiku mogłem przychodzić w godzinach wolnych od zajęć na uczelni, aby wykonać recepty za drugim stołem. Wiele życzliwości

okazywał mi p. mgr Uciechowski, emerytowany farmaceuta. Nauczył mnie tak wiele, że czasami już tylko przy bardzo trudnych receptach prosiłem go o pomoc.

W akademiku nastąpiły konieczne zmiany podczas ustalania składu naszego pokoju na Jelonkach. Zamieszkałem wspólnie ze Stefką Mrówczyńską i Sławkiem Kacprzykiem z byłej mojej grupy. Jak się okazało w tym składzie w zgodzie i przyjaźni mieszkaliśmy do końca studiów czyli do roku siódmego. Czwarty rok nauki był bardzo ciekawy. Pragnąłem zostać chirurgiem. Działalem w naukowym kółku chirurgicznym pod opieką doc. Jędrzejewskiego w klinice p. prof. Budkiewicza, a później prof. Nielubowicza. Pan prof. Budkiewicz, profesor lwowski, ustąpił miejsca swojemu znakomitemu uczniowi z Wilna. Pamiętam, jak nas nauczał p. prof. Budkiewicz, aby nie przeoczyć jakiegokolwiek patologii podczas operacji i dokładnie skontrolować ręką narządy wewnętrzne chorego. Tłumaczył. „Mały chirurg małe cięcie, duży chirurg duże cięcie”. Prof. Nielubowicz zainicjował przeszczepy sztucznych naczyń krwionośnych. Ta zdobycz w leczeniu zmienionych miażdżycowo naczyń wydawała mi się niemal szczytem osiągnięć chirurgii w roku 1958. Bardzo przejęty wygłosiłem na posiedzeniu kółka chirurgicznego referat na temat leczenia chirurgicznego żyłaków kończyn dolnych. Na naukowy zjazd studencki przygotowałem część biochemiczną z oznaczaniem poziomu diastazy w zapaleniu wyrostka robaczkowego. Często mnie jednak zachęcano do pracy naukowej w dziedzinie biochemii w Zakładzie Chemii Fizjologicznej. Egzamin końcowy zdałem na piątki i czwórki. Nawet z medycyny nuklearnej zostałem zwolniony z egzaminu. Nasza grupa miała zajęcia z p. doc. Grabanem, który nie tolerował spóźnień. W tamtym czasie przy ogromnych trudnościach komunikacyjnych, obwieszonych przez pasażerów tramwajach i autobusach, często nie udawało się zacheścić nawet z tyłu na zderzaku. Spóźniłem się na pierwsze zajęcia. Każdy spóźniony student od tego momentu był odpytywany każdego dnia. Po chemii fizycznej u p. prof. Kroh w Łodzi brylowałem wiadomościami z przemian jądrowych i zostałem wyróżniony zwolnieniem z egzaminu z medycyny nuklearnej po ukończeniu zajęć w pracowni. Pewnie to mi pomogło otrzymać piątkę z drugiej części egzaminu z radiologii u p. doc. Kordysa. Inni pytający np. p. doc. Leszczyński łagodnie traktował studentów, ale oceniał najczęściej na trójkę. Radiologia wymagała znajomości patomechanizmu zmian we wszystkich jednostkach chorobowych, ich wyjaśnienia i postawienia diagnozy. Tymczasem trudne to było dla studentów po czwartym roku nauki. W tym samym dniu zdawały radiologię moje dwie najbliższe koleżanki, Danusia i Lucyna u p. doc. Leszczyńskiego. Wiele osób się cieszyło z takiego przydziału, bo mówiono, że nim się usiadło już w indeksie widniała nota dostateczna. Pan doc. Kordys poprosił mnie razem z Elą Węgrzyn i Andrzejem Malewskim i odpytywał całą trójkę z interpretacji zdjęć i rozpoznań z tłumaczeniem patomechanizmu choroby. Inni studenci przysłuchiwali się. Danusia i Lucyna uznały, że moja odpowiedź na te trudne pytania na pewno nie zasługiwała na piątkę. Czułem się dotknięty. Madzia uspokoiła je tłumacząc, że ona nawet nie rozpoznała przypadku, a dostała piątkę. Pan docent twierdził, że prawidłowo odczytywała zmiany chorobowe na zdjęciach radiologicznych. Po pewnym czasie otrzymałem od Danusi i Lucyny rulon związany kolorową wstążką z przepaszającym wierszem.

Po czwartym roku w związku z bardzo dobrymi i dobrymi wynikami w nauce i po zdanym egzaminie z języka angielskiego, dzięki dobrej metodystycznej szkole tego języka otrzymałem prawo do szpitalnej praktyki zagranicznej. Okazało się, że z siedemnaściorga studentów przystępujących do egzaminu z języka angielskiego u p. lektor Jędraszko, zdało tylko pięcioro. Najlepsi koledzy na wyjazdy do Anglii i Holandii nie otrzymali paszportów. Marysia Zglińska, moja koleżanka z roku i ja dostaliśmy paszporty na Jugosławię, a jeden kolega z piątego roku na NRD. Miałem wakacje życia podczas praktyki szpitalnej w Puli w Chorwacji.



84. Pula – Mietek z kolegami – w tle luk rzymski (foto, wakacje 1959 rok)

Zajęcia studentów w szpitalu odbywały się codziennie w godzinach 8 – 12. Po obiedzie do 18-ej przebywaliśmy na plaży i kapaliśmy się w ciepłej wodzie Adriatyku. Nasz angielski stał się bardziej płynny dzięki konwersacji z grupami studentów zachodnich. Zaprzyjaźniłem się z kolegą Jurkiem Bąkowskim, studentem z Białegostoku.



85. Pula – Jurek Bąkowski, w tle arena rzymska

Ludzie w Jugosławii byli niezwykle serdeczni. Czuliśmy, że bardzo lubią i cenią sobie Polskę i polski naród. Studenci jugosłowiańscy nie mówili o sobie – jesteśmy Jugosłowianami. Każdy określał swoją narodowość w zależności od pochodzenia ojca – na przykład - jestem Serbem, Chorwatem, Słoweńcem. Jurek i ja zaprzyjaźniliśmy się z rodziną naszej koleżanki Milicy Kuzmanović. Rodzina ta posiadała trzy córki i ośmiu synów. Zapraszano nas często na racuszki, pierogi i różne domowe delicje.



86. Pula, od lewej – Jurek Bąkowski, Chorwatka Dobrila, Serbka Milica i Słowenka Sylwia

Autostopem zwiedziliśmy prześliczne grotty w słoweńskiej Postojnie, chorwackie San Remo Opatiję. Chcieliśmy wrócić do Polski statkiem Karpaty, który budowany był w stoczni w Puli. Niestety powstał problem z wizami. Zaprzyjaźnił się z nami pewien młody Chorwat. Z nim wykonywaliśmy różne zdjęcia, w tym portu w Puli. W dniu naszego wyjazdu nie przyszedł się z nami pożegnać. Natomiast policja chciała nam odebrać filmy. Nie pozwoliliśmy i się udało.



87. Plaża nad Adriatykiem – Mietek nad leżącą w kapeluszu Milicą Kuzmanović.

Mamy kolekcję widoków z pięknej Chorwacji i Jugosławii. Zosia Wasik, studentka piątego roku z Warszawy, która zaliczyła język francuski przyjechała do nas ze Słowenii i wyruszyliśmy zwiedzać Jugosławię. W porcie od razu załatwili nam, stojący w kolejce miejscowi podróżni, 75% ulgę dla nas na statek do Rijeki i dalej do Dubrownika, identyczną jak studenci jugosłowiańscy. Nam przysługiwała tylko zniżka 50%. Wcześniej załatwiliśmy bez dopłaty notatkę na kolejowym, powrotnym bilecie do Warszawy – „koristny powratak iz Dubrownika“. Radość nasza była ogromna, ponieważ mieliśmy już niewiele dinarów. Ciągłe traciliśmy pieniądze na znakomite lody włoskie. Nasze zdumienie nie miało granic, kiedy ujrzelśmy na ścianie w słasticzarni czyli cukierni taką ilość smaków lodów, jak u nas dań na podobnej tablicy w barze mlecznym. Te lody włoskie o różnych smakach np. pana montana, czyli chleb górski rujnowały nasze skromne finanse. W Polsce były jedynie zwykłe lody śmietankowe porcjowane lub na patyku.

W Rijece mieliśmy statek do Dubrownika następnego dnia rano. Udaliśmy się do domu studenckiego. Szczęśliwie dyrektor akademika podczas wojny był więziony z chłopcami naszego podziemia. Pomimo braku miejsc noclegowych Zosi oddał swój gabinet, a mnie i Jurkowi jakiś pokój administracyjny. Oczywiście nie chciał żadnej zapłaty za ten nocleg. Ugościł nas i mówił jak podziwiał Polaków za walkę z nazistami.

Płynąc podziwialiśmy piękno wybrzeża dalmatyńskiego, Zadar, rzymskie mury w Splicie a wreszcie oczekiwane cudo świata Dubrownik.



88. Zosia Wasik i Mietek w Dubrowniku

Nie zdołaliśmy załatwić noclegów na międzynarodowym kempingu studenckim. Znaleźliśmy wreszcie tani pokój z małżeńskim ogromnym łóżem. Uznaliśmy, że we troje będzie nam wygodnie. Szybko udaliśmy się na zwiedzanie miasta. Kąpiel organizowaliśmy sobie na plażach różnych pensjonatów. Zmienialiśmy miejsca kąpeli. Wreszcie w pewnym miejscu podeszła do nas pani pracująca w pensjonacie i zapytała nas po polsku, skąd przybyliśmy. W tym czasie Jugosławię odwiedzało bardzo mało turystów z Polski. Ona sama pochodziła spod Lwowa. Podczas wywózki na roboty do Niemiec, w czasie wojny, wyszła za mąż za Chorwata i osiedliła się w Dubrowniku. Poleciła nam odwiedzić malarza polskiego p. Filanowicza, który przed wojną zakupił dom z pięknym widokiem na morze i Dubrownik. Państwo Filanowiczowie robili wrażenie ludzi około siedemdziesiątki, niezwykle serdeczni i gościnni. Oczywiście musiało być wino, którego dotąd nie mieliśmy w naszym menu.



89. Dubrownik – wizyta u p. Filanowicza, po lewej Polka spod Lwowa.

Wracając do kwatery napotkaliśmy winiarnię prywatną. Z kadzi nalewano wino do zwyczajnych butelek. Kupiliśmy 3 litry wina białego, czerwonego i „proszku”. Wypiliśmy około 2 litrów podczas kolacji w ramach nawadniania po upalnym dniu i natychmiast zasnęliśmy w ubraniach. Musieliśmy wyjechać z Dubrownika ze względu na ceny czterokrotnie wyższe w porównaniu z tymi w Puli.

Do Belgradu podróżowaliśmy kolejką zębatą, która niemal przez cały czas wspinała się pod górę. Wysiedliśmy w Mostarze nad rzeką Neretwą, w stolicy Hercegowiny. Musiała to być sobota, ponieważ pozamykane były sklepy żydowskie. W piątki nie były czynne muzułmańskie, a w niedzielę chrześcijańskie. Upał był nie do zniesienia. Natomiast ceny znośne w porównaniu z czterokrotnie droższym Dubrownikiem. Te różnice odnosiły się do cen winogron. Dla ochłody

myliśmy się w wodzie przy meczetach i przebywaliśmy boso w ich wnętrzu. Musieliśmy stanąć na tym sławnym moście rozciągniętym nad Neretwą.



90. Stolica Hercegowiny – Most nad Neretwą w Mostarze

Prędko uciekliśmy z Mostaru, najgorętszego miejsca na Bałkanach do egzotycznego Sarajewa, stolicy Bośni. Tam udaliśmy się na miejsce historycznego zamachu na księcia Ferdynanda w roku 1914, który wywołał I wojnę światową. Szczególnie interesujące było orientalne targowisko, gdzie rzemieślnicy – artyści z miedzianej blachy wyrabiali piękne przedmioty i ozdoby.



91. Ulica w Sarajewie

W Belgradzie odwiedziliśmy moją koleżankę z roku Marysię Zglińska, odbywającą tam praktykę w sierpniu. Bardzo serdecznie zajął się nami dr. Wiktorović, chirurg, który pracował w Kragujewac. Pojechaliliśmy do niego autostopem. Po tych długich kąpielach i podróży na pokładzie statku zachorowałem. Nie tylko mnie zbadał u siebie w gabinecie zakładowym, ale i wypisał mi leki. Zwiedziliśmy z nim okolice Belgradu, liczne cerkiewki, do których prawie nikt nie wchodził. Zapamiętałem starą cerkiew w Topoli i górę Avala, centrum radiowo-telewizyjne. Mieliśmy bardzo miłe kolacyjki u mamy p. doktora. Zabrał nas nawet do lokalu, gdzie spotykała się belgradzka bohema. Zaprzyjaźnił się ze mną tłumacz polskich książek. Zdziwiło nas, że w Jugosławii bardzo popularny był Sienkiewicz. Koledzy nasi potrafili nawet cytować fortele p. Zagłoby.

Z Belgradu pojechaliliśmy bez przeszkód i dopłat do Budapesztu. Mogliśmy tam spędzić 48 godzin, ponieważ dokonaliśmy wymiany tranzytowej złotych na forinty. Udaliśmy się zaraz po przyjeździe do akademika. Podobnie jak w Jugosławii nie pozwolono nam płacić. Częstoowano nas węgierskimi daniami. My raczyliśmy rodzinę kierownika akademika bardzo ostrą kiełbasą zakupioną w Belgradzie. Nie spróbowaliśmy jej przy kupnie. Dla Węgrów kiełbasa ta okazała się delcją. Choć to było po trzech latach od najazdu sowietów na Węgry w 1956 roku, ludność

pamiętała transporty krwi dla rannych, przesyłane z Polski. O masakrze Węgrów i zniszczeniach opowiadano nam ze łzami w oczach. W ciągu tego krótkiego czasu nacieszyliśmy się secesyjnym Budapesztem i pięknym Dunajem, najlepiej prezentującym się z Budy. Na granicy słowackiej celnicy nie oddali Zosi zdeponowanych przy wjeździe czeskich koron. Wysiedliśmy w Brnie i udaliśmy się do Pragi do polskiego konsulatu. Zosia odzyskała gotówkę. Mogliśmy szaleć, zwiedzać złotą, przepiękną Pragę z jej starymi Hradczanami. Stwierdziliśmy, że Praga jest smutna po tym serdecznym Budapeszcie. Nawet zwracano nam uwagę, że się śmiejemy idąc ulicą. Na Hradczanach spotkaliśmy p. Stanisława Mikulskiego w towarzystwie pięknej dziewczyny. Ale szybko opuściliśmy to ponure miejsce. Wracaliśmy przez Międzylesie. Tutaj od razu nam kazano dopłacić po sto złotych, ponieważ wybraliśmy dłuższą trasę niż przez Zebrzydowice. Nie było problemu, złotówki mieliśmy.

Po powrocie wysłałem serbskiemu tłumaczowi kilka nowo wydanych książek polskich. W początku września spotkałem w domu studenckim na Jelonkach Stefka Mrówczyńskiego. Namówił mnie na wycieczkę autostopem na Mazury i nasze wybrzeże. Koniecznie musieliśmy zwiedzić Gierłożę, tak zwane „gniazdo os”, słynną kryjówkę Hitlera pod Kętrzynem. Podróż autostopem tą trasą okazała się trudna. Panował bardzo mały ruch na trasie. Dowieziono nas do Krzynowłogi Małej. Usiedliśmy na poboczu drogi i jedliśmy chleb, który udało nam się kupić. Tymczasem przejeżdżał tabor cygański. Przybiegły do nas dzieci i błagały o kromkę. Kiedy im daliśmy z pozostałych wozów zeskokczyła ogromna liczba cyganiątek. Musieliśmy im zdecydowanie odmówić. Dla nich na pewno nie wystarczyłoby pięciu bochnów. Wreszcie zabrała nas ciężarówka z trumnami przewożącymi szczątki żołnierzy wojsk radzieckich z czasu wojny. Nocą dotarliśmy do Kętrzyna, gdzie przenocowaliśmy na ławkach w poczekalni stacji kolejowej. Rano dotarliśmy do Gierłoży. Zastaliśmy tylko gruzy wysadzonych w powietrze bunkrów. Można było poruszać się tylko wyznaczonymi ścieżkami. Ostrzegano przed minami. Wkrótce wyruszyliśmy do Olsztyna i Gdańska. Tutaj udało nam się zakupić chleb i sporo kaszanki. Mieliśmy znakomitą wyżerkę. Po zwiedzeniu Gdańska, katedry w Oliwie i Gdyni przespaliśmy się w stogu w Kamiennym Potoku. Kiedy powróciłem do domu w Retkach po ponad miesięcznym wyjeździe bez listu, matka truchlała ze zmartwienia o jedynaka.

W roku akademickim 1959/1960 mieliśmy tylko zajęcia kliniczne. i zaliczenie egzaminów z wojska: interny, chirurgii polowej i epidemiologii. Najtrudniej było na chirurgii u p. prof. Zagórskiego. Prawie wszyscy studenci zdawali kilka razy. Wystarczyło w odpowiedzi przestawić kolejność miejsca w obowiązującej instrukcji, aby nie zaliczyć egzaminu. Z sześćdziesięciu zdających w każdy czwartek zdawało kilka osób. Mnie udało się za drugim podejściem. Zobaczyłem się na liście wśród szczęśliwej czwórki. Po zakończeniu zajęć klinicznych Andrzej Kapuściński i Leszek Prządka zorganizowali absolwentówkę w Restauracji Kongresowej w PKiN. Cóż to był za bal. Przytulone pary tańczyły nawet w basenie pod tryskającą fontanną.

Wakacje rozpocząłem obozem studenckim nad rzeką Wołosatką w Bieszczadach i wędrówkami po Słowacji i Podkarpaciu. Wpadliśmy także do Komańczy, gdzie był przetrzymywany nasz prymas tysiąclecia kardynał Stefan Wyszyński.



92. *Wędrowne wczasy studenckie – od lewej Stefan Sęk, Danusia Kegel, Marysia Paster, NN, Mietek Śmiałek, Hania Kreuzinger. z Poznania, Basia Tarnacka, Stefan Mrówczyński*

Mieliśmy uroczy spływ Dunajcem i liczne ogniska ze śpiewem, chociaż czasy nie były takie radosne. Na Przechybie żegnaliśmy Staszka Strómiłło, który własnym pięknym motorem wracał do domu, aby wkuwać do interny. Czekaliśmy na zdawanie w ciągu następnego roku dwunastu egzaminów. Przeczucie mi mówiło, że Marysia Pasterówna i Staszek zaczynają się sobą interesować. Marysia zdradzała podobnie jak i ja zdolności poetyckie. Muszę przyznać, że jej utwory były na pewno ciekawsze od moich. Przy ognisku na Przechybie moja piosenka plagiat z repertuaru Zespołu Mazowsze przyniosła mi tytuł prawdziwego wieszca. Oto ona. „Hej przeleciał ptaszek na Przechybie lasek. Minął on już minął panieńskie staje. A nasza Marysia dzisiaj zadumana za Staszka się wydaje. itd.”



93. *Mietek Śmiałek – spływ Dunajcem*

Wędrując, przeszliśmy na Słowację przez przejście graniczne w Barwinku. Ludzie ostrzegali nas tam przed wejściem do kościoła. Panował smutek. My pełni radości i młodzieńczej beztroski mieliśmy dobre humory, wędrując z naszym duszpasterzem od medyków, ojcem chrystusowcem Andrzejem J. Zaprosiła go do pracy nad nami nasza koleżanka medyczka Madzia Marciniak. Msze święte odprawiane były nawet w lesie.



94. *Obóz w Rytrze, kościółek*



95. *Dom noclegowy - od lewej Lucyna Brzywczy, Danusia Kegel z Leszkiem Sękiem, Stefan Sęk, Danusia Sęk, Marysia Paster, Basia Tarnacka i Mietek Śmiałek*

W Nowym Sączu odwiedziliśmy zakon, w którym przebywała siostra Ena przyrodnia siostra naszej koleżanki Lucynki Brzywczy. Tutaj, podobnie jak podczas noclegu w klasztorze męskim w Dukli mieliśmy proste, ale zdrowe posiłki. Wracając autostopem z Danusią Kegel i Marysią Paster przeżyliśmy miłą przygodę. Zabrał nas do pięknego angielskiego auta Polak przybyły z Anglii. Przyjechał w Bieszczady, aby znaleźć się jak najbliżej rodzinnego Lwowa. Zaproponował nam zwiedzanie z nim na jego koszt naszego kraju. Przykro nam było odmówić, lecz cała trójka miała inne plany. Ja musiałem wracać, ponieważ rodzice wyjeżdżali we wrześniu do mnie do Ciechocinka na wypoczynek. W domu sytuacja uległa poprawie. Zrujnowany przez państwowych dyrektorów nasz rodzinny młyn został zwrócony rodzinie. Zdołano już go przy pomocy siostry Łodzi uruchomić. Rodzice tak się znakomicie czuli w uzdrowisku, że zapomnieli o powrocie przed 1 października. Tymczasem ja rozpoczynałem pracę ze studentami w AM w Warszawie. Dwa telegramy dopiero zmusiły mamę i tatę do powrotu. Zmęczyły mnie wykopki ziemniaków i zasiewy z sąsiadem p. Janem Urbankiem i naszym służącym p. Franciszkiem. Mama pochwaliła mnie, ponieważ nagromadziłem bardzo dużo sera i masła. Ale z naszym gospodarzem starszym p. Franciszkiem nie byłem w stanie zużyć ogromnych ilości mleka od kilku mlecznych krów. Poza normalną paszą na łące podrzucałem krówkom liści z buraka cukrowego. Mama była zdziwiona wzrostem mleczności krów. Obróbki serów nauczyłem się od mamusi. Podsuszałem je w piekarniku. Lekko zażółcone serki, niezwykle smakowite uważałem za delikcję. O kształcie owalnym, wielkości dużego talerza i płaskie, smakowo mogły uchodzić za tak zwane łowickie oscypki. Nauczyłem później moją żonę Marysię produkcji sera łowickiego. Raczmy nimi nawet naszych przyjaciół i gości.

Od początku szóstego roku studiów pracowałem jako asystent naukowo techniczny w Zakładzie Chemii Fizjologicznej Akademii Medycznej w Warszawie. Ciągłe mnie dopingowała do pracy naukowej moja szefowa p. dr Teresa Szymczyk. Prowadziłem równocześnie zajęcia ze studentami dwóch grup studenckich i miałem obowiązek zdania dwunastu egzaminów dyplomowych. Ponadto pracowałem naukowo pod okiem znakomitej p. prof. Konstancji Raczyńskiej – Bojanowskiej. Prace enzymologiczne mnie zupełnie oczarowały Czasami doświadczenia wykonywałem nawet przez całą noc. Badaliśmy przemiany w mięśniach patyczaka – wilczomleczka. Wilczomleczki odżywiane były sałatą. Niemiłosiernie parzyły i uczuły, lecz to nie zmniejszało wcale zapału do badań. Panią profesor interesowały również procesy zachodzące w wątrobie w różnych warunkach doświadczalnych. Biochemia mnie zafascynowała. Bardzo polubiłem p. doc. Ludmiłę Szarkowską. Pracowaliśmy w różnych zespołach badawczych, lecz zbliżyła nas wspólna tematyka i dyskusje podczas pracy w pokoju aparaturowym.

Ze studentami miałem tylko jeden raz kłopot, gdy w dniu święta kobiet odłożyłem pytanie całej grupy pediatrycznej zdominowanej przez studentki. Na drugich zajęciach posypały się dwó-

je, ponieważ grupa kompletnie nie była przygotowana. Po tym pogromie stosunki się unormowały. Grupa bardzo ładnie poradziła sobie z egzaminem. Nawet w innej grupie repetenckiej 2/3 moich podopiecznych zdało egzamin z biochemii..

Ze względu na zajęcia na uczelni nie miałem czasu szybko zaliczać egzaminów dyplomowych. Wówczas zdawaliśmy egzaminy ustne i ewentualnie praktyczne w niektórych klinikach. Uzyskane wyniki wskazywały raczej na średnie przygotowanie. Udało mi się tylko zyskać pochwałę u p. doc. Wardaszko na egzaminie z psychiatrii i na okulistyce u p. prof. Melanowskiego. Medycynę sądową, jak zresztą wszyscy, zaliczałem na końcu jako dwunasty egzamin. Panował nakaz zdawania kolejnego egzaminu po zaliczeniu poprzedniego. Niektórzy studenci u p. prof. Grzywo-Dąbrowskiego powtarzali ten egzamin nawet dwanaście razy. Tutaj należało utworzyć trójosobową grupę. Opuścili mnie wtedy po egzaminie z okulistyki moje najlepsze przyjaciółki Lucyna i Danusia. Spotkałem przypadkowo koleżankę Lidkę Borowską, z którą przez dwa lata byliśmy w jednej grupie. Była dobrą studentką. Z Irmą Łęczycką poszukiwała trzeciej osoby do zdawania. Szczęśliwie za pierwszym podejściem zdaliśmy zupełnie przyzwolcie tę straszną sądówkę. Jakaż to była radość ze zdania ostatniego egzaminu!



96. Mietek Śmiałek – absolwent Wydziału Lekarskiego A.M. w Warszawie

Mogliśmy już tylko po wakacjach zaliczać staże przeddyplomowe z interny, pediatrii, chirurgii i ginekologii z położnictwem. Ukończyłem ośmiosestralną naukę w English Language College języka angielskiego u metodystów, toteż dość swobodnie czytałem literaturę zachodnią. Zaciekały mnie artykuły prof. Holgera Hydena ze Szwecji na temat badań oddychania izolowanych neuronów. Zafascynował mnie układ nerwowy i myślałem tylko o poznaniu właściwości metabolizmu komórkowego różnych funkcjonalnie struktur układu nerwowego. Wymyśliłem nawet dla siebie pracę w wirtualnym instytucie komórki nerwowej. Rano musiałem przebywać w klinikach, a po południu ustawiono mi harmonogram zajęć ze studentami. Ponadto miałem mniejszy zakres prac doświadczalnych. Ponieważ Ministerstwo Zdrowia opłacało staż dyplomowy studentów, w zakładzie pracowałem jako wolontariusz. Biochemia to bardzo ciężki przedmiot dla medyków. Cieszy mnie, że wśród moich podopiecznych są obecnie profesorowie. Praca w Zakładzie prowadzonym przez p. prof. Józefa Hellera wychowanka prof. Parnasa wydawała się zaszczytem. Grupa naukowców, z którą pracował prof. Parnas po wojnie otrzymała nagrodę Nobla za prowadzone badania nad oddychaniem komórkowym. Jeden ze szlaków przemian przyjął nazwę Meyerhofa – Embdena – Parnasa. Podobno największe zasługi w tych badaniach miał profesor Parnas. Niestety nasz wielki uczyony po zesłaniu na Sybir do Ufy a następnie po stworzeniu w Moskwie szkoły biochemii został zamordowany na Łubiance przez władze KGB. W Zakładzie Chemii Fizjologicznej zdecydowałem się na zajęcie się problematyką związaną z procesami przemian w komórce nerwowej. Stwierdziłem, że powinienem znaleźć pracę w wymyślonym przeze mnie „Instytucie Komórki Nerwowej”. Wywoływało to wiele żartów wśród moich kolegów. Należało podjąć poważną decyzję. Stwierdziłem ostatecznie, że w zakładzie nie będę mógł zająć się badaniem układu nerwowego. Doktorat zwykle uzyskiwało się w Zakładzie Chemii Fizjologicznej po ponad dziesięcioletniej pracy. Zarobki były niskie.

Tymczasem nie miałem meldunku w zamkniętej wówczas Warszawie, a za wynajęcie mieszkania zapłaciłbym około 1/3 pensji. Zdecydowałem się na odejście z zakładu. Tłumaczyłem kierownictwu, że powrócę po odbyciu trzynastomiesięcznego stażu podyplomowego, czyli praktycznie po ósmym roku studiów. Spotkał mnie wielki zaszczyt podczas stażu przeddyplomowego na położnictwie w klinice p. prof. Bulskiego. Profesor zaproponował mi asystenturę w jego klinice. Myślę, że wystawił mi dobrą opinię p.doc. Marzinek. Rodzące, którymi się opiekowałem mniej cierpiały przy prowadzeniu tak zwanego porodu bezbolesnego. Nawet pytały pacjentki, czy nie jestem doktorem Rzucidło, który miał sławę znakomitości w tej dziedzinie. Ponadto pewnego razu, kiedy prowadziłem poród pośladowy, udało mi się odwrócić główkę dziecka, kiedy p. prof. Bulski mył się do cesarskiego cięcia z powodu braku postępu w porodzie. Niestety wówczas miałem inne plany. Wytłumaczyłem się asystenturą u p. prof. Hellera. P. profesor Tadeusz Bulski zaskoczył mnie, gdy oznajmił, że nie wyobraża sobie mnie poza kliniką. Ta propozycja miała miejsce podczas podróży do Ciechocinka, gdzie prof. Bulski prowadził w sanatorium Pomorzanka klinikę leczenia bezpłodności. Pan Profesor miał w zwyczaju zabierać ze sobą studentów. Tym razem pojechały poza mną Sylwia Szymańska i Teresa Jasińska. Jazda pięknym autem profesora była bardzo przyjemna. Lecz na zakręcie pod Nieszawą stoczyliśmy się do rowu. O tym wydarzeniu na prośbę prof. Bulskiego nie mówiliśmy aż do jego śmierci. Otarcie prawego boku karoserii było bardzo mało widoczne. Z rowu pomogli wyciągnąć nas przechodnie.

Staszek Strómiłło i Stefan Mrówczyński wyjechali na staże podyplomowe do szpitala w Aleksandrowie Kujawskim po uzyskaniu dyplomów lekarza medycyny. Na początek dałem im klucze do mojego mieszkania w Ciechocinku. Później uzyskali pokoje służbowe na terenie szpitala. Dostałem od nich zaproszenie, abym przyjechał w sobotę do Ciechocinka i koniecznie wpadł do nich po drodze, oraz abym rano w niedzielę ich znów odwiedził. Połączenie kolejowe było znakomite. Tylko 15 minut i znalazłem się znów w Aleksandrowie Kujawskim. Pogoda była nieciekawa. Mżył deszczyk, a oni zaproponowali mi spacer przez las do Ciechocinka. Była wraz z nimi również Marysia Pasterówna. Opierałem się długo. Czas leciał i wreszcie się poddałem. Przed Urzędem Stanu Cywilnego zatrzymali się i otworzyli drzwi główne. Zobaczyłem na schodach na piętrze ubranego urzędnika. Zaprosił nas, abyśmy szybko wchodzili, ponieważ jesteśmy spóźnieni. Zostałem w ten sposób świadkiem ogłoszonego na Przechybie ślubu Marysi i Staszka. Po ceremonii powróciliśmy do ich mieszkania. Opróżniliśmy butelkę czerwonego wina. Wyśpiewałem piosenkę z ogniska na Przechybie i powróciłem do Warszawy z dowodem osobistym, który mi wyciągnęli podstępnie podczas sobotniej u nich wizyty. Po uzyskaniu dyplomu Staszek z Marysią wzięli uroczysty ślub w kościele w Cisnej w Bieszczadach. Jak mi powiedzieli pierwszymi ich zakupami był magnetofon, a następnie tapczan. Mama Staszka ganiła kupno magnetofonu. Radziła praktycznie zakup szafy.

Jeszcze w wakacje po uzyskaniu dyplomu lekarza 09.06.1962 roku przyznano mi w ZSP przy ul. Oczki wycieczkę do Kijowa i do Moskwy. Kijów uznałem za piękne miasto. Szczególnie wspaniała była kąpiel w Dnieprze, przejazdy łodzią i plażowanie. Studenci poprosili naszego ukraińskiego kolegę przewodnika o obejrzenie tzw. złotej bramy króla Bolesława. Brama z czerwonej cegły miała wmurowaną tablicę z napisem z 1948 roku w języku pewnie rosyjskim. „W trzechsetną rocznicę uwolnienia od polsko-szlacheckich najeźdźców”. Nasz przewodnik przetłumaczył nam to bardziej łagodnie. Zachwyciły nas plaże i piękny, szeroki Dniepr. Kijów tonał w zieleni, a z nad brzegu Dniepru błyszczały kopuły soboru św. Zofii i cerkiewek. Słuchając kołchoźnika w domu studenckim stwierdziłem, że znakomicie rozumiem rosyjski. Okazało się, że był to język ukraiński. Nie chcieliśmy wyjeżdżać z uroczego Kijowa do Moskwy. Moskwa robiła przygnębiające wrażenie i okazała się męcząca. Z akademika jechaliśmy trolejbussem, autobusem, tramwajem i wreszcie znakomitym metrem. To ogromne miasto miało obdrapane fasady domów, ale centrum i Kreml prezentowały się świetnie. Na szczęście nie staliśmy do mauzoleum Lenina w długiej kolejce przez dwie godziny, lecz wpuszczono nas jako innostrajców do około dwukilometrowej kolejki już na placu Czerwonym. Kreml z czerwonymi

murami obronnymi z cegły i budowlami sakralnymi jak z porcelany oraz z nowoczesną architekturą domu zjazdów nie robił wrażenia jednolitej kompozycji architektonicznej z miastem. Zachwylił mnie skarbiec, gdzie przedmioty srebrne liczone w tonach, złote w setkach kilogramów. W sukni carycy Katarzyny Wielkiej znajdowało się takie mnóstwo szlachetnych kamieni, że trudno je było policzyć. Na spotkaniu ze studentami radzieckimi gorszyliśmy ich tańcem rock and roll. Na parkiecie bawiła się tylko grupa polska i nasz ukraiński przewodnik. Słabo się prezentował w tańcu, ale usiłował robić dobre wrażenie. Pozostali studenci tylko patrzyli. Wracaliśmy z gitarami, toteż radośnie było w wagonie kolejowym. Dobrze było także sprzedać coś z własnej garderoby np. dżinsowe spodnie i kupić aparat fotograficzny Zorkij.

Po powrocie postarałem się o pracę. Mój kolega asystent w Zakładzie Chemii Ogólnej AM. dr Ireneusz Janczarski polecił mnie swojemu koledze p. dr. Gradowi, neurologowi pracującemu w Ministerstwie Zdrowia. Byłem zadowolony z perspektyw badawczych. Przy Szpitalu Neurologicznym przy ul. Dolnej znajdowało się laboratorium badawcze zlokalizowane przy ul. Puławskiej, pracujące na funduszach amerykańskich. Podpisałem nawet kontrakt. Tymczasem zamiast pracy w tym laboratorium zaproponowano mi klinikę Psychiatrii w Tworkach z dojazdem kolejką EKD. Natychmiast się tam udałem. Na szczęście p. profesor Jus miał gościa zagranicznego. Gdy popatrzyłem na snujących się po korytarzu chorych, powróciłem bez rozmowy do Warszawy. Mój przyjaciel psycholog jezuita o. Ryszard Przymusiński zarzucił mi niedojrzałość, ponieważ brakuje mi logiki w myśleniu i stanowczości w decyzjach. Po ugryzieniu podczas wakacyjnej praktyki klinicznej w Aleksandrowie Kujawskim przez chorego w psychozie pooperacyjnej nie chciałem mieć nic wspólnego z psychiatrią. Nie byłem tchórzem, ale psychiatria to nie była dla mnie. Stryj ks. Bolesław radził mi, abym pojechał do Kutna i tam pracował i zarabiał. Uznałem to za wyraz zupełnego niezrozumienia. Uważałem, że moim obowiązkiem po dwóch fakultetach i po praktyce w zakresie badań biochemicznych jest zrobienie czegoś wielkiego i nowego w dziedzinie neurologii. Ciągle myślałem o tych badaniach naukowców szwedzkich. Nie chciałem zaraz po wakacjach wyprowadzić się z Warszawy. Postanowiłem pracować na razie jako farmaceuta, których odczuwano brak w stolicy i poszukiwać pracy właściwej. Udałem się po raz kolejny do mojego kolegi z wojska mgr Bolesława Piaseckiego dyrektora Centrali Aptek Społecznych w Warszawie, aby jak poprzednio podczas wakacji dał mi etat apteczny. Konieczny był stały meldunek warszawski. Panie w kadrach mnie pamiętały i wiedziały, że jestem przyjacielem dyrektora, wobec tego podpisałem angaż z obietnicą, że wkrótce przedstawię stały meldunek. Po trzech miesiącach złożyłem wniosek o stałe zameldowanie z powodu deficytu fachowców w branży farmaceutycznej. Dyrekcja mnie poparła. Oddałem kwaterek mieszkanie w Ciechocinku, a w stolicy przygarnęła mnie przyjazna p. Eufemia Ignatczak na Targówku Przemysłowym. Jak mi obiecała po opiece nad nią w Ciechocinku, pozwoliła mi się zameldować na stałe u siebie w Warszawie. Z akademika przenieśliem się do pani Eufemii na Targówek jako stały mieszkaniec. Zamieszkałem tym razem w domu p. Eufemii Ignatczak przy ulicy Szklanej 12. W moim pokoju chodziłem po pięknym parkiecie przeniesionym po remoncie z komnat zamku królewskiego w Warszawie. Tutaj ciągle odczuwałem atmosferę przedwojennej Polski. Przez dwa tygodnie ukrywał się w tym pokoju marszałek Edward Rydz – Śmigły po powrocie do kraju. Dowódca Armii Krajowej na Targówku Fabrycznym p. Józef Czarnecki umieścił marszałka w małym domku swojej siostry Eufemii. Pan Józef opowiadał mi, że marszałek zmieniał miejsce pobytu co dwa tygodnie do czasu, kiedy zamieszkał przy ul. Wilczej. W tym domu o piętro wyżej prawdopodobnie przebywał szpieg radziecki. Marszałek po pewnym czasie poważnie zachorował jakoby na niewydolność nerek, zmarł i został pochowany na Starych Powązkach. P. Józef Czarnecki i jego córka Emilia Wierzbicka opowiedzieli mi o infiltracji szpiegów radzieckich podczas powstania warszawskiego. W dzielnicy Praga na Targówku powstanie trwało tylko kilka dni. Do oddziału p. Józefa Czarneckiego dołączył Polak, 24-letni młodzieniec. Po zawieszeniu walk, broń schowano w komórce wdowy po poległym mężu siostrzenicy p. Józefa a młodą kobietą przygarnęła rodzina p. Józefa w domu przy ul. Księcia Ziemowita 22. Po przerwaniu przez wojska radzieckie i polskie linii obrony na Wiśle dnia 17

stycznia 1945 roku młody człowiek zamieszkał w Warszawie przy ul. Staszica 5 i odwiedzał często pp. Czarneckich. Pewnego razu, kiedy odprowadzał brata p. Jadwigi Czarneckiej na dworzec Wileński, nagle jej brat został aresztowany przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Po trzech tygodniach nieobecności brata p. Jadwigi zaaresztowano także p. Józefa i jego dorosłe dzieci Emilię i Zdzisława. Trafiono też do skrytki broni. Pewnego razu, kiedy przeprowadzano przez podwórko aresztu UB brata p. Jadwigi, ten rozpoznał w elegancko ubranym młodym człowieku, wsiadającym do służbowego samochodu, owego przygarniętego przez nich 24-letniego młodzieńca. Jak się okazało, był to okrutny funkcjonariusz SB. Zlikwidowano zdrajcę – targowiczana po odczytaniu wyroku na klatce schodowej domu przy ul. Staszica 5. Rodzina Czarneckich otrzymała wyrok 9 lat więzienia. Opowiadano, że w przypadku wyroku dziesięcioletniego czekałaby ich katorga w kopalniach ZSRR jak innych współwięźniów.

W aptece Nr 5 przy ulicy Targowej 56 tuż przy bazarze Różyckiego za pracę przy drugim stole i dyżury otrzymałem o tysiąc złotych wyższą pensję niż w Akademii Medycznej. Mogłem pozwolić sobie na poszukiwanie pracy w jakimś wirtualnym instytucie komórki nerwowej. W aptece panowała rodzinna atmosfera głównie dzięki naszemu kierownictwu, pani mgr Jadwidze Ingling i zastępczyni szefowej mgr Hannie Szawłowskiej. Personel był uroczy choć zapracowany. Apteka miała niesamowity ruch. Posiadała poszerzony asortyment leków zagranicznych. Trzy stoiska za pierwszym stołem i dwa albo trzy za drugim miały pełne ręce roboty. Pani Julia Jackowska pochodząca z Kijowa, prowizor farmaceutyczny, czasami pomagała mi przy trudnych receptach, wymagających doświadczenia. Po pewnym czasie przysłano nam nową magister farmacji, która pracowała za pierwszym stołem. Był to najbardziej wydajny pracownik w tych trudnych warunkach. Jednak po trzech miesiącach okazało się, że spod pierwszego stołu wypijała buteleczki spirytusu salicylowego, a następnie koleżance mojej z łoża mokrej 96% spirytus. Wreszcie, gdy brała nalewkę z mięty i rozbiła z trzaskiem wagę a przedtem potłukła półkilogramowy sól pyralginy, stwierdziliśmy, że jest kompletnie pijana. Nie została ukarana, ale przeniesiono ją do innej apteki, gdzie nie wykonywano recept złożonych. Pewnego razu podczas kontrolnej wizyty w aptece zabrano do badania recepty wykonane przez farmaceutów drugiego stołu. Bardzo się ucieszyłem, gdy kierownictwo otrzymało wyniki badań. Tylko analiza mojego leku nie wykazała nieprawidłowości.

Dwie moje najbliższe koleżanki ze studiów dr Lucynka Brzywczy i dr Daniela Sęk powiadomiły mnie, że p. prof. Ksawery Rowiński zajmuje się w PKiN sprawą stypendiów naukowych. Dowiedziały się, że jest jedno stypendium w Zakładzie Neuropatologii PAN. Sekretarka p. prof. Rowińskiego pani Zofia Przybyłowska skierowała mnie na rozmowę z p. prof. Ewą Osetowską, kierownikiem Zakładu. Po rozmowie natychmiast zostałem 01.04.1963 roku zatrudniony próbnie w ramach ½ etatu na tzw. amerykańskiej umowie zbożowej w powstającej Pracowni Hodowli Tkanek, zlokalizowanej w Instytucie Biologii PAN im. Marcelego Nenckiego w Warszawie. Ponieważ praca w aptece była dwuzmianowa, pozwolono mi działać w instytucie rano i po południu w zależności od czasu pracy w aptece. Ustalono plan mojego szkolenia w zakresie neuropatologii. Dr. Krysia Wiśniewska przerabiała ze mną powtórzenie anatomii układu nerwowego, a mój bezpośredni szef dr Mirosław Mossakowski kierownik Pracowni Hodowli Tkanek Zakładu Neuropatologii, morfologię i fizjologię. Oboje byli dla mnie bardzo serdeczni. Dr Mossakowski miał nadzieję, że uruchomię mu pracownię, będącą już od ponad roku in statu nascendi. Miałem szczęście uzyskać zatrudnienie w tej znakomitej placówce naukowej, ponieważ asystentka p. dr Zuzanna Kraśnicka wyjeżdżała na stypendium do pracowni hodowli tkanek u p. prof. Loeventhala w Liege w Belgii. Pani Przybyłowska szybko, bo po 17-tu dniach od rozpoczęcia mojej pracy zawiadomiła mnie o kolokwium kwalifikującym na studia doktoranckie. Powiadomiłem mojego szefa o terminie kolokwium i rano udałem się na ul. Jazgarzewską do Zakładu Medycyny Pracy p. prof. Misiuro. Zgłoszono wielu kandydatów na siedem przydzielonych dla PAN stypendiów doktoranckich. Komisji przewodniczył p. prof. Misiuro mój były wykładowca neurofizjologii. W komisji zasiadał także mój egzaminator z zakresu patofizjologii doc. Semerau-Siemianowski i prof. Włodzimierz Bicz, biochemik, kierownik Pracowni Neuro-

chemii Zakładu Patologii PAN. Urodziłem się zapewne w czepku, bo egzaminował mnie tylko prof. Bicz z przedmiotu, który lubiłem i nawet prowadziłem przez dwa lata zajęcia ze studentami. Komisja nie знаła mojego życiorysu, ponieważ p. Przybyłowska wbrew przyjętemu porządkowi wysłała druk mojej ankiety tylko z moim imieniem i nazwiskiem oraz dopiskiem - „kandydat do stypendium doktoranckiego u p. prof. Ewy Osetowskiej”. Konieczne były poza tym dwie opinie profesorów. Ucieszyłem się, gdy po ukończeniu prac komisji ogłoszono, że uzyskałem upragnione stypendium. Radośnie powróciłem do zakładu.

Okazało się, że mój szef p. dr Mossakowski nie zawiadomił p. prof. Osetowskiej o tym kolokwium. Nie było mnie od rana w Zakładzie. Pani profesor bezpośrednio po godzinie ósmej codziennie sprawdzała listę obecności. Po powrocie przeżyłem chwilę złego humoru p. profesor Ewy Osetowskiej. Zwymyślała nie tylko mnie. Zadzwoiła wzburzona do p. Przybyłowskiej. Zrozumiałem dopiero ostrzeżenie p. Przybyłowskiej podczas pierwszego z nią spotkania, czy aby znieść cierpliwie cztery lata okresu stypendialnego, ze względu na silną osobowość szefowej. Mimo niezwyklej delikatności władz moich w Zakładzie Chemii Fizjologicznej AM w Warszawie poznałem już nieźle zawiłości życia i współżycia w środowisku naukowym. Odpowiedziałem wówczas ogarnięty pasją badań nad układem nerwowym, że jestem skłonny przesiedzieć te cztery lata na brzytwie. Po wytłumaczeniu, darowała mi prof. Osetowska nie zawnione przeze mnie spóźnienie tylko z powodu zdania kolokwium. Tłumaczyłem, że w poprzednim moim miejscu pracy panował zwyczaj załatwiania wszelkich spraw asystenckich drogą służbową przez bezpośredniego szefa. Po chwili zatelefonowała do mnie zapłakana p. Przybyłowska. Prosiła mnie o dostarczenie jej jednej opinii profesora. Pani prof. Osetowska obiecała jej przekazać niezbędną drugą zgodnie z obowiązującymi przepisami. Znalazłem się w trudnej sytuacji. Całą operację zmiany miejsca pracy prowadziłem w tajemnicy. Nie mogłem poprosić o opinię ani p. prof. Hellera, ani p. prof. Mochnackiej, ponieważ miałem tam powrócić na etat po odbyciu obowiązkowych staży. Wiedziałem, że mój p. prof. Adam Czartkowski z AM. w Łodzi napisał mi pozytywną opinię dla AM w Warszawie zaznaczając, że jestem dobrym materiałem na pracownika naukowego. Włączenie tej opinii do dokumentów po kolokwium okazało się wystarczające. Po tym wydarzeniu uradowana p. Zofia Przybyłowska (ze znanej rodziny Ernstów ze Lwowa) stała się dla mnie kochającą cicią. Później nawet mówiła, że jest moją drugą matką. Sama straciła jedyne go syna. Znalazłem się w gronie znakomitych naukowców ze szkoły twórcy neuropatologii, neurologa prof. Adama Opalskiego, który wkrótce po rozpoczęciu przeze mnie pracy w zakładzie zmarł po przebytych szóstym udarze mózgu.

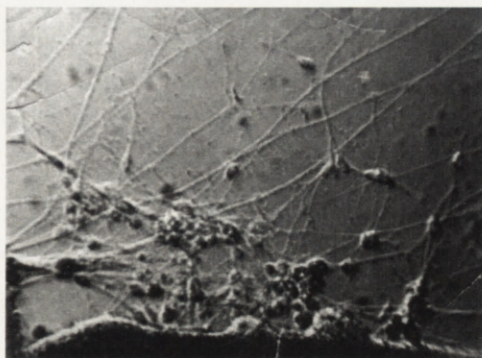


97. Prof. Adam Opalski, twórca neuropatologii polskiej

Niewiele brakowało, a w drodze na pogrzeb zginęłaby cała śmietanka neuropatologii polskiej: prof. Ewa Osetowska, docent Henryk Wiśniewski, dr Mirosław Mossakowski i kierowca dr Krysia Wiśniewska. Prowadząca nowego „garbusa” Krysia wjechała tuż przed tramwaj. Uratował wszystkich refleks motorniczego tramwaju.

W związku z tak szybkim załatwieniem mojej pracy w Zakładzie Neuropatologii wystąpiły problemy. Już w styczniu tego roku jako dobrze zarabiający farmaceuta opłaciłem dwutygo-

dniową wycieczkę do NRD w miesiącu sierpniu. Na razie nie byłem zdecydowany, jak rozwiązać to trudne zagadnienie w nowych warunkach pracy. W dalszym ciągu uczyłem się, lecz ciągle czułem się winny, że nie powiadomiłem o moich planach wyjazdowych. Nie byłem przecież pewny, czy otrzymam paszport. Skończyłem wreszcie powtórkę materiału z anatomii układu nerwowego. Postanowiłem porozmawiać z przyjaznym mi p. prof. Mossakowskim. Obiecałem odrobić z nawiązką moją nieobecność w ciągu następnych dwóch tygodni urlopem w aptece. Szef mój zaskoczył mnie. Pewnego dnia, gdy miałem wiele pracy doświadczałnej oznajmił, że za trzy godziny będę miał egzamin praktyczny i ustny z anatomii układu nerwowego. Zasiadła wysoka komisja; p. prof. Osetowska, dr Mossakowski i dr Wiśniewska. Pokroiliśmy zdobyte przez dr Mossakowskiego mózgowie. Pani prof. Osetowska przepytła mnie dokładnie ze struktur układu nerwowego i oceniła pozytywnie. Odpowiadałem bezbłędnie. Po kilku godzinach pracy w ciepłym boksie czułem zmęczenie. Sprawdzano moją przydatność jako adepta neuropatologii. Uzyskałem nawet po egzaminie zgodę p. profesor na wycieczkę do NRD. Wkrótce mój szef zachorował nagle na zapalenie wyrostka robaczkowego. Pozostałem sam z laborantką p. Kasią Kulon. Odwiedzałem go codziennie w klinice przy ul. Jotejki. Zanosilem w termosie lód, ponieważ okazało się, że nastąpiła jakaś komplikacja po operacji zapalenia wyrostka robaczkowego. Mieliśmy zaawansowane już prace przy uruchomieniu hodowli gleju na podłożu plazmy z krwi koguta. Hodowle prowadziłem z moją pomocą, laborantką p. Kasią Kulon. Ale niestety następowała retrakcja skrzepu. P. dr Mossakowski polecił mi przygotowanie kolagenu z włókien ogonów szczurzych. Codziennie odwiedzałem szefa i informowałem o wynikach pracy. Pobyt jego w szpitalu przedłużył się. Następnie wyjechał na miesięczny urlop do Juraty. W tym czasie usilnie starałem się uruchomić hodowlę. Postarałem się od dr. Grabca z Zakładu Mikrobiologii PAN o lampę bakteriobójczą. Wspólnie z p. Kasią pracowaliśmy, aby uruchomić wreszcie hodowlę gleju. Potrzebne już były tylko dziewięciodniowe noworodki szczura i medium inkubacyjne. W tym czasie rozrosły nam się piękne komórki glejowe, a nawet przeżyły śliczne neurony z mózgowia szczura w specjalnym medium hodowlanym. Budziło to wielkie zainteresowanie w Zakładzie, ponieważ w tym czasie eksperymenty wykonywane na materiale biologicznym metodą *in vitro in vivo* były nowością. Wszyscy w zakładzie dowiedzieli się o tym wydarzeniu a nawet ujrzeli pod mikroskopem rosnące komórki glejowe. Radość krótko trwała. Okazało się, że hodowle zginęły w przegrzanej z niewiadomych przyczyn cieplarnie. Nie zdążyliśmy wykonać zdjęć, chociaż w sąsiedztwie mieliśmy p. Marię Korobowicz, fotografa zakładowego. Pani Maria nauczyła nas po tym przykrym wydarzeniu, aby głosić, że rozrasta się w hodowlach tylko tkanka łączna. Przygotowaliśmy nowe hodowle. Rozrósł się nie tylko glej, ale nawet przetrwały śliczne neurony. Nasza znakomita fotograf wykonała piękne zdjęcia historycznych uzyskanych drugich hodowli. Wysłaliśmy zdjęcia do Juraty dopiero pod koniec urlopu szefa. Pani Maria znając dr Mossakowskiego twierdziła, że po naszym liście natychmiast przyjedzie. Rzeczywiście skrócił sobie pobyt nad morzem o kilka dni po naszej przesyłce. Praca nad hodowlą gleju szła już pełną parą, gdy powróciła dr Zuzanna Kraśnicka z Belgii. Przywiozła z tamtejszej pracowni jeszcze nowe techniki hodowli z oszczędzeniem objętości medium hodowlanego.



98. Pierwsza hodowla gleju w Zakładzie Neuropatologii PAN w Warszawie

Tymczasem od listopada 1963 roku uzyskałem formalnie stypendium doktoranckie. Byłem zmuszony zgodnie z przepisami zwolnić się z pracy w aptece i z ½ etatu w Pracowni Hodowli Tkanek. Rozpocząłem doświadczenia wstępne do mojej pracy doktorskiej. Podczas przygotowania do doktoratu było niezbędne odbycie w ciągu dwóch lat czterech dwutygodniowych kursów matematyki wyższej w pałacu w Jabłonie. Ponadto pracownicy naukowcy mogli uczęszczać na naukę dwóch języków obcych w każdym roku. Pogłębiałem znajomość języka angielskiego i niemieckiego oraz uczyłem się francuskiego i hiszpańskiego. Zaliczyłem także dwie letnie szkoły językowe, dla zaawansowanych w angielskim i hiszpańskim.



99. Szkoła letnia j. hiszpańskiego w Jarosławcu – lektorka p. Irma Gonzalez-Trzcńska

Pracownia nasza stała się najbardziej nowoczesną w ówczesnym stadium rozwoju naszego Zakładu. Ponadto byliśmy sympatycznym i życzliwym zespołem. Duży wkład wniosła w atmosferę pracy Zuzanna. P. dr Mossakowski niewiele nam pomagał. Szkolił mnie tylko pilnie z histopatologii układu nerwowego i wiele godzin przesiadywał w PKiN, gdzie pełnił funkcję I sekretarza PZPR PAN. Pani prof. Osetowska, niezwykle utalentowany naukowiec, wynosiła neuropatologię polską na forum europejskie, a nawet światowe.

Powrócił z USA doc. Henryk Wiśniewski z nowymi pomysłami. Po sukcesie z hodowlą gleju zaproponowała mi szefowa zorganizowanie pracowni biochemicznej w zespole neuropatologii doświadczalnej doc. Wiśniewskiego. Twierdziła, że nasz zespół hodowlany jest po powrocie Zuzanny zbyt silny, a Zakład musi rozwijać się wszechstronnie. Możliwość odejścia z pracowni hodowli tkanek bardzo mnie zasmuciła. Kochałem biochemię i naszą małą rodzinę hodowlaną. Myślałem, że już do końca życia pozostanę w tej pracowni. Szefowa obiecała mi, że podobnie jak dr Zuzanna Kraśnicka wyjadę do Liege. Rozpocząłem nawet prywatne lekcje francuskiego u uroczej pani Nancy Mordasewicz, Belgijki, nauczycielki szkół średnich w Warszawie. Miłe to były zajęcia. Przeciągnęły się nawet do dwóch lat, mimo braku nadziei na stypendium u p. prof. Loeventhala w Liege. Życzenie p. prof. Osetowskiej zawsze trzeba było traktować jak rozkaz. Przypuszczam, że mój szef dr M. J. Mossakowski już wcześniej uzgodnił moje odejście z ukochanej Pracowni Hodowli Tkanek. Nagle przestał mnie szkolić z zakresu neuropatologii. Później potraktował nawet moje przejście jako zdradę. Wszyscy wiedzieli jednak, że p. prof. Osetowskiej nikt nie odważyłby się sprzeciwić. Niestety tak samo jak w Zakładzie Chemii Fizjologicznej AM trafiłem do zespołu nie kochanego przez kierownictwo. Po konsultacji z p. Marią Korobowiczową, która dobrze знаła mechanizmy działające w Zakładzie Neuropatologii, (a ja miałem już pewne doświadczenie, jeżeli chodzi o przedmiotowe traktowanie personelu) z wielkim żalem przenieśliśmy się z ukochanych ciasnych piwnicznych pomieszczeń na drugie piętro Instytutu Biologii Doświadczalnej im. Marcelego Nenckiego.

Organizowałem Pracownię Biochemii. Pracę doktorską na temat zmian biochemicznych w gleju okołonaczyniowym w miążdżycy mózgu rozpocząłem od 1 grudnia 1963. Mózgi od zmarłych z miążdżycą otrzymywałem w szpitalu Przemienienia Pańskiego na Pradze. Badania histopatologiczne i histochemiczne wykonywałem w pracowni morfologicznej. Oznaczenia zmian biochemicznych aktywności enzymów oddechowych mózgu nie były dla mnie trudne po ilościowych badaniach aktywności wielu dehydrogenaz w Zakładzie Chemii Fizjologicznej. Biochemiczne prace doświadczalne początkowo wykonywałem w Pracowni p.doc. Ludmiły Szarkowskiej w Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. P. doc. Wiśniewski dzięki wstawiennictwu zaprzyjaźnionej ze mną podczas pracy w Akademii Medycznej doc. Szarkowskiej uzyskał na to zgodę p. prof. J. Hellera, który zrozumiał, że uzyskanie stypendium doktoranckiego w Zakładzie Neuropatologii było dla mnie szansą. Początkowo profesor nawoływał, abym wracał do macierzy. Wiedziałem po wstępnej rozmowie z p. doc. Szarkowską, że jednak mimo zdenerwowania profesor Heller nie odmówi. Cenił panią docent. Jesienią 1964 roku w ramach pocieszenia za anulowany wyjazd do Liege wysłano mnie do Budapesztu do szkoły Międzynarodowej Organizacji Badań Mózgu (IBRO). Był to dla mnie wspaniały kontakt z ze znanymi uczonymi z USA i poznanie nowoczesnych technik badawczych w zakresie przemian protein i oddychania komórkowego. Wykłady i zajęcia z kursantami mieli dr Janette Passoneau i dr Abel Lajtha. Pierwszy mój wyjazd za granicę, piękny Budapeszt i serdeczność Węgrów pozwalały na poznanie kawałka Europy. Organizator szkoły prof. Szentagothaj zorganizował wycieczki nad jezioro Balaton do Balaton Lelle i do Pecs, gdzie zobaczyliśmy katakumby z czasów rzymskich w podbitej Panonii. Ze mną wyjechał Andrzej Huszczuk z Zakładu Patologii PAN. Mieszkaliśmy w jednym pokoju. Andrzej opowiadał mi o stosunkach litewsko - polskich. Przed wojną urodził się w Wilnie. Przeżył upodlenie Polaków przez Litwinów, hitlerowców i sowietów. Po tzw. czwartym rozbiorze Polski przez nazistów i bolszewików Litwini stali się nieprzyjaźni nawet bardziej niż naziści i nie pozwalali mówić po polsku. Kiedy władze niemieckie przekazały Litwę „ pod opiekę „ ZSSR w ciągu kilku dni wywieziono na Sybir około 50 000 obywateli narodowości polskiej i zasiedlono miasto Litwinami. Najpierw zabrano dziadków, później rodziców Andrzeja. Rodzice wcześniej oddali Andrzeja i jego matkę siostrę Irenkę do zakonu, gdzie przebywała ich ciocia. Przed drugą wojną światową w Wilnie mieszkał nie cały jeden procent ludności narodowości litewskiej. Po pewnym czasie sowieci zaczęli systematycznie wysyłać na Sybir również Litwinów. Mowa polska stała się wówczas mile widziana. Zapomnieli pewnie sowieci o tajnym pakcie przyjaźni z Litwą podczas wojny bolszewicko-polskiej w 1920 roku. Na Litwinów czekało około 50 lat sowieckiego raju. Zakon, w którym przebywał Andrzej i jego siostra oparł się wywózce w głąb ZSRR do roku 1955 dzięki darom dla urzędników. W roku 1955 siostry zakonne zostały repatriowane do Siemianowic Śląskich. Dzieci pozostawione w Wilnie ściągnęła ciocia do Polski w roku 1956. Na szczęście dzieci przez cały czas uczyły się w zakonie. Andrzej szybko zdał w Polsce maturę i ukończył Wydział Sanitarny na Politechnice Warszawskiej. Później razem z siostrą pracował w naszym instytucie PAN.

Proponowana mi praca doktorska stanowiła kontynuację histopatologicznych obserwacji pracy doktorskiej Krysi Wiśniewskiej. Gdy uzyskałem bardzo ciekawe obrazy zmian histochemicznych nastąpił zwrot w moich badaniach. P. doc. Wiśniewski postanowił wspólnie z wynikami histopatologicznymi Krysi przesłać pracę na Sympozjum Histochemiczne w Kazimierzu n/Wisłą. Był to mój pierwszy taki poważny występ na zjeździe. Kilka dni przed sympozjum na posiedzeniu Stowarzyszenia Neuropatologów Polskich, które stworzyła przed dwoma laty p. prof. Osetowska, referowałem pracę na temat zmian ilościowych miedzi w mózgu w chorobie Wilsona i w encefalopatii wrotno układowej. Polecono napisać mi tę pracę do druku w naszym czasopiśmie. Wykonałem to zadanie. Praca, po przeczytaniu przez p. profesor Osetowską, została oddana do redakcji z autorami M. Śmiałek, T. Zalewska. Pan doc. Wiśniewski na kilka dni wyjechał na Śląsk i nie czytał pracy napisanej przeze mnie. Po powrocie poczuł się dotknięty, że pominięto w pracy nazwisko szefa. Wezwano mnie do pokoju pani profesor i zarzucano mi nie-

lojalność. Tego nie mogłem zrozumieć, ponieważ sama szefowa zdecydowała o natychmiastowym skierowaniu pracy do druku. Na stawiane mi zarzuty trzasnąłem drzwiami i wyszedłem. Było mi wszystko jedno czy ukończę doktorat czy też nie. Wówczas postanowiłem, że nie zostanę po doktoracie w Zakładzie Neuropatologii. Była to na pewno emocjonalna decyzja. Oczywiście cała sprawa przeszła, jakby nic się nie stało. Ostatecznie praca po roku została wydana z pierwszym autorem doc. Wiśniewskim, ze mną, doc. Szydłowską i Teresą Zalewską. To wydarzenie prawdopodobnie posłużyło do zmiany tematu mojej pracy doktorskiej. Pan docent Wiśniewski zaproponował mi nowy temat „Zmiany neurofibrylarne w mózgu królika w doświadczalnej encefalopatii aluminiowej” jako przyczynek do choroby Alzheimerera. Wówczas otępienie typu alzheimerowskiego wiązano z obecnością zmian włóknkowych w neuronie. Nie znano jeszcze wpływu beta amyloidu w demencji ani zmian genetycznych. Już wówczas po zgłębieniu wiedzy na temat oddychania komórkowego i ważnej roli przeciwutleniaczy pomyślałem o ich przydatności w profilaktyce tej choroby. Chociaż często jako doktorant odbywałem szkolenie w zakresie matematyki wyższej w pałacu w Jabłonie lub wyjeżdżałem na szkołę letnią nauki angielskiego w Świnoujściu i Władysławowie, praca moja posuwała się do przodu. Dodatkowo pani profesor obarczyła mnie funkcją prezesa koła ZNP przy naszym Zakładzie Neuropatologii i Zakładzie Hodowli Zwierząt Laboratoryjnych PAN w Łomnie - Las. Zakład Neuropatologii pod kierownictwem p. prof. Osetowskiej rozwijał się niezwykle dynamicznie. Mieliśmy pracownię w Instytucie Farmakologii PAN w Krakowie, gdzie działała doc. Hanna Szydłowska. Przeniesiono z ciasnej piwnicy z ul. Pasteura 3 Pracownię Hodowli Tkanek do Łomny. Kierowała tam zespołem doc. Zuzanna Kraśnicka. Ponadto tam znajdowała się hodowla zwierząt doświadczalnych Zakładu. W Zakładzie Radiologii AM. w Warszawie przy ul. Chałubińskiego 5 powstała Pracownia Izotopowa kierowana przez doc. Wiśniewskiego i bezpośrednio opiekującą się nią dr med. Irminę Zelman. W Zakładzie przy ul. Pasteura 3 w Warszawie działała Pracownia Neuropatologii Eksperymentalnej, kierowana przez doc. Wiśniewskiego i działających doktorantów, lek. med. Zbigniewa Rapa w części zabiegowej i lek. med. Mieczysława Śmiałka w pracowni biochemicznej. Dr med. Halina Kroh, neurochirurg rozpoczęła prace histochemiczne i badania guzów mózgu. Pani profesor Osetowska prowadziła efektywne badania nad zapaleniem mózgu. Opracowała w tym czasie endemiczne ognisko kleszczowego zapalenia mózgu z opisem szczepu Kłodobok w Polsce. Braлиśmy udział w licznych zjazdach krajowych i międzynarodowych oraz organizowaliśmy takie w kraju.



100. *Symposium Neuropatologiczne – prof. Maria Kobuszewska-Faryna i dr n .med. Mieczysław Śmiałek*

Pani profesor Osetowska stanowiła źródło największego napędu do pracy. Pilnie kontrolowała punktualne przybycia i efektywność wyników pracy. Wszystko musiało natychmiast być wykonane. Mówiliśmy, że trzeba tak działać jakby nowe polecenia należało realizować na wczoraj. Te wyniki cieszyły. Byliśmy dumni, że neuropatologia polska rośnie i jest jedną ze znaczących w Europie. Praktycznie znaleźliśmy się w czołówce europejskiej neuropatologicznej ekstraklasy. Dobre relacje zagraniczne stwarzały ciągle możliwości wyjazdu pracowników naukowych na długoterminowe staże, lub na krótkie zapoznania się z nowatorskimi technikami badań.

Zachwycony węgierskim Balatonem zorganizowałem dla pracowników i ich rodzin udaną wycieczkę namiotową do Balaton Fured w lecie roku 1965, po ciężkim przeżyciu jakim była śmierć mojego taty w marcu tego roku. Mój były szef doc. Mirosław J. Mossakowski przebywał w tym czasie w NIH w Bethesda, Md. USA. Wreszcie wiosną 1966 roku ukończyłem część doświadczalną pracy doktorskiej i oddałem do sprawdzenia najpierw pani profesor, a następnie p.doc. Wiśniewskiemu. W tym samym dniu, w którym praca została przyjęta, oświadczyłem się rodzicom mojej dziewczyny Marysi. Znajomość nasza trwała zaledwie niespełna trzy miesiące. Pojechaliśmy do Przetyczy, gdzie rodzice Marysi mieli działkę w Puszczy Białej. Zabrałem tylko butelkę szampana. Mój przyszły teść miał duże obawy co do trwałości naszego związku po dwumiesięcznej znajomości. Jednak od początku szczęście nam sprzyjało. Jako omen bonum odnaleźliśmy zgubiony w pociągu jeden klips Marysi. Szybko zorganizowaliśmy zaręczyny w domu jej rodziców. Ponieważ to były wakacje, zebrało się tylko kilka osób – moja mama, rodzice Marysi, matka chrzestna ciocia Celinka Biele, przyjaciółka Marysi od przedszkola dr Hania Ciecierska i my. O moim zamiarze ślubu nikogo nie powiadamiałem w Zakładzie, ponieważ przed rokiem wszyscy koledzy oczekiwali na mój ślub z inną kandydatką. Poznałem u mojej koleżanki jej kuzynkę, chemiczkę Basię. Znaleźliśmy wspólny język. Basia powróciła ze stypendium we Francji. Jednak niespodziewane, ekscytujące spotkanie z Marysią przerwało tę obiecującą znajomość. Organizowałem od stycznia 1966 roku nową zagraniczną wycieczkę związkową nad morze Czarne do Bułgarii i czterech stolic Europy, Sofii, Bukaresztu, Budapesztu i Pragi Czeskiej. Niespodziewanie w przeddzień mojego ślubu cywilnego poprosiłem panią profesor na tę uroczystość - w sobotę 27 sierpnia 1966 roku. o godzinie 10ej. Po złożeniu „kondolencji” pani profesor oznajmiła, że o godzinie 9-iej, w sobotę, jako sekretarz techniczny czasopisma *Neuropatologia Polska* z doc. Wiśniewskim redaktorem naukowym musimy się zgłosić do wydawnictwa. Nie było dyskusji. Krysia Wiśniewska na rozkaz szefowej własnym volkswagenem podwoziła nas najpierw do wydawnictwa a następnie do Urzędu Stanu Cywilnego na Pradze. Spóźniliśmy się na ślub, ponieważ musieliśmy jeszcze odebrać wiązankę z kwiaciarni dla panny młodej. Na szczęście czekający na parę młodą koleżanki i koledzy z Zakładu usprawiedliwili nas. Po prostu ślubowała najpierw następna para młoda. Skromne przyjęcie odbyło

się u rodziców Marysi przy ul. Otwockiej. Pani profesor nie podobał się wybór żony z ulicy Otwockiej, ponieważ sama rozeszła się z mężem, który mieszkał na tej ulicy.



101. Sozopol, bułgarskie Morze Czarne – od prawej Mietek Śmiałek, p. Wiesia Kazikowska, Danusia Tytułska, Teresa Zalewska, Basia Augustynowicz i p. Janka Żak

Moją przyszłą żonę spotkałem dość nieoczekiwanie. Byłem zmuszony po raz czwarty uzyskać meldunek na stałe u p. Eufemii. Spotkałem w biurze meldunkowym bratanicę p. Eufemii, p. Milę Wierzbicką. Gdy dowiedziała się o moim zamieszkaniu u jej cioci, zaprosiła mnie na kawę na godzinę 18.00 w piątek 13 maja na ulicę Piotra Skargi 13 m 3. Następnie szybko zadzwoniła do Marysi i zaprosiła ją na godzinę 18,30. Poznała ją u jej babci Kazimiery Falczyńskiej, która wróżąc z kart opowiadała zawsze o swojej wnuczce. U Mili Wierzbickiej uwierzyłem, że istnieje miłość od pierwszego wejrzenia. Zakochany napisałem wiersz.

PRZEZNACZENIE

Pragnąłem, abyś wyrosła wiosenną sasanką.

Długie oczekiwanie niesło tęsknotę.

W otwartych drzwiach ujrzałem żywy portret malowany w wyobraźni.

Twoje oczy nakazywały jak w hipnotycznym transie powtarzać -

Jestem twój. Jesteś moja.

Bez słów zrozumieliśmy nasze przeznaczenie.

Zakwitłaś we mnie majową, białą konwalia.



102. Dziadkowie Marysi – Kazimiera z Zembrzuskich i Edward małż. Falczyńscy po ślubie (foto z roku 1910)

Następnego dnia po ślubie cywilnym wyjechałem sam na zagraniczną wycieczkę zakładową do Bułgarii. Nie mogłem zabrać żony z powodu braku czasu na załatwianie wówczas wiz i in-

nych spraw wyjazdowych. Na tę wycieczkę pozwolono pracownikom zarobić przy malowaniu bud dla starczych psów, które badała p. Profesor w naszej filii w Łomnie Las. Zamówiłem wagony z kuszetkami do Warny, gdzie obejrzelśmy pomnik naszego króla, Władysława Warneńczyka. Następnie popłynęliśmy wodolotem do Sozopola, uroczego miasteczka nad morzem Czarnym. Dwa tygodnie kąpeli i opalania stanowiły wspaniały wypoczynek. Zwiedzaliśmy stary Neseber i promem docieraliśmy aż prawie do granicy tureckiej. Dużo słońca, ciepła woda, piękne plaże, brzoskwinie i winogrona pozwoliły nam znakomicie wypoczywać w gościnnych kwaterach prywatnych. Gospodarze to serdeczni ludzie, ale mimo podobieństwa języka trudno było się z nimi porozumieć. Nawet kiwanie głową na tak rozumieli jako nie. Zgodnie z planem, choć ze smutkiem, odjechaliśmy do Sofii, później do Bukaresztu, Budapesztu, Pragi, aby powrócić do Warszawy. Zatrzymywaliśmy się na 24 godziny w każdym kraju tranzytowym.



103. Ślub Marysi i Mietka pobłogosławiony przez stryja ks. prałata A. Bolesława Śmiałka-obecni po lewej o. ks. Ryszard Przymusiński, ks. Stefan Niedzielak, po prawej stoi ks. Szala

Piętnastego października 1966 roku wzięliśmy ślub w Bazylice pw. Najświętszego Serca Jezusa przy ulicy Kawęczyńskiej, róg ulicy Otwockiej. Podczas uroczystości ślubnej głównym celebrazem był mój stryjek ks. A. Bolesław Śmiałek, obok niego jego kolega seminaryjny ksiądz Stefan Niedzielak, zamordowany później w czasach ruchu solidarnościowego przez wiadomych, ale nigdy nie wykrytych sprawców, mój przyjaciel o. Ryszard Przymusiński i ksiądz Szala, katecheta Marysi.



104. W bazylice po ślubie Marii z Sobotków i Mieczysława Śmiałków – obok matka Marysi Henryka z Falczyńskich Sobotka.

Uczta weselna miała się odbyć w restauracji Bazyliżek na Starym Rynku. Z powodu awarii trakcji wodociągowej odbyła się w restauracji Sofia przy Placu Powstańców Warszawy. W tym nowoczesnym i dużym lokalu z ogromną salą balową goście bawili się znakomicie. Osoby starsze nie skarżyły się na brak świeżego powietrza. Cieszyłem się, że przybyła rodzina, moi rodzice chrzestni p. Maria Tarkowa i stryj Józek, choć był w żałobie po synu Janku, zmarłym na ziarnicę złośliwą, oraz przyjaciele. Stryj ksiądz Bolesław, poza srebrnym kompletem sztućców, w prezencie ślubnym podarował nam podróż poślubną do Krakowa i Zakopanego. W drodze do Zakopanego mieliśmy zamówiony apartament w Hotelu Orbis w Krakowie. W Zakopanem młody żonkoś pewnego dnia zatrzał się olszówkami podawanymi w lokalu na igłach świerkowych. Na szczęście dolegliwości szybko ustąpiły. Po powrocie zamieszkaliśmy w małym pokoiku u babci Marysi, Kazimiery Falczyńskiej, przy ul. Radzymińskiej 8, z oknami na ulicę Kawęczyńską.



105. Zdjęcie ślubne Marii i Mieczysława małż. Śmiałków

Marysia była wtedy nauczycielką fizyki w Technikum Samochodowym przy ulicy Targowej. Ponadto dorabiała do niewielkiej pensji korepetycjami. Wiele osób poszukiwało pomocy z chemii. Okazałem się bardzo dobrym korepetytorem ze znajomością chemii. Przed obroną prac

doktorskich zdałem razem ze Zbyszkim Rapem komisyjny egzamin z Neuropatologii. Ucieszyła mnie pochwała pani profesor Osetowskiej po rozpoznaniu preparatów nawet bardzo trudnych przypadków chorobowych. Moim promotorem pracy doktorskiej 4 lutego 1967 roku była p. prof. Ewa Osetowska, ponieważ p. docent Wiśniewski załatwił sobie długoterminowy wyjazd naukowy do USA.



106. Dr n. med. Mieczysław Śmiałek

Muszę przyznać, że lata pracy z p.doc. Wiśniewskim były niezwykle owocne. Był to naukowiec pełen pomysłów i nowych koncepcji badawczych. Chociaż wykonywałem prace inspirowane przez szefa, wiedziałem, że zyskuję bardzo wiele doświadczenia i publikuję wiele prac naukowych. Przed wyjazdem do USA doc. Wiśniewskiego p. prof. Ewa Osetowska złożyła rezygnację, którą władze PAN przyjęły. Nie liczyłem na taki rozwój polskiej neuropatologii pod kierunkiem pani docent Marii Dąbskiej, jaki był przy genialnej uczoniej p. prof. Ewie Osetowskiej. Nastąpiła reorganizacja instytutów w PAN. Pan doc. Wiśniewski wiedział już przed wyjazdem jesienią 1966 roku, że p.doc. Dąbska zostanie kierownikiem zespołu neuropatologii dziecięcej przy ul. Pasteura, a docent Mossakowski zespołu neuropatologii przy ul. Dworkowej w Centrum Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej PAN. Załatwił mi u p. prof. Tadeusza Orłowskiego, sekretarza naukowego VI Wydziału PAN i u p. prof. Zygmunta Ruszczewskiego, przyszłego dyrektora C M Di K PAN, etat przy ul. Dworkowej.

Nie mając pewności w sprawie ewentualnego zatrudnienia u p. prof. Mossakowskiego, który po odejściu od niego, przestał darzyć mnie sympatią, wszcząłem starania o staż podyplomowy. To mi gwarantowało możliwość pracy, jako lekarza praktyka. Żał mi było mojego miejsca pracy badawczej nad układem nerwowym i wielkiej p. Profesor Osetowskiej, która dzięki swemu talentowi stworzyła w tak krótkim czasie znaną w świecie neuropatologię polską. Profesor jeszcze usiłowała ratować hodowlę królików ataktycznych. Mogła nawet mieć nadzieję na nagrodę Nobla po odkryciu patomechanizmu tego chorobowego zespołu zwierzęcego. Przeniosła laboratorium do domu rodziców w Mińsku Mazowieckim. Niestety, nie było jej dane zdobyć nagrody Nobla. Wielka uczona wkrótce zmarła na nieuleczalną chorobę. Na pewno w USA istniały o wiele lepsze warunki do kontynuowania badań dla pana docenta Wiśniewskiego. Tam rzeczywiście osiągnął bardzo wiele. Prowadził instytut i trzeba przyznać, pomagał neuropatologii polskiej, kształcąc młode kadry. Ciężko przeżyłem zaistniałą dramatyczną zmianę w Zakładzie. Ucieszyłem się na krótko z powrotu do pracowni hodowli neuronów i gleju w Łomnie. Ponadto osoby pracujące w Łomnie, z farmy przywoziły zakupioną świeżutką śmietanę i mleko od krów hodowlanych. Autobus służbowy na szczęście przejeżdżał obok mojego mieszkania przy ul. Lampego 8 obok Dworca Autobusowego Marymont przy ul. Żeromskiego. W tym czasie uzyskałem od 1 czerwca staż podyplomowy w szpitalu przy ulicy Inflanckiej. Nie chciałem tracić kontaktu z neurologią toteż poprosiłem p. ministra zdrowia o umożliwienie mi odrabiania specjalizacji neurologicznej w ramach tego stażu. Nie byłem pewny, czy pan. doc. Mossakowski przyjmie syna marnotrawnego na Dworkową. Jednak zawiadomiono mnie, że zostanę zaangażowany do przyszłego zespołu neuropatologii Centrum Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej PAN. Rano odrabiałem staż w klinice p. doc. Ruszkowskiego mojego byłego nauczyciela higieny w Miejskiej Szkole Handlowej w Łowiczu. W Zespole Neuropatologii CMDiK PAN doc. Mossakowski choć po doktoracie załatwił mi etat asystenta technicznego. Był to bardzo szczę-

śliwy traf, ponieważ po doktoracie jako pracownik techniczny nie potrzebowiałem uzyskiwać zgody sekretarza naukowego PAN na dodatkową pracę. Przy Dworkowej pracowałem popołudniami i wieczorami, urywając się przy każdej okazji z kliniki. Źle to było widziane zarówno przez doc. Ruszkowskiego jak i doc. Mossakowskiego. Natomiast mój bezpośredni szef z ul. Inflanckiej dr. Ludwik Begodzki, lwowianin z urodzenia był dla mnie niezwykle wyrozumiały. Nawet się zaprzyjaźniliśmy. Mieliśmy do obsługi oddziały gruźliczy i czysty na porodówce i sześć łóżek ginekologicznych. W ciągu mojego stażu przy Inflanckiej przeciętnie dziennie odbieraliśmy jeden poród, a na oddziale czystym panował niezwykle luz. Rodzące bały się wówczas szpitala gruźliczego. W tym czasie urodził się tam właśnie mój syn Michał, a po roku moja córka Joanna.



107. Maria i Mieczysław Śmiałek z synem Michałem (foto 1968 rok)

Zawsze asystowałem przy operacjach naszych pacjentek. Gdy zabieg trwał zbyt długo, słyszałem po powrocie przeraźliwy krzyk szefa, z pytaniem, gdzie się podziewam. Załatwił mi łaskawie asysturę naukową, a w dalszym ciągu odrabiałem staż kliniczny na wolontariacie. Stworzyłem na razie jednoosobową pracownię biochemiczną. Później przydzielał mi prof. Mossakowski do pracowni różnych nierobów i beztalencia. Wreszcie przydzielono mi zdolną i pilną studentkę Wydziału Chemii Politechniki Warszawskiej Marylę Sikorską i mgr farmacji Wojtka Hilgiera. Laborantki okazały się znakomite: Tereski - Pańkowska i Bok, moja prawa ręka i Ewa Ohde studentka Politechniki Warszawskiej.



108. W Pracowni Biochemicznej CMDiK PAN – dr n.med. Mieczysław Śmiałek i mgr farm. Wojciech Hilgier

Wiedziałem, że szef nie darzy mnie sympatią. Gdy przyszedłem do pracy na Dworkową moja koleżanka dr Malina Ostenda ze zdziwieniem powiedziała „A Mirek mówił, że wszystkich przyjmie z Pasteura poza Śmiałkiem”. Tymczasem okazało się, że ja byłem tym pierwszym. Ponieważ dużo pracowałem nad jego tematem procesu odkładania się złogów glikogenu w niedotlenieniu mózgu, po zakończeniu stażu przyznał mi, jak i innym, ½ etatu w ramach tak zwanej umowy amerykańskiej. Zapracowany prawie nie zauważyłem rozruchów po inscenizacji „Dziadów” Adama Mickiewicza. Niestety nastąpiło relegowanie studentów, biorących udział w prote-

ście. Władze naciskały na rodziny żydowskie, aby opuszczały Polskę. Z naszego instytutu między innymi wyjechał dr Bolek Liwnicz. Dla wielu osób była to okazja do poprawienia sobie sytuacji materialnej na zachodzie, ale dla innych ciężkie rozstanie. Szef obiecał mi kontynuację obserwacji zmian w glikogenie przy niedotlenieniu mózgu jako tematu mojej pracy habilitacyjnej. Rozmyślił się ostatecznie i z prac wykreślił moje nazwisko na rzecz moich asystentów. Tłumaczył, że muszę zrobić coś ciekawszego.

2.9 Goeteborg

Znakomity nasz dyrektor profesor Zygmunt Ruszczewski zainteresował się moimi planami badań nad oddychaniem izolowanych neuronów i przyznał mi stypendium do Pracowni p. prof. Hydena w Goeteborgu. Gdy opowiedziałem dyrektorowi o moich pragnieniach zajęcia się badaniem procesów oddychania komórkowego w izolowanym pojedynczym neuronie, uznał to za niezwykle ciekawe i nowoczesne. W listopadzie 1968 roku udałem się do Szwecji. Mój kolega Olek Przybylski poleciał wcześniej do Sztokholmu. Oczekiwał na mnie na lotnisku. Prosił o przywiezienie mu preparatów od dr Hali Krohowej. Ponadto postanowił mnie przygarnąć na jedną noc do siebie. Długo czekał na lotnisku, bo zaginął aparat fotograficzny, który pożyczyła mi mgr Basia Penar z Pracowni Histochemicznej. Po połączeniu z lotniskiem w Warszawie okazało się, że po odprawie celnej aparat znalazł się w WC. Wówczas nieprzywiezienie do kraju zapisanych w deklaracji celnej przedmiotów uważane było za przestępstwo. Przedstawiciel lotniska w Warszawie poinformował mnie, że muszę osobiście odebrać aparat w ciągu sześciu miesięcy. Celnicy szwedzcy długo czekali na załatwienie przeze mnie sprawy z aparatem fotograficznym. Zainteresowały ich tylko preparaty Hali Krohowej w mojej torbie podręcznej i bez sprawdzania mojej ogromnej walizki pozwolili opuścić lotnisko. Olek zabrał mnie do siebie. Opowiedział mi, że potraktowano mnie bardzo ulgowo, ponieważ jemu zabrali nadmiar wódki i papierosów. U mnie byłaby podobna sytuacja. Po zwiedzeniu Sztokholmu udałem się pociągiem do Goeteborga. Miałem możliwość poznania ciekawego krajobrazu szwedzkiego, skał i rozległych lasów i pól. Zauważyłem, że na wsi często spotyka się chaty malowane na kolor wiśniowy i żółty. Z dworca kolejowego w Goeteborgu zadzwoniłem do przyjaciół mojego kolegi z kursu języka szwedzkiego. Jurek prosił mnie o przewiezienie dla nich kryształowego wazonu na prezent ślubny. Tam mnie bardzo mile przyjęto. Z serdecznymi życzeniami podarowałem od siebie kryształową popielnicę. Pani domu w miesiąc po ślubie była już w zaawansowanej ciąży. Dopiero po dłuższym pobycie w Szwecji poinformowano mnie o panującym tutaj zwyczaju. Młodzi ludzie pobierają się tam zwykle wtedy, gdy dziewczyna jest w ciąży. Mieszkają razem, lecz ze względów podatkowych nie biorą ślubu. Panna mająca dwoje dzieci uważana była za znakomity materiał na żonę ze względu na ogromne ulgi i dotacje dla dzieci. Serdecznie ugoszczony rano udałem się do Instytutu Neurobiologii przy Lekare Gatan 5, usytuowanym na skalnym wzgórzu. Wszystko zostało załatwione elegancko. Zakwaterowano mnie w dwupokojowym mieszkaniu w starej dzielnicy Haga, w pobliżu instytutu, na razie na dwa miesiące i przydzielono do pracowni doc. Andersa Hambergera. Tam poznałem doktora Christiana Bloomstranda, który szybko znalazł mi kwaterę u swojego sąsiada Janne Engstrema, u podnóża wzniesienia, na którym mieścił się instytut. Christian mi współczuł, że nie potrafię utrzymać się ze stypendium PAN. Uzgodnił z sąsiadem, że za moje zamieszkanie przez prawie sześć miesięcy Janne przyjedzie do mnie do Polski dwa razy po dwa tygodnie. Taka transakcja była nie do odrzucenia, gdyż za wynajęte przez instytut mieszkanie płaciłem 200 szwedzkich koron miesięcznie. Otrzymałem klucz do całego instytutu. Warunki pracy były wspaniałe. Czasami tylko powstawał problem z czekaniem na dostęp do ultrawirówki, ponieważ był to często proces wielogodzinny. Były cztery przerwy posiłkowe dwudziesto lub trzydziesto - minutowe, kiedy wszyscy zbierali się przy dużym stole. O godzinie 16-ej zjadałem obiad w stołówce szpitala Sjukhusett Salgrenska, po zjeździe windą z góry i przejściu na drugą stronę ulicy. Tylko jeden, dwa razy w miesiącu po-

dawano zupeł. Codziennie otrzymywaliśmy szklanek zimnego mleka a na drugie jeden ziemniak w mundurku lub obierany mechanicznie, wielkości jaja kurzego i zwykle dużą porcję mięsa. Do tego każdy mógł dokładać różne warzywa – bardzo często marynowane buraczki i na deser pomarańcz lub inny owoc. Można było również korzystać z kolacji, której częstym daniem była dziwna potrawa z kaszy i mięsa nazwana po szwedzku pitypana. W porównaniu z kuchnią polską, szwedzka okazała się racjonalna, lecz na moje polskie podniebienie pozbawiona smaku. Anders po kilku dniach zaprosił mnie na przyjęcie. Ku mojemu zaskoczeniu 13 grudnia w dniu świętej Łucji podczas przerwy o godzinie 12.00 wkroczyły do jadalni dziewczyny przebrane za anioły, w białych sukniach, ze świecami i rytualnym śpiewem. Dowiedziałem się, że święta Łucja jest patronką Szwecji. Zaledwie rozpocząłem eksperyment a po miesiącu pracy poinformowano mnie, że od 17 grudnia do 6 stycznia instytut nie będzie pracował. Poradzono mi wyjazd na ten czas do Polski. Za pieniądze, jakie dostałem z PAN, zakupiłem ogromną ilość prezentów dla rodziny i przyjaciół oraz dla koleżanek i kolegów naszego Zakładu. Na promie do Świnoujścia dowiedziałem się, że moja wiza ma charakter jednorazowego przekroczenia granicy. W moim domu rodzina przeżyła zaskoczenie ale i wielką radość. Po miesięcznym pobycie w Szwecji przywiozłem świąteczne prezenty pod choinkę dla rodziny oraz dla mojej pracowni.

Miałem pewne trudności z uzyskaniem ponownej jednorazowej wizy szwedzkiej. Ambasada szwedzka w Warszawie nie była czynna do szóstego stycznia. Z opóźnieniem wyruszyłem do Szwecji z wizą od pani konsul. W Goeteborgu znajomi Polacy zawieźli mnie w tym samym dniu powrotu na spotkanie gwiazdkowe z p. konsulem Szymańskim z Malmoe. Przy okazji poprosiłem p. konsula o poparcie zaproszeń dla żony i najbliższej rodziny, co zostało pozytywnie załatwione. O dziwo z trudem rozpoznałem w krakowskim stroju Janne, moją anglistkę z kursu we Władysławowie. Przyszła na spotkanie z mężem p. Holmem i synkiem Bjernem. Wymieniliśmy swoje telefony. Następnego dnia udałem się do Instytutu. Już na schodach powitał mnie z uśmiechem pracujący tam Japończyk - „do swidania”. Powiedział mi, żebym prędko zabrał z chłodni paczkę, która okropnie cuchnie. Żona włożyła mi na święta poza różnymi wiktuałami i upieczonym własnoręcznie piernikiem, ser Camembert. Poczta przywiozła tę paczkę nie pobierając nawet obowiązkowego porto. Ser wyrzuciłem, ale uratowałem piernik. Do ogromnego garnka wrzuciłem wiele widelców i łyżek. Nalałem na dno wodę i włożyłem piernik. Po odparowaniu wody na kuchence gazowej wypiek nadawał się do zjedzenia. Zaprosiłem państwo Holm na polski obiad z wiktuałów przywiezionych z Warszawy. Barszczyk czerwony ugotowałem z gotowego proszku. Najbardziej p. Holm chwalił polską czystą. W rewanżu państwo Holm wystawili szwedzki obiad z obowiązkowym chlebem szwedzkim tzw. svenską limpą i różowymi śledziami z dżemem na przekąskę. Otrzymałem jeszcze w prezencie piękny korkociąg z Bachusem. Staliśmy się przyjaciółmi. Prace doświadczalne w instytucie posuwały się w szybkim tempie. Zdziwienie moje nie miało granic, gdy po zamówieniu odczynnik, czy jakiś przyrząd otrzymywałem następnego dnia. A zlecenia wypisywaliśmy kredą na otwartych na korytarz drzwiach od laboratorium. Kiedy starto moje zlecenie, wiedziałem, że sprawa jest załatwiona. W czasie pobytu opublikowałem z Andersem Hambergerem jedną pracę na temat przemian białek znakowanych leucyną C 14 w niedotlenieniu mózgu u królika, cytowaną przez Cohena znanego badacza białek. Ponadto poznałem technikę izolowania neuronów i badania oddychania komórkowego metodą ampułkowego mikronurka Kartezjusza. Otrzymałem nawet niektóre elementy szklane aparatury i specjalne włókna do izolacji komórek. Metoda ta była stosowana zaledwie w sześciu ośrodkach na świecie. Nauczyłem się także tzw. sitowania i otrzymywania wzbogaconych frakcji w mielinę, glej i neurony. Przywiozłem z Goeteborga niezbędne wymiary siatek do uzyskania dobrego efektu rozdziału elementów morfotycznych mózgu. W tym czasie przyjechał na staż dr Borys Drujan z Instituto Venezolano de Investigaciones Cientificas z Caracas w Wenezueli. Zaprzyjaźnił się ze mną. Borys urodził się w Suwałkach w rodzinie prawnika. Został z całą rodziną wywieziony do Tadżykistanu. Po wyjeździe z ZSRR z transportami zesłanych Polaków, studiował w Kanadzie. W Caracas uzyskał stanowisko dyrektora instytutu. Obiecał, że zaprosi mnie do siebie. Podczas wielkanocnej przerwy szkolnej odwiedziła mnie na kilka

dni moja żona. Już wcześniej przekonałem się, że najlepiej robić zakupy po obniżonej cenie podczas posezonowej wyprzedaży. Żona uzupełniała niezbędną bieliznę i odzież na miarę jak biustonosze, rajstopy, pasy, których w Polsce nie pozwalano mierzyć w sklepie. Zdziwienie nie miało granic, kiedy ekspedientki pomagały w ubieraniu niezwykle uprzejmie. U nas zwykle ze skwaszoną miną odpowiadano - nie ma. Podczas świąt w Szwecji nie przyjmuje się gości. Jedyne rodziny polskie zaprosiły mnie z żoną. Christian Bloomstrand, mój sąsiad, jak przystało w naukowym świecie, zaprosił mnie do siebie i urządził wspaniałe przyjęcie. Przekonałem się, że w towarzystwie nie należy z paniami prowadzić zbyt żartobliwej rozmowy, ponieważ mężowie są bardzo zazdrośni. Co u nas jest rozumiane jako żart, tam bierze się na serio. Broń Boże nie można było z uśmiechem powiedzieć np. - Ja cię za to zabiję. Uznano by na pewno człowieka za wariata. Poznałem wiele rodzin polskich. Najbardziej zaprzyjaźniłem się z państwem Skaczyłło (po zmianie nazwiska Skalenius). Polski stomatolog pomógł mi kupić używany volkswagen po przejeździe 48000 kilometrów w znakomitym stanie. Zdiagnozował mi go polski właściciel serwisu samochodowego. Doznałem bardzo wiele życzliwości. Zaprzyjaźniłem się z dr Albinem Orczykowskim moim kolegą z Łowicza. Do niego również byłem zapraszany na przyjęcia. Bardzo miła była neurolog dr Barbro Johanson. Podała na przyjęciu przekąskę - kiwi z czarnym kawiozem. Prawdę mówiąc pierwszy raz jadłem kiwi. To danie wydało mi się niezwykle eleganckie. Postanowiłem zaproponować jakąś jego zmodyfikowaną postać u nas w Warszawie. Przecież kiwi nie można było nabyć w tym czasie w Polsce. Na pożegnanie odbyło się jeszcze przyjęcie u Andersa. Christian i jego żona Ann rozmawiali ze mną, gdy spotkaliśmy się na klatce schodowej, ale nigdy nie zapraszali mnie nawet na rozmowę do siebie. W Szwecji panują inne zwyczaje. Nawet matka czy siostra nie mogą odwiedzić bez powiadomienia telefonicznego. Wpadanie bliskich jak to jest przyjęte u nas, tam traktuje się jako brak dobrego wychowania. Wydałem pożegnalną kawę w instytucie. Zamówiłem w polskiej cukierni u p. Włocha duży tort. Nie prosiłem, co było w zwyczaju, aby uczestnicy przynieśli po kilka koron szwedzkich. Tam nawet na prywatnych przyjęciach pytano o sumę jaką należy zostawić. W lokalach prośone przyjęcia kończyły się płaceniem rachunku przez każdego z gości. Pani sekretarka poprosiła mnie tylko o spłacenie półrocznego długu za kawę z ciastkiem cukierniczym spożywaną codziennie o godzinie 15.00. O godzinie 10.20 na przerwę herbacianą kolejno każdy przynosił jakieś krakersy, o 12.00 wszyscy jedli własne drugie śniadanie. Kto sobie życzył zamawiał obiad w szpitalnej stołówce o godzinie 16.30. Czas częstych przerw posiłkowych był dokładnie przestrzegany. Nasze laborantki po wcześniejszym zjedzeniu posiłku, kilka minut robiły na drutach. Anders Hamberger obiecał mi przesłanie naszej pracy do druku i jak mi nakażała p. Hala Dolacka z VI Wydziału PAN wyruszyłem zakupionym volkswagenem do Polski. Wcześniej zaprosiłem mamę i siostrę Lodzię do siebie na ostatni tydzień pobytu. Miałem prawo jazdy, lecz ponieważ nie posiadałem auta, brakowało mi doświadczenia. Siostra za kierownicą czuła się swobodnie, toteż moja rola sprowadzała się do pilotowania. Przystudiowałem dobrze trasę. Przebyliśmy około czterystu kilometrów do Malmoe. Należało udać się tam do konsulatu polskiego, aby otrzymać zaświadczenie o zwolnieniu z cła. Pan konsul Szymański napisał mi również usprawiedliwienie opóźnienia wyjazdu, spowodowanego zamknięciem biur konsulatu podczas świąt państwowych w Szwecji. Opuszczałem Szwecję, która chociaż królestwo wydała mi się socjalistycznym rajem. Tam rzeczywiście wszystko było dla człowieka. U nas w kraju były to po prostu puste słowa. Pracowaliśmy dla przyszłych pokoleń i dla idei. Koledzy Szwedzi uświadomili mi, że polityka to przede wszystkim ekonomia. Przejechaliśmy promem do Elsinor w Danii, gdzie zwiedziliśmy zamek Hamleta, a następnie Kopenhagę. Wreszcie nocnym promem doплыliśmy do Warnemunde koło Rostoku, w NRD. Nie mieliśmy marek wschodniemieckich na benzynę. Polacy z targów w Goeteborgu poradzili mi, abym zabrał dużo kawy. Na pierwszej stacji benzynowej za niewielką ilość kawy zatankowałem cały bak. Dostaliśmy się do Berlina wschodniego specjalnym wjazdem. Pomogła nam w tym zapewne rejestracja szwedzka naszego pojazdu i próba rozmowy po angielsku. Brakowało nam już jedzenia. Udaliśmy się do kawiarni. Korony szwedzkie nie interesowały obsługi. Zaproponowaliśmy kawę.

Chciano jak najwięcej. Otrzymaliśmy marki. Załatwiony został problem uzupełnienia prowiantu i obiadu. W Słubicach zatrzymaliśmy się u kuzyna Jurka Wojcieszka, który podczas służby wojskowej ożenił się ze Stefcją Lewicką repatriantką spod Sambora. Uroczą to i gościnną rodziną. Mama z Łodzią nie mogły skończyć rozmów, a ja przespałem 13 godzin. Najlepiej całą tę męczącą podróż przeżyła mamusia, jak zwykle pogodna i z uśmiechem.

Po powrocie zaczęły się problemy w związku z opóźnieniem przyjazdu, mimo okazanego zaświadczenia. Nie wypłacono mi pensji. Następnie stwierdzono, że powróciłem za wcześnie o ponad dwa tygodnie w związku z moją trzytygodniową przerwą świąteczną i pobytem w Warszawie. Żądano zwrotu pewnej sumy dolarów. Ostatecznie mój szef p. doc. Mossakowski w sobie wiadomy sposób sprawę załatwił pomyślnie. Moje stypendium było zaledwie wystarczające na skromne utrzymanie. Tłumaczono przed wyjazdem abym rozsądnie wydawał przysyłaną comiesięcznie gotówkę. Nawet nie przewidywałem, że coś oszczędzę. Tymczasem załatwienie przez Christiana bezpłatnego zamieszkania u jego sąsiada Janne pozwoliło mi na zakup dobrego używanego volkswagena 1200 i to bez cła.



109. Po powrocie z Goeteborga (foto 1969 rok)

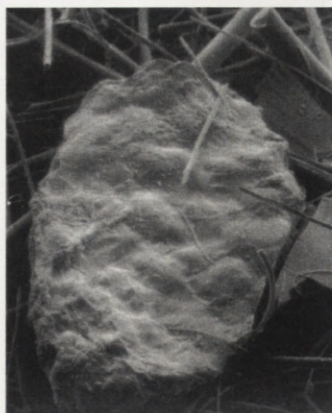
Moja koleżanka tzw. „gałganiarka” od Św. Anny dr Zosia Godlewska zaproponowała mi, abym z nią w parze ochrzcił małą Anię Dikson. Ważnym powodem zaproszenia mnie w charakterze ojca chrzestnego było posiadanie samochodu. Podwoziłem je o północy do kościoła pw. Św. Anny podczas pasterki. W tym czasie niewiele osób posiadało takie wspaniałe maszyny jak Syrenki, czy Warszawy. Przed naszym blokiem na Słodowcu ze 108 mieszkaniami stały tylko 2 syrenki, jedna warszawa i nasz „garbus”. Zosia załatwiła w kościele akademickim książeczkę mieszkaniową dla Ani. Ania była dziesiątym dzieckiem pp. Diksonów. Pani Hanna, pielęgniarka, nie pracowała. Ojciec zarabiał nieco ponad 2000 zł. jako urzędnik Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Pamiętam, że w marcu przed wyborami państwowymi premier Piotr Jaroszewicz zapowiadał pomoc rodzinom wielodzietnym. Podczas głosowania dowiedziałem się, że premier jest wybierany na Pradze, gdzie mieszkała rodzina mojej chrześniaczki. Napisałem pismo do p. premiera o sytuacji rodziców Ani. Nie powiadomiłem o tym ani pp. Diksonów, ani Zosi, ponieważ nie spodziewałem się wiele. Tymczasem p. premier Piotr Jaroszewicz po zorganizowanej wizji lokalnej i wywiadzie przyznał na każde dziecko miesięcznie 500 zł. a matce przydzielił przy ul. Stalowej lokal na kwaciarnię. Sytuacja materialna rodziny zmieniła się diametralnie i przybyły jeszcze dwa maleństwa.



110. Rodzice chrzestni dr Zofia Godlewska i dr Mieczysław Śmiałek – w środku matka Ani p. Hanna Dikson i goście.

Odtąd myślałem tylko o uruchomieniu pracowni mikronurka Kartezjusza. Pan docent polecił mi naukowców z Instytutu Fizyki PAN. Dwaj inżynierowie zainteresowali się projektem skomplikowanej aparatury. Niestety jeden z nich wyjechał wkrótce na rok do Francji. Wrócił wcześniej z powodu poważnej choroby i nie mógł kończyć projektu. Na szczęście p. inż. Krupka zbudował aparat z niezwykle dokładnym pomiarem temperatury niezbędnej w reakcjach enzymatycznych. Anders Hamberger z żoną Kerstin i Christian Bloomstrand z małżonką Ann Britt otrzymali zaproszenie do naszego Instytutu. Oczywiście zostałem opiekunem moich gości. Otrzymali odpowiednią sumę gotówki na hotele i diety. Zabrałem ich do mojego garbusa i zrobiliśmy rajd po Polsce zwiedzając kliniki neurologiczne i pracownie neuropatologii. Po pobycie w Warszawie odwiedziliśmy Kraków. Natychmiast udaliśmy się do hotelu Orbis i na kolację do Wierzynka. Obawiałem się o koszty. Moja dieta był najwyżej na posiłki w barze mlecznym. Na szczęście dano nam stolik w małej sali, gdzie ucztowała rodzina z amerykańskiej Polonii. Szwedzi do godziny 24 zamawiali przeróżne dania: wina, wódki, przekąski, przystawki, zupę, główne danie, deser i ponownie od początku nowe gorące dania. Poprosiłem wreszcie kelnera o rachunek, gdy nam przyniósł czerwone wino francuskie. Ten stwierdził, że rachunek już został zapłacony, a wino serwują nam Amerykanie. Poprosiliśmy ich do naszego stołu i ucztowaliśmy do trzeciej nad ranem. Pan inżynier Sodolski, przed zmianą Suchodolski, z rodziny emigrantów popowstaniowych, z małżonką, nie znali języka polskiego. Zmęczeni byli spotkaniem z rodziną, która z kolei nie знаła języka angielskiego. Mieli okazję podyskutować z nami przez trzy godziny, choć lokal zamykano normalnie o północy. Zaprosili nas do siebie do Nowego Jorku. Panie przed wyjściem z lokalu otrzymały róże. Te zdarzenia w Wierzynku niemal zszokowały Szwedów. Tam nawet proszeni goście w lokalu płacą za siebie. W hotelu jeszcze z Andersem odtančiliśmy taniec gruziński, który kiedyś zademonstrowałem im podczas przyjęcia w Goeteborgu. Niezwykle interesowała ich kultura gruzińska. Przed moim pobylem w instytucie w Goeteborgu gościł biochemik prof. Nugzar Aleksidze z Tbilisi.

Dopiero w roku 1972 opublikowałem pierwszą moją pracę na temat oddychania izolowanych neuronów w niedotlenieniu mózgu. Przedstawiłem ją podczas sympozjum w Tbilisi.



111. Wyizolowana komórka Purkinjego z mózdku szczura

Mieliśmy zaplanowany wyjazd w góry Kaukazu. Wieczorem przed wyjazdem w hotelu Iberia koledzy zorganizowali nam w pokoju koncert ballad Okudźawy. Następnego dnia rano p. prof. Mczedliszwili przeprosił nas, że wycieczka została odwołana z powodu redyku owiec. Pomyślałem, że brak zgody władz musiał mieć zupełnie inną przyczynę. Moi koledzy natychmiast zaproponowali mi wyjazd w czwórkę do Gori gdzie urodził się Stalin. Dojechaliśmy bez przeszkód. Domek rodziców Stalina pp. Dżugaszwili maleńki i stary znajduje się pod betonową konstrukcją na czterech słupach. W muzeum znalazłem wiele darów z polskich zakładów pracy. Odwiedziliśmy po powrocie jeszcze grób matki Stalina p. Marii Dżugaszwili. W Tbilisi w instytucie oraz w środkach transportu wisiały jeszcze w tym czasie portrety Józefa Wisarionowicza lub jakieś wycinki z jego podobizną. W Tbilisi kupiłem duże lustro z ramą bogato złożoną w stylu wschodnim. Niestety były tam trudności z kupnem papieru do pakowania i sznurka. Zabezpieczyłem tremo moją bielizną. Przy wsiadaniu do samolotu powiał silny wiatr. Porwał papier i ukazały się części mojej garderoby. Doc. Mossakowski żartował później z tego śmiesznego wypadku z lustrem, które nazwał Jekaterina Wtaraja. W Moskwie mieliśmy przesiadkę po kilku godzinach. Wyjechałem do centrum i z trudem wielkim w jednym z uniwersytetów kupiłem papier i sznurek. Grażynka Szumańska zadzwoniła z Tbilisi do Moskwy do naszej koleżanki Nadii, aby kupiła dla niej czarny kawior. Nic z tego nie wyszło. Jej koleżanka zrozumiała, że chodzi o czarny dywan - nieporozumienie językowe. Tygodniowy pobyt w Gruzji zaowocował przyznaniem mi stypendium habilitacyjnego. Mój szef darował mi tam wszystkie moje grzechy poza przypadkowym wybudzeniem go w hotelu po północy, kiedy mieliśmy zabrać małżonkę na prośzone przyjęcie. Wkrótce wyjechałem na krótkoterminowy pobyt naukowy do Instytutu Fizjologii im. prof. Beritaszwili Gruzińskiej Akademii Nauk w Tbilisi. Zobaczyłem, jak piękny, mądry, inteligentny, pracowity i gościnny jest naród gruziński. Z Gruzinami czujemy się tak jak z Węgrami. Po prostu ich kochamy. Miałem możliwość poznania ich zwyczajów. Zaproszony zostałem wraz z personelem pracowni biochemicznej na uroczystość siedemdziesięciolecia szefa p. prof. Kometianiego. Ucztowało około trzydziestu osób. Prof. Waliko Czikwaidze, zastępca jubilata, objął przy suto zastawionym stole stanowisko tamady, czyli mistrza ceremonii. Jego zadaniem było wznoszenie toastów. Przed wypiciem wina z rogu opowiadano o zaletach poszczególnych osób. Pierwszy toast, jak się zorientowałem wcześniej zawsze wypijany jest za zdrowie i pomyślność pani domu. Pani profesorowa siedziała skromnie i zapraszała gości do konsumpcji znakomitości kuchni gruzińskiej z szaszłykami, pieczonym prosięciem i mnóstwem przeróżnych potraw. Róg w charakterze kielicha krążył wokół stołu. Należało wypić całą zawartość i oddać następnemu mężczyźnie. Panie nie piły wina z kielicha. Podczas uczyt panowie

tańczyli gruziński taniec z nożem w zębach. Nie wiem, jak to się działo, że po licznych toastach, nie tylko wracało się w dobrym stanie do hotelu, ale i głowa nie bolała. Przeżyłem kilka takich przyjęć, między innymi u p. prof. Gogo Mchedlishwili, Waliko i u wspaniałego kolegi Władimira Nieharoszewa, posiadającego ojca Rosjanina, a matkę Ormiankę. Nie mogłem odmówić przekąski w hinkalni, gdzie serwowano soczyste pierogi - hinkali, a w barze haczapuri osetyńskie z jajkiem. Nie można pominąć wycieczek do Mcchety, pierwszej stolicy Gruzji. Eka Rapphawa zapewniła mi udział we wszystkich uroczystościach setnej rocznicy śmierci Paliashwilego, twórcy gruzińskiej opery narodowej Abisalom i Eteri – oczywiście z biletem do opery na piękny spektakl. Zwyczajem w Tbilisi było odwiedzanie częste gorących kąpielisk, gdzie poddawano się specjalnej terapii manualnej, która wydawała się skuteczna. Powróciłem z pięciolitrowym słojem wina, butelkami szampana i licznymi gruzińskimi czekankami – obrazami wykwanymi w blasze. W Warszawie dzieliłem się z przyjaciółmi wrażeniami przy winie gruzińskim. Kiedy skończyło się wino, wyjąłem nie oziębiony czerwony szampan. Konieczne było malowanie pokoju po tej libacji.



112. W Mcchecie, dawnej gruzińskiej stolicy – Mietek i prof. Valiko Czikwaidze z synem Paatą

W ciągu osiemnastu miesięcy skończyłem z pomocą Tereski Bok część doświadczałną pracy habilitacyjnej i oddałem szefowi przed urlopem maszynopis do sprawdzenia. Niestety w biurku leżały już niepoprawione od kilku lat prace Hali Krohowej, Andrzeja Kapuścińskiego i Malinki Ostendy. Moja też poleżała. Spokojnie robiłem staż neurologiczny w Klinice Neurologicznej Akademii Medycznej u genialnej profesor Ireny Hausmanowej, która stworzyła szkołę miologii polskiej. Dzieci rosły.



113. Joasia i Michałek (foto rok 1971)

W roku 1972 utrzymałem stypendium habilitacyjne i kierowałem dziewięcioosobową pracownią biochemiczną w Zakładzie Neuropatologii PAN z małą pracownią mikronurka Kartezjusza. Inż. Maryla Sikorska kontynuowała doświadczenia do pracy doktorskiej. Następnym kandydatem do doktoratu był mgr Wojciech Hilgier. Pracowite i zdolne laborantki Tereska Bok, Ewa Ohde i Tereska Pañkowska pomagały wykonywać z nawiązką coroczne plany naukowe. Bez widoków na rychłą obronę mojej pracy habilitacyjnej postanowiłem po uzyskaniu specjalizacji neurologicznej wyjechać na stypendium zagraniczne. Zaprosił mnie do swojej pracowni biochemicznej prof. Oja z Finlandii. Przesłał mi angaż na trzy lata. Z tym pismem udałem się do prof. Mossakowskiego, który zaproponował mi, jak twierdził, lepsze miejsce u p. dr Igora Klatzo w NIH – National Institutes of Health, Bethesda, Maryland, USA. Propozycja była nie do odrzucenia. Wola szefa to nakaz dla pracownika.

Kierownictwo czasami przebąkiwało, że mogę mieć trudności z habilitacją. Moja kochana koleżanka doc. Zuzanna Krañnicka i prof. Jerzy Borowicz kierownik pracowni mikroskopii elektronowej w naszym instytucie byli członkami Stronnictwa Demokratycznego. Zuzanna Krañnicka zabrała mnie na zebranie Koła SD na Ochocie. Dyskusja jak na nasze warunki była swobodna. Andrzej Rodys zapisał mnie na członka. Założycielem SD w roku 1938 był prof. pediatra Mieczysław Michałowicz, lekarz córek marszałka Józefa Piłsudskiego. Później z Zuzanną żartowaliśmy, że członkowie to SD, a „góra” to SB.

Z wynikami mojej pracy habilitacyjnej w roku 1975 pojechałem z Magdą Rossowską, jej małżonkiem i kolegami z instytutu na kongres do Paryża. Podczas spaceru wstąpiliśmy do baru. Napiliśmy się wody mineralnej, ponieważ naszego kieszonkowego tylko na to starczyło.

W tym samym roku przedstawiałem wyniki moich prac podczas Sympozjum Neurochemii Klinicznej w Zielonej Górze. Zabrałem moją żonę Marysię nowozakupionym Peugeotem. Planowałem od lat odwiedzić rodzinę i grób pani Marianny Burzyńskiej w Bledzewie k/Skwierzyny. Udział w tym sympozjum brała między innymi Gałka Weinrauder – Semkow. Dokądkolwiek nie pojechalibyśmy razem, zawsze spotykałem moich kuzynów. Tym razem twierdziłem, że nie posiadam rodziny w Zielonej Górze. Tymczasem syn mojej siostry stryjecznej Lucynki, Zygmunt Koziak, pracownik służby zdrowia odnalazł mnie w komitecie organizacyjnym sympozjum. Zaprosił mnie z żoną do pięknego lokalu w palmiarni zielonogórskiej. Ponieważ Gałka wraz z kolegami wpadła do palmiarni rozerwać się po obradach, bawiliśmy się

wspólnie. Podczas kolejnych wspólnych zjazdów w kraju żartowaliśmy na temat ogromnej liczebności mojej rodziny.

Z uroczej Zielonej Góry udałem się z Marysią do Bledzewa. Przejeżdżając przez miejscowość Paradyż zauważyliśmy piękny obiekt sakralny. Wstąpiliśmy do kościoła Seminarium Duchownego diecezji gorzowskiej. Podczas zwiedzania towarzyszyło nam dwóch kleryków. Zainteresował nas ogromny olejny obraz ze sceną batalistyczną i z polską flagą. Obraz ten wyjątkowo ocalał po grabieży wojsk radzieckich w roku 1945. Mnisi z Kaniowa, którzy pracowali przy tym kościele do roku 1888 schowali go w wielkim ołtarzu. Po drugiej wojnie światowej, podczas remontu ołtarza, przypadkowo odnaleziono ten obraz i powieszono na dawnym miejscu. Obraz ten przedstawiał Henryka Pobożnego w bitwie pod Legnicą. Mnisi zapewne uważali, że w czasach zaostrzonej germanizacji ludności na tych terenach, obraz o tematyce polskiej może ulec unicestwieniu. Katolicka ludność na tym terenie mówiła po polsku i nie chciała uczęszczać na kazania w języku niemieckim. Cesarz pruski sprowadził tutaj polskich mnichów. W kościele wisiał również portret króla polskiego Władysława IV. Jego ojciec Zygmunt III Waza sam wykuł w srebrze piękną wiszącą wieczną lampkę. Wazowie myśleli nie tylko o Polakach w kraju. W tej tak pięknej formie starali się utrzymać polskość u ludzi na obczyźnie. Czuliśmy się tym wzruszeni. Podobne wrażenia odnieśliśmy w kościele bledzewskim. Tam król Polski Zygmunt III Waza ofiarował wykonane własnoręcznie srebrne naczynie na kadzidło. Mieliśmy wspaniałą przewodniczkę w Bledzewie w osobie Marysi Lis, wnuczki p. Burzyńskiej a chrześniaczki mojej najstarszej siostry Łodzi. Cmentarz ewangelicki wyglądał, jak kępa buszu. Na cmentarzu katolickim odwiedziłem grób pp. Burzyńskich. Niektóre nazwiska miały pisownię niemiecką np. Malitzki. Jedna z wnuczek p. Burzyńskiej wyszła za mąż za autochtona z Bledzewa. Mieszkańcy Bledzewa, autochtoni, skarżyli się – Polacy uważają nas za Niemców, a kiedy wyjeżdżamy do Niemiec, nie szanują nas, bo nie mówimy po niemiecku. Ze wzruszeniem żegnaliśmy Natalcię Lisową i jej bliską nam rodzinę.

Jeszcze w październiku 1976 roku wraz z Halą Krohową, Andrzejem Kapuścińskim i Zbyskiem Rapem wyjechaliśmy do Szwecji na Sympozjum Polsko-Skandynawskiego Stowarzyszenia Neuropatologów w Linköping. Przyleciał również p. dr. Klatzo z USA. Poza zdobycami naukowymi dowiedzieliśmy się, że nie tylko Szwedzi najechali na Polskę. Również polscy Wazowie w staraniach o tron Szwecji stoczyli walkę ze Szwedami pod Linköping, gdzie zwyciężyła armia szwedzka. Szwedzi uczestniczący w sympozjum opowiadali nam o tym i wspominaliśmy koligacje naszych Jagiellonów z Wazami. Po latach spotkałem moich kolegów ze studiów Danusię Pempus – Leszniewską i Wacka Leszniewskiego. U nich mieszkała Hala Krohowa. Mnie zaprosili do siebie na przyjęcie. Z Danusią byłem w jednej grupie studenckiej. Leszniewscy znakomicie się urządzili. Wacek, złota rączka, sam zrobił w domu wiele rzeczy. Zbudował saunę. Danusia okazała się świetną kucharką, piekła nawet polski chleb. Smakował nam znakomicie. W drodze powrotnej nocowaliśmy w Sztokholmie czekając na lot do Warszawy. Pan doktor Klatzo stęskniony za Polską, przy każdej okazji odwiedzał ojczysty kraj. Zaprosił nas na kolację do lokalu na starym mieście w Sztokholmie i zamówił niezwykle drogie wino reńskie. My już dawno wydaliśmy nasze kieszonkowe, które wynosiło – lepiej nie mówić. Doktor Klatzo sądził, że mnie zabierze z Warszawy do Stanów. Tymczasem po wojażu do Szwecji zachorowałem. Po zdaniu egzaminu specjalizacyjnego w gorączce ponad 38 stopni C amerykańskim samolotem poleciałem bezpośrednio do Waszyngtonu, kończąc przyjmowanie antybiotyku jeszcze w USA.

2.10 Bethesda

Wyjechał po mnie dr Igor Klatzo. Pewnie wiedział, że otrzymam tylko kilkanaście dolarów na taxi. Port lotniczy jest ogromny i piękny, a miasto Waszyngton liczące około 800.000 mieszkańców jest stolicą Washington DC. 80% mieszkańców to ludność kolorowa. Na razie przygarłał mnie do siebie dr Klatzo. Sekretarka szybko wynajęła mi duży rodzinny apartament w mieście Rockville w stanie Maryland, odległym o około 4 mile od NIH – Narodowych Instytutów Zdrowia, Bethesda. Oczekiwałem na przyłot żony i dzieci. Koledzy z NIH Dejan Micić z Belgradu i Polek Sobieszek, Polak mieszkający w Danii, pomogli mi się urządzić. Większość mebli i wyposażenie kuchni zakupiłem od naukowca Niemca, opuszczającego wynajęty przeze mnie apartament. Zdziwienie moje nie miało granic, gdy dowiedziałem się, że muszę mieć kilka pokojów sypialnych dla rodziny. U nas w Polsce nikogo to nie obchodziło. Lokal musiał posiadać dywany na ok. 70% powierzchni podłogi i nie wolno było trzymać zwierząt domowych. Jeszcze większe było moje zdziwienie, gdy sekretarka powiadomiła mnie o konieczności zainstalowania telefonu. Można było wybierać kolor aparatu i sposób jego użytkowania to znaczy między innymi, z zawieszaniem na ścianie lub nie, z odpowiednią długością sznura itp.. Na trzeci dzień miałem już założony aparat bez konieczności mojej obecności. Zapewniano, że nic nie zginie z mieszkania. Drugi komplet kluczy zawsze znajdował się u portiera. Przez cały tydzień załatwiałem formalności służbowe. Jeden dzień zabrano mi dokładne badanie lekarskie. Otrzymałem kartę ID identyfikacyjną. Używać ją mogłem do zakupu niezbędnych odczynników i materiałów laboratoryjnych do sumy 100\$ dziennie. Miałem możliwość korzystania z biblioteki i robienia odbitek ksero. Biblioteka posiadała mnóstwo czasopism aktualnych i dawnych z całego świata. Zakupiłem samochód amerykański Matador z klimatyzacją, bo otrzymałem natychmiast pożyczkę z długoterminową spłatą i konto bankowe w Credit Union czyli banku naszego instytutu. W wydziale socjalnym zaoferowano pomoc. Dano mi stary, ale dobry telewizor i różne potrzebne sprzęty. Znalazłem się w bajkowym świecie. Poznałem kilka rodzin z polonii amerykańskiej. Zosia Grabińska, żona byłego właściciela Walewic, Ina Ziennowiczowa żona neurochirurga i Aurella Krężlewiczowa, biolog, pracowały w naszym instytucie. Danusia Sek podała mi adres do swojej znajomej p. Janiny Urbańskiej pochodzącej z Ostrowa Wielkopolskiego, z którą się zaprzyjaźniłszy. Powstała w tym czasie polska parafia z kościołem pw. św. Jana Chrzciciela. Tutaj na święta Polonia wysyłała paczki dla biednych rodzin w Ojezyźnie. Pani Janina Urbańska przygotowała ogromną paczkę dla rodziny mojej chrześniaczki, Ani Dikson. Niektórzy nawet zazdrościli pięknych futer przesłanych p. Hani Diksonowej. Bardzo było nam miło spotkać dr Joannę Woyciechowską poznaną wcześniej w Klinice Neurologicznej Akademii Medycznej w Warszawie. Mieszkała podobnie jak my w jednym z czterech budynków Congressional Towers w Rockville. Wreszcie przystąpiłem do pracy z p. dr. Klatzo, przy współpracy z dr Marysią Spatz urodzoną w Stanisławowie dzisiejszym Iwanofrankowsku. Żartowaliśmy, że pochodzi ze Związku Radzieckiego. Stworzona została bardzo zgrana grupa, złożona z Japończyków Nishimoto, Watanabe i małżeństwa Abbe oraz Heiki Hervonnena z Finlandii. W początku stycznia 1977 roku miałem przyjemność oglądania w Waszyngtonie uroczystości objęcia prezydentury przez Jimmy Cartera. Waszyngton jest ślicznym miastem o niskiej zabudowie. Robi wrażenie miasta europejskiego. Nic dziwnego, ponieważ plan architektoniczny wykonał architekt francuski. Przed białym domem pośród pięciu bohaterów USA cieszy Polaków pomnik gen. Tadeusza Kościuszko. W pobliżu można spotkać piękny monument generała Konfederacji Barskiej Kazimierza Pułaskiego, bohatera spod Savannah w stanie Georgia, urodzonego w Warce. Po drugiej stronie, gdzie przed białym domem stoi obelisk prezydenta Abrahama Lincolna, prowadzą do budynku kongresu dwie aleje, rozdzielone szerokim trawnikiem. Przy nich znajdują się niemal same muzea. Stąd widać płynącą rzekę Potomac, stanowiącą granicę ze stanem Virginia, gdzie znajduje się rancho pierwszego prezydenta USA Jerzego Waszyngtona z dworem w stylu kolonialnym. To miejsce jak i cmentarz Arlington z grobem Johna Kennedy'ego i tymczasowym miejscem pochówku naszego sławnego kompozytora i premiera Ignacego Paderewskiego od-

wiedziłem z rodziną. Zdziwił mnie skromny cmentarz, bez typowych u nas grobowców. Grób rodzinny Kennedych jest szeroki, pokryty trawą, obmurowany niskimi kamieniami.



114. Arlington – Joasia i Michałek (foto 1977 rok)

Pozostałe groby to szeregi tabliczek położonych w trawie. Zdziwiony byłem, gdy ujrzałem pełen sztucznych kwiatów cmentarz. Okazało się, że jest to cmentarz zwierzęcy. Tam kocha się koty i psy. Często w jednym domu znajduje się po kilka kotów i psów. Ambasada polska mieściła się przy 16-ej ulicy w pobliżu białego domu. Mogliśmy zaopatrywać się w artykuły spożywcze z Polski w istniejącym tam sklepie.

Gdy przyleciała do mnie Marysia z dziećmi, mieszkanie było urządzone z lodówką pełną wspaniałego jedzenia a na parkingu stał zaparkowany ogromny Matador. Tylko w kieszeni było płótno. Całe dwutygodniowe pensje znikwały po opłatach za mieszkanie i pożyczki w Credit Union. Chciałem szybko pozbyć się obciążeń, dlatego spłacałem raty wyższe niż przewidywała umowa. Po pół roku skończyły się długi i nastąpił okres wymarzonego rajy. Rozpoczął się okres przyjęć. Poznaliśmy kuchnie ; japońską, chińską, grecką, francuską, serbską, włoską, holenderską, australijską, rosyjską i inne. Dr Sofia Kakari z Aten zaprosiła nas na dwa odpusty w kościołach greckich. Mążonek jej prawdopodobnie był grekokatolikiem. Dla dzieci zorganizowano wesołe miasteczko z przeróżnymi zabawami, oraz liczne stragany pełne pieczonych na różnie baranów i wieprzów. Doktor Klatzo poślubił w tym czasie swoją kolejną żonę, piękną, wysoką blondynkę, historyka sztuki Kornelię, siostrzenicę byłego prezydenta Dwighta Dawida Eisenhauera. W domu pp. Klatzo podziwialiśmy obrazy namalowane przez wujka prezydenta i niezwykle zestaw dań. Pierwszy raz w życiu jadłem znakomite homary. Tak zwane sea - food było niezwykle popularne w USA, kraby, krewetki, ryby, rekiny. Dr Klatzo uwielbiał parzone ostrygi. Nie mogłem się zmusić do wypijania z muszli tych skorupiaków. Natomiast nauczyłem się przy pomocy specjalnych szczypiec i metalowych wykałaczek jeść kraby niezwykle smacznie ugotowane, w wodzie z zapachowymi przyprawami. Często przy różnych okazjach w zakładzie wszyscy udawaliśmy się do restauracji chińskiej, gdzie pan doktor Klatzo popisywał się sprawnym jedzeniem ryżu przy pomocy pałeczek. Nikogo to nie dziwiło, ponieważ druga jego żona była ichtiologiem z Japonii. Z pierwszą żoną, która poślubił w Kanadzie miał dwoje dzieci,

córkę Maszę i syna Michała. Dr Klatzo rozpoczął studia medyczne na uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Mieszkał tam z matką z Grudzińskich z rodziny księżnej łowickiej i drugim mężem matki. Igor urodził się w Petersburgu w roku 1916 tuż przed rewolucją. Jego ojciec oficer na dworze carskim zginął już w lutym 1917 roku, bo jako kuzyn cara i baronet inflancki przebywał na dworze. Matka Igora uciekła do Wilna i wyszła za mąż za oficera polskiego. Igor ukończył studia wkrótce po zajęciu Litwy przez ZSRR. Został wezwany na komisję, przydzielającą nakazy pracy. Pragnął rozpocząć staż psychiatryczny i nie chciał przyjąć innego. Groził mu za tę zuchwałość prawdopodobnie areszt. Jego piękna koleżanka i sympatia, Grinberżanka, Żydówka, zasiadająca w tej komisji, uratowała go. Wybiegła za nim i poleciła jechać do Kiejdan, gdzie otwarto nowy szpital psychiatryczny. Niestety rozpoczęto deportacje ludności polskiej i litewskiej na Sybir. Dostał w Kiejdanach rozkaz stawienia się jako lekarz transportu. Wiedział, że stamtąd jeszcze nikt z lekarzy nie wrócił. Natychmiast zrezygnował z pracy w szpitalu. Wstąpił do polskiej partyzantki - Armii Krajowej, która odbiła Wilno z rąk niemieckich przed wkroczeniem wojsk radzieckich. Podziękowaniem za ten wyczyn od sowietów było zaproszenie żołnierzy AK na polanę leśną pod Wilnem i wywózka w nieznaną. Na szczęście Igor i nasz wspólny kolega dr Lech Iwanowski spóźnili się. Partyzant, który uciekł z kotła, ostrzegł ich. Igor posiadał złote carskie ruble. Przekupił maszynistę pociągu i z Lechem dostali się do Białegostoku. Następnie przybyli do Warszawy. Tutaj zgłosili się do Ministerstwa Zdrowia, gdzie ministrem był ich kolega z Wilna dr Jerzy Sztachelski. Zostali zatrudnieni w wojsku. W roku 1947 Igor wyjechał służbowo do Berlina Wschodniego. Wsiadł w metro i znalazł się na wolności.

Udał się następnie do Toronto, gdzie pracowali prof. Rose i prof. Skarżyński z Wilna. Tam się zaczęła jego kariera naukowa jako neuropatologa, jednego najbardziej znanych w świecie. Doktor Klatzo zmarł w USA w wieku ponad 90 lat, podobnie jak jego przyjaciel doc. Lech Iwanowski w Warszawie, który był moim kolegą w Instytucie Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej PAN w Warszawie.

Praca posuwała się naprzód w komfortowych warunkach. Zbierałem również literaturę do ukończonej już przed kilku laty pracy habilitacyjnej. Wiedziałem, że muszę uzupełnić literaturę najnowszymi postęпами badań nad zmianami w mózgu po zatruciu tlenkiem węgla. W każdą sobotę odwoziliśmy nasze dzieci do szkoły polskiej w ambasadzie. Dzieci bardziej lubiły szkołę amerykańską, w której, chociaż zajęcia trwały 6 godzin, wiele czasu spędzały na boisku. Szybko opanowały język angielski. Początkowo, gdy inne dzieci bawiły się, one miały z lektorem lekcję angielskiego. Michał wyróżniał się z matematyki, osiągając nawet najwyższą notę A+. Z języka angielskiego w czwartej klasie uzyskał z pośród siedmiu ocen pięć A, jedną B+ i jedną B. Joasia podobnie jak Michał miała na zakończenie trzeciej klasy same A i B. Miała też ambicje sportowe. Nie miała jednak szczęścia. W jej klasie, w tej grupie wiekowej uczyła się czarnoskóra dziewczynka, świetna w sporcie. W tych warunkach musiała zadawałać się drugim miejscem podczas zawodów. Tutaj w USA nauka była naprawdę bezpłatna. Dzieci otrzymywały wszystko od książek po gumkę, linijkę, farby, kolorowe pisaki i inne przybory szkolne. Drugie śniadania były płatne, lecz kosztowały grosze w warunkach amerykańskich. Dotacje były ogromne. Dawaliśmy 1 \$ dziennie i dzieci cieszyły się otrzymywanymi, poza głównym posiłkiem, lodami i innymi smakołykami. Na Boże Narodzenie dzieci dostały górę prezentów od naszych przyjaciół w okresie od dnia św. Mikołaja do Nowego Roku. Mielismy u nas czasami gości z Polski: prof. Mieczysława Wendera, prof. Rzucidło, immunologa, Anię Strojnowską, kuzynkę Bożenki Zawadzkiej, studentkę Akademii Sztuk Pięknych. Zwiedzała tam bezpłatnie, jak wszyscy odwiedzający Waszyngton, muzea federalne. Przyjechał do nas ze Szwecji dr Ludwik Begodzki, mój znakomity szef ze stażu podyplomowego z ginekologii i położnictwa w szpitalu przy Inflanckiej w Warszawie. Stwierdził, że zatęsknił za swoimi dziećmi Joanną i Michałem, które ze mną odbierał. Tak się raczono znakomitymi lodami przy Congressional Plaza, że dzieci i Ludwik przez tydzień leżeli w łóżku. Gościliśmy także Halę Szemioth – Kossowską, kuzynkę niewidomej dr Wiktorii Zawadzkiej. Zaproponowała nam p. Freda Sokalska, aby Hala

zamieszkała u niej, ponieważ czuła się osamotniona po śmierci męża, w którego pogrzebie uczestniczyliśmy w kościele rzymsko-katolickim. Zdziwiły nas białe szaty kapłanów, a nawet wdowy. Stypę w domu p. Sokalskiej urządzili sąsiedzi. Przez pewien czas pozostała z p. Fredą po pogrzebie męża jej przyjaciółka p. Zarembina, która przeżyła z synem zesłanie na Syberię z polskiego Wołynia. Zostaliśmy przez p. Zarembinę zaproszeni do Mobil w stanie Alabama.



115. U p. Alfredy Sokalskiej – od prawej p. Zarembina, p. A. Sokalska, Joasia i Mietek

Ogromny ruch w sklepach, miasta w świątecznej choinkowej szacie, a tylko jeden dzień wolny 25 grudnia. Obowiązywał tylko jeden dzień urlopu za każdy miesiąc. Ale nie narzekano. Częste długie weekendy pozwalały solidnie odpoczywać i robić zakupy. Każdej soboty, gdy dzieci były w polskiej szkole po odwiedzeniu sklepów wchodziliśmy do kolejnego muzeum. Z dumą oglądaliśmy polskie siły powietrzne wystawione jako jedne z sześciu alianckich, mających znaczenie podczas II wojny światowej. Serca nam rosły i oczy wilgotniały, gdy oglądaliśmy wspaniałego pilota gen. Skalskiego, więzionego przez wiele lat po powrocie do kraju z Anglii. Drugim wspaniałym pilotem w bitwie o Anglię był Urbanowicz.

Pewnego dnia podczas zakupów spotkaliśmy p. Stanisława Bańczyka, ostatniego sekretarza premiera Stanisława Mikołajczyka. Dzieci biegając po sklepie rozmawiały po angielsku, ale my mówiliśmy po polsku. Pan Bańczyk nie spotykał się do tej pory z żadnym stypendystą z Polski. Miał własne grono zawsze takie samo : pani Freda Sokalska, matka chrzestna córki Basi Bańczyk, wdowa po działaczu PSL w USA i pan Paweł Zaleski syn prezydenta Augusta Zaleskiego. Byliśmy zapraszani w niedzielę na obiady z kurczakiem lub indykiem. Nauczyłem się w ten sposób kroić prawidłowo tego ptaka tak cenionego w USA. Miliony sztuk tych ptaków zjadali mieszkańcy Stanów w ostatni czwartek października zapraszając przyjaciół na pamiątkę pojednania tak zwanych pielgrzymów z Europy z Indianami po mroźnej i głodowej zimie. Wszyscy wówczas dzielili się po ludzku posiadanymi zapasami żywności.



116. Sanktuarium rzymsko katolickie Matki Boskiej w Waszyngtonie (foto 1977 rok)

Michał popisywał się po obiedzie u p. Stanisława sztuczkami magicznymi. Pomagała mu w tym dzielnie Joasia jako niezbędna asysta. Pan Bańczyk nazwał ich magikami. Nie miał własnych wnuków. Jego syn przyjaciel syna generała Modelskiego zmarł, a Basia nie wyszła jeszcze za mąż. Kiedyś przez p. Stanisława zostaliśmy zaproszeni do pani generałowej Modelskiej. Pan Paweł choć razem z p. Bańczykiem bywał u nas na przyjęciach, nigdy nikogo, nawet pana Stanisława nie zapraszał do siebie. Za to często ucztowaliśmy u uroczych państwa Grabińskich i u niezwyklej Inki Ziemnowiczowej. Najczęściej jednak bawiliśmy się u kochanej Marysi Spatz. U Marysi, kiedy miało się odbyć huczne garden party a meteorolodzy prognozowali opady i burze, zawsze jednak do wieczora świeciło słońce a w nocy fruwały świecące robaczki świętojańskie.

Po uzyskaniu ciekawych wyników dr Klatzo polecał przedstawić nasze osiągnięcia naukowe na Zjeździe w Moskwie, a ja później pojechałem na Sympozjum do Nowego Orleanu.

Wziąłem dodatkowo tydzień urlopu i z całą rodziną przemierzyliśmy odległość Waszyngton - Nowy Orlean. Obrady odbywały się od rana do późnych godzin. Po wyjściu z domu sympozjalnego w wycieraczkę wozu znalazłem mandat 15 \$. Po prostu przez 2 godziny parkowałem auto w miejscu niedozwolonym. Koledzy uspokoili mnie. Wytłumaczyli, że po opuszczeniu Luizjany przed terminem płatności nikt mnie nie odnajdzie. Maryland, gdzie mieszkam, nie ma porozumienia z Luizjaną w tej sprawie. Po zwiedzeniu uroczej dzielnicy francuskiej z niską zabytkową architekturą, dalej zachwycaliśmy się pięknem tego miasta i oryginalnymi rozwiązaniami ruchu drogowego. Tutaj nie było metra, lecz mnóstwo wysokich długich estakad nad ulicami. Nikt nie obawiał się spaceru po północy. Ciemnoskórzy wydawali się tacy piękni i weseli. Lokale otwarte były na oścież, a tańczące na stołach gogo girls uwodziły piwoszów tańcem i śpiewem do rana. Czasami otrzymywały wkładany w pończochę za podwiązkę banknot dolarowy. Podziwialiśmy dumną królową rzek USA Missisipi. Po obradach kontynuowaliśmy naszą podróż urlopową. Na zaproszenie p. Zarembiny przyjaciółki p. Fredey Sokalskiej wpadliśmy do Mobil w Alabamie. Serdecznie nas ugoszczono. Przy rozmowie dowiedzieliśmy się o losie rodziny Zarembów, ich wywózce z Wołynia na Syberię z drogą przez Iran i przyjeździe do USA. Dzieci otrzymały wiele klaserów znaczków pocztowych z całego świata. Potem pojechaliśmy do Orlando, do Disney World. Od rana do nocy nie sposób było wszystkiego zobaczyć. Oglądaliśmy oczywiście pochod Micky Mouse i wykupiliśmy kilkanaście atrakcji między innymi wyspę z przygodami Tomka Sawyera, diabelski młyn i inne niesamowitości. Mieszkaliśmy w hotelu. W pobliżu mieszkała kuzynka Bożenki Zawadzkiej Hala Szemioth – Kossowska, którą poznaliśmy w Warszawie. Mieliśmy miłe odwiedziny. Halę zaprosiliśmy do Rockville. Zwiedzaliśmy jesz-

cze Florydę i kolejne stany w drodze powrotnej – Georgię, obydwie Caroliny Południową i Północną oraz Virginie. Zaopatrzyliśmy się w benzynę na Florydzie, gdzie kosztowała tylko 49 centów za galon. W każdym stanie ceny różnych artykułów były różne. Przeciętna cena benzyny w Maryland wynosiła około 61 centów. Otrzymałem jeszcze w drugim roku 21 % procent podwyżki, czyli najwyższą możliwą. Następnie wybrałem się na Kongres Biochemiczny do Caracas w Wenezueli, ponieważ mój przyjaciel Borys Drujan dyrektor Instytutu Venezolano de Investigaciones Cientificas zaprosił na własny koszt wszystkich przyjaciół od mikronurka Kartezjusza. Niewiele brakowało, abym nie mógł wziąć udziału w kongresie. Z mojego pokoju w instytucie, tuż przed wyjazdem do ambasady Wenezueli z prośbą o wizę, skradziono mi moją torbę, gdzie w tym dniu miałem paszport. Codziennie nie trzeba było mieć przy sobie paszportu. Wystarczyło tylko prawo jazdy, najważniejszy dokument w USA. Marysia Spatz poleciła natychmiast zablokować konto bankowe i zawiadomić policję. Sam złodziej jednak wpadł kupując na moje dokumenty telewizor kolorowy. Sprzedawca niezwykle sprytny spisał numer rejestracyjny jego wozu, ponieważ język klienta nie pasował mu do czeku z napisem dr Mieczysław Śmiałek. Ponadto kupował jeszcze żywność i podjął o dziwo z zablokowanego konta 500 \$. Prawdopodobnie złapano go po tygodniu przy próbie podjęcia kolejnej sumy 400 \$, ponieważ ten nie wykorzystany czek wraz z torbą oddali mi przedstawiciele FBI i CIA w instytucie. Wizę otrzymałem i wygłosiłem tezy mojej, leżącej w biurku pracy habilitacyjnej na temat oddychania komórkowego izolowanych neuronów w zatruciu tlenkiem węgla. Spotkałem tam prof. Andersa Hambergera z Goeteborga i prof. Miro Brzina z Lubljany. W Caracas nie było znaczących zabytków kultury indiańskiej. Ludzie żyli tam jak w raj, w dżungli, pełnej przeróżnych smakowitych owoców i nad oceanem Atlantyckim z mnóstwem ryb i krabów. W dusznym gorącym klimacie w niższych partiach gór można było wspaniale opalać się w temp. 15–30 stopni C. przez cały rok, co też czyniłem wraz z rodziną Drujanów w pięknym ośrodku wypoczynkowym podczas oczekiwania na lot do Bethesdy. Spotkałem w instytucie przypadkowo Polaka doc. Giriata, fizyka, opiekuna pracy magisterskiej mojej żony. Zaprosił mnie do siebie. Mieszkał na wzgórzu z pięknym widokiem na otaczające wzniesienia. Po raz pierwszy w jego ogrodzie zobaczyłem ogromne drzewo mango. Jego córeczka podarowała mi taki największy owoc. Niestety podczas kontroli w Miami na Florydzie zabrali mi go celnicy wraz z małym kwiatem pomarańczy urwanym z drzewa w Instytucie, który zlokalizowany jest w dżungli. Powrót z Caracas był komfortowy, ponieważ w ciągu mojego pobytu przez dziesięć dni ukończono budowę lotniska w La Guardia z klimatyzacją. Tam nad samym morzem duszność przerastała tę, jaka panowała w Maryland podczas letnich upałów.

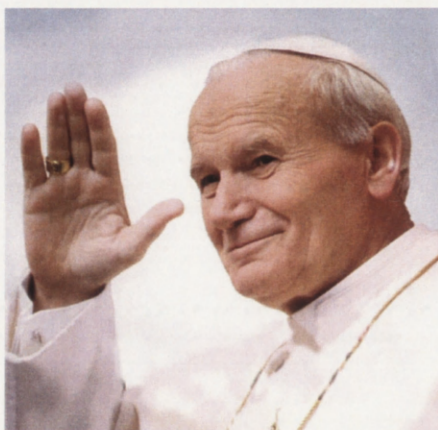
Zbliżał się powrót do kraju mojej żony z dziećmi. Mimo ponawianych propozycji pozostania w instytucie, nigdy nie myśleliśmy o emigracji. Tymczasem Joanna Woyciechowska postanowiła osiąść w USA. Zaprosiła nas na ślub z ekonomistą Johnem Jakajtysem z pochodzenia Litwinem. Przyjęcie weselne z obficie zastawionym stołem w stylu polskim miało akcenty zwyczajów lokalnych. Panna młoda w pewnym momencie siadła na niskim zydłu. Przed nią leżały wszystkie prezenty ślubne. Brała karty z życzeniami, a po przeczytaniu nazwiska gościa, demonstrowała wszystkim otrzymany prezent.

Zamówiłem dla rodziny bilety na rejs Batorym z Montrealu. Dzieci otrzymały znakomite cenzurki ze szkoły amerykańskiej i polskiej i pojechaliśmy do Montrealu. Po drodze obejrzelśmy wodospad Niagara. Przenocowałem jeszcze tylko na statku i pozostałem sam. W drodze powrotnej postanowiłem odwiedzić rodzinę siostry Marysi w Chicago. Późno w nocy dojechałem do Chicago. Przy małym ruchu ulicznym z trudnościami odnalazłem dom siostry. Przez trzy kolejne dni musiałem złożyć niesamowitą ilość wizyt licznej rodzinie szwagra Edzia. Niektóre osoby znałem z pobytu w Polsce. Pewnego razu odbierałem z lotniska na Okęciu Charlesa, czternastoletniego syna Helen, stryjecznej siostry mojego szwagra Edzia Dondzika. Pierwsze jego pytanie brzmiało - gdzie jest wychodek? Języka polskiego uczyła go babcia. Podczas przyjęcia Charles zwrócił moją uwagę na włosy swojego wujka, Turka. Okazało się, że włosy zostały w pięknych, równych rzędach transplantowane z niższych, owłosionych okolic głowy. U nas

tego typu zabiegi nie były znane. Z licznymi prezentami wracałem do Rockville. Dziwiło mnie, że siostra posiada dwie garderoby ubrań i ciągle kupuje nowe stroje. Na szczęście szwagier pracował w firmie Sears&Robak i miał ponad dwudziestoprocentową ulgę przy zakupach we własnej firmie. Najpiękniejszą polszczyzną mówiła Angielka, żona brata stryjecznego mojego szwagra.

Wcześniej zlikwidowałem mieszkanie w Rockville i zaprosili mnie do siebie do końca pobytu państwo Gabriel i Aurella Krężlewiczowie. Zmarł ojciec Aurelli. Małżeństwo mieszkało samo. U państwa Krężlewiczów byłem trzecim mieszkańcem w całym dużym domu. U Inki Ziemnowiczowej wynajmowało mieszkanie kilka osób. Stąd było łatwo pieszo dojść do NIH. Ale podczas upałów wygodniej było przejechać klimatyzowanym autem niż pocić się idąc w duchocie. Aurella przygotowywała dla mnie i Gabriela śniadanie i obiad. Byłem po prostu rozpieszczany. Gabriel to uroczy kumpel i nie pozwalał mi pomagać Aurelli. We troje mieliśmy okazję dyskutować i bawić się na częstych przyjęciach. Czułem się jak w najbliższej rodzinie. Zaprosiłem ich do siebie w Warszawie po powrocie do kraju.

Niespodziewana śmierć papieża Jana Pawła I przyniosła po konklawe ogromny entuzjazm i zainteresowanie Polską. Kardynał Karol Wojtyła został papieżem dnia 16 października 1978 roku. Następnego dnia na moim biurku stała biało czerwona flaga polska.



117. Papież Polak Jan Paweł II.

PIOTROWA NAWA

Płynie nawa polska niesiona żagle biało-czerwonym
 Na falach pól pszenicy, żyta i jęczmienia.
 Wżyna się w wyboiste bruzdy odłogów ludzkich słabości.
 Znaczą karty historii narodu istnienia
 Polskim styczniem, marcem, majem, sierpniem, październikiem, listopadem, grudniem,
 Naszą czarną nocą, złocistym południem,
 Miarą potęgi ducha, bezdennej małości.
 Podczas naszych zaduszek, czerwieni potopu
 Krzepiła słowem apostolskim wolności powrotu.
 Orzeł biały przeciwne wiatry skrzydłami łagodził.
 W szponach niesie księgę dziejów. Nadchodzi odnowa.
 Cały świat ujrzał żagle tej Piotrowej Łodzi,
 Poznał, jak prawdziwa jest nasza polska mowa.

Posypały się zaproszenia na przyjęcia „papieskie” i zapanował niebywały szal na punkcie naszego papieża, wśród wyznawców innych religii, w tym i Żydów. Opowiadano, że papież zna dwanaście języków, co dla Amerykanów jest czymś niezwykłym. Irlandczyk od doktora Webstera jako pierwszy urządził w piwiarni włoskiej przyjęcie z pizzą. Ciągłe otrzymywałem zaproszenia na przyjęcia papieskie. Polska była na topie. Nie opowiadano już żartów na temat Polaków. Czuję się jak członek wybranego narodu w wieku dwudziestym. Po kilku dniach znów Joe Walker powiadomił mnie, że Polak Singer mieszkający w USA zdobył nagrodę Nobla w dziedzinie literatury. Powiedziałem mu, że nie znam takiego pisarza. Oznajmił mi, że to jest Singer Paszkowski z Radzymina. Wtedy odpowiedziałem mu, że to niewątpliwie Polak, urodzony w pobliżu Warszawy. Jak się okazało jego utwory były wydane w języku jidisz. Później już odbywały się przyjęcia pożegnalne do 14 listopada. Pierwsze przyjęcie na 33 osoby z moimi kolegami z Instytutu i przyjaciółmi urządziła Aurella. Wszyscy goście a w szczególności Heiki Hervonen i Irlandczyk raczyli się polskim piwem Żywiec. Podziwiali wyborny smak „papieskiego” piwa. Sprzedano mi w sklepie w ambasadzie polskiej całą skrzynkę w związku z wyjazdem. Ponadto w bufecie wystawiono tylko polskie wódki zakupione w sklepie ambasady polskiej przy szesnastej ulicy. Cornelia, małżonka dr. Klatzo przepadała za żubrówką. Po licznych przyjęciach przemęczonemu Gabrielowi serce odmówiło posłuszeństwa. Dziwił się on, że znoszę ten maraton wizyt do późnych godzin nocnych. W przeddzień mojego wyjazdu, kiedy sprzedawałem już auto, powiadomiono mnie o rozprawie w Baltimore w sprawie kradzieży mojej torby. Przeprosiłem, że nie będę mógł uczestniczyć, ponieważ nie mam transportu i czasu. Właśnie referowaliśmy wyniki pracy mojej i doktora Cohna. Następnego dnia 15 listopada 1978 roku Aurella Krężlewiczowa i Zosia Grabińska odwiozły mnie na lotnisko.

2.11 Warszawa

Po powrocie stwierdziłem, że nie ma dla mnie miejsca w mojej pracowni. Niby byłem, ale już właściwie czuję się jak piąte koło u wozu. Nie byłem pewny co mnie czeka.

RZECZ

Stoję jak klepsydra w kuchni.

Rano przestawiają mnie o sto osiemdziesiąt stopni.

Mierzę czas gotowania jaj na miękko.

Ziarna piasku wolno spływają jak łakoma ślina.

Potrawy na cudzym stole budzą przykre myśli.

Źle jest być rzeczą.

Postanowiłem pracować po południu jako neurolog. Przez trzy miesiące zatrudniono mnie w Przychodni Rejonowej przy ul. Jagiellońskiej na Pradze. Atmosfera panowała tam przyjacielska. Pewnego wieczoru przed końcem pracy rejestratorka skierowała do mnie młodego pacjenta z bólami w okolicy lędźwiowej. Przypuszczała pewnie, że chory cierpi na bóle korzonkowe. Po badaniu stwierdziłem możliwość kamicy nerkowej. Przepisałem leki i badania moczu. Sądziłem, że dalsze leczenie należeć będzie do internistów. Po kilku dniach w stanie lepszym chory zgłosił się do mnie. Sugerowałem mu, aby po kolacji wypijał jedną butelkę piwa z powodu piasku nerkowego. Młody żonkoś poprosił mnie o pisemne zaświadczenie. Zmieniłem miejsce pracy po kilku miesiącach. Przyjęto mnie do Spółdzielni Lekarzy Specjalistów „Zdrowie”. Szef mój w instytucie nie krył niezadowolenia z powodu moich zajęć od godziny 16.00. Nie musiałem przecież tłumaczyć się, jak spędzam wolny czas po pracy.

DAR

Nie zdobyłem tego, co stanowiło największe pragnienie życia.

Nie przywdziałem szaty zaszczytów.

Posiadłem natomiast dar.

Wyrwałem odcisk spod palucha

I wymiotłem śmieci z kątów mojego domu.

Uzyskałem to, co wydawało się niemożliwe.

Za pieniądze oszczędzone w USA zakupiłem nowy samochód produkowany w Polsce „Polonez” i siedlisko wiejskie w Ciemnowku pod Ciechanowem. Ranczo w Ciemnowku, ze starą chałupą, oborą i stodołą stało się moim miejscem na ziemi.



118. Odpoczynek w Ciemnowku



119. Ciemnowko wiosną – wnukowie Piotruś i Michałek Ostrowscy



120. *Opinogóra – na ławeczce wiecznej miłości siedzą Maria i Mieczysław Śmiałkowie z wnuczętami, Magdalenką, Wojtusiem i Zosią Śmiałkami*

Wrosłem w ten mały skrawek gruntu Ciechanowskiego Mazowsza. Pokochałem go tak samo jak Nieszawę, Retki, Łowicz i Warszawę. W Warszawie rodzice posiadali trzy nieruchomości. Na starówce, przy ulicach Bugaj 17, Brzozowej 20 i Kamienne Schodki 2 byli współwłaścicielami trzech domów. Ponadto mieli domy przy ulicy Byczyńskiej 22 i przy ulicy Augustyna Kordeckiego 4. Jedyne ten ostatni dom rodziców ocalał podczas drugiej wojny światowej i powstania warszawskiego. Nikt z rodziny nie mógł w nim zamieszkać. Podczas studiów w Akademii Medycznej w Warszawie mieszkalem w domu akademickim na Jelonkach. Wszystkie nieruchomości warszawskie dekretem Bieruta z października 1945 zostały znacjonalizowane, a domy objęte przez tak zwany kwaterunek. Podczas pobytu mojej rodziny w USA w sierpniu 1977 roku dom na ulicy Kordeckiego częściowo spłonął. Ocalał mały budynek oficyny, gdzie mieszkała nasza administratorka. Daremnie starałem się o pozwolenie na odbudowę zniszczonego obiektu. W tym czasie zostali doktorami habilitowanymi Hala Krohowa, Malina Ostenda, Andrzej Kapuściński, a nawet Zbyszek Rap. Maryla Sikorska obroniła pracę doktorską. Promotorem jej był p. prof. Mossakowski. Wyjechała do Kanady na długoterminowe stypendium. Nie wykazywałem chęci odejścia z pracy. Kiedyś przysięgaliśmy sobie z profesorem, że do końca będziemy pracować razem. Wreszcie pan profesor polecił mi zaktualizować literaturę w mojej pracy. Te zmiany wzbogaciły jeszcze część poświęconą wartości uzyskanych wyników. Wezwał mnie na poważną rozmowę w sprawie mojej pracy habilitacyjnej w biurze dyrektora, co źle wróżyło. Stwierdził, że moja praca na temat oddychania komórkowego izolowanych neuronów jest za stara. Uzupełniłem ją jednak przecież nowymi doniesieniami z literatury zdobytej w Bethesda. Odpowiedziałem tylko, że ma rację, ponieważ przeleżała u niego w biurku cztery lata i wyszedłem. Pewnie szef nie miał do tej pory czasu na przeczytanie mojej pracy. Po dwóch godzinach wezwał mnie do gabinetu w Zakładzie. Spodziewałem się wymówienia z pracy. Tymczasem łagodnie oznajmił, że należy jeszcze przemyśleć pewne niejasne problemy i pracę przyjąć. Szybko miałem kolokwium habilitacyjne i w początku marca zatwierdzenie przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną, niezwykle groźnego recenzenta. Superrecenzent mojej pracy na temat „Aktywność oddechowa izolowanych neuronów ośrodkowego układu nerwowego przy zastosowaniu mikronurka Kartezjusza w następstwie zatrucia u szczura tlenkiem węgla” prof. Gibiński przysłał swoją asystentkę do mojej pracowni, ponieważ zainteresowały go badania oddychania komórkowego izolowanych, pojedynczych neuronów. Niestety ze względu na małą aktywność enzymów cyklu kwasów trójkarboksylowych i glikolizy beztlenowej w komórkach tłuszczowych metoda ampułkowego mikronurka Kartezjusza nie mogła mieć zastosowania w temacie pani doktor. Starania moje o zakup aparatu mikronurka magnetycznego o wyższej czułości spełzły na niczym. Poznałem to urządzenie u prof. Miro Brzina w Instytucie Fizjologii w Lublaniu w Słowenii. Mimo braku warunków do pracy, z moją laborantką Teresą Bok wykonaliśmy doświadczalne badania na nowym modelu choroby Parkinsona z chlorkiem manganu. Wyniki okazały się niezwykle interesujące. Pokazałem uzyskany materiał. Pan profesor się za-

chwycił i tematyka ta przez następnych kilka lat była opracowywana w instytucie. Niestety bardzo miło oświadczył mi, że powinienem teraz robić coś więcej. Jako klinicyście neurologowi i neuropatologowi oraz neurochemikowi szef polecił mi organizowanie pracowni neurochemii klinicznej przy Klinice Neurologicznej II Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej u prof. Hanny Jędrzejowskiej. Nie miałem wyjścia. Musiałem zaczynać wszystko od początku bez pracowni i personelu naukowego. W mojej pracowni przy Dworkowej nawet nie miałem kawałka podłogi. Mogłem tylko z Krysią Wierzbicką, znakomitą laborantką zorganizować tak zwaną pracownię badania płynu mózgowo-rdzeniowego w Klinice Neurologicznej II Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Warszawie.

W czasie tych moich kłopotów naukowych wielką radością było powstanie ruchu „Solidarność”.

KONCERT POLSKICH DZWONÓW

Dziś w całej Polsce biją wszystkie dzwony,
Aby Trzeci Maja został uświęcony.
Głos dzwonów potężny to narodu wołanie.
Dzięki Ci Panie! Dzięki Ci Panie.

Rozkołysały się w Gdańsku, gdzie naród wymościł
Niezlomną walką kolebkę dla Solidarności.
Groźnie zabrzmiały po góry, z bliska i z daleka.
Pragniemy wolności i praw dla człowieka.

Melodia dzwonów wybuchła całą siłą, wrzawą
Nad Żoliborzem, Starówką i całą Warszawą.
Choć słyhać i fałszywe tony, tworzy całość.
Daj nam wytrwałość ! Daj nam wytrwałość !

W tym koncercie nie ginie nawet głosik maleńkiego dzwonka,
Który brzmi, jak trel słowika, czy też śpiew skowronka,
Wrzask dzikiej gęsi, miauczenie bezdomnego kota,
Albo szczekanie psa, upominającego pana z życzliwością.
Cieszymy się wielością ! Cieszymy się wielością !

Dzwon księdza Jerzego z Żoliborza głosi,
Że siła ducha potężniejsza nic przemoc oręza.
Mówi, błaga, prosi.
Zło dobrem zwyciężaj ! Zło dobrem zwyciężaj !

Dzwon Zygmunta z Wawelu głosi nasze dzieje.
Wicher potężny w całym kraju wieje.
Niesie, jak w konfesjonale spowiednika rady.
Opanujmy wady ! Opanujmy wady !

Kiedy tak dźwięczą nasze polskie dzwony,
Naród marzeniem wolności silny, zjednoczony
Wznosi potężne do niebios błaganie.
Demokrację daj nam wszechmogący Panie.

Mózgów potęgą wzbogacać ją będziemy stale,
Aby człowiek nie miał żadnych skarg tu wcale,
Aby prawo świadczyło, że jest to prawdziwe słowo.
Nauczmy się żyć po ludzku, bez sprzeczek na nowo.

Aby postęp niosła praca w jej codziennym trudzie.
Nauczmy się żyć w demokracji po wolności cudzie.
Pokochajmy ludzi, jak rodzonych braci.
Uczmy się demokracji ! Uczmy się demokracji !

(Wiersz ten napisałem na wznowioną po ponad półwieczu uroczystość Konstytucji 3-ego Maja w Łazienkach Królewskich)

Wystarczył jeden dzień po wiadomościach z Gdańska o strajku w stoczni i natychmiast utworzyliśmy w naszym instytucie Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność „, w miejsce ZNP Związku Nauczycielstwa Polskiego. Znalazłem się wśród dziesięciu osób Komisji Zakładowej. Około 90% pracowników zapisało się do nowego związku. Każdy jak to zwykle bywa miał swoje zdanie. Pracowaliśmy i cieszyliśmy się. Mną zaczęły się interesować służby specjalne zarzucając mi znajomość z panem Stanisławem Bańczykiem. Polskie Stronnictwo Ludowe na emigracji znalazło się na indeksie. U nas działało ZSL czyli Zjednoczone Stronnictwo Ludowe po wyjeździe premiera Stanisława Mikołajczyka z kraju. Tajny wyjazd pana Bańczyka z rodziną załatwiony został odgórnie do Szwecji a następnie do USA. To moje przypadkowe spotkanie z p. Bańczykiem przysporzyło tyle pracy naszym służbom. Byłem w ciągu siedmiu miesięcy dokładnie, ale na próżno prześwietlany. Nie internowano mnie 13 grudnia 1981 roku. Nasza Komisja Zakładowa ocalała. Doc. Krystynę Herbaczyńską – Cedro przewodniczącą Związku wysłano do Wielkiej Brytanii służbowo, dr Jarde Wróblewskiego vice- przewodniczącego do USA. Rządził więc drugi vice- przewodniczący, który wydawało nam się nie z własnej woli wstąpił do Solidarności. Wszystkie nasze petycje wrzucane pewnie były do kosza. Jesteśmy niemal pewni, że nasz p. dyrektor prof. Mossakowski wybronił nas przed internowaniem. Posiadał bowiem uznanie w najwyższych sferach tamtych czasów. Zawsze starał się, aby u niego w Instytucie, w miejscu jego pracy nic się złego nie stało. Można powiedzieć, że w cudowny sposób ocaliliśmy podczas stanu wojennego.

W tym czasie czyniłem też starania o uruchomienie pracowni neurochemii klinicznej, gdzie byłaby możliwość rozwijania badań doświadczalnych. W tych trudnych czasach trzeba było wiele zaparcia. Wszystkiego zaczęło brakować. Nie tylko opustoszały półki w sklepach, ale również były trudności ze zdobyciem odczynników, leków, a nawet papieru na druk naszego kwartalnika Neuropatologia Polska. Na szczęście mój kolega ze studiów prof. S. Witold Gumułka miał stanowisko dyrektora Instytutu Fizjologii i Katedrę Farmakodynamiki Wydziału Farmaceutycznego AM. Ostatecznie otrzymałem pomieszczenia dla mojej pracowni w lokalu Farmakologii Klinicznej i Doświadczalnej I Wydziału AM w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu w dawnej Szkole doc. Zaorskiego. Tam wspólnie z naukowcami tych dwóch za-

kładów i kliniki szybko i efektywnie ruszyliśmy z badaniami, choć miałem niezłe podcięte skrzydła. Szczęśliwie nie naruszona była mocno moja psychika. Rozumiałem, że muszę przetrwać. Rosły skrzydła do pracy naukowej wraz z nadzieją zmian i wolności zdobywanej przez NSZZ Solidarność. Pod koniec roku 1981 wyjechałem na krótkoterminowy staż w Instytucie Farmakologii prof. Oleha Hornykiewicza i w Instytucie badań schorzeń układu pozapiramidowego prof. Jellingera w Wiedniu. Doznałem niezwyklej serdeczności od Austriaków. Oni też wiedzieli do roku 1950 jak wygląda ubezwłasnowolnienie narodu przez system bolszewicki. Codziennie byłem zapraszany na obiady do eleganckich restauracji wiedeńskich. Wreszcie 06.12.1981 wyleciałem do Warszawy z walizką czekolad, słodyczy i cytrusów oraz innych delikcji świątecznych, o których w Polsce nie można było marzyć. Celnicy na Okęciu nie kwestionowali nadmiaru tych wiktuałów. Na półkach sklepowych stał tylko ocet a w sklepach z wędliną na kartki - ochłapy wieprzowiny i kości. Wigilia i Święta Bożego Narodzenia 1981 mimo tylu smakołyków przeszły w wielkim smutku. Tutaj przy Krakowskim Przedmieściu w centrum wszelkich demonstracji zaskoczył nas stan wojenny 13 grudnia 1981 roku. W naszym instytucie nikogo nie internowano. Przeżyliśmy, głośno protestując na ulicy, pacyfikację zakładów Polskiej Akademii Nauk w pałacu Staszica. Tutaj wielokrotnie płakaliśmy z powodu dużego stężenia gazów łzawiących na zamkniętym terenie uniwersytetu. ZOMO czasami w pogoni za demonstrantami, nie bacząc na eksterytorialność uczelni wpadało na dziedziniec. Pewnego razu jeden z pracowników z powodu uczulenia nie mógł znieść dużego, długo trwającego stężenia gazu. Szczęśliwie został wypuszczony z terenu uniwersytetu i spokojnie oddychał w swoim mieszkaniu przy placu Konstytucji. Demonstranci przemieścili się w tamten rejon. Nagle raca wpadła na jego balkon i ponownie gaz go dusił, a łzy utrudniały oddech. Następnego dnia mieliśmy ubaw - trzeci akt sztuki „Łzy”, kiedy opowiadał nam o swoim płaczu. Śmiertelnie pobity został przez ZOMO przy Krakowskim Przedmieściu bliski kuzyn Tereski Bok, 33-letni pan Stanisław Królik, pracownik sklepu fotograficznego przy ulicy Świętokrzyskiej. Pękła mu czaszka od skroni przez potylicę do skroni po przeciwnej stronie. Nie udało się go uratować w klinice u mojego kolegi prof. Krzysztofa Bieleckiego. Zostawił żonę i troje dzieci. Takich mordów dokonanych przez ZOMO i skrytych przez UB było wiele, może około stu. To niemal dotąd jest temat tabu. Była skrytobójcza śmierć, a nie ma wciąż winnych.

Mimo ciągłego zamieszania młodzież aktywnie pracowała. Dr Marek Kittel obronił pracę doktorską na temat wpływu ołowiu na oddychanie neuronów. Pomagałem mu wspólnie z moją laborantką Tereską Bok, znającą tajniki metody mikronurka Kartezjusza. Mgr Teresa Bugera i mgr Barbara Kosicka prowadziły badania nad zespołami pozapiramidowymi w następstwie zatrucia manganem i kobaltem. Tereska Bugera uzyskała zespół parkinsonowski u szczurów zatrutych solami kobaltu i wykonała piękną dokumentację filmową oraz neurochemiczną. Szkoda, że mimo ciekawego materiału nie obroniła pracy. Postawiła na rodzinę i czwórkę dorodnych dzieci. Dr Marek Kittel, p. doc. Ewa Vidy – Tyszkiewicz, mgr Małgorzata Sasinowska i zespół Kliniki Neurologicznej z naszym zespołem pracownianym realizowali przez kilkanaście lat temat „Wpływ endo i egzogennych substancji neurotoksycznych na układ nerwowy”.

Dzieci rozpoczęły studia - Michał na Wydziale Elektroniki P.W, a Joasia w Akademii Sztuk Pięknych na Wydziale Architektury Wnętrz. Michał po grze w klubie Polonia Warszawa zbierał laury jako bramkarz. Podczas turnieju w De Venter w Holandii drużyna AZS Politechniki Warszawskiej zdobyła puchar przechodni, a Michał nagrodę dla najlepszego bramkarza. Obronił w ważnych momentach meczów z drużynami Francji i Holandii rzuty karne. Po studiach proponowano Michałowi powrót do klubu Polonii Warszawa.

Joasia od piątej klasy szkoły podstawowej jeździła konno. Podobnie jak dziadek Stanisław Śmiałek kocha konie. Zdobyla nawet licencję instruktora jeździectwa. Myślałem, że Joasia zajmie się hipoterapią, w Wildze została zatrudniona do leczenia i rehabilitacji dzieci niepełnosprawnych z porażeniem dziecięcym i chorych na stwardnienie rozsiane. Natychmiast po stu-

diach pracowała jako grafik komputerowy w firmie amerykańsko -polskiej, a następnie jako projektant wnętrz.



121. Joasia wśród koni

W tym czasie w marcu 1988 roku spłonęła oficyna przy ulicy Kordeckiego 4. Lokatorzy otrzymali lokale zastępcze, a mojej mamie pozwolono formalnie przepisać wieczystą dzierżawę działki na mnie. Na szczęście rodzice wpłacili po nacjonalizacji kilka tysięcy złotych na uzyskanie prawa do wieczystej dzierżawy ich własnego placu. Otrzymałem pozwolenie na budowę domku jednorodzinny. Oddałem czteropokojowe mieszkanie na Żoliborzu przy ulicy Mickiewicza 66 synowi Michałowi. Jako sublokator syna miałem prawo starać się o budowę. Trudności były ogromne. Właściwie prywatnie nie sposób było kupić cokolwiek z materiałów budowlanych i wyposażenia wnętrza. Niestety wszyscy starali się wszystko załatwić przez różne powiązania towarzyskie i rodzinne. Inflacja szalała. Nawet trudno było znaleźć odpowiednich fachowców. Każda ekipa budowlanców piła i kradła. Dopiero szósty zespół położył papę na dach. Dom wprawdzie nie całkowicie wykończony został oddany do użytku w roku 1993. Zamieszkał w nim po ślubie syn Michał z synową Grażynką.



122. Grażyna z Jakubowskich i Michał małż. Śmiałkowie

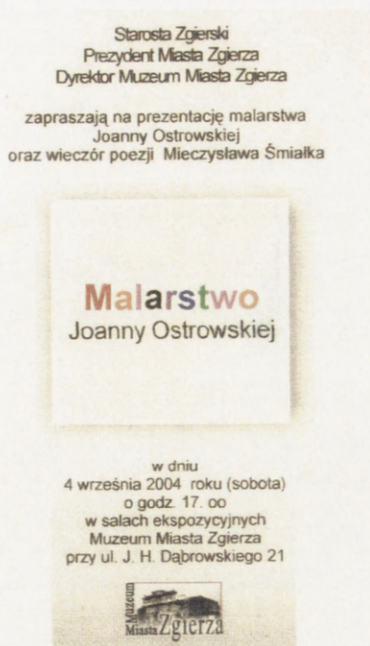
Po jako takim wykończeniu domu, w roku 1995 zamieszkałem przy ulicy Kordeckiego z żoną i córką Joasią oraz z zięciem Arturem. Michał przeniósł się do swojego mieszkania na Żoliborzu.



123. Joanna Maria z d. Śmiałek i Artur Mieczysław małż. Ostrowscy



124. Wernisaż malarstwa Joanny Ostrowskiej w Warszawie - (przyjaciół rodziny p. Kazimierz Dzienia - foto p. Teresa Dzienia).



125. Malarstwo Joanny Ostrowskiej w Muzeum Miasta Zgierza

Przestałem pracować w Spółdzielni Lekarskiej Zdrowie i otworzyłem gabinet lekarski w swoim domu zgodnie z obowiązującymi przepisami. Na szczęście powoli następowała transformacja ustrojowa. Myślałem z radością, że duch Solidarności przetrwa i da wzorzec światu, jak powinna wyglądać sprawiedliwość społeczna i wolność narodów. Pisałem wiersze patriotyczne. Zapisałem się do Stowarzyszenia Miłośników Tradycji Mazurka Dąbrowskiego. Początkowo wierzyłem, że potrafimy stworzyć nowy, lepszy ustrój. Zgubiły nas niestety jak zwykle partykularyzm, prywatna i niszczące wszystko kłótnie.



126. Wnukowie – Piotruś i Michalek Ostrowscy i Magdalenka Śmiałek

Okres po zniesieniu stanu wojennego okazał się czasem ogromnego zastoju w gospodarce. Ludziom opadły ręce. Inflacja i straszna bieda przyczyniła się do powstania wielkiej grupy bezdomnych, głodnych i chorych nie mających dostatecznej pomocy.

RZECZYWISTOŚĆ

Gorące serca, umysł się pali.

Ogromni duchem, a tacy mali.

Przyśpieszamy obrót ziemskiej orbity

Choć we własnym domu dach niepokryty,
Zakład prywatą sprywatyzowany.
Pozostały tylko gołe, brudne ściany.
Pilnuje go wierny pies kulawy,
Szukający porzuconych, nędznych resztek stawy.
Gdzie tu jest człowiek? Woła głos rozpaczy.
Czy nam to wszystko historia wybaczy?
Biura piękniejsze, w nich komputery,
Ludzie w garniturach z najwyższej sfery.
Handel pleni się na ulicach, stadionach, placach.
Raczkuje zaledwie średnia polska klasa.
Wspomnij Polaku na Skargi kazanie.
Niech praca twórcza programem się stanie.
Niech nas uskrzydla Mickiewicza ody.
Czas postępu wymaga mądrości i powszechnej zgody.

Matka Teresa z Kalkuty uzyskała przy ulicy Grochowskiej nieco pomieszczeń i mały barak dla prowadzenia swojej działalności charytatywnej. Postanowiłem zostać wolontariuszem. Poświęcałem na ten cel każde środowe popołudnie. Siostry posiadały leki z zachodniej Europy i z USA. Znając języki mogliśmy ordynować cenne medykamenty chorym, biednym i bezdomnym w potrzebie. Mnie pomagała w pracy siostra Emeralda, Hinduska. W tym czasie w Warszawie pracowały siostry z różnych krajów świata od Ameryki Południowej po dalekie krańce półkuli północnej. Te kilka lat pracy dla ludzi opuszczonych i bezradnych dało mi wielką satysfakcję. Siostry wykonywały tę pracę z prawdziwą pokorą i miłością dla tych biednych ludzi. Kiedy w okresach świątecznych przygotowywały paczki, lekarzom również ofiarowywały swoje skromne dary. Przyniosłem do domu paczuszkę. Sądziłem, że otrzymałem dwie tabliczki czekolady i serek okrągły. Ku mojemu zdziwieniu i rodziny okazało się, że był to kilogramowy bursztyn na oprawie drewnianej. Siostra Emeralda nie pozwoliła mi go zwrócić. Przez tę wspólną pracę staliśmy się taką małą rodziną. Siostry przybyły na ślub mojej córki Joanny. Ksiądz Krzysztof Lis zaprosił mnie do prokatedry na uroczystość jego święceń kapłańskich. Brałem również dwukrotnie udział w ślubach zakonnych siostr, na które przybyła święta Matka Teresa z Kalkuty. Pamiętam dotąd uścisk jej delikatnej dłoni.



127. W rodzinnym gronie z wnucętami

Moja doktorantka Basia Kosicka obroniła pracę doktorską w Akademii Medycznej w Warszawie.



128. Doc. dr hab. n. med. Mieczysław Śmiałek i dr med. Barbara Kosicka

Pozyskałem dwóch młodych lekarzy medycyny: Roberta P. Ostrowskiego i Piotra C. Piotrowskiego. Okazali się niezwykle mądrymi i aktywnymi asystentami. Otwarty został nowy budynek Instytutu Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej PAN przy ul. Pawińskiego 5. Pragnę tu zaznaczyć, że byłem przyjmowany jako młody doktorant do powstającego Instytutu Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej w roku 1963. Tymczasem pod koniec XX wieku na kilka lat przed emeryturą miałem szczęście doczekać się nowoczesnej, neurochemicznej pracowni przy Pawińskiego 5. Robert i Piotr obronili prace doktorskie w 2001 i 2002 roku wraz z moim odejściem na emeryturę, w rok po śmierci mojego szefa, z którym pracowałem od początku w Instytucie. Msza święta żałobna odprawiona została u sióstr Wizytek z udziałem ks. biskupa Dusia a ostatnia droga odbyła się na Wojskowe Powązki do miejsca w Alei Zasłużonych. Pamięci mojego znakomitego szefa prof. M.J. Mossakowskiego poświęciłem dwa utwory poetyckie napisane podczas jego choroby „Ludzkie sumienie” i „Ostatni rachunek sumienia”. Na wieczorze poetyckim w mojej szkole, w pięknej barokowej sali byłego Kolegium oo. Pijarów w Łowiczu, obecnie filii Muzeum Narodowego przedstawiłem je zebranym.



129. Sala barokowa filii Muzeum Narodowego w Łowiczu - czytają M. Śmiałek i Paulina Niebudek

OSTATNI RACHUNEK SUMIENIA

Znalazłem się w tunelu.
Oddalam się od początku.
Jak księżyc w czerni nocy
Błyszczą świetlisty krąg przełomu.
Przejrzałem się w lustrze prawdy.
Rozwiązałem wszystkie najtrudniejsze równania.
Wyspowiadałem się przed sobą z mojego życia.
Uwolniony zostałem od tego,
Co za wiele znaczyło.
Skazy i czarne plamy kryształu ciała
Zmyła skrucha ostatniej chwili.
Spokojnie spieszę na spotkanie z przeznaczeniem.
Dotarłem do końca i do początku nieskończoności.
Pozostaję wolny od skorupy nieskrępowanej woli.
Unoszę się lekko w nieustającym tańcu obcowania w zbiorowej radości.

Choć podczas życia naszego szefa, dyrektora i prezesa PAN mieliśmy ogromne możliwości działania, jednak zabrakło systematycznego wychowywania zdolnych neuropatologów. Dla neuropatologii nadchodził zły czas po okresie znanego i w innych dziedzinach życia tak zwanego kultu jednostki.

W naszym Zakładzie od lat panował zwyczaj organizowania imprez artystycznych w przypadku częstych obron prac doktorskich, habilitacji, świąt i innych okazji. Pisanie wierszy należało niemal do obowiązku. Mieliśmy również zespół, coś w rodzaju kabaretu z poezją śpiewaną i satyrą. Kiedy w roku 1983 dla pokrzepienia narodu powstało Stowarzyszenie Miłośników Tradycji Mazurka Dąbrowskiego zaczęliśmy tworzyć wiersze patriotyczne. Inicjatorem i twórcą tego patriotycznego związku był p. inż. Tadeusz Kamiński, a po jego śmierci działali – jego małżonka p. Antonina Kamińska i mgr Zbigniew Nosek. Była to wielka akcja patriotyczna, podtrzymująca ducha po traumie wywołanej tak zwaną wojną „jaruzelską”. Organizowaliśmy spotkania dzieci i młodzieży polskiej z rówieśnikami z Polonii na całym świecie. Czuliśmy potrzebę krzepienia serc dzieci i młodzieży byłych republik ZSRR i krajów obozu socjalistycznego. Urządzaliśmy corocznie zloty młodzieży.

TĘSKNOTA

Polsko! Matko nasza! Czemuś tak daleko?
Wyssaliśmy z piersi przecież polskie mleko.
Oderwano nas siłą od ciała naszej Rodzicielki.
W poniewierce, bólu, pośród cierpień wszelkich,
serca nasze ciepła Twego i rodzinnej mowy
głodne były jak chleba. I Twojej odnowy.
„Jeszcze Polska nie zginęła” – pieśń wciąż w uszach brzmiała.
Polsko! Matko nasza! Wreszcie zmartwychwstałaś!
Czy już Twoich dzieci dziś nie rozpoznajesz?
Co od lat już tylu za swym tęsknią krajem?
Czy nas Twoje serce kochać już nie może?

Tylko nam zostało zmiłowanie Boże?
Dzieci! Jak Niobe stałam i w rozpaczę cała.
I nad waszym losem jam tylko płakała.
Człowiek tak mało znaczył na nieludzkiej ziemi.
Boża i ludzka pomoc zły wasz los odmieni.
Przecież wy moje dzieci, wy z mojego łona.
Na was tu czekają dziś rodzinne strony.
Krew moja na czołach waszych wypisała słowo POLSKA!

(Wiersz napisałem w Krakowie 13.10 1993 roku podczas zlotu młodzieży polskiej z krajów byłego ZSRR)

Władze ówczesne niosły pomoc. W okresie, kiedy marszałkiem senatu był p. dr Struzik, w trudnych sytuacjach finansował i wspierał Stowarzyszenie w jego działalności. Sam był wychowankiem Liceum Ogólnokształcącego im. Generała Henryka Jana Dąbrowskiego w Kutnie. Młodzież zwiedzała Polskę. Miała kontakty z naszymi uczniami ze szkół im. generała J. Wybickiego oraz generała H. J. Dąbrowskiego. Pisałem wtedy wiele wierszy o problemach naszej demokratycznej transformacji. Wydrukowałem dwa wydania tomiku „Z Martwych Powstała”, które również były rozpowszechniane wśród młodzieży polonijnej. W dwusetną rocznicę powstania Mazurka Dąbrowskiego za pracę kulturalną wśród młodzieży polonijnej i wydany tomik wierszy patriotycznych zostałem odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Każdy utwór był poprzedzony aforyzmem. Zacytuję niektóre z nich: „Demokracja i totalitaryzm jak z miłości siostry do brata przydzieliły sobie po połowie świata. Prywatyzacja nasz kraj w raj zamieni, bo społeczne pieniądze będą w prywatnej kieszeni. Ojczyzna? Gdzie jest ona? Tam, gdzie mamona. Za wspólnie krew przelaną oto jest zapłata cała - kopniak w pewną część ciała. Czy ożyje to, co umarło? Mam dylemat świeży. Już wiem. Komuna zmartwychwstanie, gdy w Boga uwierzy”. Szefowi naszego Stowarzyszenia Zbyszkowi Noskowi przyznano Order Orła Białego. O mojej poetyckiej działalności rozmawiałem z kolegą, znanym neuropatologiem, prof. dr hab. n. med. Józefem Kałużą z Krakowa, znał grupę członków Unii Polskich Pisarzy Lekarzy i zachęcił mnie do zapisania się. W roku 2000 przyjęto mnie w charakterze członka i już w tym samym roku podczas Kongresu Międzynarodowej Unii Pisarzy Lekarzy przedstawiłem moje cztery poematy.



130. Spotkanie autorskie z uczniami mojej szkoły Ćwiczeniówki w Łowiczu



131. Spektakl poetycki – Kawiarnia Pod Lipą – Życie Moje

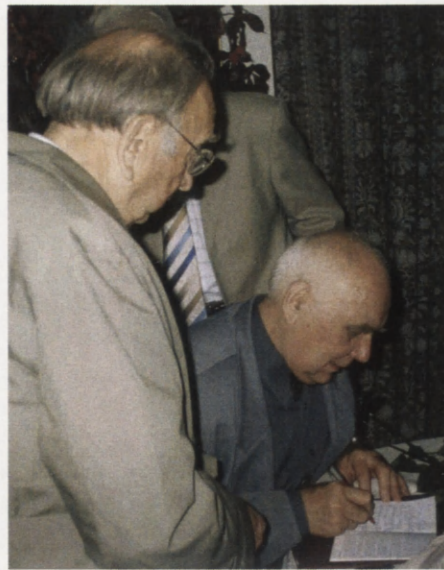
Później kilkakrotnie zyskałem uznanie wśród krytyków literackich w organizowanych konkursach. Kasia Niebudek, uczennica klasy VI Szkoły Podstawowej Nr 4 im. Marii Konopnickiej w Łowiczu podczas konkursu literackiego wygłosiła mój wiersz pod tytułem „Ludzkie sumienie” z tomiku „Ludzka jaźń” i zdobyła pierwszą nagrodę. Jury konkursu zainteresowało się moją twórczością. Okazało się, że Kasia była uczennicą szkoły łowickiej, której byłem wychowankiem. Zaproszono mnie na piękne spotkanie autorskie – „Nietyпова lekcja języka polskiego”.

Miałem również spotkania autorskie w moim mieście Łowiczu w sali barokowej Oddziału Muzeum Narodowego oraz w moim Liceum Ogólnokształcącym im. Józefa Chełmońskiego w Łowiczu.



132. Zjazd UPPL w Śremie k/Poznania

W roku 2003 zdobyłem II nagrodę za utwór „Macierzyństwo” w Wielkopolskim Konkursie Literackim pod hasłem „Syberia symbol walki i cierpienia, wiary i nadziei Polaków”, w roku 2005 wyróżniony zostałem statuetką za wybitne osiągnięcia w dziedzinie poezji w 2005 roku przez Okręgową Izbę Lekarską w Warszawie, w roku 2007 wyróżnienie w Konkursie Poetyckim dla Lekarzy i w roku 2008 III miejsce w Konkursie Prozatorskim organizowanym przez Okręgową Izbę Lekarską w Warszawie.



133. Dedykacje w tomikach podczas Sympozjum UPPL w Ciechocinku w galerii Pod Dachem Nieba

Krytyk i konsultant literacki p. Jan Zdzisław Brudnicki zachęcił mnie do działania w Centrum Promocji Kultury na Pradze Południe. Moja żona Marysia, która towarzyszyła mi we wszystkich wyjazdowych sympozjach poetyckich i we wszystkich spotkaniach z poezją, w pewnym momencie również zaczęła pisać wiersze. Nawet została laureatką konkursu CPK. Jej poezja jest oczywiście zupełnie inna niż moja – tematyka i sposób pisania, ale wspólnie organizujemy wieczory poetyckie, spotkania z poezją i muzyką. Tomik wierszy mojej żony „Może i na pewno” zauważył wybitny muzyk i kompozytor, Roman Ziemiański. Taki był początek naszej przyjaźni i wspólnej pracy, w wyniku której została wydana płyta z nastrojowymi balladami „Wiersze nutami pisane” Marii i Mieczysława Śmiałków. Gra i śpiewa Roman Ziemiański, śpiewa znana aktorka i piosenkarka Aleksandra Jankowska.



134. Maria Śmiałek recytuje wiersze podczas Biesiady Literackiej UPPL w Łodzi

W Centrum Promocji Kultury organizujemy wieczory poetyckie, często na rzecz Fundacji Latająca Akademia na pomoc w integracji dzieci autystycznych i niepełnosprawnych. Człowiek zwyczajny – niezwykły p. prof. Elżbieta Małanicz – Onoszek leczy dzieci muzyką. Kilkoro z jej wychowanków nie tylko pod wpływem muzyki zaczęło mówić i kontaktować się ze światem zewnętrznym, ale śpiewa, gra na koncertach w Polsce i poza granicami kraju, uzyskując nagrody.



135. Biesiada Literacka UPPL w Łodzi – od lewej dr. Joanna Czajkowska – Śląsko, dr Aldona Kraus, dr Bożena Klejny i prof. Mieczysław Śmiałek



136. Płyta „Wiersze nutami pisane” Marii i Mieczysława Śmiałków, muzyka Romana Ziemiańskiego

Maria Śmiałek

MOŻESZ JESZCZE RAZ ZATAŃCZYĆ - ballada

W zakurzonej świata sali
Drepce życie drobnym krokiem.
Błądny ogień gdzieś w oddali,
bliżej wyjścia z każdym rokiem.
Możesz jeszcze raz zatańczyć
i nie liczyć chwil do końca.
Sok z wyschniętych pomarańczy
zmieszać razem z garstką słońca.
Czas uśmiechem przyprawiony
podać w sewskich filiżankach,
Wtedy dzisiaj słodkie tony
gra na jutra sennych rankach.
Na szcerstwiałym życia chlebie
radość grubo posmarować.
Nie oglądać się za siebie.
Myśli w piękne ubrać słowa.

Podczas pracy w Zakładzie Neuropatologii Instytutu Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej Polskiej Akademii Nauk w Warszawie opublikowałem w czasopismach zagranicznych i krajowych oraz zjazdowych 155 prac naukowych. Otrzymałem trzy nagrody od Sekretarza Naukowego PAN oraz dwie od Stowarzyszenia Neuropatologów Polskich, którego byłem członkiem założycielem i sekretarzem. Ponadto działałem w zagranicznych stowarzyszeniach i towarzystwach naukowych: Polskiego Towarzystwa Biochemicznego, European Society of Neurochemistry, International Society of Neuropathology i Polskiego Towarzystwa Badań Układu Nerwowego.

Wkrótce po przejściu na emeryturę Rektor Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego w roku 2003 zaproponował mi prowadzenie przez pięć lat szkolenia podyplomowego dla farmaceutów w dwóch tematach : a. Postępy w leczeniu chorób neurodegeneracyjnych, b. Postępy w leczeniu innych schorzeń układu nerwowego.

Po śmierci prof. Mirosława Mossakowskiego rozpocząłem starania o nadanie mi tytułu profesora. Nowy dyrektor prof. Zbigniew Czernicki, neurochirurg nie znał wyników mojej pracy naukowej. Dlatego zgodnie z ustawą o nadawaniu tytułów naukowych poprosiłem troje profesorów, wybitnych neuropatologów: Halinę Kroh, Jerzego Kulczyckiego i Jerzego Dymckiego o opinię. Długo proces nie mógł ruszyć z miejsca. Brak było pełnego składu Rady Naukowej Instytutu. Później czekano na zmianę ustawy o nadawaniu stopni i tytułów naukowych. Okazało się wreszcie, gdy zwołano radę, w roku 2003 do wyznaczonych recenzentów wysłano mój dorobek naukowy tylko do roku 1994. Wyglądało na to, że przez ostatnie dziewięć lat pracy nic nie publikowałem. W tym czasie weszła zasada liczenia punktów za pracę naukowe według tak zwanej nomenklatury filadelfijskiej. Twierdzono, że mam mało punktów. Pracowałem bowiem przez 35 lat, kiedy nie obowiązywał ten warunek, a ostatnich moich prac nie zgłoszono recenzentom (z okresu działania zmienionych zasad liczenia punktów). Okazało się, że wraz z koniecznością stosowania przepisów filadelfijskich nasz kwartalnik Neuropatologia Polska został włączony (po zmianie nazwy na Folia Neuropathologica) do czasopism punktowanych. Kiedy odnalazły się moje artykuły do 2002 roku i zwiększyły się punkty, (po długim czasie) uzyskałem tytuł profesora w Collegium Maximum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Pan Prezydent Lech Kaczyński wręczył mnie i mojemu koledze z roku Markowi Dąbrowskiemu nominacje profesorskie.





137. Nominacja profesorska wręczana przez Prezydenta Rzeczypospolitej Lecha Kaczyńskiego (od góry): A. w Pałacu Prezydenckim B. w szeregu C. wręczenie nominacji D. rozmowy z prezydentem

Podczas uroczystości potwierdzania dyplomów lekarskich naszego roku w maju 2010 roku w Warszawskim Uniwersytecie Medycznym w obecności p. Rektora prof. Marka Krawczyka i Dziekana prof. Mirosława Wielgosia, Marek Dąbrowski, Jurek Kaliński i Mieczysław Śmiałek czytali swoje utwory a Krzysztof Bielecki z chórem Sarmata wykonywał solowe arie operowe.



138. Uroczystość potwierdzenia dyplomów lekarskich po 50-ci u latach w WUM. w Warszawie

Z wielkim żalem pożegnaliśmy Marka i Jurka w ostatnim roku. Ponadto zmarli lekarze, Jolanta Zaremba – Wronkowska i Alfred Borkowski z Unii Polskich Pisarzy Lekarzy. Organizatorzy tego zjazdu jeszcze pracują. Prof. Krzysztof Bielecki znakomity chirurg dzielnie śpiewa w Chórze Sarmata, a Mieczysław Śmiałek wydaje nowe tomiki poezji i prowadzi prywatny gabinet lekarski w zakresie neurologii i terapii manualnej wraz z córką Joanną, licencjatem fizjoterapii.

W roku 2005 zostałem zaproszony na uroczystość 100 rocznicy powstania Straży Pożarnej w Retkach. Uroczystość zaszczycił swoją obecnością ks. biskup łowicki Józef Zawitkowski, znany kaznodzieja mszy za Ojczyznę w bazylice pw. Świętego Krzyża w Warszawie i ceniony poeta. Napisałem utwór zatytułowany „Wspomnienia” i wygłosiłem przed mszą świętą.

WSPOMNIENIA

Tak mi tęskno do Małej Ojczyzny,
Do Łowickiego Księstwa, do Retek, ziemi żyznej,
w objęciach ramion rzek Słudwi i Nidy.
Tej dziecięcej kołyski nie zapomnę nigdy.
Wieś rodzinna, jedyna na świecie!
Sady ubierają ją wiosennym kwieciem.
Pola to kolorowa paleta barw cała!
Ustroiły się jak łowiczanka w Dzień Bożego Ciała.
Wzdłuż rzek łąki zielone i Retkowskie Góry
Tworzą z lasem sosnowym istny cud natury.
Choć sławna jest żubrowa białowieska głusza,
Tutaj lis czy zając mnie do głębi wzrusza.
Nawet mały maślak niezmiernie ucieszy.
Wciąż odżywa radość tych wędrówek pieszych
nowinną drogą, ongiś traktem kurierskich wieści,
Gdzie liść topoli wierzbie nowiny szeleścił.
Przy wiejskiej drodze rozsiadły się domy pod strzechą słomianą.
Ściany na niebiesko a okiennice w kwiaty malowano.
Pośrodku wsi szkoła, dalej remiza strażacka na polu Kubicy,
murowana, pokryta papą stała tyłem do ulicy.
Nad wrotami widniał rok tysiąc dziewięćset ósmy – dziwna data.
Przecież straż liczyła już całe trzy lata.
Dopiero po odwołaniu w Petersburgu gubernator wydał zezwolenie.

Spełniło się Józefa Tokarskiego i ludzi marzenie.
Gospodarze z Retek i proboszcz w złakowskim kościele,
pierwszy prezes straży pożarnej, prałat Wasilewski, wnieśli pracy wiele.
Sekretarz, zacny Piotr Pawlina i naczelnik Andrzej Śmiałek
położyli w tym czasie zasługi niemałe.
Mój stryj Józef Śmiałek sekretarzował później przez ponad pół wieku.
Naczelnik Jan Surma ćwiczył druhów. Nie było do śmiechu.
Krytykować władzy nikt się nie odważył.
Pan Jan awansował a nagrody zdobywano dla Retkowskiej Straży.
Pamiętam radość prezesa mego ojca Stanisława.
Mnie się zaś marzyła naczelnika straży pożarnej buława.
Dzwon strażacki wzywał wszystkich na ratunek.
Pobudzał w człowieku do poświęceń i pomocy strunę.
Biegli Anyszkowie, Sieczkowscy, Sosnowscy, Marciniak, Murasowie z końca od Świeryża.
Tłum Kołaczyńskich, Styśków, Kołaczków, Kubiców i Pierzchałów szybko też się zbliżał
do wozu Stańczyka. Żłocisty kask Wójcik, Tomala i Wieteska na głowę założył.
Głowacki, Dobrowolski, Grzegory, Tokarscy, Drzewieccy dołączyli na ratunek skorzy.
Śmiałkowie skoczyli na sikawkę w biegu. Dowodził strażakami sam pan Surma Janek.
Zabrali jeszcze po drodze Goździka. Pędzili cwałem. Ardeny potem były złane.
To zaszczyt służyć w pożarnej, ochotniczej straży.
Skoczyć w ogień, ratować każdy się odważy.
Kobiety z obrazami w modlitwach do świętej Agaty
wierzyły, że święta zmniejszy od pożaru straty.
Pamiętam pożar stodoły u Marciniaka.
Spłonęło wiele zabudowań i dom Piotrusia Murasa biedaka.
Drewniana obórka stała dwa metry od pogorzelska.
Zapaliła się. Klęska była bliska.
Strażacy przytępiłi pazury czerwonego kura.
Brawo Straż Retkowska. Hurra! Hurra! Hurra!
Był rok trzydziesty piąty. To znamienna data.
W żałobę się oblekła każda we wsi chata.
Ukochanego Dziadka opłakiwała cała polska ziemia.
Patriotyzm jednoczył ówczesne polskie pokolenia.
A lzy nie mogły wyschnąć po Piłsudskiego Marszałka pogrzebie.
Wybawicielu Ojczyzny brakuje nam Ciebie.
Ukochanego Dziadka opłakiwała cała polska ziemia.
Patriotyzm jednoczył ówczesne polskie pokolenia.
Wojna! Rok tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty!
Nie uszanował wróg cywilów, szpitali i świątyń.
Siedemnasty września! Ludobójczy mord germańskich siepaczy!
Ciągle widzę bolejącą matkę po utracie synów w bólu i rozpaczy.
Nad nieprzytomną Anyszkową mówiłem do siebie.
Przecież Piotrek i Władek na pewno są w niebie.
Bestialsko zostali zabici cywile, strażacy.
Zginął też Leon Madanowski, człowiek pracy,
Mechanik u mojego dziadka Leona i ojca we młynie.
Lubiłem go, bo objaśniał mi dokładnie każdą część w maszynie.
Nie zagoi się nigdy w dziecku boleść tak zadana.
Krew sączy się w dzień, w nocy i każdego rana.
Zdziesiątkował wróg strażacką brać.
Przegrani zwycięzcy po wojnie wciąż musieli trwać.

Kolektywizacji powiedziano. Nie!
 W maju przy kapliczce i pod krzyżami wciąż modlono się.
 Wieś straciła swoją łowicką urodę.
 Tutaj nowoczesną znajdziesz niejedną zagrodę.
 Poznikały już zewsząd studzienne żurawie
 I konia przy zagrodzie nie zobaczysz prawie.
 Gdzie kował pasował stalowe podkowy,
 stoi nowa remiza, wielki dom ludowy.
 Światły sołtys i strażak syn Jana Mieczysław Anyszka
 dzięki swoim staraniom wsi uznanie zyskał.
 Cześć jego i wszystkich naszych przodków świetlanej pamięci!
 Niech się Stulecie Straży Pożarnej w Retkach nam szczęśliwie święci!
 Niech młodzi druhowie ćwiczą wciąż na nowym sprzęcie,
 walczą z pożarem i na zawodach strażackich zawzięcie
 Niech piersi ich stroją medale i srebrzyste sznury.
 Życzymy z całego serca.
 Niech ich w Unii Europejskiej wieńczą liczne zwycięskie laury.

10 kwietnia 2010 roku w dniu tragedii zniszczenia samolotu polskiego i śmierci pary prezydenckiej Lecha i Marii Kaczyńskich, prezydenta II Rzeczypospolitej Ryszarda Kaczorowskiego na emigracji w Londynie i 95 ważnych postaci życia politycznego w Polsce wraz z kapitanem Arkadiuszem Protasiukiem i załogą samolotu, odbyło się zebranie Retkowiaków w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej w Warszawie.



139. Para prezydencka Maria Helena z Mackiewiczów i Lech Aleksander Kaczyński

Mój kolega szkolny pułkownik Józef Muras syn Franciszka zainicjował utworzenie grupy nazywanej „Retkowiacy w Warszawie”. Zebrało się 11 osób: Muras Jan, Muras Mieczysław, Muras Józef, Muras Stanisław, Grzegory Leon, Śmiałek Mieczysław, Gradowska Irena z d. Muras, Borkowska Stanisława z d. Anyszka, Głowacka-Rykała Lucyna, Głowacki Mirosław i Marciński Krzysztof. W roku 2011 Retkowiak Mieczysław Muras zorganizował w Retkach uroczystość jubileuszową istnienia wsi Retki na podstawie aktu lokacyjnego wydanego w Gnieźnie w dniu 28 kwietnia 1351 roku przez Arcybiskupa Gnieźnieńskiego Jarosława Bogoria Skotnickiego. Z wielkim żalem żegnaliśmy Józka Murasa prezesa naszego koła na Powązkach dnia 12 stycznia 2012 roku.

Żona moja Maria Jolanta Śmiałek z d. Sobotka jest magistrem fizyki.

Syn Michał Jan Śmiałek (04.10.1967) informatyk jest profesorem Politechniki Warszawskiej, jego żona Grażyna z Jakubowskich (10.11.1969) mgr ekonomii urodziła troje dzieci Magdalene (06.12.1996), Zofię (08.08.1998) i Wojciecha (25.05.2001).

Magdalena już w drugiej klasie szkoły podstawowej pisała ciekawe wiersze wygłaszane w pałacu Krasińskich w Radziejowicach podczas uroczystych spotkań organizowanych przez Latającą Akademię p. prof. Elżbiety Małanicz – Onoszko. Ostatnio jako uczennica ostatniej klasy gimnazjum otrzymała wyróżnienie w ogólnopolskim konkursie, wierszami : „Po zmroku” i „Wstanę o świcie”. Oto ten ostatni.

Magdalena Śmiałek

WSTANĘ O ŚWICIE

Wstanę o świcie

I przed użyciem skonsultuję się z farmaceutą.

Upijając się kawą

Wyrzucę wolność do śmieci

Schowaną pomiędzy zdjęcia z wakacji.

Znudzona zapatrzę się w ekran

Wyłapując prawdę spod mgły

Fałszywej przykrywki czarnego pudełka.

Nie mam siły – pomyślę.

Potem zapiszę się na kurs samoobrony

O wszystkim zapomnę.

Lecz kiedyś przyjdzie taki dzień.

Zamknę oczy.

Założę ciemne okulary

I słuchając muzyki z lat osiemdziesiątych

Bezkarnie spojrzę ludziom w twarz



140. Dom Grażyny i Michała Śmiałków w Lesznie k/Warszawy – od lewej Mieczysław Śmiałek, Karol Adamczyk, Fabiola Adamczyk, dzieci: Łukasz, Michał i Piotr Ostrowscy, Joanna i Michał Ostrowscy oraz Anna Adamczyk

Córka Joanna Maria Ostrowska (21.10.1968) mgr sztuki, architekt wnętrz oraz licencjat fizjoterapeuta i jej mąż Artur Mieczysław Ostrowski (21.04.1969) ekonomista po studiach w Wyższej Szkole Handlowej na Wydziale Handlu Zagranicznego oraz bankowiec po trzyletnich studiach w Denver, Colorado, USA mają czworo dzieci: Piotra Artura (14.05.1995), Michała Mieczysława (05.04.1997), Łukasza Huberta (16.12.2000) i Julię Annę (18.01.2012).



141. Julia Ostrowska c. Joanny

Mieszkamy z rodziną córki Joanny w Warszawie przy ul. Augustyna Kordeckiego 4 na posesji, którą odziedziczyłem po mojej matce Józefie Śmiałek z d. Olba. Zrozumiałem jak ważne są trzy filary istnienia: własność, rodzina i tradycja.

Corocznie mamy spotkania w Klubie NOT przy ul. Czackiego w Warszawie z kolegami z naszego łowickiego liceum.



142. Spotkanie oplatkowe absolwentów łowickiego Liceum Ogólnokształcącego w Klubie NOT w Warszawie (drugi rząd.po prawej- Maria Śmiałek, Mieczysław Śmiałek, czwarta Alicja Ewa Szewczyk z d, Śmiałek



143. Wojciech Śmiałek s. Michała

2.12 Epilog

Niestety świat się zmienił. Nie widzimy już kuźni przydrożnych. W gospodarstwach rolnych traktory zastąpiły konie pociągowe. Piękne rumaki hodowane w stadninach sprzedawane są do ujeżdżalni jako konie wyścigowe. Prywatne młyny w Polsce w tym nowoczesne rodziny Śmiałków, Henryka Jarzębowskiego w Retkach i Lesława Jarzębowskiego w Soplu oraz po szwagrze Tadeuszu Jarzębowskiem w Słomkowie k/Skierniewic, stoją praktycznie nieczynne. Młodzież zdobyła zawody ekonomistów, informatyków, prawników, lekarzy, architektów i inne. W warunkach kapitalistycznej demokracji liberalnej, swoboda obyczajowa, granicząca z samowolą, upadek moralny, odchodzenie od chrześcijańskich korzeni kulturowych Polski i Europy w atmosferze nieustającego kłamstwa, nie rokują dobrej przyszłości dla pełni rozwoju społeczeństwa.



144 Mieczysław Śmiałek

Nabyłem wraz z Gazetą Polską film p. redaktor Ewy Stankiewicz „Krzyż” na temat losów krzyża postawionego przez harcerzy przed pałacem prezydenckim po tragedii smoleńskiej 10 kwietnia 2010 roku. Przeraziła mnie reakcja młodych ludzi liberalnej lewicy. Nie będę pisał o ich ekscesach i drwinach z krzyża i ludzi modlących się przy nim. Dla mnie wczesno dwudziestowiecznego „mohera”, wychowanego przez pokolenie urodzone w niewoli w miłości do Boga i Ojczyzny, zawstydziło wulgarne zachowanie tych biednych duchem ludzi „eurobolszewii”. Na razie stanąłbym pod transparentem - „Obudź się Polsko!”, który wraz z krzyżem został usunięty przez władzę. Wierzę, że część społeczeństwa przestanie fascynować chamstwo i bezmyślna samowola. Może po nauce szczątkowej historii, będą nauczyciele przypominać kazania księdza Piotra Skargi społeczeństwu rozdartemu na pół. Oto znamienne jego słowa przestrogi: „Nastąpi postronny nieprzyjaciel i mówić będzie. Rozdwoiło się serce ich. Teraz poginą. I ta niezgoda przywiedzie ich w niewolę” Może historycy dla pamięci i wychowania młodzieży szerzej potraktują wspomnienia o konfederatach barskich, o targowicy i o zwycięstwie zjednoczonych 10 milionów Polaków w „Solidarności”, a nauczyciele, jak dawniej będą powszechnie szanowani przez uczniów.

Ciągle mam nadzieję, że doczekamy się prawdy o mordzie katyńskim jeńców wojennych, policjantów i obywateli polskich w 1940 roku i o przyczynie tragedii smoleńskiej 10 kwietnia 2010 roku na lotnisku Siewierny, gdzie zginęło 96 osób. Dlaczego nie zatroszczyliśmy się o rzeczowe wyjaśnienie tej katastrofy samolotu z urzędującym prezydentem Lechem Aleksandrem Kaczyńskim, jego małżonką Marią Heleną z d. Mackiewicz, ostatnim prezydentem emigracyjnego rządu II Rzeczypospolitej Ryszardem Kaczorowskim, z wielu znakomitymi politykami, pilotami i obsługą? Proszę o niezarzucanie mi podziału w naszej polskiej rodzinie z powodu poruszenia sprawy tragedii smoleńskiej. Wcześniej rozłamu w narodzie polskim dokonała niekompetencja władz rosyjskich i polskich w badaniu tego wypadku. Samolot, który spadł w Lockerby w Szkocji, składano z jego szczątków przez pół roku, stosując cały arsenał nowoczesnej wiedzy, aby dojść do prawdy. Tymczasem pocięty wrak naszego samolotu pozostaje przez dwa i pół roku w Rosji i niszczeje bez konkretnych badań. Obwieszczenie przyczyn wypadku przedstawiono światu po pobieżnie wykonanych niedbale czynnościach. Podawanie ścięcia brzozy przez samolot za jedną z głównych przyczyn katastrofy obraża przeciętnego obywatela swoim prymitywnym rozumowaniem. Komisja badająca sprawę nie ma odwagi na dochodzenie do prawdy. Polscy uczeni wysokiej klasy, mieszkający za granicami - profesorowie i doktorzy, Wiesław Binienda, Nowaczyk i Szuladziński oraz coraz więcej specjalistów, profesorów krajowych uczelni mimo ograniczenia możliwości zbadania wszystkich elementów wypadku, już na podstawie cząstkowych badań dowodzą, że tragedia w Smoleńsku nie była zwykłą katastrofą. Bez wiarygodnego zbadania jej przyczyn nigdy nie dojdzie do pojednania w narodzie. W takiej atmosferze kończymy w Polsce rok 2012 poświęcony pamięci ks. Piotra Skargi.

Nie mamy szczęścia żyć w złotym wieku za panowania mądrego króla Zygmunta Starego. Lecz współtworzyliśmy Solidarność podczas szesnastu miesięcy niezwykłego zrywu narodu. Przeżyliśmy ponad ćwierćwiecze pasterzowania na stolicy Piotrowej w Rzymie naszego wielkiego, świętego papieża Jana Pawła II. Chłoniliśmy Jego nauki, ale szybko zafascynowały nas zwodnicze potrzeby ciała. Wciąż oczekujemy na mądre, demokratyczne przemiany, aby człowiek czuł się u siebie w kraju, jak w kochającej rodzinie.